PODWÓJNY NUMER NA NOWY ROK: Czy władza straci władzę ▪ Duch kobiet Zmory premiera Johnsona ▪ Góral z piórem ▪ Suflerzy papieży ▪ Ule uczą Wywrotowa miłość ▪ Połączą nas mury ▪ Inny Lem ▪ Drakula prywatnie

Kraków 2–9 stycznia 2022 nr 1–2 (3782–3783) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

ROK 2022
Przyjaźń uratuje świat

W WYDANIU DODATEK
40 LAT CENTRUM RZEŹBY POLSKIEJ

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

the PLAY
MIĘDZY KOLEKTYWIZMEM
A INDYWIDUALIZMEM
AWANGARDA JAPOŃSKA
W LATACH 50. i 60. XX WIEKU
25.11.2021 – 13.03.2022
ZACHĘTA — NARODOWA GALERIA SZTUKI
PL. MAŁACHOWSKIEGO 3, 00-916 WARSZAWA
ZACHETA.ART.PL
ORGANIZATORZY
ZACHĘTA
JAPANFOUNDATION
国際交流基金
INSTYTUCJA FINANSOWANA PRZEZ
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
PATRONAT HONOROWY
Ambasada Japonii
PARTNER
TZ

KS. ADAM

Boniecki: *Nasza haka „Ka mate”*

Trudno pisać o tym, w czym wszyscy się czują ekspertami. Robin Dunbar, brytyjski antropolog i psycholog ewolucyjny oraz specjalista od zachowań naczelnych badający zjawisko przyjaźni, skonstatował to z niejakim rozbawieniem na wstępie rozmowy z Łukaszem Lamżą: „wiele z tego, co wychodzi z naszych badań, to wiedza powszechna”. Czyżby? Okazuje się, że „najbardziej zaskakującym ustaleniem badań medycznych ostatnich 20 lat jest to, że im więcej mamy przyjaciół, tym mniej prawdopodobne, że zachorujemy”.

O przyjaźni pisało wielu – poetycko, jak Antoine de Saint-Exupéry w „Małym Księciu”, lub filozoficznie, jak Clive Staples Lewis w książce „Cztery miłości” (przeł. Maria Wańkowiczowa). Zastanawia się w niej, czym są przywiązanie, przyjaźń, miłość erotyczna i *caritas*. O tej drugiej pisze, że „jest najmniej naturalną z miłości (i w tym znaczeniu jej to nie uwłacza), jest w najmniejszym stopniu instynktowna, organiczna, biologiczna, gromadna i niezbędna. Gdyby nie Eros, nikt z nas nie zostałby poczęty, gdyby nie przywiązanie, nikt z nas nie zostałby odchowany, ale możemy żyć i wychowywać się bez przyjaźni. Gatunek, z punktu widzenia biologicznego, nie potrzebuje jej”. I dalej: „Naszym przyjacielem może być człowiek, który się z nami zgadza na to, że pewne problemy, lekceważone przez innych ludzi, są jednak bardzo ważne. Nie potrzebuje się on z nami zgadzać co do sposobu ich rozwiązania. (...) Koleżeństwo łączy ludzi, którzy wspólnie działali: polowali, uczyli się, malowali lub robili co bądź innego. Przyjaciele również czegoś wspólnie dokonują, ale czegoś bardziej duchowego, mniej łatwego do określenia i do podzielenia się z innymi”.

C.S. Lewis pisał to w roku 1960. Nie było wtedy tak, jak dziś wiadomo, że nasz świat społeczny zorganizowany jest w oddzielone piętnastoosobowe kręgi, a potem – kolejne, aż do tych słynnych, stupięćdziesięcioosobowych (tzw. liczba Dunbara). Nie wiedziano też o „tańcu endorfin”, o którym pisze w tym numerze Monika Ochędowska. Endorfiny to grupa hormonów, która wpływa na dobre samopoczucie i zadowolenie z siebie.

Jednak nowa, coraz pełniejsza wiedza o przyjaźni nie podważa dawnych intuicji. Przyjaźń pozostaje najmniej naturalną z miłości i bez względu na endorfiny jest w niej więcej elementu duchowego niż biologicznego. Pozostaje prawdą to, co pisze C.S. Lewis: dlaczego tym, którzy po prostu chcą się „zaprzyjaźnić”, nigdy się to nie udaje. Warunkiem zaprzyjaźnienia jest pragnienie czegoś poza przyjaźnią. Gdy odpowiedź na pytanie: „Czy dostrzegasz tę samą prawdę?” brzmi: „Nie, nie dostrzegam, i nic mnie prawda nie obchodzi, chcę po prostu mieć przyjaciela” – nie może z tego powstać żadna przyjaźń. „Bo przyjaźń musi posiadać swój ośrodek, choćby nim była pasja do gry w domino (...). Ci, co nic nie posiadają, nie mają się czym dzielić, ci, co nigdzie nie zmierzają, nie mogą mieć towarzyszy podróży”.

Gdybym miał wymienić cechy rozpoznawcze przyjaźni, to obok tych, o których mowa u Lewisa („zbędności” i koniecznego „ośrodka”), wymieniłbym otwartość na innych przyjaciół, wolność od chęci zawłaszczenia, a więc i zazdrości (udzielona pomoc nie uzależnia, zawsze jest czymś oczywistym, o czym nie warto mówić). Przyjaźń nie jest dociekliwa. Przyjaciele nie rywalizują: sukces jest radością wspólną. Jest odporna na długie niewidzenia.

Nie wiem, jak by to wyglądało w świetle wiedzy o „kręgach” i poddane ewentualnej analizie maili, telefonów i zdjęć na profilach itp. (patrz wywiad z Robinem Dunbarem), lecz jestem przekonany, że Opatrzność obdarzyła mnie miejscem pracy nasyconym przyjaźnią, czyli przyjaznymi ludźmi, z którymi pracuję. Sądzę też, że siłą „Tygodnika” była i jest łącząca nas przyjaźń. Jak nowozelandzkich rugbystów ze zdjęcia, którym rozpoczynamy noworoczny temat numeru. Wydawało mi się dotąd, że nie tańczymy przed zebraniem redakcyjnym haki „Ka mate” – ale wychodzi na to, że jednak tak. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

Które teksty najchętniej czytaliście w 2021?

Sprawdźcie „Tygodnikową” dwunastkę, która najbardziej emocjonowała Was w mijającym roku, na **TygodnikPowszechny.pl** – od 1 stycznia dzień po dniu najlepszy tekst miesiąca w otwartym dostępie!

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

26 Miłego pandemonium
JAROSŁAW FLIS
Nasi przywódcy cierpią na przerośnięte ego i brak pokory. Rok 2022 tylko pogłębi te choroby.

42 Lobby świętego Idziego
EDWARD AUGUSTYN
Mówi się, że są najpotężniejszą organizacją w Kościele, zdolną wybrać „swojego" papieża. Działają także w Polsce.

58 Król świata
DARIUSZ ROSIAK
Kłopoty premiera Borisa Johnsona można sprowadzić do dwóch kwestii: coraz mniej Brytyjczyków mu wierzy, a coraz więcej się z niego śmieje.

100 Welwetowe podziemie
MAREK BIEŃCZYK
Państwo nie wykazuje empatii wobec ludzi na granicy i ofiar pandemii. Ale w społeczeństwie wyrazem sprzeciwu jest miłość. Oto nasze słowo roku.

NA NOWY ROK

38 Chyba przechrzta
JERZY JURECKI, DZIENNIKARZ:
Gdy Kurski organizował sylwestra pod Krokwią, nagraliśmy piosenkę o misiu, którego próbował zbudzić.

54 W kręgu kobiet
NATALIA DE BARBARO, PSYCHOLOŻKA:
Stanowiły większość wiernych. Teraz wychodzą z Kościoła, zdeterminowane, żeby szukać swojej duchowości.

76 Czasem mury, czasem wojny
DAVID FRYE, HISTORYK:
Nie zawsze są skuteczne, jeszcze rzadziej – pożądane. Jednak świat bez murów i granic po prostu nie istnieje.

98 Odzyskać język
KATARZYNA KŁOSIŃSKA, JĘZYKOZNAWCZYNI:
Jeśli odbieramy słowa bezrefleksyjnie, robi się niebezpiecznie. Przestajemy wiedzieć, czy kłamią.

ZBYSZEK KACZMAREK / REPORTER // MATTEO NARDONE / ZUMA PRESS / FORUM // JAE C. HONG / AP / EAST NEWS // ARCHIWUM PRYWATNE // MARK ENGLEHART // JACEK TARAN // BARTŁOMIEJ JURECKI // KIRSTY O'CONNOR / REUTERS / FORUM

6 Między żałobą a nadzieją
MICHAŁ OKOŃSKI

7-13 Obraz roku 2021

24-25 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ | MAŁGORZATA KORDOWICZ | O. WACŁAW OSZAJCA PIOTR SIKORA

KRAJ

26 Miłego pandemonium
JAROSŁAW FLIS

30 Las podwyżek
KRZYSZTOF STORY: *Ceny drewna wzrosły dwukrotnie. Zapasy wykupuje zagranica. Rządu to nie obchodzi*

33 Cała prawda o naszych zarobkach
PIOTR WÓJCIK: *Aż dwie trzecie Polaków zarabia mniej niż średnia krajowa*

38 Chyba przechrzta
ROZMOWA Z JERZYM JURECKIM, TWÓRCĄ „TYGODNIKA PODHALAŃSKIEGO"

WIARA

42 Lobby świętego Idziego
EDWARD AUGUSTYN

46 Chcesz cudu, krzycz!
ROZMOWA Z KS. MIECZYSŁAWEM PUZEWICZEM: *Spotkałem wielu ludzi, którzy deklarowali się jako agnostycy, a ich życie było piękną ewangelią*

49 Głos muezina nad Renem
ŁUKASZ GRAJEWSKI: *Meczety w Kolonii uzyskają pozwolenie, by publicznie i głośno nawoływać do modlitwy*

51 Jawność Ukrytego
PIOTR SIKORA *o sensie święta Trzech Króli*

54 W kręgu kobiet
NATALIA DE BARBARO

ŚWIAT

58 Król świata
DARIUSZ ROSIAK

62 Królowa i gangsterzy
PATRYCJA BUKALSKA *o tym, co kręci się w Szkocji*

63 Wszystkie fronty Wołodymyra Zełenskiego
TADEUSZ IWAŃSKI: *Groźby Rosji to nie jedyny problem prezydenta Ukrainy*

TEMAT TYGODNIKA

VICTORIA JONES / PA / GETTY IMAGES

14 Czas przyjaźni
MONIKA OCHĘDOWSKA
Czujemy się lepiej i jesteśmy zdrowsi, gdy mamy pewność, że stanowimy część czegoś większego i jesteśmy ważni dla innych.

18 Siedem filarów
ROZMOWA Z ROBINEM DUNBAREM, ANTROPOLOGIEM

DODATEK

119 40 lat Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku

FELIETONY

36 JACEK PODSIADŁO
53 WOJCIECH BONOWICZ
88 HANNA KRALL **116** JAN KLATA
118 PAWEŁ BRAVO
130 STANISŁAW MANCEWICZ
130 BARTOSZ MINKIEWICZ

37 Tygodnik Czytelników

85 Dworska, nasze miejsce w Krakowie

Okładka: JOANNA RUSINEK dla „TP"
Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

Następne wydanie „Tygodnika Powszechnego" ukaże się w środę 12 stycznia, e-wydania i wydanie w aplikacji dzień wcześniej wieczorem.

66 O sukcesie słów kilka
PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY: *Dlaczego Hiszpania i Portugalia są w Europie covidową „zieloną wyspą"?*

69 Dopaść Macrona
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA: *Za plecami prezydenta i faworyta francuskich wyborów walczy zaciekle troje rywali*

72 Barbados: Elżbiecie już dziękujemy
WOJCIECH JAGIELSKI

76 Czasem mury, czasem wojny
ROZMOWA Z DAVIDEM FRYE'EM, HISTORYKIEM

HISTORIA

80 Zagadka Włada Drakuli
MACIEJ MÜLLER: *Na jego legendzie Iwan Srogi uczył się, jak być surowym monarchą*

NAUKA

90 Koniec na własne życzenie
ŁUKASZ LAMŻA: *Na naszej planecie może niedługo zabraknąć ludzi*

94 Komu służą badania
ŁUKASZ KWIATEK *o największym pirackim serwisie dla naukowców*

96 Jak w lustrze
ANNA GOC

98 Odzyskać język
ROZMOWA Z KATARZYNĄ KŁOSIŃSKĄ

KULTURA

100 Welwetowe podziemie
MAREK BIEŃCZYK

105 Lem, czyli świat
TOMASZ FIAŁKOWSKI: *Po śmierci ks. Tischnera Lem powiedział: „Zawsze umierają nie ci, co powinni"*

108 Wspaniałe życie
ROZMOWA Z ŁUKASZEM GRZEGORZKIEM, REŻYSEREM

112 Ostatni żyrandol
PAWEŁ BRAVO: *Paolo Sorrentino w końcu spotkał się ze sobą*

114 Przetwory pamięci
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „The Hand of God"*

116 Cena
LEKTOR *o „Poezjach zebranych" Kazimierza Wierzyńskiego*

ZMYSŁY

126 Lekcje ula
ADAM ROBIŃSKI: *Jeszcze jedna opowieść o tym, że razem żyje się łatwiej niż osobno*

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ ROKU 2021

MIĘDZY ŻAŁOBĄ A NADZIEJĄ

Dlaczego zdaje się nas nie poruszać liczba zmarłych na covid? W 2021 r. było ich sto tysięcy.

MICHAŁ OKOŃSKI

Oddział intensywnej terapii dla chorych na Covid-19, szpital Lozenetz w Sofii, Bułgaria, 9 listopada 2021 r.

Końcowi roku towarzyszą zmęczenie, wyczerpanie, smutek i lęk. Czwarta fala pandemii nie minęła, a idzie piąta. Eksperci pytani o wariant Omikron na wiele pytań wciąż odpowiadają „nie wiem", ale zakładają, że jeszcze częściej niż Delta będzie przełamywał ochronę, którą dają szczepionki – zresztą dwóch na pięciu Polaków i tak jest jej pozbawionych. W czarnym scenariuszu – czytamy – może dojść do zapaści systemu ochrony zdrowia, działającego przecież od dwóch lat w stanie permanentnego alertu. A liczba tzw. zgonów nadmiarowych w 2021 r. przekroczyła sto tysięcy.

W ostatnich tygodniach ofiary koronawirusa po raz pierwszy doczekały się symbolicznego upamiętnienia: minuty ciszy w parlamencie. Dlaczego dopiero teraz i dlaczego tak skromnie w kraju, gdzie żałobę narodową ogłaszano z powodu śmierci byłego premiera, zabójstwa prezydenta Gdańska i katastrofy górniczej, w której zginęło 13 osób? Dlaczego wydają się nas nie poruszać dzienne statystyki, w których liczba umierających na covid przekroczyła 700? Dlaczego, jak pytał na tych łamach w maju Dariusz Kosiński, wciąż „zajmujemy się swoimi sprawami, zostawiając tych zmarłych wyłącznie ich bliskim"? Co to za wspólnota, i czy nie jest tak, że zapominając o nich, sprawimy, że „zapomni o nas Bóg na niebie"?

Chciałbym uniknąć oskarżycielskiego tonu, choć trudno nie myśleć o tym, czego wymaga się w podobnych sytuacjach od od-

powiedzialnych za wspólnotę przywódców. Myślę raczej, że funkcjonując od tylu miesięcy w nieogłoszonym formalnie stanie nadzwyczajnym, wielu z nas zabunkrowało się w walce o przetrwanie – i chciało wierzyć zapewnieniom o „ostatniej prostej". Ile z naszego zmęczenia ma swoje źródło w fakcie, że tylekroć wieszczony rychły kres pandemii dotąd nie nastąpił?

„Z ekranów, gazet i radia nie padło proste zdanie – przypominał w rozmowie z „Tygodnikiem" Bogdan de Barbaro na początku lockdownu, w marcu 2020 r. – Sednem tej sprawy jest lęk przed śmiercią własną i własnego świata". Niewielu jednak stać na przyjęcie takiej perspektywy. A zagrożeń dla wspólnoty jest więcej. Może najistotniejsze wiąże się z kolejnym w naszym kraju i wzmacnianym przez media społecznościowe obrazem dwóch plemion. Pisał o tym niedawno Marcin Napiórkowski: podział na „zaszczepionych" i „niezaszczepionych" nie oddaje złożoności zjawiska, a polaryzacja i agresja osłabiają nasze siły w walce z wirusem. To on jest wrogiem w tej wojnie, nie osoby dotychczas niezaszczepione / zaszczepione.

Jeśli na progu 2021 r. miałbym szukać źródeł nadziei, to chyba właśnie w tym – przyznaję – dość nieoczywistym miejscu. Pozbyliśmy się wielu złudzeń. Wiemy, że nasze poczucie bezpieczeństwa nie zależy tylko od samej szczepionki. Nie zwiększy go eskalowanie podziału. Wciąż mamy też przewodników, nawet jeśli nie są przywódcami politycznymi. Kilka nazwisk już tu padło, przywołajmy jeszcze jedno, Wojciecha Szczeklika. „Zawsze wiedzieliśmy, jak ważny jest styl życia dla skuteczności systemu immunologicznego, ale nie mówiliśmy o tym wystarczająco często – tłumaczył w rozmowie z „TP". – Może paradoksalna korzyść z pandemii będzie polegała na tym, że wrócimy do podstaw. Zdecydowanie powinno to głośno wybrzmieć: zdrowy tryb życia jest podstawą naszego dobrego samopoczucia i wzmacnia nasz organizm do walki z chorobą". Nawet jeśli nie brzmi to efektownie, to lepiej, zamiast poddawać się na przemian złudzeniom i zwątpieniu, robić proste rzeczy, na które mamy wpływ. Dbać o siebie. I o siebie nawzajem. ©℗

NIKOLAY DOYCHINOV / AFP / EAST NEWS

Lodowate serce Polski

TO BYŁ ROK LUDZI NA GRANICY. Rok kryzysu, w którym nie tylko cierpieli oni, ale coś niepokojącego stało się też w nas samych. I to innego niż znieczulica lub przewrażliwienie, o które wzajemnie oskarżają się obie strony sporu o migrantów – przestaliśmy widzieć ostro.

JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS

Diabelski plan Alaksandra Łukaszenki – przynajmniej w pierwszej fazie organizacji lotów z Bliskiego Wschodu, realizowanej ze wsparciem Kremla – udał mu się, jak na razie, w połowie. Zmilitaryzowanie granic z Białorusią przez Łotwę, Litwę i Polskę zapobiegło masowej i niekontrolowanej migracji, która w innym przypadku byłaby zapewne „stymulowana" jeszcze bardziej. Testowanie reakcji przeciwnika (a już w tych kategoriach trzeba patrzeć na relacje Warszawy z Mińskiem) na naruszenia jego terytorium, szukanie słabych punktów czy wręcz próba destabilizacji pogranicza – to wszystko mógł mieć w zamierzeniach dyktator, który pogardę dla ludzkiego życia i losu wykazuje od lat, od kilkunastu miesięcy zaś wyraźnie dąży do konfrontacji z Zachodem. Bezduszne wykorzystanie migrantów pasuje do psychologicznego portretu Łukaszenki.

Powiodła się jednak ta część jego planu, w której postawił na wywołanie fermentu oraz podziałów w Polsce. Spór o uchodźców i migrantów – w latach 2015-16 instrumentalnie wykorzystany przez część prawicy – odżył na nowo, choć teraz dotyczy ludzi w odmiennej sytuacji, w zdecydowanej większości niekwalifikujących się do uzyskania ochrony międzynarodowej. Rząd nie grał już tak mocno jak kiedyś sentymentami antyimigracyjnymi, jednak niesławna konferencja prasowa, podczas której minister Mariusz Kamiński usiłował (posługując się kadrami ze starego nagrania wideo) połączyć temat ludzi na granicy z zoofilią, powinna była skompromitować tego polityka na zawsze.

GRZEGORZ DĄBROWSKI / AGENCJA WYBORCZA

Niestety, odpowiedzialność za słowa nie była również mocną stroną wielu środowisk, które w sytuacji dezercji państwa wzięły w obronę ludzi na granicy – złapanych w pułapkę, błądzących i marznących. Heroicznej pracy wolontariuszek i wolontariuszy oraz organizacji pomocowych, darom i pieniądzom słanym z całej Polski towarzyszyła czasem zamazująca szczegóły, a przede wszystkim nieprawdziwa narracja, porównująca w skrajnych przypadkach politykę rządu do praktyk III Rzeszy. W opisie wielowątkowego kryzysu zabrakło właśnie ostrości – to zły prognostyk na przyszłość, zwłaszcza w chwili, gdy na wschodzie Europy faktycznie zaczyna się nowa „zimna wojna".

Trzeba jeszcze dodać, że w 2021 r. polskie władze zrobiły dużo, aby w świat poszedł komunikat o lodowatym sercu Polski. Embargo medialne w strefie stanu wyjątkowego, jego *de facto* przedłużenie przy pomocy specjalnej ustawy, a zwłaszcza celowe wywożenie migrantów do miejsc zagrażających ich życiu nie miały precedensu w najnowszej historii kraju. Jednak nie tylko ludzi na granicy rząd potraktował jak wrogów – rezygnując ze szczerej polityki informacyjnej i stawiając na propagandę, władze ustawiły się plecami do tych z nas, którzy wbrew skrajnym emocjom wiedzą, że ochrona granic nie musi oznaczać ostentacyjnego lekceważenia życia ludzi.

STEFAN MASZEWSKI / REPORTER

Issa Jerjos, Wafaa Kamal, Kawa Anwar Mahmud al-Dżaf, Rajaa Hasan, Ahmad al-Hasan, Gaylan Dler Ismail, Kurdo Khalid, Farhad Nabo, Mostafa al-Raimi, Avin Irfan Zahir oraz Ahmed Hamed al-Zabhawi. Oto ustalone przez dziennikarzy tygodnika „Der Spiegel" imiona i nazwiska ludzi, którzy w 2021 r. stracili życie w rejonie polsko-białoruskiej granicy. Oby ich już nie przybyło.

©℗ MARCIN ŻYŁA

LUDZIE ROKU: KRAJ

Pracownicy ochrony zdrowia

MICHAŁ WOŹNIAK / EAST NEWS

ICH SZEREGI NIE SĄ POKAŹNE: polska ochrona zdrowia należy do najsłabszych liczebnie w Europie. Ten niezbyt szeroki front od prawie dwóch lat broni nas przed pandemią. Najwięcej słychać o lekarzach – z oddziałów covidowych i z tych, których jeszcze w covidowe nie przekształcono. Ale front tworzą też ratownicy, pielęgniarki, lekarze rodzinni, diagności laboratoryjni, rejestratorki, farmaceuci...

Walczą nie tylko z koronawirusem. Miewają przeciw sobie rządzących (miniony rok minął pod znakiem solidarnego protestu w Białym Miasteczku), a nieraz też pacjentów, którzy nie dość, że nie chcieli się zaszczepić, to np. na oddziale nie pozwalają się zaintubować, bo przeczytali w internecie, iż „respirator zabija". A ich warunki pracy i wynagrodzenie zwykle nie licują z odpowiedzialnością.

„Nasze siły się wyczerpują" – mówią dziś. Są zmęczeni, wypaleni i sfrustrowani.

Niedawny raport Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie na temat nastrojów w ochronie zdrowia nosi złowróżbny tytuł „Ostatni gasi światło".

©℗ MACIEJ MÜLLER

Dziennik roku inflacji

ZA NAMI 12 MIESIĘCY FATALNYCH DLA ZŁOTEGO, który tak słaby nie był od prawie sześciu lat, i to mimo świetnych wyników naszej gospodarki. Za wielkiego przegranego uważa się szefa NBP Adama Glapińskiego, na którego spadła zasłużona krytyka za lekceważenie sygnałów o rozpędzającej się inflacji i podporządkowanie banku centralnego politycznym celom rządu – choć prezes desperacko broni wersji, że nie mógł skuteczniej zapobiec tak szybkiemu wzrostowi cen.

Największymi przegranymi są jednak obywatele. I ci, których dobijająca do 8 proc. inflacja zmusiła już do skromniejszych zakupów, oszczędzania prądu oraz niedogrzewania domów, i ci, którym jedynie uszczknęła kawałek uczciwie wypracowanej podwyżki. Rządowe opowieści o płacach, które wciąż rosną szybciej od inflacji, mijają się z realiami życia milionów Polaków, którzy w 2021 r. podwyżki widzieli tylko w Wiadomościach TVP. Jeszcze gorsza jest arogancka narracja z gatunku „a przecież mógł zabić", na dodatek z krótkim terminem przydatności, bo ostatnie podwyżki stóp procentowych mogą nie wystarczyć do powstrzymania inflacji, którą podsyci teraz skok cen prądu i gazu. Odczujemy je za to w coraz wyższych ratach kredytów.

2022 r. dla wielu z nas będzie zatem rokiem zaciskania pasa, choć rząd i NBP zapewne będą nas nadal przekonywać, że ciśnie nas tam z przejedzenia.

©℗ MAREK RABIJ

KRAJ W SKRÓCIE

KTO WINIEN?

Na Białoruś zdezerterował polski żołnierz. Szef MON Mariusz Błaszczak zażądał wyjaśnień, kto odpowiada za skierowanie do służby na granicę kogoś, kto już w Polsce miał kłopoty z prawem – strach pomyśleć, że mogło mu chodzić o własną odpowiedzialność.

TUSK?

„»Efekt Tuska«, czyli wzrost cen energii" – zatytułowały Wiadomości TVP materiał o podwyżkach cen. Pewną nowością w przekazie był brak filmiku, na którym lider PO mówi po niemiecku.

JACEK DOMINSKI / REPORTER

BRUKSELA?

Komisja Europejska uruchomiła procedurę w sprawie uchybienia przez Polskę zobowiązaniom państwa członkowskiego: jej zdaniem nasz Trybunał Konstytucyjny nie spełnia wymogu niezawisłego i bezstronnego sądu.

TARCIA?

RMF informuje, że mimo wcześniejszych zapowiedzi Jarosław Kaczyński pozostanie wicepremierem ds. bezpieczeństwa. Oficjalnym powodem ma być sytuacja międzynarodowa, nieoficjalnym – tarcia między Mateuszem Morawieckim a Zbigniewem Ziobrą.

MARKS?

Z pewnością tarć nie wywołują prace resortu edukacji, dzięki którym w ramach zajęć z nowego przedmiotu „historia i teraźniejszość" uczeń będzie umiał wyjaśnić, że rewolucja seksualna miała neomarksistowskie źródła, a największą tragedią powojennej Polski była katastrofa smoleńska.

Mroczny czas dla mediów

MAREK KĘSKRAWIEC

To był najgorszy rok dla dziennikarstwa w całej historii III RP. Zaczął się od finalizacji przejęcia spółki Polska Press przez Orlen. Wydawnictwo, należące wcześniej do niemieckiej rodziny Diekmannów, było praktycznym monopolistą na rynku prasy regionalnej oraz silnym graczem w segmencie lokalnych portali internetowych. Wydawca nie mieszał się jednak do treści, co wyraźnie zmieniło się w kwietniu, kiedy na stanowisko prezesa Polska Press powołano Dorotę Kanię, byłą dziennikarkę „Gazety Polskiej".

Do dziś pracę stracili (z jednym wyjątkiem) wszyscy redaktorzy naczelni gazet. Efekty widać też na łamach; dziennikarze nadal patrzą na ręce władzom samorządowym, ale tylko tam, gdzie nie rządzi PiS. Wyraźnie na prorządową zmieniła się też publicystyka, co potwierdza podejrzenia, iż celem przejęcia jest powolne tworzenie z lokalnych mediów broni na czas kampanii przed wyborami samorządowymi w 2023 r.

Polityczny cel przyświecał PiS-owi również podczas rozgrywki z TVN. Uchwalenie nowelizacji ustawy medialnej, która *de facto* zmusza światowy koncern Discovery do sprzedaży większości swych udziałów, obliczone jest na rozbicie telewizji, którą Jarosław Kaczyński uważa za jednego z największych wrogów politycznych i nie waha się w dążeniu do jego zniszczenia postawić na szali stosunki polsko-amerykańskie. I to w obliczu konfliktu na granicy z Białorusią i agresywnej polityki Rosji. Coraz więcej sygnałów wskazuje na to, że dla szefa PiS sojusze z Unią Europejską oraz Stanami Zjednoczonymi (po przegranej Donalda Trumpa) przestały być dogmatem. Zatrzymać Kaczyńskiego może dziś jedynie prezydent Andrzej Duda, jeśli zawetuje „lex TVN". Bardziej prawdopodobne jest jednak odesłanie ustawy do Trybunału Konstytucyjnego, gdzie utknie i będzie używana miesiącami jako straszak na TVN. ©℗

GLEB GARANICH / REUTERS / FORUM

Ukraińska żołnierka na froncie w obwodzie donieckim, 18 grudnia 2021 r.

Bóle po utraconym imperium

RELACJE WSCHÓD–ZACHÓD są dziś w najpoważniejszym kryzysie od ponad 30 lat. Jeśli Moskwa zdecyduje się na kolejną fazę agresji wobec Ukrainy, zakwestionuje cały pozimnowojenny porządek w Europie.

W tamto Boże Narodzenie roku 1991 z Kremla ściągnięto flagę Związku Sowieckiego. Dzień później komunistyczne imperium oficjalnie przestało istnieć. Wydawało się, że w stosunkach Rosji z Zachodem otworzył się nowy rozdział i będzie tylko kwestią czasu, gdy stanie się ona częścią szerokiej wspólnoty państw europejskich.

Dojście do władzy Władimira Putina rozwiało te iluzje. Już jego wystąpienie na konferencji w Monachium w 2007 r. dobitnie pokazało, że jego Rosja jest państwem rewizjonistycznym i – pod pretekstem rzekomego zagrożenia własnego bezpieczeństwa – dąży do odbudowy wpływów na obszarze postsowieckim. Wojna z Gruzją, aneksja Krymu, wojna w Donbasie – w kolejnych latach teza ta uzyskiwała nowe potwierdzenia.

Gdy wielu na Zachodzie zaczęło się już przyzwyczajać do *status quo*, które powstało wokół Ukrainy po 2014 r., Rosja zademonstrowała, jak bardzo się mylili. Po inauguracji prezydenta Bidena zaczęły płynąć sygnały, że Moskwa oczekuje od Zachodu nowego układu o bezpieczeństwie europejskim. Rachuby rosyjskie są proste: skoro głównym wyzwaniem dla Waszyngtonu są i będą relacje z Chinami, to pragmatyczni Amerykanie sami dojdą do wniosku, iż z Rosją trzeba się dogadać. I nie chodzi o nadzieje, że uda się Moskwę przeciągnąć na swoją stronę, lecz o jej zneutralizowanie w sytuacji konfrontacji USA z Pekinem. Ceną byłoby oddanie tego, czego Kreml od dawna oczekuje: kontroli nad Ukrainą i w ogóle obszarem postsowieckim.

Gdy okazało się, że administracja Bidena niekoniecznie jest chętna do takich koncesji, Rosja zaczęła robić to, co umie najlepiej: straszyć wojną. W kwietniu doszło do pierwszego nagłego skoncentrowania jej wojsk wokół Ukrainy, co miało być sygnałem ostrzegawczym. W październiku zaczęło się kolejne, trwające do dziś i na bezprecedensową skalę. Kreml liczy, że przestraszy Zachód, który przecież nie będzie bronić Ukrainy. Nakłada się to na kryzys na europejskim rynku gazowym, co grozi poważnymi skutkami gospodarczymi i za co największą odpowiedzialność ponosi Rosja.

Scenariusz rosyjskiej inwazji na Ukrainę na pełną skalę wciąż jest mało prawdopodobny – Putin musiałby postradać zmysły. Ale trzeba liczyć się z konfliktem ograniczonym, choć zapewne wychodzącym poza Donbas. Zwłaszcza że przedstawiony przez Rosję w połowie grudnia projekt układu o bezpieczeństwie w Europie ma charakter ultymatywny i jest niemożliwy do przyjęcia (m.in. przewiduje wycofanie się NATO z zaangażowania na wschodniej flance).

30 lat po rozpadzie Związku Sowieckiego kremlowska elita idealizuje tamten system jako „raj utracony" i pała chęcią zemsty. Nie należy się łudzić: konflikt Rosji z Zachodem ma charakter systemowy i w percepcji rosyjskiej może zostać rozwiązany tylko przez jednostronne ustępstwa drugiej strony.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

LUDZIE ROKU: ŚWIAT

Swiatłana i Siarhiej Cichanouscy

ROMAN VONDROUS / CTK / PAP

OD SFAŁSZOWANYCH przez Aleksandra Łukaszenkę wyborów prezydenckich na Białorusi w sierpniu 2020 r. Swiatłana Cichanouska – która według niezależnych obserwatorów wygrała to głosowanie – apeluje o bardziej zdecydowaną politykę wobec reżimu. W grudniu 2021 r. była na spotkaniu z ambasadorami państw UE, gdy dowiedziała się, że jej męża Siarhieja skazano na 18 lat kolonii karnej o zaostrzonym rygorze.

„Musimy pracować i robić to, co dotychczas. Krok po kroku wywierać presję na reżim, wspierać społeczeństwo obywatelskie, by doprowadziło do uwolnienia wszystkich naszych przyjaciół, wszystkich tych, których kochamy" – powiedziała Cichanouska amerykańskiemu portalowi Axios.com niedługo po tym wyroku.

Siarhiej Cichanouski, youtuber i przedsiębiorca, miał kandydować w tamtych wyborach, ale komisja wyborcza nie przyjęła jego dokumentów. W zastępstwie w szranki z Łukaszenką stanęła jego żona. Siarhieja zatrzymano jeszcze w maju 2020 r., pod zarzutem organizowania zamieszek i podżegania do nienawiści (to zarzuty wytrychy, stosowane zwykle wobec opozycjonistów).

Po wyborczym fałszerstwie Białorusini wyszli na ulice, a reżim odpowiedział represjami na niespotykaną skalę. Cichanouska musiała opuścić kraj, by jej nie aresztowano. Trafiła do Wilna, skąd przypomina światu o sytuacji na Białorusi. Wyroki więzienia, często wieloletniego, usłyszało dotąd prawie tysiąc opozycjonistów. Kolejne procesy trwają.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Afryka: demokracja w odwrocie

WOJCIECH JAGIELSKI

Antony Blinken, szef dyplomacji USA, był bardzo szczery. „Demokracja wchodzi w recesję" – mówił podczas swej podróży do Afryki jesienią 2021 r. Podkreślił, że ma na myśli nie tylko Afrykę, i że zjawisko to przybiera wymiar globalny. Choć akurat na Czarnym Lądzie w 2021 r. odwrót od demokracji odbywał się w sposób widowiskowy.

W Etiopii, drugim po Nigerii najludniejszym kraju kontynentu (ponad 100 mln ludzi), rok 2021 upłynął pod znakiem wojny domowej i wszelkich możliwych wojennych zbrodni, popełnianych i przez armię rządową, i przez partyzantów ze zbuntowanej prowincji Tigraj. Etiopia, jeszcze dwa-trzy lata temu uważana za nadzieję Afryki, dziś jest dla niej przestrogą, a jej premier Abiy Ahmed, kiedyś okrzyknięty reformatorem i uhonorowany pokojowym Noblem, okazał się zaślepionym władzą wcieleniem afrykańskiego satrapy. Wojna zaczęła się tu jesienią 2020 r. najazdem armii rządowej na Tigraj. Latem 2021 r. partyzanci przeszli do kontrnatarcia i jesienią podeszli aż pod Addis Abebę. Etiopskie wojsko odparło ich jednak i odrzuciło aż do Tigraju. Teraz partyzanci proponują układy, ale Abiy Ahmed nie jest skłonny do ustępstw, choć wojna domowa grozi rozpadem państwa.

Do recesji demokracji w Afryce przyczyniły się też wojny, które miejscowi dżihadyści toczą w Somalii, w strefie Sahelu (Niger, Mali, Burkina Faso, Czad, Nigeria, Kamerun) i nad równikiem (Kongo, Uganda, Tanzania, Mozambik), a także – niemodne, zdawało się już – wojskowe przewroty w Czadzie, Gwinei, Mali i Sudanie.

Powiewem nadziei były wybory prezydenckie w Zambii, wygrane przez kandydata opozycji, który pokonał panującego prezydenta, wyznawcę populizmu i autokracji – tendencji królujących dziś na światowych listach politycznych przebojów. ©℗

WAKIL KOHSAR / AFP / EAST NEWS

KADR ROKU

Byle zdążyć na samolot

Także mieszkańców Kabulu zaskoczyło, jak szybko w sierpniu 2021 r. talibowie zajęli ich miasto. Po krótkiej ofensywie wkroczyli do afgańskiej stolicy bez walk. Jedną z nielicznych dróg ucieczki było lotnisko. Na jego płytę wdarły się tysiące ludzi, którzy niezależnie od tego, czy mieli paszporty i wizy, chcieli odlecieć za wszelką cenę. Wstrzymano rejsy pasażerskie, a zagraniczne samoloty wojskowe zabierały tylko własnych obywateli i Afgańczyków zagrożonych zmianą władzy. Łącznie ewakuowano tak niemal 130 tys. osób – był to największy most powietrzny w historii. Jednak nie wszyscy dostali się do samolotów. Niektórzy chwytali się kół maszyn, a gdy wzbijały się w powietrze, ginęli.

Na zdjęciu: lotnisko w Kabulu, 16 sierpnia 2021 r.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Korespondencje naszego wysłannika do Afganistanu czytaj na: **powszech.net/afganistan**

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PAŃSTWOWY DATEK
W nowym roku kwota przeznaczona na Fundusz Kościelny osiągnie rekordową wielkość 192 mln zł. Przed dojściem do władzy Zjednoczonej Prawicy kwota ta oscylowała wokół 100 mln zł. W latach 2011-13 biskupi w ramach Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu negocjowali zamianę uzależniającej od władzy anachronicznej formuły funduszu na bardziej nowoczesny procentowy odpis od podatku deklarowany przez podatników. Od negocjacji jednak odstąpiono.

KOLĘDA INACZEJ
Z powodu kolejnej fali pandemicznej tradycyjna wizyta duszpasterska „od drzwi do drzwi" znów będzie rzadkością. Biskupi zalecają organizowanie spotkań kolędowych w kościołach albo przesunięcie kolędy na wiosnę. Księża będą mogli odwiedzać parafian tylko na wyraźne ich zaproszenie. Biskup elbląski dopowiada, że ksiądz powinien być zaszczepiony i posiadać paszport covidowy, a wobec jego braku wierni mogą odmówić spotkania.

DYWANY KWIATOWE
Tradycja układania dywanów kwiatowych na trasie procesji Bożego Ciała w Spycimierzu (ale także w innych polskich miejscowościach: w Kluczu, Olszowej, Zalesiu Śląskim i Zimnej Wódce) po wielu latach starań została wpisana na listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego ludzkości UNESCO.

YARA NARDI / REUTERS / FORUM

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

TADEUSZ IWAŃSKI
opowie Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM o prezydencie Ukrainy Wołodymyrze Zełenskim (tekst na s. 63). Słuchaj rozmowy w środę 29 grudnia o godz. 15.40
Zapraszamy do słuchania!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

KADR ROKU

Porządki Franciszka

Trzy pielgrzymki papieża (Irak, Węgry–Słowacja, Grecja–Cypr) były wyrazem determinacji, by wrócić do normalnego życia po rocznej przerwie (która zresztą okazała się owocna – dała Franciszkowi duchowe przywództwo nad przerażonym pandemią światem i natchnęła wizją zmian w nowej encyklice). Rok 2021 upłynął pod znakiem porządków – skutecznych (zaostrzenie kar w prawie kanonicznym, restrykcje dla miłośników „starego rytu") lub grzęznących w prawnych zawiłościach (proces kard. Angela Becciu czy konstytucja reformująca kurię, od dwóch lat „niemal gotowa"). Był to też pierwszy rok bez konsystorza: liczba elektorów spadła do 120, kolejnych 10 przejdzie na emeryturę w 2022 r. Nowe zatem birety kardynalskie na pewno już się szyją. Na zdjęciu: Mosul, 7 marca 2021 r. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

Świeccy w Kościele coraz ważniejsi

POLSCY BISKUPI w minionym roku doświadczyli nietypowej sytuacji. Podczas wizyty *ad limina* rozmawiali w kurii rzymskiej ze świeckimi, których Franciszek powołał na różne stanowiska. Reprezentując papieża, formalnie stoją oni w strukturach kościelnych wyżej niż biskupi. „Ich pouczenia i uwagi dotyczące czekających nas wyzwań były dla nas ubogacające" – komentował jeden z uczestników wizyty.

Franciszek kontynuował politykę obsadzania osobami świeckimi stanowisk kościelnych i dopuszczania ich do różnych funkcji – tam, gdzie to nie koliduje z prawem kanonicznym (sekretarzem i kierownikiem biura Papieskiej Komisji ds. Ameryki Łacińskiej mianował dwoje świeckich profesorów i ustanowił liturgiczny akt powoływania świeckich – w tym kobiet – do funkcji akolity i lektora), a gdzie koliduje, tam zmieniał prawo (zezwolił sędziom świeckim sądzić biskupów i kardynałów). Przede wszystkim jednak zainicjował synod, którego głównymi bohaterami są właśnie świeccy. Synod ma bowiem w ciągu dwóch lat wypracować nowe, przełamujące dotychczasowe klerykalne struktury funkcjonowanie Kościoła.

Są sygnały, że także w Polsce rola i znaczenie świeckich wzrastają. Bp Adrian Galbas z ramienia episkopatu rozmawiał z Kongresem Katoliczek i Katolików – grupą świeckich, którzy chcą brać większą odpowiedzialność za Kościół. Świecka osoba po raz pierwszy poprowadziła komisję (złożoną głównie ze świeckich), która badała przestępstwa popełniane w jednym z polskich zakonów. ©℗ ARTUR SPORNIAK

CZŁOWIEK ROKU: WIARA

O. Tarsycjusz Krasucki OFM

JAKUB HALCEWICZ / WIĘŹ

NIE PODNOSIŁ WZROKU. „Mam tu powiedzieć świadectwo. Powiem więc o tym, co przeżyłem. Ale od razu wyznam, że nie lubię być świadkiem. Przypomina mi się bowiem moja gehenna jako świadka w procesie kanonicznym" – mówił jesienią tego roku franciszkanin Tarsycjusz Krasucki.

Miał 17 lat, gdy trafił do szczecińskiego Ogniska św. Brata Alberta. Tam został wykorzystany seksualnie, podobnie jak wielu innych wychowanków, przez dyrektora ogniska, ks. Andrzeja Dymera. Opowiedział o doznanej krzywdzie wychowawcom, za co został wyrzucony ze schroniska.

Przez kolejne 26 lat był kilkadziesiąt razy przesłuchiwany, a potem nie informowano go o postępach w sprawie. Wielokrotnie podważano jego wiarygodność. Kościelni adwokaci oskarżyli go o zniesławienie. Obserwował, jak Dymer robi kościelną karierę.

– Jesteśmy nieumarli. Zamordowano nas duchowo, ale fizycznie nadal żyjemy – mówił w wywiadzie dla „TP".

Stał się symbolem walki skrzywdzonych przez księży z hierarchami i Kościołem instytucjonalnym. I ich głosem. „Gdy poznałem historię o. Tarsycjusza Krasuckiego, stwierdziłem, że w sprawie ks. Dymera można działać także pomimo braku nadziei. Bo po prostu tak trzeba" – pisał Zbigniew Nosowski, autor śledczego cyklu „Przeczekamy i prosimy o przeczekanie", ujawniającego kulisy sprawy ks. Dymera. ©℗ ANNA GOC

KULTURA W SKRÓCIE

W LITERATURZE
Miniony rok przyniósł nowe, cieszące się ogromną popularnością przekłady klasyków. Officyna wydała „Ulissesa" Jamesa Joyce'a w tłumaczeniu Macieja Świerkockiego, Wydawnictwo Literackie „Boską Komedię" Dantego Alighieri w przekładzie Jarosława Mikołajewskiego, natomiast nakładem Biblioteki Śląskiej ukazał się pierwszy w historii kompletny przekład „Opowieści kanterberyjskich" Geoffreya Chaucera w opracowaniu Jarka Zawadzkiego.

W KINIE
Po kilkuletniej przerwie nowy film pokazał w kinach francuski reżyser Leos Carax. Na ekrany trafił także ostatni James Bond z Danielem Craigiem, a tuż przed wigilią do Neapolu lat 80. przeniósł nas Paolo Sorrentino. Zmartwychwstał także stary dobry „Matrix" z Keanu Reevesem w roli głównej.

W SZTUCE
Po odwołaniu Alicji Knast dyrektorką Muzeum Śląskiego mianowano Marię Czarnecką, wcześniej pracownicę Narodowego Banku Polskiego. Stołeczną Zachętę opuściła Hanna Wróblewska, a Muzeum Sztuki w Łodzi – zasłużony dla rozwoju placówki Jarosław Suchan.

W MUZYCE
Międzynarodową karierę kontynuowali z sukcesami kontratenor Jakub Józef Orliński i kompozytorka Hania Rani. Na międzynarodową listę przebojów „Billboarda" trafił co prawda śpiewający o miłości Michał Mata Matczak, ale – jak w dorocznym podsumowaniu donosi Google – częściej niż kiedykolwiek wcześniej interesowaliśmy się Konkursem Chopinowskim.

EMILIO MORENATTI / AP / EAST NEWS

KADR ROKU

Kataklizm w raju

85 DNI płynącej kilometrami lawy, trzęsień ziemi i toksycznego pyłu osiadającego na dachach, samochodach i ulicach. Tak wyglądała jesień na La Palmie. Erupcja wulkanu Cumbre Vieja 19 września o godzinie 14.13 sparaliżowała życie kanaryjskiej wyspy. Spektakularny pokaz sił natury to fascynujący widok (rzekę rozpalonej lawy szeroką na ponad 3 km widać było doskonale nawet na zdjęciach satelitarnych), ale też ogromne zniszczenia. Ewakuowano ok. 7 tys. osób, strumień lawy zniszczył ponad 3 tys. budynków, a pył w powietrzu wstrzymał normalne życie oraz dwie trzecie lotów na żyjącą z turystyki La Palmę. Wulkan ucichł 13 grudnia, według naukowców – na dobre. Nawet bez dalszej aktywności wybuch Cumbre Vieja jest najdłuższą erupcją w historii wyspy i najdroższą katastrofą naturalną całej Hiszpanii – straty szacowane są na 842 mln euro. ©℗ KRZYSZTOF STORY

CZŁOWIEK ROKU: KULTURA

Łukasz Grzegorzek

VALDEMAR DOVEIKO / PAP

NAJTRUDNIEJ POKAZAĆ NA EKRANIE zwykłe życie. Wszak kino karmi się konfliktem, napięciem, dynamiką – pod tym względem był to rok dla polskiego filmu wyjątkowo ciekawy. A jednak w tym niełatwym dla nas wszystkich czasie szczególnej wartości nabierają tytuły, które nie są ani rozrachunkami z przeszłością, ani zapasami z teraźniejszością, ani efektownymi ucieczkami od nich. W których, choćby na chwilę, można się po prostu przejrzeć, w wymiarze ludzkim, rodzinnym, codziennym.

Takie właśnie jest kino Łukasza Grzegorzka i jego ostatni film o ironicznym tytule „Moje wspaniałe życie", nagrodzony za reżyserię na festiwalu w Gdyni. Ciśnie się tu słowo „mały", ale nie po to, by ów film bagatelizować czy sprowadzać go do przyziemia. Portretując czteropokoleniową familię z rodzinnej Nysy, szczególnie zaś niekonwencjonalną żonę, kochankę, córkę, matkę i babcię zagraną przez Agatę Buzek, reżyser ani na moment nie grzęźnie w banale. Serdecznie, choć trochę z ukosa, przygląda się mieszkańcom niedużego polskiego miasta, zamkniętym ze sobą w jednym domu, szamoczącym się w swoich rolach.

Niedoszły prawnik i były tenisista (patrz: rozmowa w dziale Kultura) unika oceniania ich, bo wie, że życie to nie jest sala sądowa czy wielkoszlemowy mecz. Zawsze jesteśmy coś komuś winni, coś nam nie wychodzi, a równocześnie gdzieś po drodze wiele przegapiamy. I bywamy przy tym strasznie śmieszni. Swoim filmem Grzegorzek sprawił, że przestaliśmy się w tym czuć osamotnieni. © ANITA PIOTROWSKA

Rozmowa z Łukaszem Grzegorzkiem na str. 108

Czas na Webba: zmiana warty w kosmosie

JEŚLI WSZYSTKO PÓJDZIE ZGODNIE z planem, astronomowie dostaną najlepszy gwiazdkowy prezent w historii. Spóźniony o jeden dzień i... czternaście lat. Kosmiczny Teleskop Jamesa Webba (na zdjęciu) będzie najbardziej precyzyjnym obserwatorium w historii. Trzykrotnie większym i stukrotnie czulszym od legendarnego Hubble'a.

Dla większości kosmicznych misji to start jest najbardziej stresującym momentem. Tu ryzyko utraty wartego 10 mld dol. pojazdu w eksplozji to tylko przygrywka (gdy Państwo czytają te słowa, wiadomo już, czy start się udał). Ale żeby się zmieścić w rakiecie, Webb jest złożony jak origami. Po starcie będzie musiał się rozwinąć niczym kosmiczny kwiat. Żeby tak się stało, ponad sto elementów musi zadziałać idealnie. Drugiej szansy nie będzie.

Nie będzie też szansy na naprawę. Gdy Hubble, tuż po wystrzeleniu, okazał się bublem (krawędź jego lustra była zbyt spłaszczona o 1/50 grubości ludzkiego włosa), NASA wysłała misję naprawczą na orbitę. Ale Webb nie leci na orbitę Ziemi. Jego cel to tzw. drugi punkt Lagrange'a, gdzie grawitacyjne wpływy Słońca, Ziemi i Księżyca znoszą się wzajemnie, tworząc kosmiczne „miejsce parkingowe". Teleskop będzie trzy razy dalej, niż kiedykolwiek doleciał człowiek.

To konieczność, bo w przeciwieństwie do Hubble'a, który obserwował wszechświat w świetle widzialnym, Webb widzi w podczerwieni. Dzięki temu przeniknie wzrokiem chmury kosmicznego pyłu, odczyta chemiczne ślady wody i związków organicznych w atmosferach egzoplanet i dostrzeże obiekty, które powstały zaledwie 100 mln lat po Wielkim Wybuchu. Aby uniknąć zakłóceń, musi jednak być schłodzony niemal do zera absolutnego. A to najłatwiej osiągnąć, wysyłając go głęboko w kosmos.

DESIREE STOVER / NASA

Droga do startu była długa i nerwowa: początkowo planowany na 2007 r., był wielokrotnie opóźniany. NASA była o krok od skasowania misji. Na ostatniej prostej start z Wigilii na Boże Narodzenie przesunęły problemy z pogodą w Gujanie Francuskiej. Gdy Webb już zacznie działać, będzie silnie eksploatowany, bo zapas paliwa wystarczy najwyżej na kilkanaście lat. Hubble, choć coraz bardziej schorowany, dobił już 31 lat na orbicie.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Wiadomości jak z bajki

DLA PRZECIWWAGI wszystkim niepokojącym doniesieniom drugiego roku pandemii włoski grafik Mauro Gatti, twórca instagramowego profilu z dobrymi wiadomościami @the_happy_broadcast, zilustrował 40 pozytywnych informacji roku 2021. Zestawienie, utrzymane w bajkowej stylistyce, opublikował serwis boredpanda.com. Oto jego przegląd (warto czytać na głos):

Pandy olbrzymie nie mają już statusu zagrożonych, a ich populacja się zwiększa. Szczepionka przeciw HIV po pierwszym etapie prób na ludziach wykazuje 97-procentową skuteczność. Zatwierdzono szczepionkę przeciw malarii. Odbudowuje się warstwa ozonowa. W precedensowym wyroku duński sąd nakazał koncernowi Shell zmniejszyć emisję dwutlenku węgla o 45 proc. Dowiedziono skuteczności wykrywania depresji i choroby dwubiegunowej na podstawie badań krwi. Nowozelandzkie Dunedin City zamknęło na miesiąc ruchliwą drogę dla ochrony nowo narodzonych lwów morskich. Meksyk zabronił testowania kosmetyków na zwierzętach. Portugalia zabroniła przełożonym dzwonić i pisać do pracowników po godzinach. Na Wielkiej Rafie Koralowej po latach blaknięcia nastąpił wyrzut gamet. Norwegia nakazała influencerom informować, gdy publikują upiększony portret. Bazylea jako pierwsze miasto na świecie nakazała zazielenianie dachów nowych budynków – powstał już tysiąc kilometrów kwadratowych obszarów zielonych. Niemieckie schronisko dla zwierząt za pomocą aplikacji randkowej Tinder kojarzy koty i psy z potencjalnymi opiekunami.

©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI

CZŁOWIEK ROKU: NAUKA

Homo longi

QIANG JI ET AL., „THE INNOVATIONS"

PIERWSZY WŁAŚCICIEL CZASZKI z Harbinu, opisanej w połowie 2021 r. w „The Innovation", żył w północno-wschodniej Azji ok. 146 tys. lat temu. W 1933 r. czaszkę odnalazł chiński robotnik i natychmiast ukrył w nieużywanej studni, nie chcąc, by wpadła w ręce okupujących miasto żołnierzy japońskich. Dopiero pod koniec życia opowiedział o swoim znalezisku rodzinie, która przekazała je naukowcom.

Paleoantropolodzy nie znaleźli nigdy większej czaszki. Ta z Harbinu jest o 2 cm dłuższa i szersza od czaszek *Homo sapiens* ze zbliżonego okresu. Posiada mieszankę cech nowoczesnych (spłaszczona twarz, niewielkie kości policzkowe) oraz archaicznych (podłużny, mniej zaokrąglony kształt, wydatny łuk brwiowy, potężne zęby trzonowe) – czym przypomina kilka innych, mniejszych skamieniałości pochodzących z Chin z tego samego okresu. A ponieważ zachowała się niemal w całości, na jej podstawie został opisany nowy kopalny gatunek człowieka – *Homo longi*.

Ta nazwa może się jednak na zbyt długo nie przyjąć. Paleoantropolodzy od przeszło 10 lat poszukują skamieniałości denisowian – tajemniczej populacji, znanej głównie z badań genetycznych, a nie szczątków. Wiemy, że denisowianie żyli w tym samym okresie w całej Azji, a nawet musieli być przynajmniej do *Homo longi* podobni. Jedna ze znalezionych na Wyżynie Tybetańskiej skamieniałości – tzw. żuchwa z Xiahe – na podstawie analiz molekularnych została zaklasyfikowana jako należąca do denisowian, podczas gdy anatomicznie wykazuje duże pokrewieństwo z czaszką z Harbinu.

Ale o tym, czy mamy do czynienia z jednym i tym samym gatunkiem, przekonamy się dopiero, gdy uda się przeprowadzić badania genetyczne.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

TEMAT TYGODNIKA

CZAS PRZYJAŹNI

Czujemy się lepiej i jesteśmy zdrowsi, gdy mamy pewność, że stanowimy część czegoś większego i jesteśmy ważni dla innych.

MONIKA OCHĘDOWSKA

VICTORIA JONES / PA / GETTY IMAGES

Powitalny taniec haka w wykonaniu członków nowozelandzkich sił zbrojnych. Auckland, listopad 2019 r.

Być może najbardziej zaskakującym ustaleniem badań medycznych ostatnich 20 lat jest to, że im więcej mamy przyjaciół, tym mniej prawdopodobne, że zachorujemy" – zauważa w najnowszej książce brytyjski antropolog i psycholog ewolucyjny Robin Dunbar. Zestawił w niej pokaźną liczbę studiów opracowanych nie tylko przez własny zespół, ale też koleżanki i kolegów po fachu. Znalazły się tam m.in. prace psycholożki i neuronaukowczyni Julianne Holt-Lunstad, członkini gabinetu pierwszej minister ds. samotności Tracey Crouch, którą na ten urząd powołała brytyjska premier Theresa May w 2018 r. (dziś tę funkcję sprawuje Diana Barran z Partii Konserwatywnej).

Holt-Lunstad zebrała i opracowała dane z 70 różnych badań obejmujących prawie 3,5 mln pacjentów, których obserwowano przez siedem lat. Wynika z nich, że osoby, które posiadają grono sprawdzonych przyjaciół oraz mieszkają z kimś bliskim (niekoniecznie współmałżonkiem), a także angażują się w sprawy lokalnej społeczności, żyją zdecydowanie dłużej od samotników (przy czym w analizach uwzględniono sytuacje, w których badani nie mogli opuszczać swoich domów z powodów od siebie niezależnych, jak choroba czy niepełnosprawność).

Kolejny przegląd studiów epidemiologicznych przeanalizowany przez Holt-Lunstad okazał się jeszcze bardziej klarowny. Dowodzi, że codzienne wsparcie bliskich nam osób oraz dobre relacje z sąsiadami podnoszą szanse na wyjście obronną ręką z ciężkich kryzysów zdrowotnych – szczególnie po zawale serca lub udarze mózgu – nawet o 50 proc. Porównywalny skutek dla 300 tys. przebadanych pod tym kątem pacjentów miało jedynie rzucenie palenia.

A zatem – czujemy się lepiej, gdy mamy pewność, że stanowimy część czegoś większego i jesteśmy ważni dla innych. Jak w grze zespołowej.

Szał endorfin

Nowozelandzka reprezentacja rugby wygraną z Włochami przypieczętowała kilka tygodni temu swój status najbardziej utytułowanego zespołu świata. All Blacks, jak się ich powszechnie nazywa, nie tylko zamknęli rok z najwyższym w historii rozgrywek bilansem punktów, poprawili także ustanowiony prawie dwadzieścia lat temu przez Argentyńczyków rekord przyłożeń.

Skuteczność w grze to jednak nie jedyny powód, dla którego trzykrotni zwycięzcy Rugby World Cup zwracają na siebie uwagę. Każdy międzynarodowy mecz poprzedza ich charakterystyczny taniec. Zawodnicy szeroko rozstawiają i uginają nogi, energiczne uderzając stopami o murawę, a potem krzyżują ramiona, krzyczą, wybałuszają oczy i wyciągają języki, jakby chcieli spłoszyć stojących naprzeciw członków przeciwnej drużyny.

– To *haka* „Ka Mate", tradycyjny maoryski taniec wojenny, ale też technika ↦

↦ oddechowa i rodzaj treningu mentalnego – mówi Jakub Szymczyna, absolwent Akademii Praktyk Teatralnych „Gardzienice", aktor i praktyk haki. – Wbrew pozorom gracze nie zwracają się tylko do swoich rywali. Raczej prezentują gotowość do bycia drużyną i wspólnego stawienia czoła czekającym przeciwnościom. Są trochę jak tarczownicy – jeśli któryś z szeregu podda się albo osłabnie, odsłoni i narazi współtowarzysza.

Tradycyjnie hakę wykonuje się z bliskimi w obliczu ważnych wydarzeń albo u progu wejścia w nowy etap życia. Szymczyna zupełnie serio jest przekonany, że gdybyśmy kontaktowali się za jej pomocą, uniknęlibyśmy wielu codziennych nieporozumień. Nie ma w tym przesady – wedle Robina Dunbara każdy element tej maoryskiej tradycji sprzyja aktywacji układu endorfinowego rugbystów. Endorfiny, czyli endogenne morfiny, to grupa hormonów regulujących odporność, która wpływa na dobre samopoczucie i zadowolenie z siebie. Pod ich wpływem zespół rozpoczyna grę z podwyższonym progiem bólu, dzięki czemu jest w stanie skutecznie sprostać czekającemu go wysiłkowi.

Co więcej, badania Dunbara wykazały, że im bardziej energiczne i zsynchronizowane są ruchy tancerzy, tym silniejszą więź odczuwają oni z grupą. I choć naukowcy nie bardzo rozumieją jeszcze tę zależność, dla zawodowego aktora sprawa jest jasna: z harmonii rodzi się synergia, która daje nam znacznie więcej niż możliwość gry o mistrzostwa świata w rugby.

Kubek kakao i efekt Roseto

Dla specjalistów zajmujących się zdrowiem publicznym wyniki badań Julianne Holt-Lunstad nie są zapewne tak dużym zaskoczeniem, jak chciałby Dunbar – czynniki ryzyka zależne od naszego stylu życia, jak dieta czy aktywność fizyczna, w najnowszych badaniach epidemiologicznych tracą na znaczeniu na rzecz czynników społecznych, jak środowisko pracy, warunki mieszkaniowe itp. A z pewnością – nie jest to wniosek płynący wyłącznie z ostatnich dwóch dekad badań. XVIII-wieczny szkocki lekarz William Cullen (twórca terminu „nerwica") prawdopodobnie jako jeden z pierwszych zalecał żyjącym w odosobnieniu i skarżącym się na różne dolegliwości pacjentom nie tylko picie kakao i jazdę konną, ale też zatroszczenie się o życzliwe towarzystwo.

> Największym kryzysem zdrowotnym ostatnich lat nie jest otyłość, depresja ani nawet nadużywanie opioidów, ale leżące u ich podłoża społeczna izolacja i samotność.

Jego intuicję zweryfikował we wczesnych latach 60. XX wieku zespół badający mieszkańców Roseto w Pensylwanii. Uwagę epidemiologów przykuł fakt, że zamieszkujący małe górnicze miasteczko mężczyźni – głównie potomkowie włoskich imigrantów – żyli zdecydowanie dłużej niż ich sąsiedzi z okolicznych miejscowości, choć palili takie same papierosy bez filtra, a jedzone na kolację tłuste klopsiki i smażone kiełbaski popijali litrami wina. Mimo to w drugiej połowie lat 50. praktycznie żaden z nich nie doznał zawału serca. Niewiele pracy mieli nie tylko kardiochirurdzy, ale także szeryf Roseto (niska przestępczość) i tamtejsza pomoc społeczna (równie znikoma liczba wniosków o zasiłki).

Dziś w medycynie mówi się o „efekcie Roseto" i termin ten obejmuje wnioski otwierające książkę Dunbara. Otóż zespół badający mieszkańców Pensylwanii doszedł do wniosku, że cieszyli się oni tak dobrym zdrowiem, ponieważ rzadko mieli okazję na dłuższe odosobnienie. Domy w Roseto stały bardzo blisko siebie, starsi ludzie mieszkali ze swoimi dziećmi i wnukami, często spędzano czas wspólnie z sąsiadami.

Gdy po kilkudziesięciu latach powtórzono eksperyment, okazało się, że wyjątkowa struktura społeczna, stanowiąca dotąd parasol ochronny dla zdrowia mieszkańców, uległa erozji – dzieci i wnuki górników dorosły i wyjechały w poszukiwaniu lepszej pracy, a odsetek zapadalności na choroby serca już niczym nie różnił się od tego notowanego w innych stanach (łucznikom zabrakło nagle osłaniających ich tarczowników).

W publikacjach Noreeny Hertz, ekonomistki z londyńskiego University College, zajmującej się w ostatnich latach tzw. ekonomią samotności, znajdziemy odwołania do kilkudziesięciu badań, które wyjaśniają fizjologię „efektu Roseto". Otóż przedłużająca się samotność jest dla naszego ciała wyczerpująca w podobnym stopniu jak długotrwały stres. Izolacja społeczna to dla organizmu sygnał o stanie zagrożenia, który wpływa m.in. na podwyższenie ciśnienia, wzrost poziomu cholesterolu i kortyzolu (ma to swoje uzasadnienie ewolucyjne: utrata bliskich była dla naszych praprzodków śmiertelnym niebezpieczeństwem). Jeśli taki „stan zapalny" trwa dość długo, znacząco osłabia układ odpornościowy i sprawia, że stajemy się bardziej podatni na infekcje.

Ale jest jeszcze coś. Para socjologów z Uniwersytetu Harvarda – Nicholas Christakis i James Fowler – przestudiowała wyniki pacjentów innego badania epidemiologii chorób układu krążenia, tzw. Framingham Heart Study (tak starego, że pierwszy budżet uwzględniał popielniczki dla członków zespołu – pacjenta nr 1 zwerbowano w 1948 r.). Christakis i Fowler przyjrzeli się wynikom grupy mniej więcej 12 tys. mieszkańców miasteczka w Massachusetts, których badano regularnie od początku lat 70. aż do roku 2003. Ponieważ prawie wszyscy się znali, socjologowie mogli prześledzić zmiany, jakie zachodziły w ich zachowaniu i nawykach w powiązaniu ze stanem zdrowia oraz nawykami ich przyjaciół, przyjaciół ich przyjaciół itd. Christakis i Fowler doszli do wniosku, że nastrój mieszkańców Framingham, ich problemy z otyłością czy skłonność do palenia papierosów były ściśle skorelowane z tym, co działo się u ich najbliższych.

Słowem: jeśli nasi przyjaciele są szczęśliwi, jest wielce prawdopodobne, że my również będziemy szczęśliwi. Christakis i Fowler zaobserwowali nawet powolną propagację szczęśliwości w całej populacji. Co ciekawe, pomyślność współmałżonka, brata lub siostry okazała się znacznie mniej istotna dla zadowolenia mieszkańców Framingham niż ta obserwowana u sąsiadów (różnica wynosiła nawet kilkanaście procent).

Wnioski harvardzkich socjologów zdaje się potwierdzać dr Vivek H. Murthy. Naczelny lekarz USA uważa, że najwięk-

szym kryzysem zdrowotnym ostatnich lat nie jest wcale otyłość, depresja ani nawet przewlekły ból, którego wynikiem jest trwający od lat w Stanach kryzys opioidowy (według CDC tylko od kwietnia 2020 r. do kwietnia 2021 r. zmarło z powodu przedawkowania opioidów 100 tys. Amerykanów), ale leżąca u ich podłoża pogłębiająca się społeczna izolacja i samotność.

Zdejmując ciężar wyłącznej odpowiedzialności za zdrowie z barków pojedynczych obywateli, Murthy w wydanej niecały rok temu książce „Together: The Healing Power of Human Connection in a Sometimes Lonely World" („Razem: uzdrawiająca moc relacji w świecie skazującym na samotność") argumentuje wprost, że najwyższym priorytetem rządów i polityków powinna być troska o poprawę międzyludzkich więzi, szczególnie w obliczu trwającej już prawie dwa lata pandemii. Jeśli zatem ponad wszelką wątpliwość udowodniono, że relacje, w tym przyjaźnie, są fundamentalne dla naszego zdrowia, dlaczego dotąd nie powstała żadna narodowa strategia ukierunkowana na to, by je wspierać?

Władcy much, Zimbardo i inni

Tamtego czerwcowego popołudnia kilku nastoletnich chłopców z wysp Tonga na południowym Pacyfiku koszmarnie nudziło się w szkole. Postanowili zerwać się z lekcji „pożyczając" łódkę od jednego z miejscowych rybaków. Spakowali dwa worki bananów, kilka kokosów i małą kuchenkę gazową. Kilka godzin później z drzemki wybudziła ich wlewająca się przez burtę woda, wiatr rozerwał żagiel na strzępy, niewiele zostało także ze steru. Chłopcy dryfowali na falach oceanu osiem dni, jedząc owoce i łapiąc deszczówkę w łupiny orzechów kokosowych. Aż wreszcie na horyzoncie dostrzegli ląd – wyspę 'Ata.

Gdy kilkanaście miesięcy później nastolatków odnalazł przepływający nieopodal kapitan Peter Warner, bezludna dotąd wyspa wyposażona była w siłownię, boisko do badmintona i zagrodę dla kur. Chłopcy pracowali w dwuosobowych zespołach i zgodnie z grafikiem dbali o ogród oraz kuchnię, pełnili dyżury, pilnując ognia i obserwując morze, skąd nadejść mogła pomoc. Oczywiście kłócili się, ale kiedy dochodziło do nieporozumień, „robili sobie przerwę", odpoczywając od własnego towarzystwa po

> Jeśli udowodniono, że relacje, w tym przyjaźnie, są fundamentalne dla naszego zdrowia, dlaczego dotąd nie powstały narodowe strategie ukierunkowane na to, by je wspierać?

przeciwnych stronach wyspy. Wprawdzie po powrocie do domu rybak oskarżył ich o kradzież łodzi i polecił zamknąć w areszcie, znajdowali się jednak w dobrym stanie psychicznym i fizycznym, a nawet – jak ustalił holenderski historyk i dziennikarz Rutger Bregman – przyjaźnią się do dziś.

Opisana przez Bregmana historia nastoletnich rozbitków wydarzyła się latem 1965 r. Równolegle do badań medycznych zapoczątkowanych w Roseto i Framingham (o których niewielu usłyszało) młodzi psychologowie społeczni, Philip Zimbardo i Stanley Milgram ogłosili wyniki eksperymentów, które zapewniły im międzynarodowy rozgłos. To m.in. one na wiele lat utwierdziły nas w przekonaniu, że ludzie są z reguły samolubni, agresywni i szybko wpadają w panikę, a nasza umowa społeczna jest tak wiotka, że rozwieje się przy najlżejszym kryzysie – będziemy się zabijać, tak już mamy.

W 2018 r. ukazała się krytyczna analiza eksperymentu profesora Zimbardo pióra Thibaulta Le Texiera. Francuski socjolog jako pierwszy uzyskał zgodę na wgląd w archiwa twórców badania i znalazł w nich szereg nieprawidłowości podważających jego wiarygodność. W książce „Histoire d'un mensonge. Enquête sur l'expérience de Stanford" („Historia kłamstwa. Dochodzenie w sprawie eksperymentu stanfordzkiego") Le Texier udowadnia, że wiele zdarzeń, w tym także sceny załamania nerwowego uczestników badania profesora Zimbardo, zainscenizowano na użytek powtarzanych potem w telewizji nagrań.

Jak ujawniły stenogramy rozmów i bezpośrednie rozmowy z uczestnikami eksperymentu – ówczesnymi studentami, których ubrano w mundury strażników i więźniów, a następnie umieszczono w piwnicach Uniwersytetu Stanforda – na młodych ludzi wywierano wpływ, by stosowali wobec siebie przemoc. Obawiali się oni, że jeśli nie wejdą w przekonujący sposób w swoje role, nie dostaną obiecanego wynagrodzenia.

Rok po publikacji książki Le Texiera na łamach oficjalnego czasopisma Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego „American Psychologist" ukazały się wyniki badań duńskiej psycholog Marie Lindegaard. Nie reżyserowała ona zawiłych eksperymentów dla studentów renomowanych uczelni, przeanalizowała natomiast rzeczywiste nagrania z kamer przemysłowych, które zarejestrowały ponad tysiąc bójek, gwałtów i prób samobójczych na ulicach Kopenhagi, Kapsztadu, Londynu i Amsterdamu. W 90 procentach przypadków ktoś nieznajomy przybiegł poszkodowanej lub poszkodowanemu na pomoc. Było jak na bezludnej wyspie 'Ata – w obliczu rzeczywistego zagrożenia życia ludzie bezinteresownie się wspierali.

Polityczny Tinder i dzieci kompostu

Hollywoodzkie horrory i wysokobudżetowe filmy katastroficzne mają zwykle dość podobną fabułę. Grupkę głównych bohaterów dobiera się tak, by byli jak najbardziej zróżnicowani, a następnie powoli się ich eliminuje, zapewniając widzom rozrywkę polegającą na obstawianiu, kto wygra walkę o przetrwanie. W pewnym sensie pielęgnowanie podobnej wizji świata odpowiada korporacjom oraz politykom walczącym na co dzień o utrzymanie władzy, ponieważ im bardziej samotne są społeczeństwa, tym bardziej konsumpcyjni (wiemy to choćby z ujawnionych ostatnio „Facebook Files") i spolaryzowani są ich członkowie (o skuteczności tzw. zarządzania strachem napisano już wystarczająco wiele). Jeśli ponadto – jak w przypadku kryzysu klimatycznego – nasze codzienne wybory podlegają nieustannej ocenie i krytyce, nabieramy dystansu i wstrzymujemy się od zaangażowania.

Pięć lat temu w Niemczech 40 tys. ludzi wzięło udział w zorganizowanym przez tygodnik „Die Zeit" programie „Deutschland spricht" („Niemcy rozmawiają"), próbującym odwrócić ten porządek. Uczestnicy zostali połączeni w pary przez algorytm, który dobrał ich nie pod kątem ↦

↦ podobieństw, lecz różnic. W kościołach, kawiarniach i pubach spotykali się i rozmawiali ludzie, którzy prawdopodobnie nigdy nie zrobiliby tego z własnej woli. Przeciwnik migracji dyskutował z aktywistką społeczną, zwolennik Unii Europejskiej z eurosceptyczką domagającą się wyjścia ze strefy euro, adwokaci elektrowni jądrowych z ich krytykami itd. Wnioski z projektu były jednoznaczne: spotkania twarzą w twarz niwelowały uprzedzenia oraz złość względem siebie. Pielęgnowanie więzi nie pozwala zasklepić się w „naszyzmie".

Naturalnie, mówienie o przyjaźni w kontekście ponadindywidualnym, politycznym, może wydawać się naiwne, a nawet niebezpieczne, szczególnie gdy mamy jeszcze w pamięci nawoływania do „przyjaźni między bratnimi narodami". Ale inna polityka, oparta na opisanych wyżej praktykach, choć trudna i ryzykowna – w obliczu zmian demograficznych, procesów związanych z ocieplaniem klimatu oraz kryzysów ekonomicznych – będzie po prostu konieczna.

Krytyczny dystans („myśl samodzielnie"), który z powodzeniem charakteryzował naszą rzeczywistość, właśnie się wyczerpał. Zamiast niego amerykańska biolożka i filozofka Donna Haraway – krytyczka antropocenu jako konceptu skazującego nasz gatunek na samotność – zaproponowała odsyłające do dawnych społeczności Roseto i Framingham hasło „spokrewniaj się". W gruncie rzeczy jesteśmy przecież zjednoczonymi kolektywami mikroorganizmów, spadkobiercami bakterii, które kiedyś zdecydowały się żyć wspólnie i dzięki temu przetrwały – mówi Haraway. Dziećmi nie gwiazd, ale kompostu.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Korzystałam z książek Rutgera Bregmana „Homo Sapiens. Ludzie są lepsi, niż myślisz" (2020), Robina Dunbara „Przyjaciele. O prawdziwej mocy naszych najważniejszych relacji" (2021), Michała Herera „Pochwała przyjaźni" (2017), Noreeny Hertz „The Lonely Century. Coming Together in a World that's Pulling Apart" (2020) i Andrzeja Marca „Antropocień. Filozofia i estetyka po końcu świata" (2021).

Siedem filarów

ROBIN DUNBAR, PSYCHOLOG I ANTROPOLOG:

Jest pewna fundamentalna miara siły więzi emocjonalnej – to ilość czasu spędzanego wspólnie, np. na jedzeniu i piciu, śmianiu się, rozmawianiu.

ŁUKASZ LAMŻA: A więc zajmujesz się zawodowo nauką o przyjaźni. Czujesz się ekspertem w tej dziedzinie?

ROBIN DUNBAR: Wszyscy jesteśmy w tej dziedzinie ekspertami. To bardzo trudny temat do badań, bo myślę, że na poziomie intuicyjnym naprawdę świetnie te problemy rozumiemy. Richard Dawkins powiedział kiedyś, że robisz dobrą i interesującą naukę wtedy, jeżeli ludzie reagują na nią mówiąc: „Jasne, zawsze to wiedziałem!". Tak jest trochę z moją nauką o przyjaźni – wiele z tego, co wychodzi z naszych badań, to wiedza powszechna. Na przykład wszyscy wiemy, że mamy wąskie grono najbliższych przyjaciół, potem kumpli, potem znajomych...

Ale nie każdy z nas myśli o ściśle określonych kręgach o określonej liczebności.

No rzeczywiście – ale tak wychodzi z badań.

Jakich badań?

Rozmaitych. Analizujemy np. dane telefoniczne – częstość wykonywania połączeń do poszczególnych osób, czas trwania rozmów – ale też częstotliwość wysyłania pocztówek i listów, esemesów, maili, komunikatów w mediach społecznościowych...

Dane zdobyte jawnie?

Tak (*śmiech*). Nie musimy pukać do Cambridge Analytica i prosić ich o wykradzione prywatne dane milionów ludzi. Opieramy się na danych dostępnych publicznie albo udostępnionych dobrowolnie dla celów badań.

Co jeszcze?

Zbieramy dane fizjologiczne, jak poziomy hormonów, robimy badania neurologiczne. Z drugiej strony są też ankiety – np. prosimy respondentów, aby wypisali wszystkich ludzi pojawiających się w ich życiu, a następnie podali dodatkowe dane na ich temat: typ relacji, częstość spotykania się, rozmów, ilość wspólnie spędzanego czasu, albo żeby przypisali każdej osobie liczbę oznaczającą emocjonalną bliskość. Korzystamy też z cudzych wyników publikowanych w literaturze na przestrzeni dziesiątków lat, również etnograficznych, dotyczących np. społeczności zbieracko-łowieckich. I z tych wszystkich badań wynika jednoznacznie, że nasz świat społeczny zorganizowany jest w kręgi wyraźnie od siebie oddzielone.

Poziomy bliskości?

Tak. Najbardziej wewnętrzny krąg liczy ok. 5 osób, potem następne 15, 50, 150, 500 i, wciąż jeszcze niepotwierdzony, krąg o liczebności 1500. Ludzie z bardziej wewnętrznego kręgu są uważani za wyraźnie bliższych, spędzamy z nimi więcej czasu, więcej inwestujemy w znajomość z nimi.

Czyli nie jest to ciągły rozkład ludzi, którzy stopniowo są dla nas coraz mniej istotni?

Matematycy wykonali dla nas ostatnio dużą analizę statystyczną wskazującą, że to nie jest efekt fikcyjny, przypadkowa regularność w danych. Na całym świecie powtarza się też zależność, że każdy kolejny krąg liczy mniej więcej trzykrotnie więcej osób. Co istotne, krąg zewnętrzny zawiera w sobie wewnętrzne, czyli w „kręgu 15" znajduje się 5 osób tworzących „pierwszy krąg" plus 10 następnych osób, a więc łącznie 15 – a nie jest to 15 dalszych osób, czyli łącznie 20.

Przejdźmy może przez te kolejne kręgi. W Twoim artykule z 2018 r.

w „Trends in Cognitive Science" w środku jest jeszcze „krąg 1,5". Półtora?! Jak może być półtorej osoby? Przyznaj się, dodałeś to po to, żeby ładnie wyglądało...

(Śmiech) Trochę tak było. Zaczęło się od żartu na jednym z naszych seminariów, ale potem stwierdziliśmy, że coś w tym może być. Zwróć uwagę, że większość ludzi ma jednego wybranego partnera życiowego, z którym wiąże go szczególnego rodzaju połączenie.

Mąż, żona...

Tak, małżeństwo to popularny typ takiego połączenia. To jest ta jedna osoba.

Krąg o liczebności jeden. Czemu więc półtora?

Zaobserwowaliśmy ciekawą różnicę płciową. Kiedy prosimy kobiety o wpisanie następnej najbliższej osoby, to często pojawia się tam ktoś, kogo nazywamy BFF – *Best Friend Forever* (Najlepszy Przyjaciel na Zawsze).

Jak często?

85-90 proc. kobiet wskazuje jedną taką osobę i w 85 proc. przypadków jest to inna kobieta. Najlepsza psiapsióła na wieki. Tylko w 15 proc. przypadków BFF kobiety to mężczyzna, co prowadzi zresztą do bardzo ciekawej dynamiki. U mężczyzn natomiast BFF to rzadkie zjawisko, zwykle bardzo podobny *rating* otrzymuje grupka ok. 4-5 mężczyzn. To „ekipa od kielicha". Co świetnie widać na zdjęciach profilowych, np. na Facebooku. Zrobiliśmy gigantyczne badanie zdjęć profilowych. Najpierw wybraliśmy tylko te, na których znajdują się jacyś ludzie inni niż właściciel konta, a potem pytaliśmy właścicieli, kto to jest. Dla kobiet typowe są zdjęcia z jedną osobą, jedną kobietą. Dla mężczyzn typowy widok to grupka mężczyzn razem na jakiejś górze, niemal zawsze licząca 4-5 osób. I zdjęcia rękawic baseballowych. Nie zgadłbyś, jak często ludzie wrzucają na zdjęcie profilowe fotografię swojej rękawicy baseballowej.

Ameryka.

No więc stąd to 1,5. Bo kobiety mają swój najbardziej wewnętrzny, intymny krąg, o liczebności 2 – mąż i najlepsza przyjaciółka wypadają bardzo podobnie w rankingu bliskości emocjonalnej, częstości rozmów itd. A mężczyźni mają ten krąg jednoosobowy.

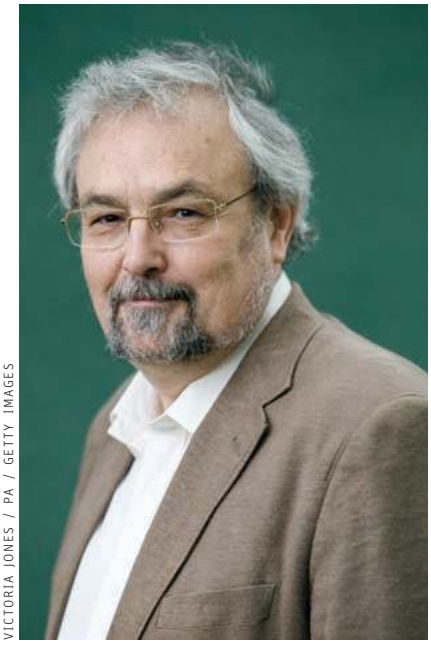

VICTORIA JONES / PA / GETTY IMAGES

ROBIN DUNBAR (ur. 1947) jest brytyjskim antropologiem i psychologiem ewolucyjnym oraz specjalistą od zachowań naczelnych. Szef Grupy Badawczej Neuronauki Społecznej i Ewolucyjnej w Wydziale Psychologii Eksperymentalnej na Uniwersytecie Oksfordzkim. Autor wielu książek, których polskie tłumaczenia ukazały się nakładem Copernicus Center Press.

Idźmy może dalej. Czy „piątka od kielicha" to ten następny krąg?

Nie, to nie jest takie proste. Nie zapominaj o rodzinie! W pierwszej piątce najczęściej mieści się tylko najbliższa rodzina lub, jeżeli rodzina „wypadła" z piątki, mała grupka najbliższych przyjaciół. Tę piątkę nazywamy *shoulders to cry on* – to osoby, na których ramieniu możemy się wypłakać, które wspierają nas emocjonalnie, społecznie i finansowo.

Kumple od wypadów w góry do niej nie należą?

Mogą, ale nie jest to częste. Co ciekawe, nasze badania pokazują, że miejsce w tej grupce bardzo łatwo stracić. Kiedy, powiedzmy, Jasiu wyjedzie na drugi koniec kraju, to szybko wypada z grupy. Pojawia się wakat i jego miejsce może zająć inny facet.

To zawsze jest facet?

Prawie zawsze. Im bardziej zewnętrzny poziom, tym silniejsza jest w nim selekcja płciowa. Krąg „jednoosobowy" to zwykle osoba płci przeciwnej, oczywiście z wyjątkiem związków homoseksualnych. Krąg „5" to osoby różnej płci: rodzice, brat, siostra. Ale już od następnego kręgu mężczyźni mają głównie znajomych mężczyzn, a kobiety – kobiety. Ok. 70-75 proc. sieci społecznej danej osoby to inne osoby tej samej płci i ta liczba jest absolutnie niezmienna, od 5. do 85. roku życia.

Wróćmy jeszcze do wewnętrznych kręgów. Pierwsza piątka to „osoby do wypłakania się". A pierwsza piętnastka?

Nazywamy ją „grupą współczucia". To ludzie, którzy, gdybyś jutro umarł, byliby bardzo, bardzo, bardzo smutni.

„Bardzo, bardzo, bardzo smutni"? To się jakoś mierzy?

A żebyś wiedział. Robiono mnóstwo badań nad tym, po śmierci ilu osób dany człowiek zapłakałby. W latach 70. w Stanach Zjednoczonych było pierwsze takie duże badanie i wyszła im średnia wynosząca 12. Potem robiliśmy to badanie w różnych krajach Europy i z wielką powtarzalnością otrzymujemy wyniki z zakresu 10-15. Najczęściej 11, 12.

Ale to przecież tylko odpowiedzi w ankiecie.

Jasne, traktujemy takie dane z odpowiednim dystansem. Ale ciekawy jest sam fakt, że z taką powtarzalnością ludzie z całego świata wymieniają 11, 12 osób, po których śmierci, jak twierdzą, płakaliby.

Jak trafić do tego ekskluzywnego klubu?

Jest jedna fundamentalna miara siły więzi emocjonalnej – ilość wspólnie spędzanego czasu, zwłaszcza tzw. czasu społecznego, czyli czasu na aktywności budujące więzi, jak wspólne jedzenie i picie, śmianie się, rozmawianie. Zwłaszcza jedzenie i picie.

Oglądałeś brytyjski serial „The Office"?

Jasne.

Kojarzysz ten cytat? „Ludzie, z którymi pracujemy, to szczególna grupka. Spędzamy z nimi osiem godzin dziennie, więcej niż ↦

↦ **z naszymi rodzinami, a łączy nas tylko to, że pracujemy dla jednej firmy".**

Tak, mogłoby się wydawać, że zadziała siła częstego kontaktu, ale to jest bardziej skomplikowane. Po pierwsze, nie zapominaj o weekendach, świętach, wakacjach – ta miara się szybko przesunie. Po drugie, wiele kontaktów w pracy nie ma charakteru społecznego w naszym rozumieniu. Kiedy podchodzę do kogoś i proszę, żeby mi wydrukował umowę, to jeszcze nie jest czas społeczny, bo ten człowiek występuje tylko w pewnej profesjonalnej roli. Dopiero kiedy przy okazji zacznę narzekać na moje rozwydrzone bachory albo na pogodę, robi się z tego czas społeczny. Więc o pracy myślimy raczej jako o okazji do zawarcia bliższej relacji.

No to jak się komuś „włamać" do wewnętrznego kręgu? Mówiliśmy na razie o tych najbardziej wewnętrznych.

1500 to jeszcze hipoteza. Ale dość dobrze udokumentowaliśmy, że jest ok. 500 tzw. *acquaintances* (znajomych) – osób, które znamy, ale na które nie liczymy, gdy potrzebujemy wsparcia.

A 150 to słynna „liczba Dunbara".

Ja lubię o niej myśleć jako o „aktywnej sieci" – to ludzie, z którymi znajomość aktywnie podtrzymujemy. Absolutnym minimum jest jeden niewymuszony kontakt rocznie. Badania pokazują, że jest tu duża wariancja między ludźmi, z grubsza w zakresie 100-250, ale górka rozkładu jest zawsze w okolicach 150, od mieszkańców wielkich miast po społeczności zbieracko-łowieckie.

Kto tam trafia?

Przede wszystkim rodzina. Jest jednak coś specjalnego w rodzinie i do twojej sieci aktywnej niejako z automatu trafia nawet nielubiana kuzynka. Ale zauważ, że ludzie w potrzebie zwracają się właśnie do rodziny, nawet dalszej. Jest to więc inwestycja.

Tak na to patrzysz? Jak na inwestycję?

Tak.

Wiesz, jestem takim typem człowieka, który uwielbia gadać, z sąsiadami z klatki schodowej, z panią w sklepie. Nie umiem kupić bułki i nie zagadać. I po lekturze Twoich tekstów zacząłem się zastanawiać, czy to wyrachowanie z mojej strony? Inwestuję mój czas i energię, licząc na zwrot tej inwestycji w postaci pomocy?

To działa trochę inaczej. Zauważ, że wszystkie te czynności, które ludzi najsilniej wiążą, wywołują wyrzut endorfin do mózgu. Jedzenie, picie, śmianie się, tańczenie... to jest dla nas bardzo przyjemne. Lubimy to robić.

> Gdybym chciał przewidzieć statystycznie, jak silna jest więź emocjonalna między dwiema osobami, zacząłbym od sprawdzenia, czy mają podobny gust muzyczny.

A rozmowa?

Rozmowa pełni szalenie ważną funkcję. Zdecydowaną większość czasu społecznego spędzamy na rozmowach. I to one decydują ostatecznie o tym, kogo wpuścimy do wewnętrznych kręgów.

Tutaj pojawia się siedem filarów przyjaźni?

Tak.

Odczytam je: „język, miejsce pochodzenia, historia edukacyjna, hobby i zainteresowania, muzyka, poczucie humoru, światopogląd". Jak powstała ta lista?

Pytaliśmy ludzi – znów była to gigantyczna próba z całego świata – o to, co mają wspólnego z najbliższymi przyjaciółmi. Pojawiło się tam mnóstwo elementów, a my je potem uprościliśmy matematycznie do siedmiu względnie od siebie niezależnych czynników.

Trzech pierwszych nie można za bardzo zmienić.

Tak, mówimy tu o rzeczach, które się wykształcają w pierwszych latach życia: język ojczysty, miasteczko, w którym spędziłem dzieciństwo, szkoła, do której chodziłem. To niebywale łączy ludzi. W istocie to jest wspólnota doświadczeń. Jeżeli spotkam nawet na końcu świata kolegę ze szkolnych lat, to nieprędko braknie nam tematów do rozmowy. Pamiętasz ten sklep na rogu? A tego złośliwego nauczyciela? Szalenie łączy też wspólnota języka, a najlepiej dialektu. My, Anglicy, potrafimy bez problemu usłyszeć, że ktoś mówi „naszą odmianą angielskiego", z dokładnością do 50 kilometrów.

A pozostałe cztery filary?

Wszystkie są równie silne, choć z siedmiu nieznaczną przewagę ma gust muzyczny. Innymi słowy, gdybym chciał przewidzieć statystycznie, jak silna jest więź emocjonalna między dwiema osobami, najpewniejszą metodą byłoby sprawdzenie, czy mają podobny gust muzyczny.

A jak charakter przyjaźni zmienia się z wiekiem? Mam dwójkę dzieci w wieku wczesnoszkolnym i regularnie zadaję im pytanie, kto jest ich najlepszym przyjacielem lub przyjaciółką – te imiona zmieniają się co tydzień! Jedna drama na placu zabaw i po przyjaźni.

To dobrze znane zjawisko z psychologii rozwojowej. Małe dzieci nie do końca rozumieją różnicę między „chcę być twoim przyjacielem" a „ta osoba chce być moim przyjacielem" – nie wiedzą, że to musi być relacja dwustronna. Tego uczymy się z wiekiem i dopiero około 25. roku życia stabilizuje się nasza umiejętność „wchodzenia w buty drugiego człowieka".

A po drodze zmieniamy przyjaciół jak rękawiczki?

Maksimum objętości „sieci aktywnej" przypada na późny wiek nastoletni i wczesne „lata dwudzieste", ma ona wtedy liczebność średnio ok. 250 osób. Ale tempo zmiany jest gigantyczne – ok. 40 proc. w skali roku.

Czyli dwudziestolatek mający dwustu „znajomych" po roku wymieni osiemdziesiątkę z nich na kogoś innego?

Tak, przy czym liczebność ta potem z roku na rok maleje. Usuwamy ludzi ze swojego życia, a grupa znajomych nam się ustala. Robiliśmy duże badanie w jednym z krajów europejskich, opierające się

na długofalowej analizie częstości rozmów telefonicznych. Osoba w wieku ok. 30 lat ma już „tempo zmiany” na poziomie 5-10 proc.

I sieć cały czas maleje?

Tak. Powoli, ale nieubłaganie. Ktoś się przeprowadza, ktoś umiera, z kimś innym się poróżnimy na tle przekonań religijnych albo politycznych.

A rodzina?

Jest mimo wszystko najtrwalsza, we wszystkich badaniach.

A czy można funkcjonalnie żyć – pytam teraz o Wasze badania neurologiczne, psychologiczne, hormonalne itd. – nie mając w żadnym wewnętrznym kręgu ani jednego członka rodziny?

Oczywiście. Wiemy, że to możliwe – to nie jest przecież nowe zjawisko. Pomyśl o emigrantach, o tych wszystkich Polakach, którzy sto, dwieście lat temu trafili do Ameryki. Jedni pojechali z rodzinami, ale inni – nie. I tam musieli rekonstruować swoje sieci społeczne od zera, opierając się wyłącznie na osobach niespokrewnionych.

Czyli to możliwe?

Tak – te miejsca, które zwykle w sieci należą do członków rodziny, zajmują przyjaciele. Ale możesz też zrobić coś głupiego – ożenić się i założyć zupełnie nową rodzinę.

> Zrobiliśmy badanie wspólnych zdjęć profilowych. Dla kobiet typowe są zdjęcia z jedną osobą, jedną kobietą. Dla mężczyzn typowy widok to grupka mężczyzn na jakiejś górze, niemal zawsze licząca 4-5 osób.

Czyli struktura się reprodukuje.

Rodzina jest naprawdę bardzo silną instytucją, bardzo trudno jej uniknąć.

Rodziny są jednak dzisiaj mniejsze niż kiedyś...

...i to prowadzi do rosnącej roli przyjaciół. Jeżeli się pochodzi z dużej, katolickiej rodziny, to trudno kogoś wcisnąć do pierwszej pięćdziesiątki. Ale jeżeli jest was w rodzinie ósemka, to robi się nagle dużo miejsca dla przyjaciół, znajomych z pracy itd. Rośnie też nasza mobilność – stale zmieniamy miejsce zamieszkania, miejsce pracy, miejsce spędzania czasu wolnego. Prowadzi to do silnego rozczłonkowania sieci. W dawnych dobrych czasach, w małych społecznościach, np. wiejskich, ludzie w twojej „sieci aktywnej” znali nie tylko ciebie, ale też znali siebie nawzajem. Dzisiaj mamy raczej niepowiązane ze sobą sieci rozproszone, ale to nie jest idealne.

Dlaczego?

Ponieważ tracisz bardzo ważną rzecz w małych społecznościach – mechanizm kontroli. Jest dobrze, jeżeli nad całą siecią czuwa prababcia, może pastor, może szef wsi. Jeżeli natomiast jedyną osobą spajającą twoją sieć jesteś ty, to na ciebie spada cały trud jej kontrolowania, np. dopilnowania, żebyś nie został oszukany.

Czy tak będzie wyglądać przyszłość? Jaka będzie przyjaźń za pięćdziesiąt lat?

Myślę, że zawsze będziemy posiadać przyjaciół i sieci społeczne, to jest po prostu wpisane w nasz mózg. Martwi mnie natomiast to, że coraz więcej przyjaźni rozwija się bez kontaktu twarzą w twarz, albo jest on rzadszy. Badania z zakresu biologii rozwoju pokazują, że umiejętności społeczne wykształcają się bardzo długo i mają wiele różnych aspektów. Rozpoznawanie emocji na twarzy to jeden z tych aspektów. Myślę, że jeżeli w tym krytycznym czasie będziemy spędzać za dużo czasu online, to ostatecznie możemy być w stanie „obsługiwać” mniejsze sieci społeczne.

Mniejsze grupy, silniej rozczłonkowane?

A w skali statystycznej: więcej konfliktu, mniej współpracy.

© Rozmawiał ŁUKASZ LAMŻA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik Powszechny”

– artykuły pierwszej potrzeby z dostawą do domu!

Czytelniczko, Czytelniku!

Kupujesz pismo w kiosku? Na stacji? W saloniku prasowym?
A może rozważysz zakup TYGODNIKA z dostawą do domu?

To wygodne, pewne, szybkie i bezpieczne, a dodatkowo pod koniec stycznia dostaniesz W PREZENCIE nasz autorski notes kulinarny „Smaki” – dostępny WYŁĄCZNIE dla Prenumeratorów! **Wybierz najlepszą dla siebie opcję dostawy** – przeczytasz o nich na sąsiedniej stronie, a w styczniu dostaniesz „Smaki” bez dodatkowych kosztów.

ZAMÓW NA
TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
już od 155 zł

CIESZ SIĘ WYSMAKOWANYM PREZENTEM!

Dziękujemy za to, że wybieracie „Tygodnik”, że jesteście z nami.

ks. Adam Boniecki
redaktor senior
obieżyświat

Piotr Mucharski
redaktor naczelny
działkowiec

Agnieszka Grzywa
koordynatorka
Działu Prenumeraty
cyklistka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA X2 / ARCHIWUM PRYWATNE

Cennik i zasady zakupu „Tygodnika Powszechnego” z dostawą do domu

CENNIK WAŻNY OD 1 GRUDNIA 2021

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Prenumeratę (krajową i zagraniczną) można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation

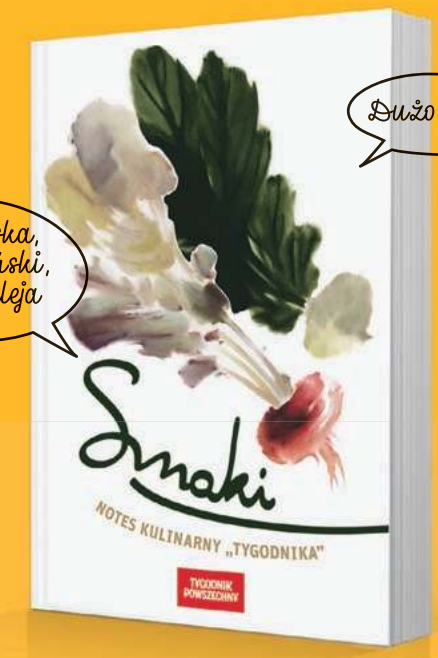

Dużo stron!

Ochędowska, Kuźmiński, Bravo, Ukleja

Do KAŻDEGO zamówienia autorski, wyjątkowy notes kulinarny W PREZENCIE!

Przepisy, rozmowy, eseje

12 sezonów

Autorskie ilustracje

Notes kulinarny „Smaki” otrzymasz już w styczniu na nasz koszt!

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Goszen

Wygląda na to, że Jakub będzie mógł wreszcie odetchnąć. Po 22 latach odnajduje się jego ukochany syn Józef, po którym tak rozpaczał i nie dawał się pocieszyć (zob. Rdz 37, 35). Nieomal czterdziestoletni potomek piastuje stanowisko, dzięki któremu – mimo klęski głodu w całym regionie – aprowizacja nie będzie spędzać Praojcowi snu z oczu. Już czekają wysłane przez faraona podwody: czas pakować manatki i opuszczać rodzinny Hebron.

Izrael wyrusza więc „ze wszystkim, co ma" (46, 1) w stronę Egiptu. Po drodze zatrzymuje się w Beer-Szebie, gdzie mieszkali jego dziadkowie, Abraham i Sara, i składa tam „ofiary Bogu ojca swego, Ic'haka" (tamże; Cylkow). Zapewne czuje się nieswojo, skoro Najwyższy przemawia doń tymi słowy: „Jam Bóg, Bóg ojca twojego; nie obawiaj się zstąpić do Micraimu; gdyż narodem wielkim uczynię cię tam! Ja zstąpię z tobą do Micraim, i Ja też cię wywiodę; a Josef położy rękę swą na oczy twoje!" (wersy 3 i 4). Siedemdziesiąt dusz niniejszym zstępuje do Egiptu (zob. Wj 1, 5). Po zsumowaniu Jakubowych potomków i ich dzieci – wliczając w to Józefa i jego synków: Efraima i Manassesa – wychodzi 69. Można od biedy dodać jeszcze samego Jakuba albo – jak sugeruje w Talmudzie rabin Chama syn Chaniny – dopełnić siedemdziesiątki Mojżeszową mamą, która przychodzi na świat podczas podróży. Wczytawszy się w nasz wers („Ja zstąpię z tobą do Micraim"), midrasz wlicza do okrągłej sumy Najwyższego. On jest z nami w Egipcie, jak rzecze psalmista: „przy nim będę w niedoli" (91, 15). Mamy też obietnicę, że nie pozostaniemy na wygnaniu na zawsze, lecz Wszechmocny nas stamtąd wyzwoli.

Kraina Goszen, pełna pastwisk, położona nieco na uboczu, we wschodniej części Delty Nilu – raj dla pasterzy. Ale Jakub czegoś smutny... Czyżby dumał nad tym, jak jego potomkowie zniosą zderzenie z cywilizacyjnym hegemonem? Czy zdołają ocalić własną tożsamość, czy rozpuszczą się w otaczającej kulturze? A może pomny jest, że łaska pańska na pstrym wielbłądzie jeździ i życie w Goszen może nie zawsze być sielskie?

„I osiadł Israel w ziemi Micraim, w krainie Goszen; i nabywali posiadłości w niej, i rozplenili się i rozmnożyli się wielce" (Rdz 47, 27). Ten wers nas uspokaja – w Biblii Tysiąclecia nawet „wzięli go sobie na własność (kraj Goszen)". Ale hebraista odnajdzie „kawałek cienia" w owym nabywaniu posiadłości bądź braniu na własność. Napisane jest *wajeachazu* i komentator wszech czasów sugeruje, żeby kojarzyć to ze słowem *achuza*, czyli „posiadłość, własność". Jednak gdyby Dzieci Izraela były stroną aktywną, czasownik powinien brzmieć *wajochazu*. *Wajeachazu* oznacza, że to kraj ich pochwycił i zostali weń usidleni. Nie miejmy złudzeń: niewola egipska już się rozpoczęła. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Do siego roku

Na Nowy Rok przybywa dnia o barani skok. To naprawdę dużo. Wystarczy policzyć do sześćdziesięciu, by się o tym przekonać. Pozostając w fotelu, potrafimy z naszej malutkiej Ziemi przenieść się do najdalszych krańców Wszechświata, jeśli takowe istnieją, a po drodze zatrzymać się u sąsiada Jowisza albo u Marsa. Posiadamy też dar bilokacji i w tym samym czasie gościć u Wenus i powłóczyć się po gwiazdozbiorze Asusa, czyli Rajskiego Ptaka. To zastanawiające, że ciała niebieskie upodobały sobie łacinę i w tym języku nam się przedstawiają, np. taki Canis Maior to Wielki Pies, Cetus, króciutka nazwa, a oznacza Wieloryba, albo Aries, czyli Baran, Dorado to nie dorada, znajoma z restauracji, ale z akwarium i bajki, czyli Złota Ryba, mamy też Virgo, czyli Pannę. Te łacińskie nazwy ciał niebieskich są jak najbardziej na miejscu, w końcu o niebo chodzi, a tam jak wiadomo rozmawia się, przynajmniej do niedawna tak było, po łacinie. Obecnie pewnie gadają tam po angielsku, hiszpańsku i jak tam kto chce. No bo skoro my już mamy elektronicznych tłumaczy, to oni tam w niebie pewnie mają jeszcze lepsze tego typu narzędzia.

Zagadaliśmy się i nie zauważyliśmy, jak żeśmy się cofnęli parę wieków i wylądowali w epoce przedkopernikańskiej, jeśli nie dawniejszej. I znowu niebo mamy nad głową, ziemię, a jakże, płaską, pod stopami. Dlatego ludzie pobożni, czasami ponad miarę, kiedy przychodzi im odmawiać „Ojcze nasz", zadzierają głowę i wznoszą ręce, zamykają też oczy i tak przyzywają Boga, żeby zstąpił, czyli zszedł z tejże góry, z nieba na ziemię. Jakby nie czytali Biblii i nie słyszeli, że kto widzi i słyszy Jezusa, ten widzi i słyszy Boga, i że Jezus obiecał być z ludźmi aż do „skończenia świata", aż Bóg będzie „wszystkim we wszystkich". Nie, że aż do końca świata, ale do spełnienia się naszych marzeń o świecie, w którym wszystko jest na sobie właściwym miejscu. Pięknie to brzmi, ale to tylko piękna, lecz niemożliwa do spełnienia baśń.

To pytanie postawił sobie parę dziesiątków lat temu prof. Leszek Kołakowski i doszedł do takiego wniosku: „Kto może dzisiaj powiedzieć na pewno, że to czy tamto jest niemożliwe? W XVII wieku to było łatwe, zgoda. (...) Tak już nie jest. Racjonalizm i scjentyzm pozostały na swoich miejscach, bez zmian, ale nauka dawno utraciła bezwzględną niezawodność. Kto nadal będzie utrzymywać, że istnieją absolutnie nieprzekraczalne granice możliwego, że są wydarzenia, których nie da się pojąć? W epoce, kiedy fizycy dyskutują o kwantach czasu, tachyonach, Wielkim Wybuchu, odwracalności czasu, pojawianiu się cząstek *ex nihilo*, jak zdefiniować niemożliwe?". Moja babka mawiała: nawet prorocy nie znają Boskiej mocy. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Nie bój się!

„Józefie, synu Dawida, nie bój się wziąć do siebie Maryi, twej Małżonki, albowiem z Ducha Świętego jest To, co się w Niej poczęło (...) A stało się to wszystko, aby się wypełniło Słowo Pańskie powiedziane przez proroka: »Oto Dziewica pocznie i porodzi Syna, któremu nadadzą imię Emmanuel, to znaczy Bóg z nami«" (zob. Mt 1, 18-24).

Myślę, że wcale nierzadko Pan może nam zadać „przyjęcie do siebie" osoby, w której życie wkroczył z jakąś niespotykaną siłą i nowością, z miłością wszechogarniającą i poddającą sobie wszystko. Tak dzieje się w przypadku rodziców, którzy dowiadują się naraz od swoich dzieci, że odkryły swoje powołanie – każde, ale pewnie szczególnie wtedy, gdy jest to powołanie do życia kapłańskiego lub życia konsekrowanego.

Tak dzieje się bardzo często, gdy w naszej uładzonej i spokojnie ustrukturyzowanej rzeczywistości kościelnej Pan zadaje nam naraz kogoś, w kim gwałtownie rozpalił jakiś charyzmat, wezwał go do konkretnej posługi czy działania. I – co więcej – uczynił to w sposób sobie właściwy, suwerenny i wolny, bez żadnych uprzednich konsultacji z nami. Pierwszą naszą reakcją niemal zawsze jest strach („nie bój się!") i chęć ucieczki od „problemu" (odesłać potajemnie!).

Aż strach pomyśleć, co może się stać, jeśli poddamy się tym emocjom. Co by się stało, gdyby Józef się im poddał?

To są chwile do rozeznania, na modlitwie, w milczeniu i w skupieniu na Słowie. To Słowo (a nie moje uczucia: strach, zaskoczenie, żal) dostarcza kryteriów do odnalezienia się w sytuacji. Józef otrzymuje to Słowo we śnie, gdyż w wyobraźni biblijnej sen jest stanem bliskim śmierci – a w nim rzeczywiście niejedno musi umrzeć, jeśli ma „wziąć do siebie" Maryję brzemienną za sprawą Ducha Świętego. Niemal wszystko będzie inaczej, niż wcześniej planował. Wszystko będzie... lepsze i piękniejsze. Ale też nie od razu to widać. Najpierw zawsze widać „problem".

Historia zwiastowania Józefowi jest warta wielkiej modlitwy i medytacji. Mówi nam ona, że prawdziwym wyzwaniem może być nie tylko przyjęcie Pana, kiedy wkracza On niespodzianie w nasze życie. Wcale nie mniejszym wyzwaniem może się okazać przyjęcie człowieka, w którego życie Bóg / Duch Święty wkroczył z mocą i łaską. Ta moc i łaska przeznaczone są także dla mnie (a tak naprawdę to dla całej konkretnej wspólnoty Kościoła), nawet jeśli najpierw wydaje się, że wszystko komplikuje. ©

Królestwo niebieskie jest beznamiętnością duszy połączoną z rozpoznaniem prawdy o rzeczywistości.

EWAGRIUSZ Z PONTU

Głupiec nie zazna spokoju, ponieważ spokoju pragnie.

ASZTAWAKRAGITA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (2 – 16 I)

2. niedziela po Narodzeniu Pańskim: Syr 24, 1-2. 8-12; Ps 147; Ef 1, 3-6. 15-18; J 1, 1-18;
Poniedziałek: 1 J 2, 29 – 3, 6; Ps 98; J 1, 29-34;
Wtorek: 1 J 3, 7-10; Ps 98; J 1, 35-42;
Środa: 1 J 3, 11-21; Ps 100; J 1, 43-51;
Czwartek, uroczystość Objawienia Pańskiego: Iz 60, 1-6; Ps 72; Ef 3, 2-3a. 5-6; Mt 2, 1-12;
Piątek: 1 J 3, 22 – 4, 6; Ps 2; Mt 4, 12-17. 23-25;
Sobota: 1 J 4, 7-10; Ps 72; Mk 6, 34-44;
Niedziela Chrztu Pańskiego: Iz 40, 1-5. 9-11; Ps 104; Tt 2, 11-14; 3, 4-7; Łk 3, 15-16. 21-22;
Poniedziałek: 1 Sm 1, 1-8; Ps 116B; Mk 1, 14-20;
Wtorek: 1 Sm 1, 9-20; Ps: 1 Sm 2, 1. 4-8; Mk 1, 21-28;
Środa: 1 Sm 3, 1-10. 19-20; Ps 40; Mk 1, 29-39;
Czwartek: 1 Sm 4, 1-11; Ps 44; Mk 1, 40-45;
Piątek: 1 Sm 8, 4-7. 10-22a; Ps 89; Mk 2, 1-12;
Sobota: 1 Sm 9, 1-4. 17-19. 10, 1a; Ps 21; Mk 2, 13-17;
2. niedziela zwykła: Iz 62, 1-5; Ps 96; 1 Kor 12, 4-11; J 2, 1-12.

MIŁEGO PANDEMONIUM

Nasi przywódcy cierpią na przerośnięte ego i brak pokory. Rok 2022 tylko pogłębi te choroby. Od pandemii, demokracji i inflacji ważniejszy będzie interes partii oraz ich przywódców.

JAROSŁAW FLIS

Od wybuchu pandemii przeżyliśmy tak wiele nadzwyczajnych wydarzeń i tyle huśtawek nastroju, że przestaliśmy już doszukiwać się w otaczającym nas świecie wewnętrznej spójności. Rządzą nami prawno-polityczny chaos, głupota i brak pokory. Można jednak cały ten chaos traktować jako dowód na specyficzną, paradoksalną cechę polskiego systemu – przewidywalne rozchwianie. Konstrukcja polskiego państwa przypomina dziś budynki wznoszone na terenach sejsmicznych – spektakularnie kołyszące się w chwilach trzęsienia ziemi. Zasadniczy szkielet trzyma się mocno, ale po tylu wstrząsach we wszystkich pomieszczeniach doszło do „nieplanowanych przemeblowań".

Zachowana jest stabilność organów władzy, mamy tego samego prezydenta i premiera. Powrót Donalda Tuska wzmocnił jeszcze wrażenie tej ciągłości, bo przywrócił nam dawny, jasny podział ról. W szczegółowych analizach społecznych widać też stabilność linii podziału. Można by więc przypuszczać, że polska polityka ma się po dwóch latach pandemii podobnie jak gospodarka – jest w znacznie lepszej kondycji, niż to się zapowiadało po pierwszych dwóch miesiącach. Pozornie, bo uważne przyjrzenie się sytuacji ukazuje szereg zmian.

Zarazki głupoty

Wybory kopertowe, spór o zasadę „pieniądze za praworządność" w Unii Europejskiej, aborcyjny werdykt Trybunału Konstytucyjnego, „piątka dla zwierząt", spór o podatki w Polskim Ładzie, „lex TVN", rozbiór Porozumienia i utrata większości przez klub PiS (rząd trzyma się na pojedynczych posłach), skrzynka mailowa Dworczyka, raporty Mariana Banasia i próby jego pacyfikacji, wyroki TSUE i opóźnienia środków z KPO, stan wyjątkowy na granicy, inflacja, wreszcie kazus posła Mejzy – tak wygląda silnie skrócona lista politycznych ekscesów 2021. Wszystko to działo się równolegle z kolejnymi falami covidu, konfliktami wokół szczepień i (nie)stosowanych obostrzeń.

Mateusz Morawiecki i Jarosław Kaczyński w czasie 44. posiedzenia Sejmu IX kadencji. Warszawa, 15 grudnia 2021 r.

ZBYSZEK KACZMAREK / REPORTER

Te gorące konflikty są – jak to przy gorączce – jedynie objawem ciężkiej choroby, którą da się zdiagnozować w konkretnym miejscu. Tą przypadłością jest całkowita koncentracja partii rządzącej na sobie samej. Wewnętrzna logika tego sposobu myślenia jest dość czytelna. Są sprawy wielkie: naród, demokracja, klimat, pandemia czy choćby inflacja. Jest jednak sprawa dużo większa – interes naszej partii. Oraz największa – mój interes w partii. Uzasadnienie na pierwszy rzut oka nie jest aż tak absurdalne: jeśli prawdą jest, że wyłącznie „nasza partia" wie, co zrobić ze sprawami wielkimi, to zdobycie przez nią władzy jest warunkiem koniecznym jakiejkolwiek poprawy. Jeśli zaś w „mojej partii" tylko ja wiem, jak jej zapewnić sukces, to jest chyba oczywiste, że zabezpieczenie swojej pozycji to rzecz pierwszorzędna.

Cała ta logika opiera się na założeniu, że wszyscy inni – czy to w mojej partii, czy w innych – tylko szkodzą. Cóż, już biblijna Księga Syracha mówi, że „na chorobę pyszałka nie ma lekarstwa". Medycyna nie zrobiła w tej kwestii żadnego postępu przez dwa tysiąclecia. Im większe ambicje, tym głębsze przekonanie o racji i konieczności podporządkowania swej wizji całego świata. Tymczasem w polityce potrzeba delikatnej równowagi pomiędzy hierarchią a samodzielnością, zwłaszcza że tę równowagę zdecydowanie łatwiej zburzyć, niż potem odbudować. Na razie w obozie rządzącym poszła ona w rozsypkę i nie ma wątpliwości, że ta ryba psuła się od głowy.

Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że partia rządząca została zaatakowana przez „kaczorawirus", który wywołuje „mgłę mózgową". Dodatkowo niewątpliwe sukcesy ekipy rządzącej wywołały u prezesa Jarosława Kaczyńskiego jeszcze ostrzejszy przerost ego. Ono zaś oślepia i nie pozwala dostrzec momentu, w którym trzeba porzucić dotychczasowe nawyki działania i przyjęte kursy, bo prowadzą one ku zgubie. Nie wiemy jednak, ile jeszcze wpadek i bezsensownych konfliktów jest potrzebnych, żeby drugi szereg PiS przestał robić „maślane oczy" na sam dźwięk nazwiska prezesa. Nie mamy też pojęcia, kiedy prezes Kaczyński porzuci swoją dotychczasową metodę napuszczania jednych na drugich celem trzymania wszystkich w szachu, co na dłuższą metę jest niszczące dla każdego środowiska.

Wielokrotnie wygłaszane nadzieje, że jeszcze tylko jeden zakręt, jeszcze jedno zwycięstwo, po którym Prawo i Sprawiedliwość zejdzie z drogi nieustannej wojny z całym światem (a także z sobą samym), są płonne. Nie widać tego w ogóle w postawie Kaczyńskiego, nie sposób również dostrzec jakikolwiek ośrodek polityczny czy postaci, które byłyby w stanie zmienić dotychczasowe reguły wewnętrznych rozgrywek. Widać za to, że Zbigniew Ziobro, choć reformy wymiaru sprawiedliwości w żaden sposób mu nie wychodzą, jest zdolnym uczniem prezesa, gdy chodzi o wzniecanie wewnętrznych i zewnętrznych konfliktów. Doprowadził umiejętnie do sytuacji, w której to „ogon macha psem" i najwyraźniej stara się nie tyle rozwiązywać problemy obozu rządzącego – o kłopotach polskiego społeczeństwa nie wspominając – co ugrać na nich jak najwięcej dla siebie. Koło się zamyka.

Poza miastami nie ma nic

Pokory nie przybyło również nowemu-staremu przywódcy największej opozycyjnej partii. Swój powrót do polityki Donald Tusk rozpoczął dokładnie pół roku temu, od konwencji w powiatowym Płońsku. Najwyraźniej jednak taki sposób zdobywania poparcia nie okazał się trwałym przesunięciem środka ciężkości Platformy Obywatelskiej, lecz wycieczką na tyle uciążliwą, że nie może ona podobnych wypraw podejmować zbyt często. W końcu rzeczy istotne – co w sposób beznadziejny utwierdzają główne przekazy medialne – dzieją się i tak tylko w stolicy.

Pewnie dlatego zeszłotygodniowa Rada Krajowa odbyła się już tradycyjnie w Warszawie. W gronie wiceprzewodniczących pojawiły się co prawda dwie nowe osoby spoza wielkich ośrodków, lecz najwyraźniej ze względu na płeć, nie zaś na jakiś „urbanizacyjny" parytet. Nic więc nie wskazuje na to, by największa siła opozycyjna przyjęła do wiadomości przyczynę swoich ostatnich porażek, choć wnioski od lat wydają się dość oczywiste. Platforma wciąż robi wszystko, by utrwalać stereotyp partii reprezentującej interesy wielkomiejskich ważniaków.

Tymczasem decydująca walka rozgrywa się w urbanizacyjnym „pniu" Polski, czyli w miastach od 10 do 100 tys. mieszkańców, gdzie żyje aż połowa ↦

↦ wyborców. Dwie pozostałe ćwiartki – wiejski „korzeń" i wielkomiejska „korona" – nie są bez znaczenia, lecz każde z nich jest źródłem stereotypów oraz wynikających z nich napięć. Łatwo również zauważyć, że warszawski polityczno-dziennikarski światek nie rozróżnia 50-tysięcznego miasta od 5-tysięcznej gminy wiejskiej, wszystkich określając pogardliwym mianem „prowincji". A przecież nie trzeba dużo wyobraźni, by zrozumieć, że nikt nie zechce uznać za swojego reprezentanta kogoś, kto traktuje cię z góry, podkreślając co najwyżej, że jest świadom swojej powinności, by – z nieskrywanym wysiłkiem – pochylić się ku tobie ze swoich intelektualnych i moralnych wyżyn.

To dlatego podział urbanizacyjny stał się dla wyniku polskich wyborów kluczowy i jest dziś chyba ostatnią deską ratunku dla obozu rządzącego. Nawet jeśli tłamsi on samorząd terytorialny, odgrywając się za wyborcze klęski 2018 r. i przedwyborczy bunt z wiosny 2020 r., główna siła opozycji jest przez środowisko samorządowe traktowana z wyraźną rezerwą. I to mimo braku znaczących ideowych różnic.

Jeśli spojrzeć na wyniki wyborów sejmowych w typowym 30-tysięcznym mieście powiatowym, to w 2007 r. PO i PiS toczyły tam wyrównany pojedynek. Na zachodzie Polski PO miała przewagę 20 proc., w Galicji traciła 12 proc., a wyniki w pozostałych częściach kraju układały się pomiędzy tymi biegunami. Ale w 2019 r. PO przegrywała o kilka procent już nawet w Polsce północno-zachodniej, czyli w dawnym swoim bastionie. W Kongresówce i Galicji przegrywała o 30-40 proc. Nic zatem dziwnego, że burmistrzowie miast, dla których kiedyś relacja z Platformą były kluczowym czynnikiem w zabiegach o reelekcję, dziś nie wykazują szczególnego entuzjazmu. I to niekoniecznie ze strachu przed odcięciem przez PiS rozdzielanych centralnie funduszy.

W budowaniu zaufania nie pomagają sprzyjające opozycji centralne media, które nawet pisząc o inicjatywach samorządowych koncentrują się na prezydentach największych miast – Warszawy, Poznania, Krakowa, Wrocławia i Gdańska, co najwyżej dołączając Sopot. Tymczasem w tych bastionach opozycja w ogóle nie potrzebuje medialnego wsparcia – chyba że w rywalizacji o rząd dusz z innymi frakcjami w swym obozie. Jest natomiast prawidłowością, potwierdzoną analizami wielu przypadków, że najłatwiej pozyskiwać nowych wyborców tam, gdzie siły są wyrównane. Jest tam bowiem wciąż wielu ludzi do przeciągnięcia na swoją stronę, w dodatku każdy przekaz ma szansę wzmocnienia osobistym kontaktem z kimś, kto już jest przekonany.

> Wielokrotnie wygłaszane nadzieje, że jeszcze tylko jeden zakręt, jeszcze jedno zwycięstwo i PiS zejdzie z drogi nieustannej wojny z całym światem (a także z sobą samym), są płonne. **Horyzont prezesa domknął się na dobre, czyli na złe.**

Może rzecz wyglądałaby inaczej, gdyby jednym z nowych wiceprzewodniczących PO został właśnie burmistrz Płońska, nie zaś Małgorzata Kidawa-Błońska. Dołączenie do ścisłego kierownictwa jej oraz Ewy Kopacz to powtórka ze strategii Grzegorza Schetyny z 2019 r. – wiary, że zwycięstwo można odnieść za pomocą polityków, którzy mają na koncie spektakularne klęski. Trudno sobie wyobrazić, by tacy ludzie przełamali dominację PiS w Polsce lokalnej. Potrzebne jest zaangażowanie osób, które już tam mieszkają i są rozpoznawalne dzięki swojej aktywności oraz kompetencji.

Z przytupem

Właśnie w takich miejscach szczególne szanse ma Szymon Hołownia. Mógłby on być nową, nomen omen, platformą skrzykującą aktywistów z całego kraju, dla których ta „Obywatelska" to za wysokie progi. Jednak ruch Hołowni wciąż nie wygląda na nic więcej niż typowy dla Polski TUP – Tymczasowe Ugrupowanie Protestu. To już się w naszym kraju układa w tradycję. Kiedy co dziesiąty wyborca czuje się rozeźlony i wyobcowany, nie mogąc znaleźć w politycznym menu niczego dla siebie strawnego, swój bunt chce wyrazić choćby groźnym tupnięciem. W tych okolicznościach pojawia się okazja dla tych, którzy pod to tupnięcie zagrają jakąś aktualną dla danego momentu historycznego melodię. Mieliśmy już Andrzeja Leppera pogrywającego na nutę discopolową, Janusza Palikota z kabaretowym antyklerykalnym kupletem, rockowego Pawła Kukiza, techno Ryszarda Petru i progresywny pop Roberta Biedronia.

Na jaką nutę gra dziś Szymon Hołownia? „Arki Noego" – atrakcyjnej dla pokolenia wychowanego na piosenkach łączących wiarę w Boga z nowoczesnością, a spontaniczność z profesjonalizmem? Nie ma pewności, czy lider Polski 2050 nie będzie jak poprzednicy: gwiazdą jednego sezonu. Większość dotychczasowych TUP-ów nie przeżyła kadencji w opozycyjnych ławach, bo też 10-procentowe poparcie nie daje szans na żadną rewolucję, więc zapał działaczy szybko zazwyczaj wygasa. Samoobrona była jedynym z dotychczasowych TUP-ów, który przeżył kadencję i wszedł do rządu. Została jednak dość szybko rozmontowana przez silniejszego koalicyjnego partnera, na każdym z możliwych frontów. Kierownictwo zachłysnęło się władzą, posłowie i struktury poszły w rozsypkę, elektorat zaś odpłynął od tych, którzy o nim zapomnieli i dołączyli do „elit". Palikot, Petru i Kukiz powtórzyli tę ścieżkę, już nawet nie ocierając się o rządowe gabinety.

Co siódmy wyborca pokłada jednak w Hołowni nadzieję. Gdyby dziś odbyły się wybory, byłby on ważnym elementem rządowej układanki, gdyż połączone siły opozycji przeważają nie tylko nad PiS, ale i nad jego potencjalnym sojuszem z Konfederacją. Problem w tym, że PO i Lewica są zdominowane nie tylko przez wielkomiejski elektorat, ale też jego perspektywę i postępową agendę medialną. Dlatego też cały lewicowo-liberalny obóz, który tak cieszy się ze zwiększenia swoich ideowych szeregów w reakcji na przeciwskuteczną, pseudokonserwatywną kontrrewolucję – jednocześnie zapomina, z jak słabych pozycji startuje. Nikt tam nie bierze pod uwagę hipotezy, że z zeszłorocz-

nych protestów w sprawie aborcji zostało tak niewiele także dlatego, iż zwolennicy powrotu do kompromisu aborcyjnego zostali zrażeni przez organizatorki Strajku Kobiet oraz ich radykalne hasło aborcji na życzenie, tęczowe flagi, osiem gwiazdek i wulgarne okrzyki. Polska 2050 mogłaby być argumentem dla tych licznych osób, które boją się, że „przestawienie wajchy" na drugą stronę oznaczać będzie jeszcze większe nasilenie społecznych konfliktów i napięć. Podobną rolę do partii Hołowni może w przyszłym roku odegrać też druga partia, która nie chce się tak po prostu ustawić w równym szeregu „anty-PiS-u".

Waldemar – Reaktywacja

Polskie Stronnictwo Ludowe jest najbardziej uporządkowana partią w Polsce, czego ostatni kongres był najlepszym przykładem. Władysław Kosiniak-Kamysz, dotychczasowy przewodniczący, musiał mieć – zgodnie ze statutem – kontrkandydata. Nie zgłosił się jednak nikt, kto realnie chciałby mu rzucić wyzwanie. Rywalizacja z wystawionym pro forma konkurentem miała więc przewidywalny rezultat, a jednocześnie była okazją do wyrażenia swojego niezadowolenia przez tych, którzy je odczuwali. Realna konkurencja dotyczyła wyboru szefa Rady Naczelnej. Nawet jeśli walka była wyrównana, to zakończyły ją modelowe deklaracje wzajemnego wsparcia i lojalności.

Reaktywacja byłego premiera Waldemara Pawlaka to wyraźny sygnał, że ludowcy przywiązani są zarówno do swojej tożsamości, jak i do równowagi. Nie tylko wewnętrznej, ale też na poziomie krajowym. Pomimo takich modelowych przewag trudno jest PSL-owi złapać głębszy oddech. Niby po przeczytaniu i przeżyciu tylu swoich nekrologów można być już na zawsze wyluzowanym, lecz z drugiej strony ściganie się z Hołownią o wyborców, którzy nie odnajdują się w sporze Kaczyńskiego z Tuskiem, to nowy czynnik. Dlaczego ludowcy są tak słabi, jeśli są tak uporządkowani? To byłby temat na długą opowieść. Opowieść poważną, zupełnie inną w charakterze niż tragikomiczny serial o jednoczeniu lewicy.

W tym środowisku ponownie nastąpił dramatyczny zwrot akcji, a do pęknięcia doszło, gdy już wydawało się, iż rzecz zmierza ku szczęśliwemu zakończeniu.

> Tusk komplementuje Hołownię i PSL, ale ostentacyjnie ignoruje Lewicę. Jego lekceważenie dla tego środowiska może wynikać z pokusy, by osłabić je jeszcze **bardziej i zebrać pod swoje skrzydła kolejne „aktywa".**

Na tym przykładzie najlepiej też widać, że ciągłe obawy o jedność tworzą samospełniające się proroctwo. Jeśli odpowiedzią na takie dylematy jest dążenie do jak najsztywniejszej kontroli kierownictwa nad partią i umysłami jej członków, to właśnie taka sztywność uwiera malkontentów jeszcze bardziej.

Kolejne, obecne, lewicowe pączkowanie jest też przejawem pułapki, w której znalazł się opozycyjny kwartet. Teoretycznie możliwe byłoby jakieś jego zharmonizowanie – zorkiestrowanie strategii i przekazów. Jednak słabnięcie PiS i odległa perspektywa wyborów osłabiają taką presję, wynikającą z namacalnego sukcesu senackiego sojuszu. Na dziś wszyscy skupiają się na wywalczeniu lepszej pozycji przed spodziewaną przedwyborczą rekonfiguracją.

Tusk ostentacyjnie ignoruje Lewicę, komplementując za to Hołownię i PSL. Rzeczywiście Lewica, której wyborcy są najbardziej odlegli od środka ciężkości całego elektoratu, jest zarazem najkłopotliwszym udziałowcem sojuszu budowanego przez Tuska. Jednocześnie jego lekceważenie tego środowiska może wynikać z pokusy, by osłabić je jeszcze bardziej i zebrać pod swoje skrzydła kolejne „aktywa". Np. tych wszystkich, dla których ważniejsze od bardzo wyrazistych poglądów jest pokonanie PiS. I dlatego skłonni są oni do przeniesienia – choćby chwilowo – swojego poparcia na PO bądź Hołownię.

Tyle że to dla opozycji bardzo niebezpieczna strategia. Jeśli samodzielnie idąca do wyborów Lewica – tak jak w 2015 r. – spadnie poniżej progu wyborczego, będzie to dla PiS duży prezent. Przy wyrównanej rywalizacji może to przesądzić o utrzymaniu się przy rządach – nawet jeśli nie samodzielnie, to chociaż w sojuszu z Konfederacją. Tym samym ponownie okaże się, iż marzenie o samodzielnym rozdawaniu kart doprowadza do utraty kluczowych atutów. A przecież Lewica, która nie zajmuje się sobą i nie drży o swoje przetrwanie, wcale nie musi być trudniejszym partnerem PO – czy to przed, czy po kolejnych wyborach. Lecz tu też wirus intryganctwa sączy swoje toksyny. Energii zaś, która idzie na przepychanki, brakuje choćby do tego, by zająć się sprawami, które są rzeczywiście ważne – jak choćby służbą zdrowia.

Może jednak ktoś chciałby się dowiedzieć, czy szpitale w miastach zarządzanych przez ludzi Lewicy – Częstochowie czy Dąbrowie Górniczej – radzą sobie w pandemii lepiej czy gorzej od tych z Koszalina lub Jeleniej Góry, gdzie rządzi PO? Może dobre praktyki z któregokolwiek z tych miast mogłyby uwiarygodnić propozycje przedstawiane na ogólnopolskiej arenie? Cisza.

Inna droga

Gołym okiem widać, w jakie bagienko zaprowadziła PiS wiara, że prezes wszystko wie lepiej, a zwartość ugrupowania to największa wartość. Ale po stronie głównych sił opozycyjnych ciągle nie ma pomysłu, jak nie wędrować tym samym szlakiem. Jest niby jeszcze sporo miesięcy do wyborów, lecz może właśnie początek drugiej połowy kadencji, tuż po zakończonych wyborach w PO i PSL, byłby dobrym momentem na głęboką zmianę sposobu działania? Szczególnie przy konkurencji ze strony Hołowni. Na razie wcale się na to nie zanosi.

Po stronie rządzących sporo sygnałów zapowiada przesilenie. Lecz prognozowanie, że sytuacja środowiska władzy mogłaby się w przyszłym roku poprawić, wymagałoby nadzwyczajnych zasobów wyobraźni. Poza jednym scenariuszem – tym, w którym opozycja naśladuje PiS w koncentrowaniu się na tym, co najważniejsze dla polityków, nie zaś na tym, co ważne dla ogółu Polaków.

© JAROSŁAW FLIS

Las podwyżek

KRZYSZTOF STORY

Ceny drewna w ciągu roku wzrosły w Polsce dwukrotnie. Stolarze są w szoku, bo i tak nie ma go w składach – wszystko wykupują klienci z Azji oraz Ameryki. Rządu to nie obchodzi.

Chata z sosnowych bali, dębowy stół czy komoda – budzą same pozytywne skojarzenia. Nie brakuje nawet badań potwierdzających, że obecność drewna w naszym otoczeniu pozytywnie wpływa na zdrowie, obniża poziom stresu, a śpiąc na takim łóżku mamy niższe tętno i ciśnienie krwi. Drewno jest jednym z pierwszych i najważniejszych materiałów, który nauczyliśmy się wykorzystywać, wytwarzając z niego domostwa, meble, papier, broń i statki. Polska przez niemal 200 lat była największym eksporterem tego surowca na Zachód, a i później żyliśmy w przeświadczeniu, że nigdy go nie zabraknie. Wszak ponad 60 proc. wiejskich domów w kraju nadal ogrzewanych jest drewnem, a dla 7 proc. populacji jest ono jedynym źródłem ciepła.

Miniony rok okazał się jednak wyjątkowy. Ceny drewna oszalały na całym świecie, a ono samo staje się surowcem strategicznym. Gdy na początku grudnia Chiny zablokowały import z Litwy z powodu zbyt bliskich kontaktów tego kraju z nieuznawanym przez Pekin Tajwanem, okazało się, że jednym z poważniejszych litewskich problemów gospodarczych jest właśnie wstrzymany eksport drewna do Państwa Środka, który rósł dynamicznie i w 2020 r. przyniósł Wilnu 40,9 mln dolarów – ponad 10 proc. wartości całego eksportu do Chin.

Najdroższe drewno w historii

W sprzedaży aukcyjnej na portalu Lasów Państwowych ceny drewna wzrosły w ciągu roku dwukrotnie, a polskie tartaki i tak mają problemy z zaopatrzeniem i utrzymaniem produkcji. To efekt ogromnego zapotrzebowania ze strony budownictwa. W Norwegii dwa lata temu stanął 85-metrowy drewniany wieżowiec, a domy z bali oraz meble dębowe stały się niezwykle popularne w Azji oraz w państwach zachodnich.

– Boom budowlany w Ameryce oraz agresywnie wchodzące na rynek Chiny doprowadziły do tego, że Polska stała się ich zapleczem surowcowym – mówił mi kilka miesięcy temu Rafał Szefler, prezes Polskiej Izby Gospodarczej Przemysłu Drzewnego. – Dla nas skutki są oczywiste: niewiarygodne podwyżki cen. Dzisiaj rano patrzyłem na aukcje: sosna pół roku temu kosztowała 250-300 zł za metr, teraz dochodzi nawet do 600 zł. Mamy najdroższe drewno w historii.

Rozmowa odbyła się jeszcze przed ostatnią turą aukcji drewna Lasów Państwowych w październiku tego roku. Dziś Szefler dodaje: – Po aukcjach w maju myślałem, że widziałem już wszystko. W październiku okazało się, że rzeczywistości znowu udało się mnie zaskoczyć.

Średnia cena drewna sosnowego w aukcjach na portalu e-drewno w listopadzie wyniosła 655 zł za metr sześcienny. W grudniu 2020 r. to samo drewno kosztowało 288 zł, czyli ponad dwa razy mniej. Sosna to dobry przykład (jest najczęściej sadzonym, ścinanym i sprzedawanym drzewem w Polsce), ale podobne podwyżki dotyczą wszystkich gatunków i rodzajów drewna.

Zostały trzy deski

Szymon Bielecki jest stolarzem, ma pracownię meblarską w Krakowie. – Wyższe ceny nie dotykają mnie dziś bezpośrednio, bo koszty materiałów i tak poniesie klient. Większym problemem jest to, że drewna po prostu nie ma. Wczoraj byłem w jednym z krakowskim składów, gdzie w suszarni na stanie mieli trzy deski – opowiada.

Brak materiału to ryzyko opóźnień, a tak gwałtowny wzrost cen ma jeszcze jedną złą stronę. Zamówienia, które pan Szymon przyjął i wycenił pół roku temu, musi albo realizować ze stratą, albo tłumaczyć klientowi, dlaczego powinien dopłacić.

– Stół, który rok temu kosztował 2000 złotych, dzisiaj wycenię na 2600, a różnica jest przecież tylko na kosztach materiału. Na razie nie narzekam na brak pracy, choć mniej niż zwykle jest małych zamówień, takich na pojedyncze meble. Nic dziwnego, że coraz więcej klientów zaczyna kalkulować: a może blat z Ikei jednak wystarczy? Ciężko mi też powiedzieć, ile osób zrezygnuje, gdy zobaczy moją nową wycenę.

– Zdarza się, że polskie tartaki sprowadzają drewno z Niemiec czy Finlandii, bo jest tam po prostu taniej – tłumaczy Rafał Szefler. – Oczywiście na to mogą sobie pozwolić tylko większe zakłady, przerabiające tysiące metrów sześciennych drewna miesięcznie. A takich w Polsce jest mniejszość.

Szefler dodaje, że import drewna np. z Niemiec jest raczej wyjątkiem niż regułą, ale pokazuje pewną tendencję. Surowego drewna wysyłamy za zachodnią granicę cztery razy więcej, niż kupujemy. Po pierwsze: niemieckie lasy państwowe bardzo rzadko sprzedają surowiec zagranicznym firmom i pośrednikom, więc drewno można kupić jedynie od właścicieli prywatnych lasów. Po drugie: najczęściej, licząc koszty transportu, nadal mimo wszystko taniej jest kupić w Polsce, zwłaszcza dla małych firm.

Liczbę zakładów, które przerabiają ponad 100 tys. metrów sześciennych drewna rocznie, Szefler szacuje na 150 w całym kraju, natomiast małych tartaków według dyrektora PIGPD może być ponad 5 tys. Te firmy nie zamówią jednak całego statku czy pociągu z drewnem niemieckim, fińskim lub szwedzkim. Są uzależnione od Lasów Państwowych, krajowego monopolisty, pod którego zarządem jest 80 proc. polskich lasów.

Winą za obecną sytuację branża obarcza więc rosnący i niekontrolowany eksport. Polskie drewno kupują od lat zagraniczne firmy (częściej od zarejestrowanych w Polsce lub Unii Europejskiej pośredników niż bezpośrednio od Lasów Państwowych). W 2020 r. sytuacja trochę się zmieniła. Po raz pierwszy to właśnie Chiny były najczęstszym odbiorcą drewna surowego (czyli takiego, na którego przetworzeniu nie zarobił żaden polski tartak). W stronę Pekinu pojechało 1,4 mln ton surówki, o pół miliona ton więcej niż rok wcześniej.

Nie wiadomo, jaki to stanowi procent całego eksportu, bo pełnych danych za ubiegły rok jeszcze nie ma. Wiemy jed-

Transport drewna po wycince w lesie w województwie podlaskim. Nowa Wola, 23 listopada 2021 r.

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

nak, że w 2019 r. Polska sprzedała za granicę 4,6 mln metrów sześciennych drewna, czyli ponad 10 proc. całej produkcji. Oznacza to, że w ciągu zaledwie trzech lat nasz eksport zwiększył się o 2 mln metrów sześciennych. To oczywiście duży zysk (prawie 1,5 mld złotych), ale też, jak twierdzą krajowi przedsiębiorcy, ogromna potencjalna strata, bo na przetwarzaniu i wykorzystaniu drewna nie zarabiają już polskie firmy, a jedynie cierpią z powodu coraz wyższych cen surowca.

Huragan zmienił wszystko

Problemu nie da się opisać bez wyjaśnienia, jak działa krajowy system sprzedaży i w jaki sposób np. sosna ścięta przez Lasy Państwowe znajduje nowego właściciela. Dzieje się to na dwa sposoby. Pierwszy to otwarte aukcje na portalu e-drewno, w których udział może wziąć każdy. Odbywają się dwa razy w roku i od lat trafiało na nie 20 proc. polskiego drewna. To tutaj wzrosty cen są najbardziej gwałtowne, dotkliwe i nieprzewidywalne, bo aukcje to czysty kapitalizm: wygrywa ten, kto najwięcej zapłaci, a międzynarodowe koncerny często są w stanie zaoferować dużo więcej niż krajowy tartak.

Druga ścieżka to rynek bardziej regulowany. 80 proc. drewna sprzedaje się na Portalu Leśno-Drzewnym w systemie ofertowym. Tutaj też jedynym kryterium była przez lata cena, ale LP ustalały tzw. korytarz cenowy, co uniemożliwiało, a przynajmniej utrudniało windowanie ich spekulantom. Najważniejszym wymaganiem na PLD była jednak historia zakupów: można tu zamówić maksymalnie 70 lub 80 (zasady zmieniają się co parę lat) procent tego, ile średnio kupowało się w Polsce w poprzednich latach. Firmy działające w Polsce, które przez lata budowały sobie historię zakupów, mają tu dużo łatwiej, zagraniczny świeżak nie ma czego na PLD szukać. Dla przykładu: firma, która w 2020 i 2021 r. nabywała zaledwie po 1000 metrów sześciennych, nie będzie mogła zamówić na PLD więcej niż 700 kubików w roku 2022, nieważne jakie pieniądze zaproponuje. Może trochę jeszcze dokupić na aukcjach i w ten sposób powoli budować historię zakupów na następne lata. Ten system dość dobrze chronił krajowy rynek przed międzynarodowymi koncernami, które są często gotowe kupić każdą ilość drewna. A przynajmniej tak było do 2017 r.

– Zmiany zaczęły się po huraganie w Borach Tucholskich – mówi Rafał Szefler. – Wiatr w ciągu dwóch dni położył kilka milionów metrów sześciennych drewna. Lasy Państwowe miały ogromny problem z uprzątnięciem i sprzedażą takich ilości. Ówczesny dyrektor Konrad Tomaszewski zaprosił do pomocy zagraniczne firmy. LP pozwoliły, by w ten sposób zbudowały sobie one historię zakupów, wartą często więcej niż samo drewno poklęskowe.

W efekcie rok 2018 był rekordowym pod względem eksportu: z Polski wyjechało ponad 5,5 mln metrów sześciennych drewna.

Pseudorozmowy w ministerstwie

Przedstawiciele branży oczekują prawnego ograniczenia eksportu albo wręcz zakazu wywozu drewna z Polski. Z jednej strony w świecie swobodnego przepływu towaru i usług taka propozycja wydaje się absurdalna, ale z drugiej – rozwiązania ograniczające eksport wprowadza lub już wprowadziło kilka innych państw. Rumunia zakazała sprzedaży poza UE, a Ukraina całkowicie zabroniła wywozu surowca. Podobne kroki rozważają Rosja, ↦

↦ Czechy i Słowacja. Przepisy utrudniające eksport obowiązują też na Węgrzech i w Chorwacji.

O planowane działania wobec rosnących cen drewna zapytaliśmy więc Ministerstwo Klimatu i Środowiska. Odpowiedź brzmi: „Rzeczywiście mamy wzrost eksportu drewna okrągłego w szczególności na rynek niemiecki i chiński. Obecnie prowadzimy rozmowy z branżą drzewną, jak również z Lasami Państwowymi, by wypracować jak najlepsze rozwiązania w tym zakresie". Propozycji konkretnych działań wciąż jednak brakuje, a rzekome rozmowy, które mają wypracować rozwiązania, to tak naprawdę jedno spotkanie utworzonego w tym roku grona o wdzięcznej nazwie krajowy zespół ds. wspierania przedsiębiorczości w zakresie przerobu surowca drzewnego.

– Zespół zebrał się raz, w połowie listopada, już w trakcie jesiennych aukcji – mówi Rafał Szefler. – Pan Józef Kubica, dyrektor Lasów Państwowych, już na wstępie podniósł wszystkim ciśnienie oświadczając, że nowe zasady sprzedaży drewna są najlepsze w historii, a naszych żądań i celu spotkania w ogóle nie rozumie. Po godzinie wyszedł, miał inne obowiązki, a został z nami wiceminister Edward Siarka. Spotkanie do niczego konkretnego nie doprowadziło, ale na początek grudnia zaplanowaliśmy kolejne. Nadal się nie odbyło.

W odpowiedzi resortu czytamy też, że „branża przeżywa niesamowity rozkwit, osiągając bardzo dobre wyniki sprzedaży", a także kuriozalne stwierdzenie, że ceny drewna wcale gwałtownie nie wzrosły, czemu zaprzeczają wszystkie dane z portalu aukcyjnego Lasów Państwowych: „Jako przykład można tutaj wskazać cenę płyty OSB – cena drewna wykorzystywanego do ich produkcji wzrosła w tym roku tylko o 3 proc., tymczasem w sklepach produkt ten zdrożał 10-krotnie". To zdanie wprost przekopiowane z informacji przekazanej przez ministerstwo na początku sierpnia. O wzroście „jedynie o 3 procent" pisał też wiceminister Edward Siarka w odpowiedzi na interpelację poselską... 28 czerwca!

W sprzedaży aukcyjnej ceny drewna wzrosły w ciągu roku dwukrotnie, ale polskie tartaki i tak mają problemy z zaopatrzeniem. **Dlatego branża chce zakazać eksportu.**

Rafał Szefler dodaje, że ministerstwo świadomie od ponad pół roku powołuje się na dane z końca kwietnia, sprzed majowej tury aukcji, która przyniosła gwałtowny skok cen. – Liczę ten wzrost cen punkt po punkcie, przeglądając tysiące aukcji. Powoływanie się na stare statystyki i mówienie o trzyprocentowym wzroście cen to jest manipulacja – mówi. – Ceny drewna wzrosły o sto procent w ciągu roku i to powie panu każdy właściciel tartaku w Polsce.

Zapytałem ministerstwo o źródło i aktualność podawanych w oficjalnych pismach danych. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Zbyt odważne słowo

Na moje pytania do dnia oddania tekstu nie odpowiedziały też Lasy Państwowe. Pytałem m.in. o nowe zasady sprzedaży drewna, które będą obowiązywać w 2022 i 2023 r., a zmian jest sporo. Po pierwsze, cena nie będzie już jedynym kryterium oceny ofert na Portalu Leśno-Drzewnym. Premiowane będą te firmy, które nie tylko kupują, ale same przetwarzają drewno i robią to na terytorium Unii Europejskiej. Patrząc jednak na wagi poszczególnych kryteriów, zmiana wydaje się tylko kosmetyczna.

– Mimo wszystko nowe zasady sprzedaży drewna na Portalu Leśno-Drzewnym można traktować jako krok w dobrą stronę – mówi Rafał Szefler. – Chociaż „krok" to stanowczo zbyt odważne słowo, skoro nadal 85 proc. oceny oferty to kryterium wyższej ceny. Powiedzmy, że jest to zmiana w dobrą stronę, ale prawdziwie znaczący krok dopiero trzeba zrobić.

Jest za to jeden poważny krok wstecz. Od przyszłego roku nie 20, a 30 proc. drewna trafi na otwarte aukcje, gdzie tak łatwo o spekulacje i windowanie cen.

– Kryterium ceny powinno mieć znacznie mniejszą wagę, my proponujemy 50, 60 procent – tłumaczy Szefler. – Inaczej staniemy się wyłącznie zapleczem surowcowym dla zagranicznych koncernów, a wiele polskich tartaków trzeba będzie po prostu zamknąć. Musimy potraktować drewno tak jak każdy inny surowiec strategiczny i przez mądre regulacje chronić własne interesy.

15 października przed Kancelarią Premiera odbył się protest przedstawicieli branży drzewnej. Ich propozycje w obecnych, wolnorynkowych realiach wydają się nierealistyczne – np. zupełna blokada eksportu jest niemożliwa, jeśli nadal planujemy być członkiem Unii Europejskiej. Jednak oczekiwanie, że ścięte w Polsce drzewo pozwoli na zarobek polskiej firmie tworzącej tutaj miejsca pracy, wydaje się naturalne. O drewnie, zwłaszcza w dobie kryzysu klimatycznego, musimy zacząć myśleć jako o dobru narodowym.

Lasy Państwowe każdego roku pozyskują około 40 mln metrów sześciennych drewna. Ta liczba już dawno przestała rosnąć, a w ostatnich latach nawet spadła, podobnie jak wyhamowało prawie do zera tempo nowych zalesień. Dodatkowo Europejski Zielony Ład, czy chcemy czy nie, najprawdopodobniej wymusi ochronę dużych obszarów leśnych. Tym, co mamy, musimy zacząć optymalnie zarządzać. Gospodarowaniu lasami nie mogą już przewodzić wyłącznie kryteria gospodarcze i dążenie do łatwego zysku. Las ścina się łatwo, ale na jego odbudowę trzeba czekać dziesiątki lat.

©℗ KRZYSZTOF STORY

POŻEGNANIE

Msza święta za spokój dusz

Ś. † P.

Henryka Niewodniczańskiego

w 53. rocznicę śmierci
oraz jego żony Ireny z Prawocheńskich w 31. rocznicę śmierci
i syna Tomasza w 12. rocznicę śmierci

zostanie odprawiona w kościele pw. św. Marka w Krakowie
16 stycznia 2022 r. o godz. 10.15

PRZEMYSŁAW WIERZCHOWSKI / REPORTER

„Pełna kultura – puste konta". Pracownicy kultury domagają się wyższych płac. Warszawa, 6 grudnia 2021 r.

Cała prawda o naszych zarobkach

PIOTR WÓJCIK

Średnia krajowa nie mówi prawdy o naszych zarobkach. Tak naprawdę aż dwie trzecie Polaków zarabia mniej. Krezusów otrzymujących co miesiąc ponad 11 tys. zł jest zaledwie 6 procent.

Podawane co miesiąc przez GUS przeciętne wynagrodzenie wielu ludziom może działać na nerwy. Miliony Polaków wpadają przez nie w kompleksy, bo widzą, że zarabiają sporo mniej. Wściekłość muszą odczuwać także ci, którzy od dłuższego czasu nie dostali podwyżki. Przecież GUS regularnie raportuje wzrost płac, więc skąd oni biorą te statystyki? Na szczęście co dwa lata analitycy GUS litują się nad nami i publikują znacznie dokładniejsze informacje dotyczące nadwiślańskiej drabiny płacowej. I one mówią już o przeciętnym Polaku znacznie więcej.

Papierowa średnia

Dlaczego nie wszystko? Ponieważ dane GUS obrazują sytuację w przedsiębiorstwach zatrudniających więcej niż 9 pracowników. Nie obejmują one mikrofirm, w których pracuje ponad 4 miliony Polek i Polaków. Tymczasem w takich właśnie miejscach zarabia się znacznie mniej, czego zresztą dowodzi sam GUS w innej publikacji, skupiającej się na sytuacji w mikroprzedsiębiorstwach. W 2019 r. przeciętne wynagrodzenie wyniosło tam 3349 zł brutto, a więc było o prawie tysiąc złotych niższe od ówczesnej średniej krajowej. Warto jednak pamiętać, że w najmniejszych firmach króluje płacenie pod stołem (w celu nielegalnego unikania podatków). Według analizy Polskiego Instytutu Ekonomicznego co trzeci zatrudniony otrzymuje w nich część wypłaty poza umową. W całej gospodarce – „jedynie" co ósmy. Gdyby uwzględnić wszystkie wypłaty pod stołem, średnia krajowa w 2019 r. byłaby wyższa o 240 zł.

– Dopóki jakość danych z najmniejszych firm się nie zmieni, możemy mówić jedynie o ogólnych trendach w gospodarce, a nie o konkretnych wartościach – uważa dr Jakub Sawulski z Polskiego Instytutu Ekonomicznego.

Niestety, obecnie musimy się opierać na danych, które są dostępne. Wedle wspomnianego raportu GUS, średnie wynagrodzenie w październiku 2020 r. wyniosło 5748 zł brutto, jednak dwie trzecie pracowników zatrudnionych w firmach powyżej dziewięciu osób zarabia mniej. Nic więc dziwnego, że dla większości aktywnych zawodowo Polaków średnia krajowa stała się jedynie pustą statystyką, którą ciągną w górę gigantyczne zarobki zdecydowanej mniejszości zatrudnionych.

Tymczasem spośród dziewięciu wielkich grup zawodowych, jakie wykazuje GUS w strukturze płac, jedynie ↦

↦ w dwóch zarabia się średnio więcej, niż wynosi przeciętne wynagrodzenie w kraju. Mowa tu o najwyższych urzędnikach i kadrze kierowniczej, która otrzymuje ponad 80 proc. więcej, oraz o specjalistach, którzy dostają prawie jedną czwartą ponad średnią krajową.

W pozostałych siedmiu wielkich grupach zawodowych zarabia się poniżej średniej. O ile jednak „technicy i średni personel" otrzymują wypłaty niższe o 2 proc. od przeciętnych, to w pozostałych sześciu grupach zarabia się mniej o przynajmniej jedną piątą. W dwóch najsłabszych („pracownicy usług i sprzedawcy" oraz „pracownicy wykonujący prace proste") zarabia się ponad jedną trzecią mniej niż średnio w całej Polsce. W tych dwóch grupach aż 95 proc. pracowników nie jest w stanie zarobić przeciętnej krajowej!

Wielkie grupy zawodowe są również bardzo zróżnicowane wewnętrznie. Np. kategoria „specjalistów" obejmuje zarówno informatyków, jak i nauczycieli. Ci pierwsi bez problemu zarabiają 10 tys. zł i więcej, a ci drudzy mają problem z osiągnięciem średniej krajowej. Najlepiej wynagradzana grupa obejmująca władzę, najwyższych urzędników i kadrę kierowniczą, także jest niespójna. Są w niej zarówno dyrektorzy z prywatnych korporacji, których pensje sięgają kilkudziesięciu tysięcy złotych, jak i naczelnicy wydziałów w urzędach gmin, którzy zarabiają wielokrotnie mniej.

Pracownik środka

Dochody statystycznego pracownika znad Wisły najlepiej odzwierciedla nie średnia, znacznie zawyżana przez kadrę kierowniczą i specjalistów, ale mediana płac. Obrazuje ona zarobki pracowników będących dokładnie w środku drabiny płac (połowa zarabia mniej od wskazanej kwoty, połowa więcej). Mediana w październiku 2020 r. wyniosła według GUS 4703 zł brutto – ponad tysiąc złotych mniej od średniej. Połowa polskich pracowników przed rokiem zarabiała więc co najwyżej 3404 zł na rękę. Od przyszłego roku, w efekcie reformy podatkowej Polskiego Ładu, pensja netto takiego pracownika wzrośnie do 3471 zł, a więc o 67 złotych. Jak widać, Polski Ład, wbrew szumnym zapowiedziom, nie będzie rewolucją dla pracujących na etacie. Większość z nich otrzyma podwyżki rzędu kilkudziesięciu lub nawet kilkunastu złotych netto miesięcznie.

Przeciętna Polka poświęca na pracę domową 295 minut dziennie, tymczasem statystyczny Polak jedynie 159 minut.
W tygodniu daje to niemal dwie dniówki różnicy, za które nikt kobietom nie zapłaci.

Trzeba jednak przyznać, że od 2016 r. mediana płac w Polsce wzrosła o ponad jedną trzecią, a więc solidnie. To efekt w głównej mierze świetnej koniunktury na rynku pracy. Dzięki niej stopa bezrobocia w 2016 r. wynosiła 6,2 proc., ale w 2020 r. była już o połowę niższa. Brak rąk do pracy zwiększa siłę przetargową pracowników, dzięki czemu mogą oczekiwać wyższych pensji.

Problemem jest jednak inflacja. Od października 2016 do października 2020 r. ceny wzrosły o jedną dziesiątą. Inflacja przyspieszyła jednak tak naprawdę dopiero w tym roku – w listopadzie ceny były wyższe już o 18 proc. niż 5 lat wcześniej! Zakładając, że przykładowy pracownik zarabiający medianę nie dostał od roku podwyżki, to inflacja zjadła połowę jego wzrostu wynagrodzenia od 2016 r. Nie jest więc prawdą, iż tegoroczna inflacja sprawia, że biedniejemy – faktem pozostaje jednak, że znaczna część wzrostu płac jest przez nią konsumowana.

W najsłabszych grupach zawodowych (sprzedawcy i pracownicy niewykwalifikowani) średnie zarobki urosły nawet nieco bardziej niż mediana, bo nominalnie o ponad jedną trzecią od 2016 r., a realnie o jedną piątą. Bez wątpienia to zasługa m.in. solidnych podwyżek płacy minimalnej, która w latach 2016-2020 wzrosła z 1850 do 2600 zł. Co ciekawe, w najlepiej zarabiającej grupie (najwyżsi urzędnicy i kadra kierownicza) płace realne wzrosły najmniej ze wszystkich grup, bo jedynie o 2 proc. To najprawdopodobniej efekt ucieczki najlepiej zarabiających w samozatrudnienie – w ostatnich kilku latach liczba podatników rozliczających się podatkiem liniowym wzrosła aż o 200 tys. osób. Oni w zestawieniu GUS nie są wykazywani, gdyż formalnie prowadzą działalność gospodarczą.

Wyższy wzrost płac realnych mniej zarabiających nie oznacza jednak, że podwyżki towarów, energii i usług uderzają w nich w mniejszym stopniu. Wręcz przeciwnie – strata 7 proc. pensji boli bardziej pracowników zarabiających płacę minimalną niż tych z pensją 20 tys. zł. – Ci pierwsi ledwo wiązali koniec z końcem jeszcze przed wzrostem kosztów życia. Druga grupa może wciąż wydawać więcej bez zastanawiania się, bo ją po prostu na to stać – wskazuje prof. Ryszard Szarfenberg z Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego.

– W przypadku gospodarstw o wysokich dochodach wysoka inflacja może oznaczać, że zrezygnują z konsumpcji niektórych dóbr tzw. wyższego rzędu, np. rzadziej wyjdą na kolację do restauracji – dodaje dr Jakub Sawulski. – W przypadku gospodarstw domowych o niskich dochodach może to oznaczać, że nie będą miały wystarczających środków na zaspokojenie podstawowych potrzeb: wyżywienia czy ogrzania mieszkania.

Nierówności trochę mniejsze

W wielu krajach szybki wzrost gospodarczy oraz idące za tym podwyżki płac nie „rozlewają się" sprawiedliwie po całym społeczeństwie, ale raczej pogłębiają nierówności. Z danych GUS wynika, że w Polsce nie jest z tym najgorzej. Przede wszystkim znacząco spadła liczba biednych pracujących, czyli zarabiających mniej niż połowę średniego wynagrodzenia. W 2020 r. było tych osób 13 proc. – mowa o kwocie 2874 zł brutto, a więc 2114 zł na rękę. Ci najbiedniejsi pracownicy stosunkowo najwięcej zyskają na Polskim Ładzie, gdyż w największym stopniu odczują wzrost kwoty wolnej od podatku – ich pensja netto wzrośnie o ok. 150 złotych. Co ósmego pracownika w Polsce można będzie więc zakwalifikować do pracujących zagrożonych ubóstwem. To dużo, jednak w 2016 r. ryzyko biedy zaglądało w oczy co szóstemu.

Swoje zrobiło także wprowadzenie minimalnej stawki godzinowej oraz ogólna koniunktura na rynku pracy związana z rozgrzaną polską gospodarką. – Brakowało na pewno pracowników o niższych kwalifikacjach i stąd ich płace mogły rosnąć nieco szybciej niż inne – mówi prof.

Michał Brzeziński z Wydziału Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego.

Znacznym podwyżkom płacy minimalnej towarzyszyły często krytyczne opinie, wedle których pracodawcy nie będą w stanie ponieść tych kosztów. A więc albo będą zwalniać, albo rezygnować z podwyżek dla pracowników zarabiających trochę więcej niż płaca minimalna. W pierwszym scenariuszu musielibyśmy zauważyć rosnące bezrobocie, co nie miało miejsca. Wręcz przeciwnie, od 2016 r. spadło o połowę, a rąk do pracy brakuje także w najniżej opłacanych zawodach, szczególnie w handlu.

W drugim scenariuszu powinien natomiast wzrosnąć odsetek osób zarabiających najniższą dopuszczalną pensję. Także w tym przypadku nic podobnego nie miało miejsca. Według GUS w 2020 r. 7,8 proc. zatrudnionych zarabiało co najwyżej pensję minimalną (tj. 2600 zł brutto). Tymczasem w 2016 r. płacę minimalną (1850 zł brutto) lub jeszcze mniej otrzymywało 9 proc. pracowników.

Interesujące są też dane na temat polskiej klasy średniej. Według GUS między 100 a 200 proc. średniego wynagrodzenia zarabia 28,5 proc. pracowników. Mowa więc o przedziale zarobków od 5,8 do 11,5 tys. zł. Tych właśnie pracowników obejmie „ulga dla klasy średniej", czyli skomplikowany algorytm, dzięki któremu nie stracą oni na Polskim Ładzie.

Poniżej 5,8 tys. zł zarabia dwie trzecie Polaków, przy czym największą grupę pracowników (prawie jedną trzecią) stanowią otrzymujący między 2,9 a 4,4 tys. zł brutto. Zaledwie 6 proc. zatrudnionych dostaje co miesiąc ponad 11,5 tys. zł, a ledwie co pięćdziesiąty ponad 17 tys. zł. Polska jest więc nadal krajem raczej niskich płac, a zarabiający po kilkanaście tysięcy złotych miesięcznie należą do tutejszej elity finansowej.

Płcie od siebie oddalone

Struktura płac w Polsce w ostatnich latach nieco się spłaszczyła, a nierówności finansowe lekko spadły. Podobnie jak nierówności płciowe, czyli tzw. *gender pay gap*. Miesięczne wynagrodzenie mężczyzn w 2020 r. było wyższe o niecałe 15 proc. od średniej pensji kobiet. To dużo, ale na tle państw zachodnich i tak wypadamy dobrze. Jeszcze cztery lata wcześniej miesięczna *gender pay gap* wynosiła u nas 18,5 proc. Nadal jednak spośród 10 proc. najlepiej zarabiających pracowników nad Wisłą aż dwie trzecie stanowią panowie. Więcej niż dwukrotność średniej krajowej zarabia 8 proc. mężczyzn i tylko 4 proc. kobiet.

– Genderowa luka płacowa może być ograniczana na kilka sposobów. Wśród tych sprawdzonych jest np. umieszczanie więcej niż jednej kobiety na krótkich listach kandydatów do rekrutacji lub promocji, jasne komunikowanie zakresu zarobków na oferowanych stanowiskach, a także przejrzystość w zasadach promocji, wynagradzania i nagród – tłumaczy prof. Szarfenberg.

Różnice w zarobkach między płciami są bardzo wyraźne także w obrębie tych samych grup zawodowych. Przykładowo specjaliści płci męskiej średnio zarabiają 8230 zł brutto, tymczasem specjalistki 6406 zł – aż 22 proc. mniej. Wśród techników i średniego personelu różnica w wynagrodzeniach miesięcznych wyniosła niecałe 20 proc. na korzyść panów. Właściwie w każdej wielkiej grupie zawodowej mężczyźni zarabiają więcej niż kobiety, a jedynie w przypadku prac biurowych oraz rolnictwa i ogrodnictwa można powiedzieć, że te różnice są mało istotne.

– Luka płacowa bierze się z trzech głównych powodów. Pierwszym są różnice w zawodach wykonywanych przez kobiety i mężczyzn. Np. mężczyźni częściej pracują jako informatycy, a kobiety częściej jako nauczycielki. Druga przyczyna to dyskryminacja płacowa. Kobiety rzadziej niż mężczyźni są awansowane na wyższe stanowiska, nawet jeśli mają podobne kwalifikacje. Dostają też niższe płace, nawet jeśli pracują na tych samych stanowiskach. Trzeci powód jest wciąż związany z rolami społecznymi. Kobiety dużo bardziej poświęcają się wychowaniu dziecka niż mężczyźni – przekonuje dr Jakub Sawulski.

Potwierdzają to dane OECD – przeciętna Polka poświęca na pracę domową 295 minut dziennie, tymczasem statystyczny Polak jedynie 159 minut. To wciąż jedna z największych różnic w krajach OECD. Oznacza ona, że tygodniowo panie w Polsce poświęcają na dom niemal 16 godzin więcej niż panowie. To dwie dniówki, za które nikt im nie płaci.

© PIOTR WÓJCIK

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego" dostępne na Legimi.pl

Pobierz aplikację Legimi na smartfon, e-czytnik, tablet lub komputer i czytaj wygodnie wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego".

TYGODNIK POWSZECHNY Legimi

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

JACEK

Podsiadło

Szokująca sprawa!!!

W pierwszych zdaniach obszernego wpisu na fejsbuchu Anna Augustyniak informuje: „zostałam we WSTRĘTNY i PRYMITYWNY sposób opisana przez niejaką panią Mirę Marcinów (...). Wiem dlaczego takie pomyje pani Marcinów na mnie wylała – czytelnicy zestawili »Bezmatka« (wyd. Czarne, 2020) z moją książką sprzed lat o śmierci matki pt. »Kochałam, kiedy odeszła« (wyd. Nisza, 2013) i zwrócili uwagę na liczne zapożyczenia". Odsyłacza do pomyj brak, zaś zapożyczenia okazują się tak liczne, że nie zmieściłyby się w internecie: „Nie ma tu miejsca na przytaczanie dłuższych partii obu tekstów i nie moją jest to rolą, zrzekam się jej na rzecz krytyka/krytyczki oraz uważnego czytelnika". Czyli Augustyniak zarzuca komuś kradzież, a przyjemność udowodnienia jej zostawia innym. Nazywa „Bezmatka" czymś „pomiędzy podróbką a przeróbką" jej książki, pisze też: „dla pani Marcinów moje »Kochałam, kiedy odeszła« było gotowcem, formatem do wypełnienia". Z czytelników, którzy „zestawili" i „zwrócili uwagę", wymienia tylko blogerkę Natalię Królikowską.

Ze skargi wynika, że obie książki, których nie czytałem, opowiadają o śmierci matki. W obu wzmiankuje się pieśń „Dobry Jezu...", trudności z oddychaniem podczas umierania, płyny wydobywające się z ciał po śmierci oraz wiarę, że umarli przez jakiś czas słyszą, nadto obu narratorkom zdarza się wtulać w ciało matki i obie wyjeżdżają nad morze. Zdaniem Augustyniak „Uderzające podobieństwo tkwi w przyjętej perspektywie oraz użytych środkach wyrazu. (...) A jednocześnie w »Bezmatku« mamy do czynienia z całą gamą przesunięć i przetworzeń względem »Kochałam, kiedy odeszła«". Tak się nakręciwszy, jedzie dalej równo: kiedy coś się w obu książkach nie zgadza, zarzuca Marcinów „przetworzenie", kiedy się zgadza, to znaczy, że „Marcinów nie oparła się pokusie". Przytacza jako podobne zdania w ogóle do siebie niepodobne. Opowiada: „Poczułam się okradziona ze swojej żałoby i napisałam pani Marcinów, że jestem w szoku, na co otrzymałam odpowiedź (cytuję): że mamy bliźniaczą wrażliwość, łączy nas w emocjach jakieś siostrzeństwo, że traktuje mnie jak lustro (...). Było to tzw. puste przymilanie się...". Przywołuje pismo, w którym Aldona Zawadzka niebędąca wydawczynią „Kochałam, kiedy odeszła" ogłasza, że jej wydawnictwo „jest zainteresowane wyjaśnieniem kwestii wprowadzenia do obiegu literackiego dzieła noszącego znamiona nadmiernej inspiracji dziełem innego autora" oraz prosi (nie wiadomo kogo, kopie listu wysłała w każdym razie m.in. do „Polityki", Czarnego, ZLP i ZAiKS-u) „o wnikliwą analizę i podjęcie działań zgodnych z zasadami etyki i prawa autorskiego". W tym miejscu żałuję, że nie jestem sekretarzem Moniki Sznajderman i tylko za ZAiKS mogę Zawadzkiej odpowiedzieć, że tak, pani szanowna, jak najbardziej! Absolutnie nie naruszając zasad etyki i prawa autorskiego dalej będziemy rżnąć w ZAiKS-sie w makao codziennie od siódmej do piętnastej, jupek czerwo!

Augustyniak kreśli czarną wizję życia literackiego w Polsce, gdzie „nie można podjąć publicznej dyskusji o granicach nadmiernej inspiracji, gdyż losy dużej części krytyków splatają się z potężnymi wydawnictwami, czyli tzw. »niewidzialną ręką rynku«. Ta ręka rozdaje karty [as żołędny, makao i po makale! – JP] i pieniądze. Ta ręka głaszcze swoich wybrańców i rozkręca modę na konkretne utwory i osoby". O własnej, nominowanej do Gryfii powieści pisze: „Z niewiadomych przyczyn nie zgłoszono książki do żadnego innego konkursu".

Poniżej 393 komentarze. Wypowiadają się nawet pisarze. Atmosfera jest niezwykle gorąca. Pisarzowi Sołtysikowi aż się kapslok włącza. „Coś absolutnie obrzydliwego". „Żałosne złodziejstwo..." „Żerowanie na cudzym bólu". „Jestem w szoku, że Mira robi coś takiego". „Draństwo". „Szalbierstwo..." „Świństwo!" „Chamski plagiat w wykonaniu pani Marcinów". „Znam metody działania Czarnego, doświadczyłam ich i na własnej skórze"... „PiS czy Czarne – władza pozostaje władzą, także tchórze, dupolizy i hipokryci..." „OBRZYDLIWOŚĆ! OHYDA! HUCPA!" Zabiera też głos blogerka Królikowska, ta jednak zarzuca manipulację Augustyniak: „posłużyła się w swoim poście niewielkim fragmentem (...). Tymczasem większość mojego tekstu podkreślała różnice między obiema książkami". Tym sposobem liczba wskazanych przez Augustyniak czytelników, którzy zestawili i zwrócili uwagę, spada do zera. Nikt jej nie uświadamia, że w spisku, który doprowadził do niezgłoszenia jej książki do nagród, musiała sama wziąć udział, gdyż w przypadku większości nagród regulamin zezwala zgłaszać książki każdemu. Za to w podejrzeniach utwierdza ją pisarka Bargielska: „obie książki, pod względem formy, wyglądają praktycznie identycznie ORAZ obie bohaterki po śmierci matki jadą nad morze. (...) Czy to już nie jest troszkę za dużo?". No właśnie nie! Gdyby Marcinów dla niepoznaki wysłała swoją bohaterkę w góry, to wtedy by było za dużo przesunięć i przetworzeń, które zdradziłyby ją jako plagiatorkę.

Mam nadzieję, że sprawa znajdzie swój finał w sądzie i że będę zaproszony. Szczególnie ciekaw jestem okazywania dowodów rzeczowych takich jak przyjęta perspektywa i środki wyrazu. I czy sąd nakaże zwrot przedmiotu kradzieży, tj. żałoby. Wyjdę pewnie na pustego przymilacza, ale na koniec pójdę w erudycję i błysnę cytatem z „Na pokładzie nie było nikogo" Sławomira Siereckiego z 1979 r.: „To był jej pierwszy kontakt z morzem. Nie były to wczasy. Przyjechała po śmierci matki, gdy została sama na świecie". ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim I Wydział Cywilny, pod sygnaturą I Ns 852/20 na wniosek Andrzeja Jana Gnypka toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Teresie Gnypek, zm. 28 kwietnia 2020 r. w Warszawie, ostatnio stale zamieszkałej w Sulejówku.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w szczególności Sebastian Andrzej Richardt, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

„TP" 51-52 / 2021

A na deser felietony

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem w świątecznym numerze „TP" historię pierogów i ich rozlicznych odmian z różnych stron świata. Sam jestem amatorem tego dania, niezależnie od kształtu, zawartości czy miejsca pochodzenia. W ramach uzupełnienia chciałbym wspomnieć o jednej z europejskich wersji pierogów, a mianowicie o wywodzących się z Niemiec południowo-zachodnich, dokładnie z Badenii, *Maultaschen*. Owe maultasze (po polsku można pisać już z małej litery) to nic innego jak polskie pierogi, tylko kwadratowe. Mieszkałem przed wielu laty w Badenii, bywam tam regularnie i zawsze w programie wizyt w Stuttgarcie i okolicy musi być kolacja z domowymi maultaszami. Serwowane są one przeważnie w głębokim talerzu z rosołem lub podsmażane na maśle z drobno posiekaną cebulką albo szczypiorkiem. Ciekawa jest legenda pojawienia się tego dania na badeńskich stołach. *Maultaschen* – według tej legendy – pojawiły się w czasach wojny trzydziestoletniej, a więc dużo później niż opisywane przez red. Kuźmińskiego odmiany pierogów. Pojawiły się w zachowanym do dziś (choć obecnie już zsekularyzowanym) klasztorze cystersów w mieście Maulbronn koło Stuttgartu. Wojna trzydziestoletnia to także okres głodu w Niemczech, więc jadało się, co się trafiło, grymasić nie należało. Mnichom trafiła się niespodziewanie duża porcja świeżego mięsa, a ponieważ stało się to w czasie Wielkiego Postu, aby nie złamać obowiązującego wówczas nakazu wstrzymania się od pokarmów mięsnych i jednocześnie nie marnować darów Bożych, zapakowali posiekane mięso wraz z innymi składnikami do „torebek" czy „kieszonek" (*Taschen*) z rozwałkowanego – czyli postnego! – ciasta z wody i mąki pszennej. Sądzili, że dobry Pan Bóg nie dojrzy, co w środku owych taszek ze zwykłego ciasta się kryje, i sprytni mnisi uchowają się w ten sposób przed Bożym gniewem. Czy legenda ma coś z prawdy? Pewnie tyle, co każda legenda. Nazwa od miasta Maulbronn oraz niemieckiego słowa określającego torbę czy kieszeń pozostała jednak do dziś. Produkt ten doczekał się nawet oficjalnej rejestracji w Unii Europejskiej jako *schwäbische Maultaschen*, czyli szwabskie maultasze. Refleksja autora na temat dziedziczenia – co drugie pokolenie – zamiłowania nie tyle do konsumpcji, ile do produkcji domowych pierogów, jest niezwykle trafiona w przypadku mojej rodziny. Niezrównaną specjalistką w produkcji pierogów (nie tylko wigilijnych) była moja teściowa, obecnie z racji wieku już mało aktywna w pracach domowych. Ja z żoną popełniłem raz w życiu pierogi – z jagodami. Natomiast obie nasze córki do lepienia pierogów mają po dwie prawe ręce, o czym przekonaliśmy się po raz kolejny przy wigilijnym stole. Pozdrawiam autora artykułu i całą redakcję, a szczególnie felietonistów. A że felietony w „TP" czytam na deser, więc w numerze świątecznym do nich jeszcze nie dotarłem. Widząc objętość tego numeru – droga przede mną daleka.

TOMASZ SIEMEK

Nie jesteśmy sami

Dokonałam kolejnej prenumeraty „Tygodnika" – na 2022 rok. Jest to prezent świąteczny dla mojej mamy. Zeszłoroczna prenumerata, która była również prezentem, sprawiła jej bardzo dużo radości, ale i otuchy oraz pocieszenia. „TP" dla mamy stał się szczególnym wsparciem po tym, jak w połowie roku, po długiej i ciężkiej chorobie, odszedł mój tato. Dziękuję! Cotygodniowy numer jest z niecierpliwością wyczekiwany przez mamę, i choć od kilku miesięcy mieszka sama, to tak naprawdę nie jest sama. Jesteśmy my, jej dzieci z naszymi rodzinami, ale jesteście również Wy – dziennikarze, reporterzy, felietoniści, wydawcy. I nieoceniony Redaktor Senior, ks. Adam Boniecki. Nisko się kłaniam i serdecznie pozdrawiam. A że i w Was, i w nas wiara oraz nadzieja nie umierają, to w nowym roku życzę powrotu do normalności. Ona na pewno w końcu nadejdzie.

JOANNA BABIAK

REKLAMA

Jedna z najlepszych książek (poza Biblią) o Jezusie Chrystusie!

C. Heck, lbib.de

- książka przybliża fascynującą postać Jezusa
- stawia czoło mitom, uprzedzeniom i półprawdom, które wokół Niego narosły
- prezentuje źródła wiedzy (biblijne i pozabiblijne)

cena 39,90 zł

Święty Wojciech wydawnictwo

PATRONI Republika TVP3 Poznań Przewodnik Katolicki Emaus dobre radio Kai Aleteia www.aleteia.pl OPOKA .org.pl

Księgarnia internetowa www.swietywojciech.pl, tel. 61 659 37 55, sklep@swietywojciech.pl

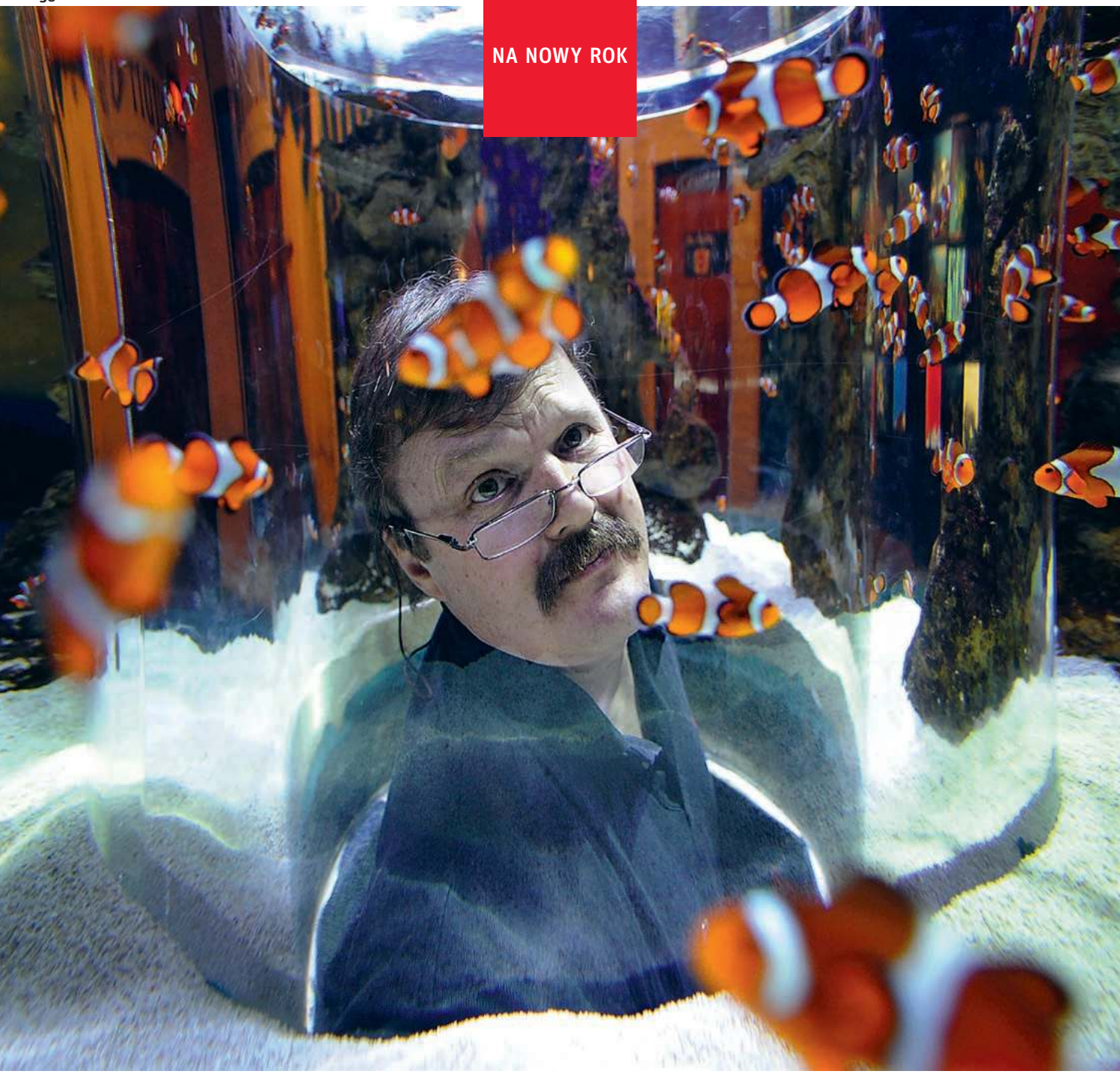

CHYBA PRZECHRZTA

JERZY JURECKI, TWÓRCA „TYGODNIKA PODHALAŃSKIEGO":

Na początku nie mieliśmy kasy. „Co to jest spółka z o.o.?", pytaliśmy zaprzyjaźnionego mecenasa. „Musicie jak najwięcej ludzi przyprowadzić do sądu w jednym momencie". Przyprowadziliśmy 28 osób.

JERZY JURECKI jest dziennikarzem, twórcą i wydawcą „Tygodnika Podhalańskiego", gazety przygotowywanej głównie z myślą o mieszkańcach powiatów tatrzańskiego i nowotarskiego, ale sprzedawanej też w Krakowie i Chicago. „Dziennikarz Roku 2012" według miesięcznika „Press".

BARTEK DOBROCH: Ja tu niby na wywiad, ale tak naprawdę chcę kupić 51 proc. udziałów w „Tygodniku Podhalańskim". Za ile?

JERZY JURECKI: Tak zapytał kiedyś Franek Bobak z Chicago, właściciel firmy Bobak Sausage, produkującej kiełbasy i szynki na całe Stany, gdy zagaiłem: „Kto jak kto, ale ty byś w życiu swojego imperium nie sprzedał". „Tak? A za ile?". Imperium skończyło się, gdy rozdzielił je między synów, a synowe się pokłóciły. Przeinwestowali, Franek się rozchorował, wrócił do Sierockiego i mieszka w starej drewnianej chałupie.

Tak więc, za ile? Musiałbyś tylko powiedzieć, komu chcesz nas potem przekazać. Bo był tu już ktoś, kto chciał kupić „Tygodnik", nie wiem, czy go przebijesz.

I nie był to Daniel Obajtek?

Nie! Jemu nie sprzedałbym z powodów ideologicznych. Władza nie jest od wydawania gazet i prowadzenia telewizji. Oni wiedzą, jaki jest stosunek do ich zakupów w naszym Stowarzyszeniu Gazet Lokalnych. Ale gdy opisywałem nieprawidłowości wokół przejęcia hoteli w Zakopanem, pojawił się tu człowiek od innego wpływowego biznesmena. Powiedział, że szef zapytał, co to za gazeta, która ich tak krytykuje, gdy tylko bronią swoich interesów. I że przyjechał nas kupić.

W 1994 r. zajęliście się problemem wyrzucanego ze szkoły w Nowym Targu Daniela Obajtka, ucznia, który, jak czytamy, „jest inteligentny, ale bardzo podatny na obce wpływy jeśli chodzi o pieniądze i władzę. Kiedyś może go to doprowadzić do katastrofy".

Był wtedy przewodniczącym rady uczniowskiej, niespokojnym duchem, a ja takich lubię. Podpisywałem się pod obroną tego chłopaka.

Ale przyszedłem rozmawiać o innym wydawcy prasy lokalnej. Wydawcy, a jednocześnie szeregowym dziennikarzu. Coś mi to też przypomina.

Mam nad sobą naczelnego, którego mogę też co prawda zwolnić, ale przez 32 lata nie zdarzyło się, bym powiedział, że nie zrobię czegoś, co mi kazał jeden z czterech naczelnych.

I tak wszyscy utożsamiają „Tygodnik Podhalański" z Tobą, choć na Podhale przyjechałeś jako krakus. Rozmawiamy dokładnie w 40-lecie wprowadzenia stanu wojennego. On Cię zastał jeszcze w Krakowie?

Tak, studiowałem na AGH, do Zakopanego przyjechałem w 1983 r., zaraz po wizycie papieża w Dolinie Chochołowskiej i jego spotkaniu z Wałęsą. Zatrudniłem się w schronisku, gdzie chciałem pisać pracę magisterską, co okazało się niemożliwe, bo pracownika recepcji co wieczór ktoś z niej wyciągał. A potem okazało się, że 90 proc. ówczesnej ekipy schroniska było współpracownikami Służby Bezpieczeństwa.

Chciałeś zostać ratownikiem górskim, a przez ratownika byłeś inwigilowany.

Pomagałem w dyżurach. Jan Miłek dostał polecenie od SB, żeby się ze mną zaprzyjaźnić. Złożył donos, że chcę się dostać do ówczesnego GOPR-u. Przez 30 lat myślałem, że byłem za cienki, żeby zostać ratownikiem. Tymczasem zapadła decyzja: doprowadzić do tego, żeby Jureckiego nie przyjęli. Marzenie prysło.

Przyszło inne. Na początku był „Biuletyn Podhalański".

Ożeniłem się w Zakopanem, wiedziałem, że tu się zadomowię. Jedna z parafii organizowała projekcje zakazanych filmów. Na „Przesłuchaniu" poznałem polonistę Wojtka Mroza. Wymyśliliśmy, że będziemy robić pismo. Robiłem wcześniej podziemną gazetkę na AGH. Kolega drukarz pokazał nam, jak naciągnąć matryce w maszynie drukarskiej, którą trzymaliśmy na stryszku w góralskiej chałupie w Dzianiszu. Okazało się po latach, że był TW i parę dni później pojechał z ubecją nas zgarnąć przy drukowaniu, tylko pomylił chałupy.

Do 1987 r. próbowali nas znaleźć. Wtajemniczaliśmy góralską rodzinę, że drukujemy kościelne pisma. To była kwestia wiary, że oni nas nigdy nie wydali.

Na okładce pierwszego numeru „Tygodnika Podhalańskiego" czytam: „Wydawanie pisma jest dla nas formą rozmowy. Zwłaszcza tu, na prowincji, powinniśmy podjąć próbę odbudowania zerwanych więzów". Miastowi przyjechali na Podhale odbudowywać więzy, które inni miastowi zerwali?

Chociaż był z nami Maciek Krupa, góral, ale tak inny od większości, że jak tu się mówi, chyba przechrzta. Wydawało nam się, że najważniejsze jest edukowanie ludzi poprzez pisanie, w czym „Solidarność" jest lepsza od komuny. To nie była gazeta lokalna.

Data wydania pierwszego numeru: 24 grudnia 1989 r. Pierwsza Wigilia wolnej Polski.

By go wydać, musieliśmy jeszcze jechać na Mysią po zgodę cenzora. Nikt nie wiedział, czy nie będziemy musieli przesuwać terminu. Firma jako taka powstała rok później.

Nie mieliśmy kasy. Sprzedawaliśmy z Wojtkiem hamburgery na Krupówkach. On miał kontakt z Zofią Kuratowską. Startowała na senatora, a my organizowaliśmy jej wybory. Po nich przywiozła nam 2 tysiące dolarów gotówką. „Co to jest spółka z o.o.?", pytaliśmy zaprzyjaźnionego mecenasa. „Musicie jak najwięcej ludzi przyprowadzić do sądu w jednym momencie", powiedział. Przyprowadziliśmy 28 osób. Woziłem ich maluchem, kupionym dzięki pracy w restauracji La Bella Italia w Londynie, który na studiach służył do transportu butelek z koktajlem Mołotowa.

W Radzie Programowej też był koktajl: Zofia Kuratowska obok Zbigniewa Romaszewskiego, a do tego ksiądz pallotyn.

Prawa ręka księdza Drozdka demaskowanego potem przez nas jako TW „Ewa". Romaszewski nienawidził później Kuratowskiej. „Jak ty możesz ją zapraszać, przecież jej mężem jest stary komuch" – wytykali mi z kolei koledzy. Ale wszyscy ↦

↦ bawili się razem na zorganizowanym przez nas sylwestrze. Gazeta sprzedawała się jednak coraz słabiej.

I stała się dla Was windą do zaangażowania politycznego czy samorządowego.

Kompletnie bez sensu! Kto jak nie my? – wydawało się nam. Nie wiedzieliśmy, że dziennikarz nie może łączyć funkcji z radnym czy posłem. Gdy trzeba było zwalić pomnik radziecki na ówczesnym placu Zwycięstwa w Zakopanem, to myśmy go zwalili.

A potem sami to opisaliście?

I pokazaliśmy własne zdjęcia, jak walimy ten pomnik.

Pisali sami intelektualiści: Kuratowska, Krupa, Mróz, Maciej Pinkwart, o górach Apoloniusz Rajwa. Rysował Zygmunt Pytlik wywodzący się ze „Szpilek". „Celowaliśmy w »Tygodnik Powszechny«" – to Twoje słowa.

Byliście naszym autorytetem. I też popieraliśmy Mazowieckiego, skąd wzięły się pierwsze konflikty z góralami: oni murem za Wałęsą, a my za siłą spokoju.

Choć podejmowaliście burzliwe lokalne tematy. Na przykład: „Czy armia radziecka wyzwoliła Zakopane?".

Ale nie było o dziurach w mostach. Przyszedł moment, gdy wiedzieliśmy, że koniec z polityką. Nasz czytelnik to pani Marysia i pan Józek, który nam tu rąbie drewno. Jednocześnie Maciek Krupa dostał propozycję z BBC, Wojtek też się znudził, w drukarni były 2 miliardy starych złotych długu i większość udziałowców chciała sprzedać udziały. Wkrótce miałem więcej niż 50 proc. Zaczęliśmy wtedy patrzeć na „Tygodnik" jak na firmę, chodzić za reklamami, robić gazetę lokalną, zajmującą się Zakopanem, Nowym Targiem, okolicami i ona zaczęła się sprzedawać. Jak się trzech górali spotyka, to czwarty musi być z „Tygodnika" – to się stało naszą zasadą. Bycie przy czytelnikach, przy ich problemach.

Wtedy stałeś się dziennikarzem śledczym?

Najbardziej niebezpieczna robota dotyczyła urzędu skarbowego, któremu podlegaliśmy. Podejrzaną o korupcję dyrektorkę obserwowałem przez pół roku praktycznie dzień w dzień. Po pierwszym tekście przyszła do nas ośmioosobowa kontrola, wysłana przez krakowską skarbówkę, do której kierowniczki dyrektorka woziła mięso. Organizowała też wczasy w swoim pensjonacie w Białce. Jej pracownik wynajmował tam lokal na dwa tygodnie, za co otrzymywał premię, a tam przyjeżdżał ktoś z ministerstwa z rodziną i pani Bożenka woziła go z góralem saneczkami. Stworzyła mechanizm, który sprawiał, że wszyscy jej potem bronili. Ale ponad 90 osób zeznało w sądzie, że dawała łapówki.

Wcześniej, w 1994 r., w przebraniu słowackiego strażaka przekroczyłeś nielegalnie granicę, gdy płonęła przygraniczna Suchá Hora.

Usłyszałem, że płonie wieża kościelna. Nie miałem przy sobie paszportu. Padłem na kolana przed strażnikami granicznymi, ale nie puścili. Słowacki wóz gaśniczy jeździł po wodę do rzeczki w Chochołowie. Strażacy dali mi kurtkę i przejechałem z nimi na sygnale granicę.

I tak zagraniczne pożogi zaczęły interesować lokalnego dziennikarza.

Siłą napędową byli dziennikarze, którzy zaczęli do nas przyjeżdżać, z Tunezji, Birmy, a najpierw z Białorusi, gdzie od połowy lat 90. współzakładaliśmy kilkadziesiąt gazet lokalnych. W Kairze w trakcie rewolucji zostaliśmy z synem-fotoreporterem porwani. Ofiary trzęsienia ziemi na Haiti były na pierwszej stronie „Tygodnika Podhalańskiego".

Dzisiaj w mediach społecznościowych pytaliby, co ten gryzipiórek z prowincji robi na Haiti. Jechałem tam, gdzie działa się krzywda ludzka. To też wynika z tego, że my wyrośliśmy z walki o wolność. Dlatego jechałem na Kubę, skąd mnie niestety deportowali, i byłem w Kijowie, gdy strzelano do ludzi na ulicy Bankowej.

A teraz liczysz, że ludzi na Podhalu, Orawie i Spiszu zainteresuje los zamarzających na granicy?

Chcę ich przekonać, że warto być człowiekiem. Podobnie wyjeżdżali górale do Ameryki szukając lepszego życia, a cały czas słyszę tu narrację, że to nie są uchodźcy, ale migranci, którzy uciekają, by mieć lepszą pracę.

A czy to coś złego? Ja jeździłem z Wojtkiem do Niemiec stawiać rusztowania, do Francji zbierać truskawki, do Norwegii malować domy. Wszędzie po to, żeby lepiej żyć. Ale nikt nas nie przeganiał, choć granicę przekraczaliśmy legalnie, czego tamci ludzie nie mają możliwości. Pytam kumpla Syryjczyka, który jest lekarzem na Śląsku: „Czy ty nie przekonujesz znajomych w Syrii, by dali sobie spokój?". A jego szwagier pyta go: „Czy na tej granicy jest gorzej, niż my mamy tutaj?".

Twoja rozpoznawalność w regionie bywa ograniczeniem. Dlatego w dziennikarskim śledztwie musiałeś przebrać się za bohatera z „Gwiezdnych wojen"?

Wiedziałem już rok wcześniej, że dyrektor ośrodka kultury w Czarnym Dunajcu bierze łapówki na Hołdymasie, ale rozpoznałby mnie tam każdy łącznie z nim. Zobaczyłem na Krupówkach grupę chłopaków przebranych w kostiumy z „Gwiezdnych wojen". Mieli jeszcze jeden wolny strój, Chewbaccę. Przebrałem się i pojechałem razem z nimi na ten festyn dożynkowy. Ludzie do nas podchodzili, robiliśmy zdjęcia. Czekałem na dyrektora, pojawił się jak zwykle pijany, siadał przy każdym stoliku i każdy góral dawał mu kasę. I my też daliśmy.

Drobne przy skali dzisiejszych afer, ale wówczas ich ujawnianie miało, jak w przypadku senatora Skorupy, moc usuwania z szeregów partyjnych i list wyborczych.

Jego usunęli z żoną także z listy pasażerów lotu do Smoleńska. Ale nie ma w nim wdzięczności. Grupa, która czuje się ofiarami „Tygodnika", jest dość znaczna, chociaż to nie my każemy ludziom brać łapówki czy nielegalnie budować.

Mimo to nie zmieniliście Zakopanego na lepsze. Patodeweloperka kwitnie, nie przyjęła się ustawa antyprzemocowa.

Ale czy dziennikarze są w stanie zmienić ludzi? Są tematy, które trzeba uznać za porażkę. Ale co możemy więcej w sprawie wielkiego apartamentowca, który buduje się przy granicy Tatr, u wylotu Doliny Białego, niż pisać, pokazywać film

z lotu ptaka? Dawniej gdy pisaliśmy o nielegalnej budowie, to zaraz był tam nadzór budowlany. A jak o korupcji, to policja. A teraz sobie piszemy i nic. Taki jest dziś krajobraz w całej Polsce.

Ale wyobraźmy sobie, że nas nie ma. Jest tylko władza, samorząd i Regionalna Izba Obrachunkowa. Przed laty w jednej z gmin spotkaliśmy jej kontrolę na ognisku wraz z pracownikami urzędu, który kontrolowali.

Czy są tu sprawy, wobec których jesteś bezsilny?

Nie.

A płonące stare wille, w miejscu których powstają później deweloperskie inwestycje?

Prędzej czy później ktoś przyjdzie i opowie, czekam na to. Już byliśmy blisko.

Jak Ci się pracuje w Zakopanem, mieście, którego burmistrz w szczycie pandemii znika na kilka miesięcy, a odpowiedzialna za kulturę wiceburmistrzyni obraża się na radnych i dziennikarzy, uważając pytania o sylwestra w mieście za „szykany i pomówienia"?

Zrobiliśmy okładkę, jak burmistrz siedzi w szafie. Trzeba mieć też pretensje do wyborców, którzy tego kierowcę wybrali. Jak idą wybory, nie ma chętnych. Młodzi nie chcą startować, choć bycie burmistrzem Zakopanego powinno być nobilitacją. To też przez dobór negatywny, który widać wśród startujących do rady miasta. Bo spotykam się i z czymś takim: „A wies, staruje, bo mi płotu nie dają postawić".

A potem trzeba stawiać się nie tylko lokalnym władzom, ale też tym, którym one ulegają. Choćby Jackowi Kurskiemu.

Gdy próbował zorganizować sylwester pod Krokwią, nagraliśmy piosenkę o misiu, którego chcieli nam zbudzić, i zbudziliśmy mieszkańców. Młodzież sama wyszła na ulice i zaczęła upominać się o wartości tutaj najważniejsze. Kurski, człowiek, który ma władzę nieograniczoną, się wycofał.

Ale w tym roku wrócił, choć nie pod Krokiew.

I wróciła też dyskusja, jakie ma być Zakopane. Ktoś, kto organizuje coś takiego w tym mieście, tak naprawdę go nie lubi, kompletnie nie rozumie, nie szanuje historii, tradycji.

Ale może nie ma już tu tradycji, wyparły ją inne gusta?

Gusta można kształtować. Jeśli zapraszamy Zenka Martyniuka, to zapraszamy też gawiedź, która przyjeżdża tu na jedną noc, sika po ścianach i wyjeżdża. Zakopiańczykom ten model miasta nie odpowiada, z kimkolwiek tu rozmawiam, nie jest zachwycony „Sylwestrem Marzeń" w Zakopanem.

Też ulegasz gustom gawiedzi. Rozumiem koloryt lokalny, rubrykę towarzyską z życzeniami po góralsku i zdjęcia noworodków. Ale okładka informowała raz o tym, że straszy na drodze w Czarnym Dunajcu.

Nie masz pojęcia, jak tematy o strachach są kupowane. W „Tygodniku Powszechnym" też je powinniście dawać na okładkę.

Ależ to odpowiednik disco polo!

Nie było jeszcze disco polo, jak nasze babcie opowiadały nam, w którym kącie straszy. To także miejscowy koloryt. Nie jesteśmy „Życiem Literackim". Nasz czytelnik szuka też takich tematów. Jeden chce wiedzieć, komu się ocieliła krowa, a drugi woli czytać kronikę wypadków górskich oraz o tym, że się sąsiadowi spaliła chałupa.

Pożary to akurat część historii i specyfiki tutejszych drewnianych, gęsto zabudowanych wsi.

Zawsze walczymy o wsparcie dla pogorzelców. Choć bywa i tak. Zrobiłem wzruszające zdjęcie matki z trójką dzieci na tle zgliszcz spalonego domu. Rozpoczęliśmy zbiórkę. Nawet Amerykanie wysyłali dolary, sam pojechałem z nimi do właścicielki. Odbudowali dom. Gdy jechał tam Tour de Pologne i nie było gdzie stanąć, zaparkowałem na jego podwórku. Wybiegła właścicielka: „Nie macie ka stać? Z »Tygodnika«, nie z »Tygodnika«, ale to jest k... teren prywatny".

Ciągle działa to, że choć mieszkasz tu prawie czterdzieści lat, nie jesteś człowiekiem stąd?

Zawsze, gdy dostaję w kość, przypominam sobie „Bagno", w którym Stanisław Witkiewicz po sporze z Chramcem napisał bardzo niepochlebnie o góralach. Przez jego pryzmat patrzę, jaka może być relacja z kimś, kto nie pasuje. Mentalność tu nie jest łatwa, ale górale zostali zepsuci przez warszawiaków. Przez lata wmawiano im, że są lepsi od innych.

Za kogo tu trzeba by się jeszcze przebrać, żeby ujawnić jakieś układy albo lewe interesy?

Może za dostawcę pizzy, żeby wniknąć do gabinetu burmistrza, bo to głaskanie władzy przez radnych nas niepokoi? Choć ja już za duży jestem na przebieranki. Źle się dzieje też wokół Jeziora Czorsztyńskiego, gdzie panuje totalna samowola budowlana. Rosną całe osiedla jednakowych domków, jak gołębniki w rzędach, bo tam są paski gruntu.

Znika piękny, unikalny w skali Polski krajobraz.

Przyciąga turystów, a za nimi wszystkich, którzy chcą na nich zarobić i zamiast jednego stawiają piętnaście domków.

Jaki rok czeka media lokalne w Polsce?

Mocniejsze gazety będą nadal w kręgu zainteresowania Obajtka i władzy. Jeśli będą w nas chcieli uderzyć, mogą to zrobić przez drukarnie, na których rynku Polska Press jest monopolistą.

Mimo wszystko jestem optymistą. Przetrzymaliśmy nie takie wichury. Największą rozpętał tu miejscowy PiS z lokalną władzą, wywieszając transparenty „Tygodnik Podhalański kłamie" i wysyłając ulotki do wszystkich mieszkańców.

To raczej przysporzyło Wam popularności.

Ludzie dzwonili i pytali, co za nową promocję mamy. Ale była to wichura, która nas zahartowała. Damy sobie radę, nawet gdy władza, która nie kocha wolnych mediów, postanowi w nas uderzyć. Przetrzymamy.

©℗ Rozmawiał BARTEK DOBROCH

WIARA

LOBBY ŚWIĘTEGO IDZIEGO

Mówi się, że są najpotężniejszą organizacją w Kościele, zdolną wybrać „swojego” papieża. Działają także w Polsce.

EDWARD AUGUSTYN

MATTEO NARDONE / ZUMA PRESS / FORUM

Ali Jama miał 35 lat i był imigrantem z Somalii. Spał w kartonach niedaleko Piazza Navona w Rzymie. W nocy z 21 na 22 maja 1979 r. został oblany benzyną i podpalony. Kilka dni później w pobliskim kościele Santa Maria in Vallicella miał gościć Jan Paweł II. Grupa młodych katolików ze wspólnoty Sant'Egidio, wtedy mało komu znanej, napisała do niego list. Prosili, by zatrzymał się w miejscu śmierci Alego. „Jesteś biskupem naszego miasta – pisali – i nie możesz pominąć milczeniem tego, co się stało”. Papież nie przyjechał (policja nie zgodziła się na zmianę trasy), ale zaprosił autorów listu na spotkanie.

Wspomina Vincenzo Paglia, wtedy wikary w parafii na peryferiach Rzymu, dziś kardynał: – Przyszliśmy do zakrystii kościoła. Papież zdjął szaty liturgiczne, odmówił krótką modlitwę, a potem popatrzył na nas i zapytał: „Czy to wy jesteście Wspólnotą Sant'Egidio?”. Potwierdzili. „I chcecie uczyć papieża, jak być biskupem Rzymu?”. Zapadła cisza. „I bardzo dobrze – powiedział papież. – Tu trzeba sprzeciwu, mocnego, jak przemoc, której doznał ten biedak. Dlatego, po pierwsze, w najbliższą niedzielę powiem o tym przed całym światem na modlitwie Anioł Pański. Po drugie, proszę was, byście zawsze byli blisko biednych i reprezentowali ich przed papieżem”.

Chrześcijanin z gazetą

Blisko biednych byli już od dziesięciu lat. Zaczęli w 1968 r. od pomagania w nauce dzieciom z Ponte Marconi i Primavalle, najbiedniejszych dzielnic Rzymu. Sami byli jeszcze uczniami. Ich przywódca, Andrea Riccardi, miał 18 lat i chodził do elitarnego Liceo Virgilio. Pracę charytatywną łączyli z modlitwą i czytaniem Biblii. W 1973 r. wynajęli opuszczony klasztor na Zatybrzu, a od sąsiadującego z nim kościoła św. Idziego przyjęli swoją nazwę.

Formuła życia, którą obrali, dla wielu osób jest trudna do zrozumienia. Ci, którzy znają tylko ich aktywność – kuchnie dla ubogich, noclegownie dla bezdomnych, „korytarze humanitarne” dla uchodźców, „szkoły pokoju” dla dzieci, programy walki z AIDS itd. – uważają ich za sprawnie działającą organizację humanitarną. Ci, którzy usłyszą o ich duchowości opartej na Ewangelii, Dziejach Apostolskich, pismach Ojców Kościoła i życiu wielkich świętych, ze św. Franciszkiem na czele, a do tego zobaczą ich wspólnotową modlitwę – z własnymi tekstami i sposobem sprawowania liturgii – wezmą ich za jakiś dziwny zakon czy tzw. instytut życia religijnego.

Nie są zakonem ani organizacją charytatywną. Są wspólnotą, która modli się i pomaga ubogim, ucząc się od nich Ewangelii. Nie składają ślubów ani przyrzeczeń (niektórzy z nich, na czele z Riccardim, żyją w celibacie, choć publicznie nigdy tego nie deklarowali). Postanowili być wspólnotą ludzi świeckich.

„Chrześcijanin powinien w jednej ręce trzymać Pismo Święte, a w drugiej gazetę” – pisał Karl Barth, protestancki teolog, a jego słowa najlepiej opisują charyzmat wspólnoty z Zatybrza: rozpoznawanie „znaków czasu”, gdzie Ewangelia krzyżuje się z życiem, historia Boga z historią człowieka.

Straszny duch Asyżu

Pierwsze spotkanie z Janem Pawłem II zapoczątkowało długą przyjaźń. Biskup Rzymu wiedział już, że Sant'Egidio, tworząc wspólnotę z biednymi, zna dobrze

Bożonarodzeniowy obiad dla ubogich zorganizowany przez Wspólnotę Sant'Egidio w bazylice Matki Bożej na Zatybrzu, Rzym, 25 grudnia 2018 r.

problemy ludzi – nie tylko z „jego" miasta. Niewykluczone, że wiele papieskich inicjatyw rodziło się podczas wieczornych rozmów w Castel Gandolfo, gdzie wspólnota była zapraszana. Niewykluczone, że właśnie tak zrodził się pomysł międzyreligijnego spotkania modlitewnego w Asyżu. „Jeśli to wyjdzie, obaj wylecimy z Kościoła" – miał powiedzieć papież do Riccardiego. I powierzył im organizację przedsięwzięcia.

Do modlitwy o pokój zaproszono przedstawicieli 13 religii: oprócz chrześcijan (reprezentowanych przez 12 wyznań), żydów i muzułmanów byli też buddyści, hinduiści, dżiniści, sikhowie, zaratustrianie i wyznawcy tradycyjnych religii Afryki, w tym politeistycznych i animistycznych. To była jedna z najodważniejszych decyzji papieża. I najmocniej krytykowana, także w otoczeniu Jana Pawła II. Przeciwnikiem spotkania był m.in. kard. Joseph Ratzinger, prefekt Kongregacji Nauki Wiary.

Papieża trudno było oskarżać o synkretyzm, ale Riccardi nadawał się do tego jak najbardziej. Zwłaszcza że nie skończyło się na jednorazowym wydarzeniu, o którym szybko można zapomnieć. Sant'Egidio postanowiło celebrować je co rok, w różnych miastach Europy. Na długie lata przylgnęła do nich łatka nowinkarzy, którzy zacierają różnice między religiami.

Katolicy wielu kręgów

Są wspólnotą katolicką, nie ekumeniczną, nawet jeśli w jakimś miejscu dużą część grupy stanowią przedstawiciele innych wyznań, jak np. prawosławni w Kijowie. Swoją katolickość mocno podkreślają. Jak to pogodzić?

Ks. Mirosław Tykfer z poznańskiej grupy Sant'Egidio, założonej w 2016 r., opisuje katolicyzm wspólnoty przy pomocy modelu Kościoła, jaki znamy z soborowej konstytucji „Lumen gentium": – Osią są katolicy – mówi. – Praktykujący, czytający Ewangelię, wychodzący do ubogich. A wokół rozchodzą się kolejne kręgi przynależności, o różnym stopniu identyfikacji z Kościołem, ↦

ARCHIWUM WSPÓLNOTY SANT'EGIDIO

Pierwsze spotkanie Wspólnoty Sant'Egidio z Janem Pawłem II w zakrystii kościoła Santa Maria in Vallicella. Od lewej: ks. Vincenzo Paglia, Andrea Riccardi i Mario Marazziti, Rzym, 2 maja 1979 r.

↦ aż po osoby innych wyznań, religii czy niewierzące.

– W poznańskiej grupie mamy np. muzułmanina – opowiada ks. Tykfer. – Poświęca wspólnocie więcej czasu i sił niż niejeden katolik. Bycie w katolickiej grupie nie stanowi dla niego żadnego problemu.

Bo w tak rozumianej wspólnocie może odnaleźć się każdy. Gdy wychodzą do ubogich, różnice przynależności nie mają znaczenia i zacierają się. „Niech się mylą!" – mówi Andrea Riccardi.

We wspólnocie osób świeckich są więc i księża (w innych krajach nawet biskupi), którzy służą jako prezbiterzy. Ale nie przysługują im z racji święceń żadne dodatkowe prawa ani funkcje. Wspólnota strzeże swej świeckości – tak w sferze językowej (unikając kościelnej terminologii), jak i organizacyjnej: nie realizują tzw. podręcznikowych programów formacyjnych, nie mają stopni rozwoju, nie potrzebują pozwoleń od biskupa na działalność. Jako międzynarodowe stowarzyszenie świeckich podlegają tylko Watykanowi, który wyznacza dla nich w Rzymie „asystenta kościelnego" – jednego dla całej wspólnoty na świecie.

– Nie zaczynamy od pukania do drzwi kurii czy kancelarii parafialnej – mówi Magda Wolnik, odpowiedzialna za wspólnotę warszawską. – Najpierw wychodzimy do ubogich i czytamy z nimi Ewangelię. Oni pomagają nam ją lepiej zrozumieć. Dopiero potem przychodzi czas na kontakt z biskupami.

Z jednymi współpraca układa się dobrze (w Polsce np. z bp. Krzysztofem Zadarką, przewodniczącym rady episkopatu ds. migracji, czy z kard. Kazimierzem Nyczem z Warszawy), inni wciąż patrzą na nich podejrzliwie.

Stołeczna grupa Sant'Egidio istnieje od 2008 r. Spotykają się na modlitwie, wychodzą na ulice z zupą i kanapkami, objeżdżają miejsca, gdzie przebywają bezdomni, wydają specjalne przewodniki: gdzie zjeść, wykąpać się, uzyskać pomoc medyczną, wyrobić dowód osobisty. Opiekują się też innymi osobami wykluczonymi: biednymi, samotnymi, mieszkańcami DPS-ów, uchodźcami i imigrantami, dziećmi romskimi.

Jeśli ktoś chce do nich dołączyć, nie pytają o wiarę czy praktyki religijne. – Czasem ludzie już na początku zastrzegają, że z Kościołem nie chcą mieć nic wspólnego i przychodzą jedynie zrobić coś dobrego – mówi Wolnik. – Zdarza się, że dopiero spotkanie z ubogimi budzi w nich pytania o Ewangelię.

Sant'Egidio w Polsce liczy dziś ok. 250 członków. Poza Warszawą i Poznaniem działa w Chojnie, małym miasteczku na granicy z Niemcami. Dwukrotnie próbowano założyć wspólnotę w Krakowie. Dwadzieścia lat temu niewielka grupa zbierała się przy kościele św. Idziego. Jednak opiekujący się tym miejscem dominikanin, o. Adam Studziński, uznał ich za sektę i przepędził. Drugą próbę – w 2016 r. – podjęła jedna z grup opiekujących się bezdomnymi na Plantach. Po dwóch latach wspólnota w Rzymie odmówiła im prawa do używania nazwy, uznając, że nie zachowują obowiązujących w Sant'Egidio form modlitwy i nie stosują się do poleceń centrali. Dziś działają pod własnym szyldem.

Ciężar lat

W 2003 r. Sandro Magister, dziennikarz tygodnika „L'Espresso", znany watykanista, opisał działalność Sant'Egidio, opierając się na historii mężczyzny, który po 25 latach opuścił rzymską wspólnotę, a w sądzie kościelnym starał się o stwierdzenie nieważności małżeństwa, zawartego – jak mówił – pod przymusem. Do manipulowania ludźmi miało dochodzić częściej. Wiele osób zrywało kontakty z rodziną, rzucało studia lub dobrze płatną pracę. Magister opisywał bezwzględne posłuszeństwo panujące w Sant'Egidio i kult jednostki: Andrea Riccardi uważany jest za świętego i proroka, podczas mszy – za zamkniętymi drzwiami – to on, a nie celebrans wygłasza homilie. Łamane miały być też inne przepisy kościelne – np. odstępowano od spowiedzi indywidualnej na rzecz publicznej.

– Z zarzutem o sekciarstwo musieliśmy się mierzyć wielokrotnie – mówi Massimiliano Signifredi z rzymskiej wspólnoty. Opisywany w „L'Espresso" przypadek zna jedynie z lektury – w tamtym czasie był dopiero początkującym członkiem wspólnoty, niewtajemniczonym we wszystkie sprawy. Ale wiele rzeczy w tej opowieści wydaje mu się niemożliwych i nieprawdopodobnych. Wspólnota nie jest grupą zamkniętą, jej członkowie żyją w swoich środowiskach rodzinnych i zawodowych, nie ma struktur przełożeństwa, które umożliwiałyby nadużycia władzy.

– Jesteśmy wspólnotą braterską – mówi – i stanowimy dla siebie nawzajem oparcie. Przyjacielskie rady, zwierzanie się z problemów to ani obowiązek, ani zasada, a jedynie przejaw więzów, jakie pomiędzy ludźmi się tworzą. I jak w każdej wspólnocie, osoby starsze, o większym doświadczeniu, opiekują się młodszymi.

On sam, po ponad dwudziestu latach, służy taką pomocą i radą grupie studentów. Zdarza się, że pytają go także o małżeństwo czy rodzinę – on ma żonę i dwoje dzieci. – To są delikatne tematy – zaznacza – bo trzeba trzymać na wodzy własne przekonania i pomysły na życie, szanować wrażliwość i uczucia drugiej

osoby. Ale nie ma mowy o jakiejkolwiek namowie czy nacisku.

W ciągu 55 lat istnienia również we Wspólnocie Sant'Egidio, z czasem coraz liczniejszej, zdarzały się rozwody, zdrady czy unieważnienia małżeństw. Ludzie popełniają błędy. A niekiedy próbują za nie obwiniać innych. Signifredi przyznaje, że nieraz ktoś pod wpływem wspólnoty zmienia lub rzuca studia. Takie sytuacje zdarzają się wszędzie: – Młodzi ludzie szukają swojej drogi, odkrywają nowe możliwości, przewartościowują życiowe wybory.

Prawdą też jest, że niektóre rodziny patrzą z niepokojem na zaangażowanie ich córki lub syna, zwłaszcza na początku. Wie to z własnego doświadczenia. Ale wie też, że z czasem zaczynają dostrzegać i dobre strony: młodzi ludzie stają się coraz bardziej odpowiedzialni, zorganizowani i dojrzali.

Sandro Magister jest przekonany, że po jego publikacjach Watykan zarządził wizytację we wspólnocie i nakazał skorygować nadużycia, przynajmniej te liturgiczne. I rzeczywiście, dziś modlitwy i nabożeństwa wspólnoty są dostępne dla wszystkich, drzwi do kościoła Sant'Egidio na Zatybrzu są otwarte, przebieg liturgii można śledzić w internecie. Ale nie wycofuje krytyki.

– To, co opisałem, dotyczyło wydarzeń sprzed lat – przyznaje. – Wspólnota w taki sposób działała. Może się zmieniła, ale w dzisiejszych wypowiedziach założycieli – książkach, pismach, wywiadach – nie ma śladu samokrytyki czy zdystansowania się od faktów z przeszłości. Faktów, które mało kto zna, dzięki nadzwyczajnej zdolności Sant'Egidio do dbania o własny wizerunek.

Alternatywna dyplomacja

Gdyby poprzestali na rozdawaniu zupy bezdomnym, nikt nie stawiałby im żadnych zarzutów. Ale z czasem weszli na scenę, która była już zajęta przez innych.

W latach 90. byli obecni w wielu krajach Europy, Azji, Afryki i Ameryki Płd. Uznali, że ich pozycja – organizacji niezależnej, opiekującej się biednymi i niemającej żadnych interesów politycznych czy ekonomicznych – to najlepszy mandat do prowadzenia negocjacji pokojowych.

W 1992 r. w siedzibie wspólnoty na Zatybrzu podpisane zostało porozumienie pomiędzy marksistowskim rządem Mozambiku a prawicową partyzantką, kończące wieloletnią wojnę domową. Poprzedziły je dwa lata negocjacji, które prowadzili Andrea Riccardi i ks. Matteo Zuppi, asystent kościelny Sant'Egidio, dziś kardynał, przy wsparciu włoskiego rządu i ONZ.

Nazywano ich kąśliwie „ONZ-etem z Zatybrza". Obok wielu mediacji międzynarodowych największym przedsięwzięciem dyplomatycznym Wspólnoty Sant'Egidio są „korytarze humanitarne".

Później negocjowali też – z różnym skutkiem – w krajach byłej Jugosławii, Republice Środkowoafrykańskiej, Sudanie Południowym, Timorze Wschodnim, Algierii i na Bliskim Wschodzie. W 1996 r. zostali zgłoszeni do Pokojowej Nagrody Nobla.

Narażali się więc na zarzuty – czy to ze strony Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej, czy Ministerstwa Spraw Zagranicznych Włoch – o prowadzenie „alternatywnej dyplomacji". Nazywano ich kąśliwie „ONZ-etem z Zatybrza". Zresztą do dziś zdarza się, że Andrea Riccardi, który w latach 2011-2013 był ministrem ds. współpracy zagranicznej, przyjmuje w siedzibie wspólnoty głowy państw czy Kościołów. Częstym jego gościem była np. Angela Merkel.

Największym jak dotąd przedsięwzięciem dyplomatycznym Sant'Egidio są jednak „korytarze humanitarne", które dały im też największą rozpoznawalność. Są coraz częściej uznawane za jedyny bezpieczny i skuteczny sposób rozwiązania kryzysu humanitarnego, ograniczenia nielegalnej imigracji i handlu ludźmi. Dzięki nim przyleciało do Europy blisko 4,5 tys. uchodźców z obozów w Grecji, Libanie, Pakistanie, Iraku, Libii, Etiopii czy na Cyprze. Trafili do rodzin, parafii i klasztorów we Włoszech, Francji, Belgii i w Andorze.

Priorytet Ewangelii

„Są najpotężniejszym lobby w Kościele, silniejszym niż Opus Dei" – napisał kilka miesięcy temu Sandro Magister, który nie ustaje w krytyce. Przekonuje, że od lat powoli, ale skutecznie budują swą pozycję w Kościele. Zarzuca im koniunkturalizm: celowo zajmują się „bezpiecznymi" zagadnieniami – jak pomoc biednym, pokój, ekologia czy klimat – a unikają wypowiedzi na tematy doktrynalne i kontrowersyjne, jak aborcja, homoseksualizm czy eutanazja. Dzięki temu bezwarunkowo podbili serce papieża Franciszka, który trzy główne zadania wspólnoty – modlitwę, ubogich i pokój – uczynił filarami swego pontyfikatu, a encyklika „Fratelli tutti" jest tak bliska doświadczeniu Sant'Egidio, że można się zastanawiać, czy nie powstała – przynajmniej w części – na Zatybrzu.

Co więcej – przestrzega watykanista – na kolejnym konklawe zwolennicy wspólnoty, których nie brakuje wśród kardynałów, wybiorą jednego spośród siebie. I przestrzega: na kolejnym konklawe zwolennicy Sant'Egidio, których nie brakuje wśród kardynałów, doprowadzą do wyboru jednego spośród siebie – najpewniej będzie to kard. Matteo Zuppi z Bolonii, kościelny asystent wspólnoty. A wtedy tak naprawdę – pisze Magister – „Kościołem rządzić będzie Andrea Riccardi, wszechwładny założyciel i szef wspólnoty, bez którego wiedzy i zgody nic się nie dzieje".

Można się uśmiechnąć na te słowa i uznać je raczej za przejaw obsesji autora na punkcie Wspólnoty Sant'Egidio i jej założyciela. Riccardi ma wielu wrogów, którzy przy każdej okazji będą mówić o jego arogancji, pysze czy czarnej limuzynie z kierowcą i ochroniarzem, którą jeździ po Rzymie. Ale dziennikarz „L'Espresso" jest wyrazicielem opinii sporej części katolików niechętnych wizji Kościoła, za jaką od ponad pół wieku „lobbuje" Wspólnota Sant'Egidio. Kościoła, który w jednej ręce trzyma Ewangelię, w drugiej gazetę. Kościoła, którego centrum jest Chrystus, obecny w każdym, a zwłaszcza wykluczonym – biednym, bezdomnym, cierpiącym, zamarzającym na granicy. Kościoła, który jest braterską wspólnotą wszystkich ludzi – wierzących i niewierzących. Kościoła, który opisany został w Dziejach Apostolskich, dokumentach Soboru Watykańskiego II i encyklice „Fratelli tutti".

Kościoła, w którym świeccy mówią papieżowi, jak być papieżem. I bardzo dobrze.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Chcesz cudu, krzycz!

KS. MIECZYSŁAW PUZEWICZ, SPOŁECZNIK:

Spotkałem wielu ludzi, którzy deklarowali się jako agnostycy, a ich życie było piękną ewangelią. Czym mierzyć wiarę?

ARTUR SPORNIAK: Na swoim blogu wezwał Ksiądz muzułmanów, by nas islamizowali. Dostało się Księdzu za to?

KS. MIECZYSŁAW PUZEWICZ: Nie wiem. Nie mam czasu czytać komentarzy.

„Drogie siostry i bracia muzułmanie, islamizujcie nas, może wrócimy do Pana Jezusa i Jego Ewangelii" – napisał Ksiądz.

Spacerowałem kiedyś w Lublinie w okolicach ulicy Pogodnej z czeczeńską rodziną. Na końcu tej ulicy jest dom dziecka, przy którym Czeczeni zobaczyli biegające po ogródku dzieci. Zapytali, co to za miejsce. Wytłumaczyłem im po rosyjsku. Zdziwili się. Pytali, czy te dzieci nie mają ciotek, wujków, dalszych krewnych. Okazało się, że w Czeczenii, która nie jest jakoś radykalnie religijna, do czasów Kadyrowa nie było ani jednego domu dziecka. Nie było też ani jednego domu starców. Dlatego że jeżeli ktoś wziął sierotę do siebie, otrzymywał dodatkowe błogosławieństwo Allaha. Tak samo w przypadku *starika*.

Pomyślałem wtedy: jak to jest – zbudowaliśmy naszą zachodnią cywilizację na przykazaniu miłości bliźniego, a dzieci wysyłamy do domów dziecka? Przecież te dzieci mają swoich rodziców chrzestnych czy jakichś krewnych.

Ostatnio dostało się Polakom za przeżywanie Bożego Narodzenia: „Do rozpaczy doprowadzają mnie puste talerzyki – kilka razy pisałem już, że Pan Bóg kiedyś rozbije je nam z trzaskiem na głowach. Po co ten marny teatr?".

Nasza forma świętowania Bożego Narodzenia wymaga natychmiastowego uzupełnienia o wymiar ewangeliczny. Puste talerzyki, sianko, opłatek, dwanaście potraw – to nie są treści ewangeliczne. Niech to wszystko będzie, ale niech temu towarzyszy rozmowa, a nie gadanie. Gadamy zwykle o czymś trzecim, a rozmawiamy ze sobą, dając siebie w słowach, co jest dużą sztuką. Słuchajmy się wzajemnie. Liczba osób niewysłuchanych wzrasta dramatycznie z roku na rok. I dajmy przy stole miejsce tym, którzy chętnie by je zajęli, gdyby tylko byli zaproszeni.

Czy gdybym przyjął na Wigilii któregoś z Księdza znajomych, coś by się mogło zmienić?

Niektórzy nie chcieliby przyjść – są tak odizolowani od ludzi. Jest taka szatańska, bezgraniczna samotność, w której żyją bezdomni. Bardziej od jedzenia, ubrania czy dachu nad głową potrzebują obecności drugiej osoby. Ale bardzo trudno jest wyjść z takiej izolacji.

Na blogu nie oszczędza też Ksiądz swoich współbraci. Był wpis o proboszczu kolekcjonującym pociski artyleryjskie i księdzu, który potraktował świeckiego paralizatorem, bo wszedł na teren sanktuarium z pieskiem.

W każdym środowisku można znaleźć stosowny procent oryginałów, którzy odlatują od rzeczywistości. W księżowskim także. Wolałbym jednak, żeby ta oryginalność przejawiała się w wypełnianiu Ewangelii.

Wstąpił Ksiądz do seminarium w 1989 r., mając 29 lat, i już po roku otrzymał święcenia. Ekspresowo!

Byłem wtedy już po studiach magisterskich, rozpocząłem doktorat z teologii. Moje powołanie było przemyślanym wyborem. Jak się zaczęła kruszyć komuna, wielu moich kolegów ze studiów na KUL-u poszło w politykę albo w biznes, a mnie Pan Bóg od tych dróg uchronił. Rektorem seminarium był wówczas ks. prof. Mieczysław Brzozowski. Miał proste podejście: „My pana wychowywać nie będziemy. Popatrzymy, czy pan jesteś wychowany, czy nie jesteś. Jeśli pan jesteś, wyświęcimy pana. Jeśli nie jesteś, to podziękujemy. Czy pan zrozumiał?". Odpowiedziałem, że zrozumiałem.

Seminarium nie zdążyło Księdza zamknąć pod kloszem.

To uproszczenie. Naturalnie są pewne schematy, które przyjmują przychodzący do seminarium – zwłaszcza młodzi. Ale dużo zależy od osobowości. Ja spotkałem świetnych kapłanów, którzy próbowali przekładać Ewangelię na swoje biografie. Seminarium nie musi zaszkodzić.

O jakich kapłanach Ksiądz mówi?

Na przykład o ks. Franciszku Blachnickim, którego w latach 70. spotkałem na Kopiej Górce w Centrum Ruchu Światło-Życie w Krościenku nad Dunajcem. Mam dyplom animatora podpisany przez niego – poważna sprawa! W czasie mojego licealnego buntu przeciwko religii spotkałem z kolei ks. Antoniego Zielińskiego, założyciela wspólnoty w Lipiu na Pomorzu. Ta wspólnota jak na owe czasy była czymś niezwykłym. Chyba jako pierwsza w Polsce próbowała ratować ludzi z narkomanii. Obok ks. Zielińskiego we wspólnocie działał Waldek Tyszko, obecnie karmelita bosy posługujący się w zakonie imieniem Serafin, który zaproponował prostą benedyktyńską metodę pracy z ludźmi uzależnionymi: pracę i modlitwę. Któregoś dnia zjawił się we wspólnocie człowiek, który przyjechał ze Stanów Zjednoczonych. Niedługo potem założył Monar. Z Markiem Kotańskim przez długi czas później współpracowaliśmy.

Powrócił Ksiądz do wiary przez spotkanie z narkomanami?

Nie. We wspólnocie w Lipiu zamieszkałem dopiero po maturze. To ks. Zieliński, obecnie egzorcysta diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej, sprawił, że powróciłem do katechezy. Ale pomogła mi zwłaszcza samodzielna lektura Biblii, którą mi zresztą ubecy podczas rewizji zabrali i dotąd jej nie odzyskałem.

Rewizja z jakiego powodu?

W lutym 1978 r. odbywały się wybory do rad narodowych. Było nas dziewięciu – kolportowaliśmy przeciwko tym wyborom ulotki. Niestety jeden z kolegów z klasy – tych, który zapisali się do partii (mieliśmy już skończone 18 lat), doniósł na nas. Przeszukano nasze teczki i znaleziono w nich ulotki. Na specjalnym apelu

JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

KS. MIECZYSŁAW PUZEWICZ (ur. 1960) jest absolwentem teologii w KUL. Twórca lubelskiego Centrum Wolontariatu. W latach 1997-2011 był rzecznikiem abp. Józefa Życińskiego. Do 2017 r. kierował też rozgłośnią archidiecezji lubelskiej – Radiem eR.

ogłoszono nas wrogami ustroju. Były też rewizje w domach. Pamiętam zabawny akcent: w Liceum im. Kopernika była tablica osiągnięć, na której wisiały nasze zdjęcia. Po aferze z ulotkami zdjęto je i okazało się, że szkoła prawie nie ma osiągnięć.

A w jakiej olimpiadzie miał Ksiądz osiągnięcia?

Biologicznej.

Rodzina pochodzi z Wilna?

Po mieczu jestem z Mejszagoły spod Wilna. Stamtąd pochodził dziadek i tam urodził się jeszcze mój ojciec. Po wojnie dziadek stanął przed wyborem: sowiecki paszport albo wyjazd. Spakował, co mógł, i z rodziną wsiedli do pociągu. Nie wiedzieli, dokąd jadą. Wysiedli w Świelubiu przed Kołobrzegiem. Mama natomiast pochodzi z Kaszub. Urodziła się kilometr od sanktuarium Matki Bożej Kaszubskiej w Sianowie koło Kartuz.

Jak wyglądała religijność w domu?

Główną rolę odgrywała wileńska babcia, z którą pasłem krowy i robiłem inne ciekawe rzeczy. Nauczyła mnie też łowić ryby i radzić sobie z dzikami.

Jak?

Nie uciekać, tylko powoli, ale pewnie iść w stronę dzika. Nie bać się dzikich zwierząt. Nauczyła mnie też pacierza. Szybko – chyba już w wieku czterech lat – umiałem czytać. Więc czytałem, co było pod ręką. Także modlitewniki babci, choć momentami mnie nudziły. A gdy byłem trochę starszy, uprawiałem partyzantkę. W modlitewniku idealnie mieściły się książeczki z serii „z tygrysem". Więc zabierałem tak zaopatrzony modlitewnik na mszę. Ksiądz sobie coś tam mówił – wtedy jeszcze po łacinie, a ja czytałem o II wojnie światowej. Babcia początkowo była zadowolona z mojej pobożności, ale któregoś razu poczułem bombę atomową na głowie, gdy zdzieliła mnie swoim modlitewnikiem.

Skąd się wziął pomysł studiowania teologii na KUL-u?

To był wtedy jedyny wolny uniwersytet między Łabą a Władywostokiem.

A dlaczego teologia?

O tym zaważył Jan Paweł II. Był rok 1979 i objechałem ze śpiworem prawie wszystkie przystanki pierwszej papieskiej pielgrzymki do Polski: Warszawę, Gniezno, Częstochowę i Kraków. Po pielgrzymce byłem pewien, że chcę głębiej poznać i zrozumieć moją wiarę.

Czy wtedy myślał już Ksiądz o kapłaństwie?

Nie. To była fascynacja teologią jako nauką. Miałem barwny rocznik. Wśród absolwentów jest Leszek Zegzda, były wiceprezydent Nowego Sącza i wicemarszałek Małopolski z ramienia PO, czy Sławek Sito, dyrektor ośrodka odwykowego w Gorzycach koło Wodzisławia.

Ciekawy czas dla KUL-u.

Bajka! Wśród studentów i wykładowców mozaika osobowości – nierzadko oryginałów. Gdy z wykładami przyjeżdżał prof. Władysław Bartoszewski, nie można było się dopchać do auli. Nasze studia zbiegły się z wybuchem Solidarności. Ona zaczęła się właśnie w Lublinie lipcowymi strajkami.

Święcenia otrzymał Ksiądz w 1990 r. Co było potem?

Zostałem wyświęcony przed kościołem św. Marii Magdaleny w Łęcznej, bo było za dużo ludzi. To był drugi dzień września. Śmieję się, że jestem księdzem polsko-francuskim, ponieważ abp. Bolesławowi Pylakowi towarzyszył biskup z Francji, z diecezji, w której dawno nie było święceń, i bardzo je przeżywał.

Łęczna była wówczas najmłodszym miastem w Polsce. W latach 70. wybudowano w pobliżu kopalnię węgla kamiennego Bogdanka i zaczęli zjeżdżać za pracą młodzi ludzie. W ciągu kilkunastu lat z miasteczka zrobiło się 25-tysięczne miasto. Pracowałem jako wikary w starej parafii, gdzie mieszkały głównie „krzoki", czyli miejscowi, drugą, nową parafię tworzyły „ptoki", czyli napływowi. Kiedyś przyszedł do mnie kolega z tej nowej parafii – ks. Piotr Kawałko, i poprosił, bym pomógł mu przy pogrzebie: „Już rok jestem tutaj, a to mój pierwszy ↦

↦ pogrzeb. Do tej pory miałem same chrzty i śluby". Takie to było młode miasto.

Naturalnie zrodziła się myśl, by tę młodzież zgromadzić i jej służyć. Wówczas powstało duszpasterstwo młodzieży pracującej Źródło, a także duszpasterstwa młodzieży szkolnej.

Święto Młodych – co to był za pomysł?

Zrodził się na bazie Światowych Dni Młodzieży wymyślonych przez Jana Pawła II w połowie lat 80. Pierwsze Święto Młodych odbyło się w 1988 r. w Łęcznej, potem odbywało się także w innych miejscowościach. Miało charakter religijnego festiwalu. Mnóstwo wspaniałych artystów się przewinęło. Jedną edycję – już z lat 90. – szczególnie zapamiętałem. Swoją działalność rozpoczynał kamilianin Arek Nowak pomagający chorym na AIDS. Żeby go wspomóc, zorganizowaliśmy na stadionie Górnika Łęczna duży koncert. Grał Bajm, Budka Suflera i zdaje się Chłopcy z Placu Broni. Koncert bardzo się udał. Zebraliśmy dużo pieniędzy. Nieżyjący już ówczesny ekonom diecezji lubelskiej złapał mnie później na korytarzu w kurii i groźnym głosem zbeształ: „Kto ci pozwolił bez mojej zgody zorganizować koncert i zbierać pieniądze?!". Byłem zaskoczony, wiec odpowiedziałem: „Duch Święty i kierownictwo klubu Górnik Łęczna".

Z historii bliskie były mi organizacje filomatów i filaretów. Na przełomie XIX i XX w. powstała piękna organizacja religijno-filozoficzna Eleusis, prekursor harcerstwa. Gdy po transformacji stworzyła się możliwość zakładania stowarzyszeń katolickich, chciałem, by powstała młodzieżowa organizacja katolicka, ale właśnie organizacja, bo dominowały wówczas ruchy religijne. Uczestniczyłem więc w reaktywacji Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. W 1991 r. brałem udział w opracowaniu statutu KSM.

RDC POLSKIE RADIO

W środę 29 grudnia MONIKA OCHĘDOWSKA wyjaśni Grzegorzowi Chlaście, jak przyjaźń uratuje świat (tekst na s. 14), a 5 stycznia (także w środę) MACIEJ MÜLLER opowie prawdziwą historię Vlada Drăculi (s. 80). Słuchaj w środy o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC oraz w podkastach na stronie radia – www.rdc.pl

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

Potem posypały się inne inicjatywy społeczne, m.in. świetlica dla dzieci w Lublinie.

To też było bardzo naturalne. Kościół Świętego Ducha, do którego trafiłem, znajduje się na wzgórzu w centrum Lublina, w okolicy mieszkały wtedy osoby raczej ubogie i dzieciaków wałęsających się wokół kościoła było bardzo dużo. Trzeba było je jakoś zająć. To było i piękne, i trudne, a nawet humorystyczne. Podczas wspólnego posiłku na pierwszym zorganizowanym obozie zastawiliśmy stół wędlinami i serami. Zaprosiliśmy dzieci. Usłyszeliśmy tumult i kiedy weszliśmy, okazało się, że na stołach został tylko chleb. Życie nauczyło te dzieci, że muszą zadbać o siebie.

A Gorący Patrol? Co to za inicjatywa?

W sierpniu 2002 r. na krakowskich Błoniach usłyszałem Jana Pawła II, który wołał o „nową wyobraźnię miłosierdzia". Potem w listopadzie usłyszałem w radiu, że na Lubelszczyźnie zamarzło 60 osób. Pomyślałem: jak to możliwe w XXI wieku? Znajomy lekarz powiedział mi, że dobrze by było, żeby tacy ludzie przed nocą dostali dużą dawkę kalorii. Następnego dnia z wychowankami przygotowaliśmy termosy z gorącą herbatą i kanapki. Okazało się, że bezdomnych jest mnóstwo. Przez ostatnie kilka lat nie było w Lublinie ani jednej śmierci z powodu zamarznięcia.

Jak powstała jadłodajnia?

To był następny etap. Przez kilka lat jeździliśmy z kanapkami i herbatą, ale okazało się, że ludzie potrzebują miejsca, żeby spokojnie porozmawiać. Tak się zrodził pomysł na jadłodajnię w pobliżu dworca. Potem powstały domy dla osób wychodzących z bezdomności. Domy, a nie schroniska, bo żaden bezdomny nie marzy o schronisku czy noclegowni. W tej chwili mamy trzy.

Na początku popełnialiśmy błędy: dawaliśmy ludziom mieszkania i po trzech miesiącach nadawały się one do remontu. Osoba bezdomna nie wie, jak opiekować się domem, dlatego każdy z naszych domów ma swojego opiekuna, a każda osoba, która wchodzi do naszego programu – swojego cicerone. I to działa, bo przynajmniej połowa z tych osób zaczyna prowadzić normalne życie. Schroniska są na dłuższą metę systemowym błędem, ponieważ katalizują poczucie bezradności.

Przekonuję o tym, kogo mogę, i też się narażam, bo my przyjmujemy do naszych domów także pary, tymczasem w schroniskach jest podział na mężczyzn i kobiety. Jak jednak rozdzielić parę, która żyje ze sobą 20 lat?

Pięknie Ksiądz na blogu napisał o niedawno zmarłej Izie – ona też żyła w parze, ale z domu jednak zrezygnowała.

Ja ich w ogóle nie naciskałem, bo wiedziałem, że kawałek wolności, jaki mieli dzięki mieszkaniu w dawnym kiosku Ruchu, jest dla nich ważny. Regularnie zawoziliśmy im jedzenie, ubranie, butle z gazem. Partnera Izy zabrał do domu jej syn; niestety niedawno Edek wrócił do swojego kiosku.

Co spowodowało jej śmierć?

Dokładnie nie wiem. Ale wielu bezdomnych nadużywa spirytusu technicznego przemycanego z Ukrainy, potocznie zwanego F16 – od odlotów, jakie się ma po jego wypiciu. To plaga Lublina z powodu bliskości granicy, pół litra można kupić za 10 zł. Najwięcej osób, które pochowałem z grona bezdomnych, to ci, którzy przegrali z F16.

A teraz Ksiądz organizuje domy dla uchodźców.

Tłumaczę, że nie ja, tylko Wszechmogący, bo zaprzyjaźnione zakony i ludzie świeccy oferują coraz więcej mieszkań, a stałe półroczne wsparcie finansowe zadeklarowało już kilku biskupów.

Ciekawi mnie jeszcze „Nowa Droga".

To pomysł na resocjalizację młodych więźniów. Żaden dyrektor więzienia nie podpisze się pod stwierdzeniem, że da się skutecznie prowadzić resocjalizację w warunkach więziennej izolacji. Pomysł zapożyczyliśmy od Francuzów, którzy organizowali dla młodocianych przestępców wyprawy od Pirenejów do Santiago de Compostela. Więźniowie wędrują przez 30 dni polskimi szlakami Drogi św. Jakuba, zawsze z młodym opiekunem. Na 81 osób, które wzięły udział w programie, jedynie 8 wróciło na drogę przestępczą. Normalnie wraca 50-60 procent.

Przy takim zaangażowaniu jaką ma Ksiądz receptę na wypalenie?

Dużo słuchać Bacha i często chodzić na wycieczki po Polesiu.

W homilii do ewangelii o Bartymeuszu powiedział Ksiądz: „Chcesz cudu, to krzycz! Wyspowiadasz się później”. Najważniejszy jest żywy kontakt z Bogiem?

Tak, dla mnie bardzo ważną dewizą jest powiedzenie św. Pawła: „W nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy”.

Wpisy na blogu itinerarium.pl kieruje Ksiądz do wszystkich: wierzących i niewierzących. A także do tych, którym wydaje się, że wierzą – i tu Ksiądz dodał: „np. ja”.

Jeśli chodzi o odległości, mamy centymetry, metry, kilometry. Jeśli chodzi o wagę, mamy gramy, dekagramy, kilogramy. A czym mierzyć wiarę? Spotkałem wielu ludzi, którzy deklarowali się jako agnostycy, a ich życie było piękną ewangelią. Tutaj deklaracje jeszcze o niczym nie świadczą.

Napisał Ksiądz, że jako klecha ma funkcję koordynacyjną w „tej naszej korporacji”. Jak Ksiądz postrzega przyszłość tej naszej korporacji, czyli Kościoła, w kontekście obecnych kłopotów?

Czytam różne proponowane scenariusze. Podziwiam tych, którzy mają talent proroków. Ale nie boję się o przyszłość Kościoła. Ewangelia się nie zdezaktualizuje. Do czasów edyktu Konstantyna nie było świątyń, a był Kościół – były wspólnoty wierzących. Teraz jest moment, że mamy mnóstwo świątyń, a nie za wiele wspólnot. Istotą Kościoła są ludzie starający się iść drogami miłości.

Kiedyś opisał Ksiądz swój sen o homoseksualistach w Kościele, wywołując duży niepokój wśród komentatorów. To są osoby wciąż wykluczane z naszej wspólnoty.

Tak nie jest. Spowiadam te osoby i one starają się kochać Pana Boga, jak potrafią. Popełniają grzechy tak jak pan, ja i każdy inny. Walczą o swoją bliskość z Chrystusem, chcą też przynależeć do Kościoła. Jeśli jako kapłan pełnię rolę koordynatora na ziemi, to widzę dla nich miejsce w Kościele. Nie ma żadnej podstawy do ich wykluczania.

To teoria, a praktyka jest różna.

Przecież to praktykuję!

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

SASCHA STEINBACH / EPA / PAP

„Dzień otwarty” w meczecie Merkez Camii w Kolonii, Niemcy, październik 2017 r.

Głos muezina nad Renem

ŁUKASZ GRAJEWSKI

W nowym roku pierwsze meczety w Kolonii uzyskają pozwolenie, by publicznie i głośno nawoływać do modlitwy.

Katedra św. Piotra i Najświętszej Marii Panny to symbol Kolonii. Gotycką, choć ukończoną dopiero w XIX wieku świątynię widać wyraźnie zarówno z lotu ptaka, jak i przybywając do zachodnioniemieckiej metropolii pociągiem. Prosto z dworca kolejowego wychodzi się niemal bezpośrednio na schody katedralne. Kościół i znajdujące się w nim relikwie Trzech Króli były przez wieki magnesem dla pielgrzymów. Dawne znaczenie wybrzmiewa w monumentalnym i czystym dźwięku dzwonów. Szczególnie wyróżnia się Gruby Piotrek, czyli 24-tonowy dzwon św. Piotra zawieszony w trzeciej kondygnacji wieży południowej.

W nowym roku dźwiękowy krajobraz ponadmilionowego miasta wzbogaci się o nową formę zaproszenia do modlitwy. W każdy piątek, pomiędzy południem a piętnastą z głośników kolońskich meczetów popłynąć będzie mogło zaproszenie do modlitwy. To stała formułka w języku arabskim, w której muezin najpierw czterokrotnie powtarza „*Allahu akbar*”, co oznacza „Bóg jest wielki”. Następnie dwukrotnie pada wyznanie wiary: „*Aszhadu ana la ilaha illa'llah*” – „Wyznaję, że nie ma boga prócz Boga Jedynego”, oraz „*Aszhadu ana Muhammadan rasulu'llah*”, czyli „Wyznaję, że Mahomet jest wysłannikiem Boga”. Potem pada zaproszenie do modlitwy. Całość trwa zazwyczaj kilka minut.

W krajach muzułmańskich wezwanie wybrzmiewa pięć razy dziennie. ↦

↦ Reguluje porządek dnia. W Kolonii decyzją miasta będzie to możliwe tylko w piątek, gdy wyznawcy islamu spotykają się na najważniejszej modlitwie tygodnia.

Zgoda na głośne zawołanie do modlitwy przez głośnik umieszczony na szczycie minaretu jest decyzją bezpartyjnej burmistrz miasta Henriette Reker. – Kolonia jest miastem wolności i różnorodności religijnej – oświadczyła w październiku po ogłoszeniu decyzji. – Wielu mieszkańców Kolonii to muzułmanie. Dopuszczenie śpiewu muezina jest dla mnie oznaką szacunku – tłumaczyła.

Chrześcijańska mniejszość

Kolonia jest faktycznie jednym z najbardziej wielokulturowych miejsc na mapie Niemiec. Mieszkają tu ludzie z całego świata. To tu odbywa się największa w Niemczech Parada Równości. Miasto jest też bardzo zsekularyzowane. Katolicy i ewangelicy stanowią mniej niż połowę ludności Kolonii. Druga połowa to inne grupy religijne i ateiści.

Spośród przeszło miliona mieszkańców Kolonii ponad 120 tys. stanowią muzułmanie. Wyznawcy islamu są *de facto* największą grupą w mieście aktywnie praktykującą własną religię. Pomimo to publiczne wzywanie na modły było jak dotąd tematem tabu. Nawet podczas budowy największego na terenie RFN Centralnego Meczetu w Kolonii miasto porozumiało się ze związkiem religijnym, że śpiew muezina będzie rozbrzmiewał tylko w środku świątyni. Kilkanaście lat później miasto zmienia zdanie. Spodziewając się burzliwych dyskusji, przedsięwzięcie nazwano „projektem modelowym", który trwać ma przez dwa lata. Jeśli kontrowersje wokół decyzji nie ucichną, ratusz zostawia sobie furtkę, żeby głośniki meczetów wyłączyć.

Wysłannicy Ankary

Głównym zarzewiem sporu wokół decyzji miasta jest fakt, że większość meczetów w Niemczech utrzymuje mocne więzy z tureckim aparatem państwowym. Również Centralny Meczet w Kolonii, który zgłosił jeden z pierwszych wniosków o pozwolenie na wezwanie do modlitwy, jest prowadzony przez Turecko-Islamską Unię ds. Religijnych (DITIB).

Struktura islamu jest zdecentralizowana. W przeciwieństwie do kościołów chrześcijańskich i gmin żydowskich, które mają bardzo sformalizowane stosunki z państwem, muzułmanie przybywający do Niemiec po prostu zakładali stowarzyszenia, wynajmowali sale i rozpoczynali modlitwy.

> Nierzadko wśród krytyków pozwolenia na śpiewów muezinów w Kolonii są właśnie migranci z krajów arabskich – ci, którzy w Europie szukali **schronienia przed islamskim fundamentalizmem.**

Najwięcej muzułmanów w Niemczech pochodzi z Turcji, z której przyjechali w drugiej połowie ubiegłego wieku do RFN jako gastarbeiterzy. Tę obecnie wielomilionową grupę odkrył w tym stuleciu turecki prezydent Recep Tayyip Erdoğan. Spośród blisko 3 tys. meczetów, które znajdują się na terenie Niemiec, ok. 900 zarządzanych jest przez DITIB. Ta organizacja otrzymuje finansowanie z Ankary i podlega Diyanetowi, tureckiemu urzędowi ds. wyznań. To w Turcji kształceni są imamowie, którzy trafiają do niemieckich meczetów, często bez znajomości języka, za to z klarowną agendą polityczną. Przez cały pobyt w Niemczech opłacani są przez Ankarę. W Europie są misjonarzami islamu.

Działania związku wyznaniowego przywołują na myśl słowa Erdoğana, które wypowiedział, gdy był jeszcze burmistrzem Stambułu. „Meczety są naszymi koszarami, minarety naszymi bagnetami, kopuły naszymi hełmami, a wierni naszymi żołnierzami" – przekonywał w 1998 r. W 2018 r. już jako prezydent kraju przyjechał na otwarcie Centralnego Meczetu w Kolonii. Witały go powiewające flagi Turcji.

Religia wyobcowanych

Choć była już kanclerz Angela Merkel publicznie przyznała, że „islam należy do Niemiec", to trudno mówić o harmonii pomiędzy najczęściej napływowymi muzułmanami a „rdzennymi" Niemcami. Wciąż podstawową emocją jest nieufność.

Constantin Schreiber, popularny prowadzący niemieckich „Wiadomości", w książce „Inside Islam" opisał główne przesłania z kazań piątkowych, których wysłuchał w kilkunastu niemieckich meczetach. Nierzadko krytykowano w nich Niemcy i liberalną demokrację. Nawoływano do zerwania z kompleksem mniejszości. Przestrzegano przed przyjmowaniem lokalnych zwyczajów, np. obchodzeniem tradycji związanych z Bożym Narodzeniem.

Imamowie, finansowani czy to przez Turcję, czy arabskich szejków, docierają w RFN do coraz większej grupy ludzi. Jeszcze na początku wieku muzułmanów w Niemczech było 3,5 mln. Obecnie liczba ta zbliża się do 6 mln. Większość migrantów i uchodźców, którzy przybywają do Niemiec, pochodzi z krajów muzułmańskich. Co budzi obawę, że trafiając pod skrzydła ultrakonserwatywnych imamów, będą mniej skłonni do integracji ze świeckimi wartościami państwa niemieckiego. Nierzadko krytyka dopuszczenia wezwania do modlitwy w Kolonii to głosy migrantów, którzy w Europie szukali schronienia przed islamskim fundamentalizmem.

Większość za

Mimo obaw polityczna większość w Kolonii uważa decyzję miasta za słuszną. Przede wszystkim zwraca się uwagę na zapisy niemieckiej konstytucji, która gwarantuje prawo do praktykowania religii, a także na potrzebę integracji muzułmanów, nawet poprzez kontakty z kontrowersyjnymi stowarzyszeniami. Również katoliccy teolodzy, a także przewodniczący Rady Kościoła Ewangelickiego w Niemczech Heinrich Bedford-Strohm, poparli pomysł kolońskiego Ratusza.

Biuro prasowe władz Kolonii nie chciało w rozmowie z „Tygodnikiem" sprecyzować, jak długo potrwa rozpatrywanie pierwszych dwóch wniosków o pozwolenie na publiczne wzywanie do modlitwy. Nie widać jednak powodów, dla których miasto miałoby się z własnej decyzji wycofać. Choć śpiew muezinów można usłyszeć już w ok. 30 niemieckich, głównie niewielkich gminach, to rozwój sytuacji w Kolonii będzie śledzony z wielką uwagą przez cały kraj. Pragmatyczni i zlaicyzowani mieszkańcy miasta pytani o sprawę uciekają w technikalia i rozważania na temat dopuszczalnej liczby decybeli. Muezin będzie mógł wychwalać wielkość Boga, byle nie za głośno.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

CATHAL MCNAUGHTON / REUTERS / FORUM

Cushendall, Irlandia, czerwiec 2010 r.

Jawność Ukrytego

PIOTR SIKORA

Co za paradoks! Sens święta, którego treścią jest największe Odkrycie, przez swoją popularną nazwę – Trzech Króli – zostaje raczej zakryty przed naszymi oczami.

Badacze ludzkiego umysłu powiadają, że najlepiej przyswajamy opowieści. Każda teoria, doktryna czy nawet pojedyncze twierdzenie – choćby nie wiem jak ważne i jak jasno sformułowane – ustępuje miejsca w świadomości, a jeszcze bardziej w pamięci opowiedzianej historii. A już bezkonkurencyjne są opowieści, których bohaterami są postaci do nas podobne: inni ludzie albo ktoś, w kim możemy rozpoznać nasze własne cechy (antropomorficzni bogowie, elfy i krasnoludy, spersonifikowane zwierzęta).

Epiphania Domini – Objawienie Pańskie wedle kalendarza liturgicznego świętujemy 6 stycznia, dwa tygodnie po Bożym Narodzeniu. W powszechnej świadomości jest to jednak przede wszystkim święto Trzech Króli. Nic w tym dziwnego, czytana bowiem w tym dniu ewangeliczna opowieść o magach przybyłych do Judei ze Wschodu w poszukiwaniu niedawno narodzonego króla jest tak dramatyczna i plastyczna zarazem, iż bez trudu opanowuje świadomość nie tylko prostych ludzi, ale i poetów, jak Yeats, Eliot czy Staff, albo malarzy, jak Giotto, Leonardo i Rembrandt.

Wizje i teksty

Objawienie Boga to fundamentalna idea dla wielu religijnych tradycji, w tym chrześcijaństwa. Z drugiej strony niewiele jest religijnych pojęć, co do których istnieje tak wiele nieporozumień i niezgodnych ze sobą interpretacji.

Być może najbardziej popularne użycie tego słowa wiąże się ze zjawiskami takimi jak przeżycia św. Faustyny Kowalskiej. Jak wiemy z jej „Dzienniczka", przez wiele lat doświadczała wizji Jezusa, który kierował do niej specjalny przekaz. Teologia nie ceni jednak zbytnio tego typu objawień – nie uważa, by chrześcijanie musieli wierzyć w ich autentyczność. Objawienia, na którym opiera się w swoim dogmatycznym rozumieniu chrześcijaństwo, trzeba szukać gdzie indziej.

Znajdziemy je – to teologicznie znacznie popularniejsza odpowiedź – w Biblii oraz w Tradycji (owo „oraz" dodają katolicy i prawosławni, protestanci pozostają przy *sola scriptura*). W tej perspektywie kusi, by rozumieć objawienie jako święty tekst. Jest to pogląd rozpowszechniony w religijnej historii ludzkości. W tradycjach indyjskich w postaci idei *śruti* – tego, co usłyszane (w domyśle: z boskiej, absolutnej sfery rzeczywistości); to, co usłyszane znajdziemy w spisanych hymnach wedyjskich. W większości nurtów islamu podobnie postrzegany jest Koran – zapis słów, które podyktował Prorokowi w imieniu Boga archanioł Gabriel. Idea taka nie jest też obca judaizmowi. Są szkoły, najczęściej kabalistyczne, które uważają, że istnieje Niebiańska Tora, Boski Tekst stanowiący wyraz natury Boga i osnowę świata. ↦

W chrześcijaństwie też czasem myślano podobnie o Biblii – w popularnej formie takie rozumienie wyrażane było np. w formie obrazków i ilustracji, na których Duch Święty w postaci gołębicy szepcze do ucha biblijnemu skrybie natchnione słowa.

Problematyczność takiego rozumienia objawienia ujawnia się jednak, gdy zorientujemy się, że wszystkie teksty uznawane za natchnione w ten sposób są dogłębnie uwarunkowane kulturą, w której powstały. Dziedziczą jej zasób słownictwa, metafory, kategorie myślowe. Zbadanie szerszego kontekstu kulturowego ujawnia też liczne zapożyczenia i inspiracje – także z tradycji później uznanych za obce (dobrymi przykładami są tu biblijna opowieść o potopie i sumeryjski epos o Gilgameszu).

Co więcej, uważna i krytyczna lektura każdej z ksiąg uznawanych w różnych religiach za objawione pozwala dostrzec ich wewnętrzne teologiczne zróżnicowanie, a nawet sprzeczności pomiędzy rozmaitymi ideami, które dana księga przekazuje. W przypadku większości świętych pism – na pewno jest tak, gdy chodzi o teksty biblijne – wiąże się to z historią ich powstawania. Choć bowiem czasami o tym zapominamy, sama nazwa „Biblia" jest rzeczownikiem w liczbie mnogiej – znaczy po grecku: „księgi". Biblia nie jest jedną książką, ale zbiorem wielu tekstów należących do różnych gatunków literackich, napisanych w różnych czasach i w różnych okolicznościach. Co więcej – większość z nich ma długą historię powstawania: od funkcjonowania w formie ustnych przekazów, przez spisywanie fragmentów, po łączenie ich w większe całości i redagowanie ostatecznych wersji. Te, które znamy dzisiaj, są efektem pracy wielu ludzi, czasami należących do różnych pokoleń.

Historia

Długi i skomplikowany historyczny proces powstawania ksiąg biblijnych sugeruje, by Objawienie rozumieć inaczej niż jako „dyktowanie" przez Boga natchnionego tekstu. Lepiej ująć je właśnie jako historię – proces złożony z wielu wydarzeń, których uczestnikiem byli nie tylko ludzie, lecz również Absolut, oraz prób zrozumienia ich sensu przez człowieka.

Można powiedzieć, że takie ujęcie zaakceptowali biskupi zgromadzeni na Soborze Watykańskim II. W Konstytucji o Objawieniu „Dei verbum" możemy przeczytać, że „plan objawienia urzeczywistnia się przez czyny i słowa wewnętrznie z sobą powiązane, tak że czyny dokonane przez Boga w historii zbawienia ilustrują i umacniają naukę oraz sprawy słowami wyrażone, słowa zaś obwieszczają czyny i odsłaniają tajemnicę w nich zawartą" (DV 2).

> Patrząc z zewnątrz na historię objawienia, widzimy jedynie wydarzenia naturalne. Tylko dzięki wierze można w nich rozpoznać **obecność i działanie Boga.**

Zaletą jest tu nie tylko uwzględnienie rzeczywistej historii powstawania świętych ksiąg, lecz przede wszystkim ściślejsze połączenie idei objawienia z ludzką egzystencją. Gdy utożsamiamy objawienie z tekstem, zawężamy je do wymiaru informacyjnego. Gdy wskazujemy, że objawienie jest procesem, tj. dzieje się w historii przeżywanej przez ludzi, możemy też zauważyć, że nie jest ono jedynie przekazaniem informacji, lecz przede wszystkim nawiązaniem łączności pomiędzy rzeczywistością boską i ludzką. Jak określa Vaticanum II: „Przez to zatem objawienie Bóg niewidzialny w nadmiarze swej miłości zwraca się do ludzi jak do przyjaciół i obcuje z nimi, aby ich zaprosić do wspólnoty z sobą i przyjąć ich do niej".

Koncepcja Bożego objawienia jako historii – splatających się wydarzeń i słów – rodzi jednak problemy. Podstawowy polega na tym, że w tym procesie Bóg nigdy i nigdzie nie występuje w swojej czystej, boskiej postaci. Patrząc z zewnątrz na historię objawienia, widzimy jedynie ludzi i ich działania oraz wydarzenia naturalne. To w świadomości wierzących zdarzenia i działania nabierają religijnego, objawiającego sensu. Tylko dzięki świadomości wiary można w określonych faktach rozpoznać obecność i działanie Boga.

Świadomość

Kluczowa zatem jest świadomość – i jej przemiana. Jeśli szukać gdzieś najbardziej jawnego działania Boga, to właśnie w tej sferze. Tu jest źródło objawienia. Uznanie tego nie oznacza sprowadzenia boskiej epifanii do czysto subiektywnego, wewnętrznego przeżycia. Liczą się także wydarzenia z intersubiektywnie dostępnej przestrzeni, cała tkanka historii. Świadomość człowieka kształtuje się bowiem i funkcjonuje zawsze w kontekście doświadczenia świata zewnętrznego, a zwłaszcza w sieci międzyosobowych relacji – w ludzkiej wspólnocie. Świat objawia Boga tylko wówczas, gdy boski impuls przemieni świadomość, w której świat ten się odbija.

Wbrew pozorom nie są to tylko teoretyczne rozwiązania czysto pojęciowych problemów. Przyjęcie powyżej naszkicowanej koncepcji objawienia ma egzystencjalnie namacalne konsekwencje. Skoro bowiem objawienie Boga dzieje się przede wszystkim w ludzkiej świadomości, a dopiero wtórnie w wydarzeniach historii oraz w tekstach je opisujących i objaśniających, to znaczy, że nasza współczesna sytuacja pod względem ujawniania się Boga nie różni się istotnie od sytuacji Mojżesza, Izajasza, Ruth Moabitki, Szymona i Andrzeja czy Marii Magdaleny.

To nie jest tak, że osoby występujące na kartach ksiąg biblijnych bezpośrednio doświadczały jakichś niesamowitych objawiających wydarzeń, o których my możemy tylko przeczytać. Ich życie było tak samo zwykłe – i tak samo niezwykłe – jak nasze. To ich świadomość rozpoznawała w historycznym procesie, który toczył się dookoła, boską obecność i działanie. Ich sąsiedzi – z domu, wsi czy kraju obok – widząc to samo, Boga nie dostrzegali. Podobnie może być z nami: możemy być ludźmi, którzy widzą, albo którzy są ślepi.

Droga

I tu warto wrócić do magów ze Wschodu. Opowieść o nich pokazuje, że przemiana świadomości, która umożliwia rozpoznanie w biednym dziecku Króla, wiąże się z wyruszeniem w drogę, zmianą całego życia. Odwróceniem umysłu od gwiazd i zwróceniem go w stronę zwykłego domu.

Większość biblistów twierdzi, że opowieść o wędrowcach ze Wschodu to midrasz, legenda, że nie ma sensu szukać magów wśród konkretnych postaci z przeszłości. Pewnie to prawda. Tym lepiej. Prawdziwie świętować będziemy Trzech Króli, jeśli w opowieści o nich rozpoznamy siebie. ©℗ PIOTR SIKORA

WOJCIECH

Bonowicz: *Widma*

Są twarze, do których jestem przywiązany, lecz widuję je rzadko. I są takie, których nie chciałbym widywać wcale, a pokazują mi je przy byle okazji. Czasami czuję się jak człowiek opisany przez Kafkę, któremu wycięto otwór z tyłu głowy. Przez otwór wpada światło słońca, ale też rozmaite obrazy, których on akurat widzieć by nie chciał, które go denerwują i nie pozwalają mu się skupić.

Po co mi np. twarz Iksa? Jest miernym politykiem, w zasadzie destruktorem, a jednak prawdopodobnie zapamiętam jego twarz do końca życia. Może nawet w chwili śmierci – co za okropna perspektywa! – gdy ktoś nieopatrznie wymieni przy mnie jego nazwisko, twarz Iksa stanie mi przed oczyma i z tym obrazem zejdę z tego świata? Ech, gdyby mi tę twarz pokazywano inaczej, w innych okolicznościach, kto wie, może wtedy spojrzałbym na nią z mniejszą niechęcią. Lecz teraz pcha mi się ona przed oczy, twarz właściwie bezmyślna, zazwyczaj lekko uśmiechnięta, lecz jest to uśmiech kogoś nierozgarniętego, ucznia, którego wychowawczyni sadza w pierwszym rzędzie tylko dlatego, że w następnych zapewne by się zagubił. Siedzi w tym pierwszym rzędzie latami, uśmiechając się na poły głupkowato, na poły przymilnie, i w końcu przez zasiedzenie, bo przecież nie dla swoich umiejętności, staje się wiceprzewodniczącym, kimś w rodzaju asystenta lub tzw. prawej ręki. Na przewodniczącego – to jest oczywiste dla wszystkich – się nie nadaje, ale bywa niezastąpiony w sytuacjach, gdy inteligentniejsi i sprytniejsi od niego potrzebują na chwilę za kimś się schować. On chętnie ich zasłoni i jeszcze się przy tym uśmiechnie i powie: „Za plecami? Nie ma tam nikogo. Coś się panu zdawało”.

Albo twarz Zet? Poznaliśmy się przed laty, nawet sympatycznie się rozmawiało. Nie wiem, co stało się z tą twarzą. Nie poznaję jej, choć widzę wyraźnie, że jest to ta sama twarz, nie żadna maska. Tyle że to, co kiedyś brałem za wyraz odwagi, dziś okazuje się raczej wyrazem szaleństwa, nawiedzenia: to twarz kogoś, kto stoi na czele krucjaty wobec napierających ze wszystkich stron sił ciemności. Owszem, świat jest pełen takich ostatnich sprawiedliwych, powinienem się właściwie do tego przyzwyczaić. A jednak za każdym razem, kiedy widzę Zet – a nie polegam tylko na zdjęciach, bo te mogą być manipulacją – mam poczucie jakiejś osobistej przykrości, jakbym się bał, że przecież i mnie może się przytrafić coś podobnego. Że to takie przerażająco łatwe: przejść granicę, za którą nie ma już świata takiego, jakim był dotychczas, lecz jest świat nowy, inaczej oświetlony, wedle innych zasad poukładany, innym językiem opisany. Świat, w którym ten nowo narodzony ja nie będzie się już umiał dogadać ze mną dotychczasowym, raczej zrobi wszystko, żeby go nagiąć lub uciszyć.

Oganiam się przed podobnymi twarzami, lecz one wracają. Nie chcę ich, nie chcę, żeby zapełniały moją głowę i zapisywały się w mojej pamięci, ale to one tworzą rzeczywistość wokół mnie. Czy mi się to podoba, czy nie, rzeczywistość teraźniejsza ma twarz taką, a nie inną. Tyle znam twarzy pięknych i dobrych, dlaczego one zjawiają się tak rzadko? Czasem migną w jakiejś stacji telewizyjnej z okazji świąt. Czasem przebiegną przez ekran komputera – bo sezon ogórkowy i trzeba czymś zapełnić puste miejsce na portalu informacyjnym. Ale potem znów wracają tamte: twarze, które nie są ciekawe ani pociągające, a jednak pchają się do środka, chcą we mnie zamieszkać i nigdy już tego mieszkania nie opuścić.

Proszę Was, nie pokazujcie mi tych twarzy. Nawet jeśli musicie powtarzać słowa, które padły z ich ust, nie pokazujcie mi ich samych. Są twarze ważniejsze, takie, które powinno się zapamiętać. Twarze, na widok których chce się żyć i które powinny pochylić się nad nami w chwili śmierci. Te mi pokażcie, proszę, nie tamte. Tamtych mam już dosyć, dosyć. ©

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Tychach Wydział I Cywilny, pod sygnaturą akt I Ns 496/21 toczy się sprawa o stwierdzenie nabycia spadku po Małgorzacie Skorupce, mającej ostatnie miejsce zwykłego pobytu w Tychach, zm. 24 lutego 2020 r. w Tychach. W skład spadku wchodzi wkład mieszaniowy wniesiony do Tyskiej Spółdzielni Mieszkaniowej „Oskard” w Tychach, związany z lokalem mieszkalnym położonym w Tychach przy ul. Darwina 14/80.

Wzywa się wszystkich spadkobierców zmarłej, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Tychach i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 376/20 postępowanie z wniosku Heleny Kujawy o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy nieruchomości położonej w Osieku, oznaczonej geodezyjnie jako działki 125 i 134, o łącznej powierzchni 1,29,00 ha, dla której V Wydział Ksiąg Wieczystych Sądu Rejonowego w Jarocinie prowadzi księgę wieczystą KZ1J/00003163/8.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w ciągu 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

NA NOWY ROK

W KRĘGU KOBIET

Stanowiły większość wiernych, wychodzą z Kościoła
i idą swoją drogą, zdeterminowane, żeby nie przestawać szukać.
Bo dla wielu kobiet duchowość jest początkiem, końcem i treścią ich drogi.

NATALIA DE BARBARO

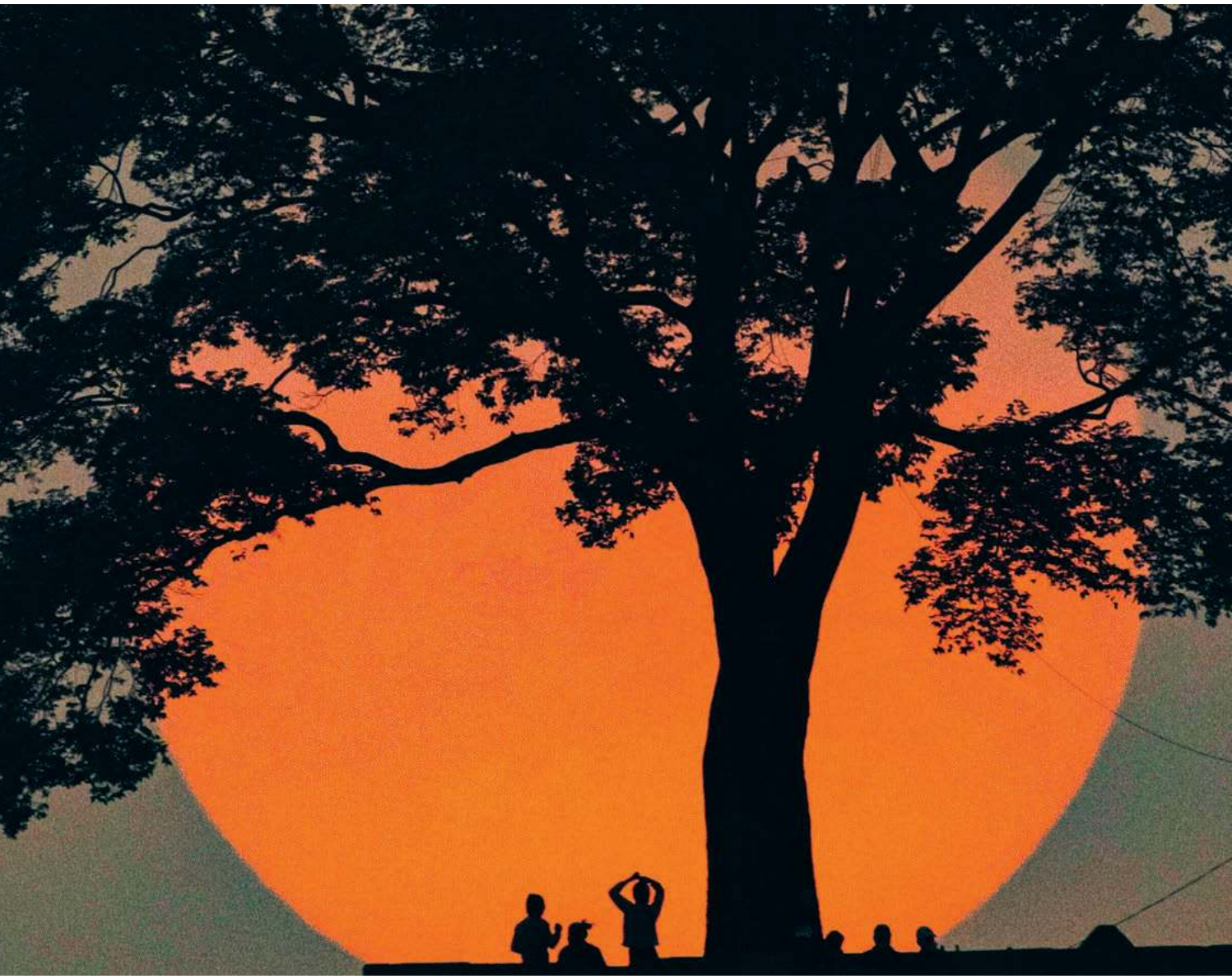

Kiedyś na zaproszenie krakowskich psychoterapeutów i psychoterapeutek przyjechał do Krakowa Tom Andersen, norweski terapeuta rodzinny. Byłam wtedy studentką psychologii. Stałam na scenie w roli jego tłumaczki. Andersen wiedział, że trochę się denerwuję, i był dla mnie szczególnie serdeczny. To ośmieliło mnie, żeby w jednej z przerw dokonać malutkiego nadużycia, czyli zainicjować nieodpłatną mikrosesję terapeutyczną. „Mam pytanie! Bo słyszę w sobie bardzo często głosy, np. głos mojego ojca i mojej matki, one mówią w mojej głowie często i głośniej, niżbym chciała. Co mam zrobić?" – powiedziałam, bo wtedy jeszcze, bardziej niż dzisiaj, wierzyłam, że nawet w skomplikowanych sprawach jest prosty sposób, którego można użyć, jeśli trafi się na kogoś odpowiednio mądrego, kto mi powie, co to za sposób. „Nic nie rób – odpowiedział tymczasem Andersen. – Te głosy są tobą".

Poczułam wtedy coś na kształt zawodu, bo jeszcze nie wiedziałam, że tamte słowa zostaną ze mną na dobre przez kolejnych kilkadziesiąt lat. Że będę je niosła w swoim sercu, będę je oglądać, czasem rano, kiedy budziłam się z opuchniętymi oczami, w rozpaczy z powodu czegoś, co dzisiaj już zupełnie nie ma dla mnie znaczenia, a czasem w ciemniejącej katedrze w obcym mieście, katedrze, do której bym nie weszła, gdyby moi rodzice nie uczyli mnie duchowości.

Dzisiaj mam pięćdziesiąt lat. Przez ten czas przekształceniu uległy we mnie głosy moich rodziców, Marii i Bogdana. Ale cały czas szukałam sposobu, żeby karmić rozbudzony przez nich głód duchowości. Równocześnie od kilkunastu lat pracuję z kobietami i przyglądam się im z bliska w pracy warsztatowej, której tematem jest, mówiąc w skrócie, ich dusza.

Pusty stół

Trzy tygodnie temu siedziałam z grupą dziesięciu kobiet przy kolacji, po drugim z trzech dni warsztatów. Warsztaty nazywają się Własny Pokój i nie dotyczą wnętrzarstwa. Kobiety szukają własnego pokoju – „pokoju w sercu, w ciele i w umyśle", jak mówi tekst powtarzany przez nauczycieli pod koniec zajęć jogi.

Przy stole siedziały dwie terapeutki, kosmetyczka, urzędniczka, gospodyni domowa wychowująca na wsi trójkę dzieci, dwie przedsiębiorczynie. Reszty nie byłam pewna, ponieważ tożsamość zawodowa nie jest podstawową tożsamością, z którą wchodzimy w to spotkanie; czasem jedynie przewija się w rozmowach.

Rozmawiałyśmy o Kościele katolickim, co oznaczało, że do pokoju ktoś wtoczył wielki kamień i powietrze straciło lekkość. Przeprowadziłyśmy naprędce amatorskie badania statystyczne na naszej niereprezentatywnej próbce. Wszystkie byłyśmy u pierwszej komunii. Dziewięć na jedenaście chodziło co tydzień do kościoła z rodzicami w dzieciństwie. Osiem było u bierzmowania. Osiem było mężatkami, sześć wzięło ślub kościelny. Na niedzielną mszę chodziły teraz dwie z jedenastu. Jedna z nich uważała się za katoliczkę. Trzy (w tym ja) uważały się za chrześcijanki, ale nie katoliczki.

Chłodne oko zimnego Boga mogłoby widzieć w tym upadek obyczajów, lenistwo duchowe, ponure konsekwencje relatywizmu moralnego. Ja widzę głód i pusty stół. Wyobraźcie sobie, że ssie was w żołądku. Podchodzicie do nakrytego stołu, ale talerze są puste. Przy niektórych nie ma też krzeseł, na których można by usiąść, nawet gdyby pojawiło się jedzenie. To doświadczenie duchowego głodu, który nie znajduje zaspokojenia, jest doświadczeniem wielu kobiet, być może większości kobiet w Polsce.

Energie

Właściwie chodzi o trzy głody, trzy pragnienia. Żeby je opisać, odwołam się do ramy pojęciowej wywodzącej się z antycznej chińskiej filozofii: do podziału na energię *yin* i *yang*, przetłumaczonego potem przez Carla Gustava Junga oraz jego kontynuatorki i kontynuatorów jako podział na energię „kobiecą" i „męską". Jedno z rozróżnień mówi o tym, że energia „męska" jest energią hierarchiczną. Bez niej niemożliwy byłby ruch na drogach (ten, kto ma zielone, jedzie, ten, kto ma czerwone, stoi), euforia po zwycięstwie naszej drużyny sportowej, która okazała się lepsza od tamtej, a także funkcjonalna struktura większości firm, w której są szczeble zarządzania, nie mówiąc o przydatnej uczniowi roli nauczyciela, potrzebnej dziecku roli rodzica i wielu innych kontekstach, w których potrzebujemy takich kategorii jak „wyżej" i „niżej". Nawet podstawowy podział na dobro i zło zawiera w sobie hierarchię.

Słyszymy o tym z ambon – które także w oczywisty sposób wpisują się w świat hierarchiczny. Ktoś ma prawo wejść na ambonę, ktoś inny ma stać na dole i słuchać. Bywa to bardzo pożytecznym doświadczeniem: sama usłyszałam wiele mądrych słów, wygłaszanych w 95 proc. nabożeństw przez mężczyzn i w 5 proc., kiedy zaczęłam chodzić na nabożeństwa luteran, także przez kobietę.

A jednak w świecie zdominowanym przez hierarchiczność pojawia się w ludziach – wierzę, że i w mężczyznach, i w kobietach – pierwszy głód: głód świata, w którym jesteśmy równi, równe. Tak, wiem, słyszałam to w kościele – wszyscy jesteśmy równi przed Bogiem. A jednak, parafrazując Orwella, są wśród nas równiejsi wobec Boga. Ciało kobiety siedzącej w tylnej, a choćby i w przedniej ławie kościoła wie o tym.

Energia po jungowsku kobieca to energia równości. Chodzi o krąg, krąg kobiet, chociaż istnieją też, także w Polsce, kręgi mężczyzn i kręgi mieszane, to metafora tego, czego kobiety są głodne i czego nie dostaną w Kościele, zwłaszcza katolickim. Krąg na poziomie konkretnego wydarzenia oznacza, że do niewielkiej na ogół przestrzeni wchodzi kilka, maksymalnie kilkanaście kobiet i siada w kręgu właśnie, na podłodze, wokół jakiegoś centrum.

Te kręgi kobiet przyrastają w tempie lawinowym. W każdym większym mieście jest ich kilkanaście, ale są też, coraz częściej, w miasteczkach i na wsiach, takich jak Rybnik, Trzebinia, Brwinów, Pisz, Lębork, Tenczynek, Żory, Racibórz, Gorlice, Piła. Jedyna struktura obowiązująca w tej przestrzeni jest taka, że któraś z kobiet „trzyma" krąg. Nie „prowadzi", a „trzyma" właśnie. Po kręgu krąży „przedmiot do gadania" – kamyk, pióro, liść, amulet. Kobieta, która trzyma przedmiot do gadania, ma przestrzeń, żeby mówić, milczeć, śpiewać. Jej jedyne zadanie i ograniczenie jest takie, że, jeśli zdecyduje się mówić, ma mówić o tym, co czuje, co myśli, co jej się zdarzyło – a nie jak jest w ogóle. Krąg oducza nas – akurat dla mnie to ↦

NARENDRA SHRESTHA / EPA / PAP

nauka trudna – głoszenia prawd ogólnych.

Lata temu w Piwnicy pod Baranami był taki skecz: mężczyzna wchodzi na scenę, w ręku trzyma podłużny futerał, w którym mogła być wiolonczela czy skrzypce. Kilka razy macha tym futerałem w powietrzu, a potem stawia go na krótszym boku i rozkłada jak harmonię. Była to przenośna ambona. Mężczyzna bowiem postanowił coś powiedzieć, a ambona ma stać się wyraźnym znakiem, że to, co powie, będzie miało szczególną wagę i ciężar gatunkowy.

W kręgu nie rozkładam ambony i nie mówię, jak jest. Mówię: „ostatnio czuję się bardziej osadzona w swoim ciele", a nie: „kobiety w Polsce coraz bardziej są osadzone w swoim ciele". Mówię: „mój syn mnie wkurzył", a nie: „nastolatki są wkurzające". Mówię: „smutno mi", a nie: „świat jest coraz gorszy". Ta drobna, redakcyjna, zdawałoby się, różnica radykalnie odmienia przestrzeń.

Siedzimy w kręgu, często obce sobie wcześniej kobiety, w prawdzie tego, że każda przyszła ze swoim losem, swoim ciałem, sercem, brzuchem, łonem, umysłem. Żadna z nas nie mówi innym, jak jest naprawdę. Jest w tym i prawda, i ulga od jakiegoś ogromnego wysiłku, który wielu z nas towarzyszy często w świecie hierarchicznym. Nasz głód spotkania z drugim człowiekiem, poza rolą, bez patrzenia, kto siedzi u szczytu stołu, na górze drabiny, bez prób, choćby subtelnych, wyprzedzania się w biegu, ten głód zostaje nasycony: jesteśmy razem, jesteśmy równe.

JACEK TARAN

W świecie Kościoła katolickiego moje ciało jest przede wszystkim źródłem grzechu. Ogrom zła i cierpienia, jaki z tego wynika dla kobiet, jest tak wielki, **że nie znajduję w sobie przestrzeni, żeby nawet zacząć o tym mówić.**

Oddech

Drugi głód, którego Kościół nie nasycił, to głód siebie samej, rozumianej jako swoje ciało. Głód doświadczenia tego, co jest małe, co można wziąć do ręki i dotknąć, głód tego, co mikro, tego, co przyziemne, tego, co z ziemi.

Marion Woodman (jej dwie książki zostały niedawno wydane w Polsce: „Świadoma kobiecość" i „Uzależnienie od doskonałości") pisze o dwóch energiach, które potrzebują równowagi w każdej i każdym z nas – energii Ducha i energii Ciała. Dziesięć przykazań, dogmaty, ten, który mówi mi, jak żyć moje życie – to wszystko może być użyteczne, ale jeśli nie odnajdzie rezonansu w moim ciele, w tkance mojej środy i mojego poniedziałku, nic we mnie się nie wydarzy: będę jak „miedź brzęcząca albo cymbał brzmiący". Moja duchowość może wydarzyć się w moim ciele, bo życie odbywa się przez ciało, a nie przez koncept.

Różnica pomiędzy duchowością jako koncepcją, za którą mój umysł, intelekt, wola, postanowiły podążyć, a duchowością, która wydarza się w moim ciele, to różnica między Duchem a Ciałem. Tę różnicę Woodman porównuje do różnicy między świadomością, że jesteśmy śmiertelni, a momentem, kiedy dowiadujemy się, że cierpimy na nieuleczalną chorobę.

Pusty stół, do którego kobiety nie chcą usiąść, nie karmi potrzeby przeżywania duchowości w swoim ciele, rezonowania łzą, poruszeniem w brzuchu, ciarkami przeszywającymi nas we wzruszeniu czy przerażeniu. Dlatego ziewamy na kazaniach (żeby być uczciwą – nie na wszystkich) i na konferencjach, podczas których wykładowcy i wykładowczynie poruszają się wyłącznie w świecie reguły zewnętrznej i tego, co abstrakcyjne, a co nas nie dotyka – tego, co Arystoteles nazywał logosem.

Kiedy wydałam książkę „Czuła przewodniczka", która była najlepiej sprzedającym się tytułem w 2021 r. w Polsce, założyłam na Facebooku grupę pod tym samym tytułem i zaprosiłam do niej kilka koleżanek. W ciągu kilku dni grupa rozrosła się do kilkunastu tysięcy, więc pospiesznie zmieniłam tytuł i przekazałam uprawnienia do jej prowadzenia wolontariuszkom. Ale ta grupa, dziś licząca 14 tysięcy kobiet, dalej funkcjonuje – i tam właśnie postawiłam pytanie o codzienne praktyki duchowe jej członkiń. Napisałam „duchowe", nie „psychologiczne" czy „rozwojowe". W odpowiedziach, których dostałam prawie dwieście, kobiety bardzo często pisały o ciele. O „uświadamianiu sobie, że stojąc nogami na ziemi, stoję na planecie". Pisały „obserwacja ciała – kiedy ciało jest w lęku, a kiedy w miłości". „Praktyka świadomego oddechu". „Joga". „TRE". „Oddech transmodalny". „Koherencja serca". „Taniec intuicyjny".

Kobiety pisały też niezwykle dużo, być może najwięcej, o naturze – ale nie takiej z podejmowanych raz na parę lat pielgrzymek czy z pocztówek, na których poprzez chmury przeziera promień słońca i stamtąd mówi do nas Bóg. Pisały o tym, czego mogą dotknąć dłonią, stopą, spojrzeniem, w codzienności. „Połączenie z wszystkim i wszystkimi... z naturą, drzewami, wodą, ogniem i kamieniami". „Las". „Kąpiele leśne". „Przytulanie się do drzew i promienie słońca na mojej

twarzy". „Kontakt z drzewami". „Życie w lesie. Boso po trawie. Śpiew ptaków. Mądre książki. Bach. Ale ptaki bardziej".

Rozkmina

Trzeci duchowy głód kobiet jest głodem języka, który mieni się różnymi kolorami. Świat religii, w którym wiele z nas wyrosło, to świat podziału na to, co jest grzechem i co nim nie jest, i jeszcze, wewnątrz, świat podziału na grzechy lekkie i ciężkie, świat zakazów i nakazów.

Być może w religii nie może być inaczej. Mnie samej dekalog wielokrotnie pomógł w życiu i jest we mnie żywy. Wolę świat, w którym jest, niż taki, w którym by go nie było. A jednak czułam, że równolegle, co najmniej w równouprawnieniu wobec tamtego języka, potrzebuję języka „jedno i drugie", a nie języka „jedno albo drugie". Nie chodzi mi o to, że pomiędzy czarnym i białym są jeszcze odcienie szarości. Chodzi mi o to, że kolorów jest tysiąc albo milion. Moje serce chce znać je wszystkie i to pragnienie jest pragnieniem, które rozpoznaję jako duchowe.

Kiedy siedzę w kręgu kobiet, tzw. rozkmina, często w publicznym dyskursie wyśmiewana i marginalizowana, staje się wartością. Patrzę na kobietę obok mnie i widzę, jak bierze do ręki przedmiot do gadania – reguła równości wymaga, żeby każda z nas miała swoją, niezaburzaną przez nikogo przestrzeń – i prawie nigdy nie mówi od razu, „z głowy", często najpierw zamyka oczy i idzie w dół, w głąb siebie, sprawdza, co się wydarza w jej ciele, a nie co wymyśliła jej lewa półkula. Czasem płacze. Czasem mówi i kiedy mówi, widzę, jak dalej schodzi w głąb, w dół, po krzywej spirali. Słuchamy jej w wielkim skupieniu, kiedy błądzi, zaprzecza, znowu wraca. W języku „jedno i drugie" nikt nie nazywa tego niespójnością; nie poddaje tych wędrówek osądowi.

Dlaczego to jest o duchowości? Bo w pierwszym języku wielu kobiet – i, jak się spodziewam, także wielu mężczyzn – droga rozwoju duchowego nie prowadzi na zewnątrz nas, do góry i do przodu, tylko spiralnie, w głąb, do samego naszego centrum, naszego serca, splotu słonecznego, brzucha i łona. Być może o czymś podobnym pisał Viktor Frankl: „Zmiana dokonuje się wtedy, kiedy stajemy się tym, czym jesteśmy, a nie wtedy, kiedy usiłujemy stać się tym, czym nie jesteśmy".

Szukam Boga, Centrum, Ducha Świętego czy Duchini Świętej (postanowiłam tak mówić jakiś czas temu, bo w łacinie i grece Duch Święty jest rodzaju żeńskiego). Daję sobie prawo do poszukiwania własnego języka na swojej drodze duchowej, bo język albo-albo i reguła zewnętrzna, która definiuje, jakim słowem mam mówić o metafizyce, stała się dla mnie za ciasna. A jednak kiedy piszę te słowa, edytor w moim komputerze podkreśla jako nieprawidłowe słowa „rozkmina", „Duchini", „świadkini", czyniąc moją drogę drogą ciągle jeszcze w poprzek głównego nurtu.

W świecie „jedno i drugie", a nie „jedno albo drugie", Bóg, Bogini, Duchini zamieszkuje wszędzie i wszystko przenika. Jest w moim ciele, które w świecie Kościoła katolickiego jest przede wszystkim źródłem grzechu. Ogrom zła i cierpienia, jaki z tego wynika dla kobiet, jest tak wielki, że nie znajduję w sobie przestrzeni, żeby nawet zacząć o tym mówić.

W świecie „jedno i drugie" można iść rano na jogę, w środku dnia na nabożeństwo, a wieczorem, w samochodzie obklejonym czerwonymi błyskawicami, słuchać chórów gregoriańskich, zmierzając na krąg. To wszystko naraz nawzajem karmi się, zasila i wzmacnia.

A jednak. Widziałam kiedyś taki rysunek satyryczny: facet jedzie pod prąd na ruchliwej autostradzie – skądinąd sytuacja głęboko nieśmieszna – i słyszy z radia komunikat o tym, że na autostradzie pojawił się jeden samochód, który jedzie pod prąd. „Jeden?!" – wykrzykuje oburzony, rozglądając się wokół.

Jesteśmy w momencie, w którym przestaje być wiadomo, jaki jest główny kierunek jazdy. *Mainstream* się przesuwa. Kobiety, które stanowiły większość wiernych, wychodzą z Kościoła i idą swoją drogą, zdeterminowane, żeby nie przestawać szukać, bo dla wielu z nich duchowość jest początkiem, końcem i treścią ich drogi. Rola słuchaczki, siedzącej jedynie w kościelnych ławach, nie jest już dla nich. Nigdy do niej nie wrócą, a ich córki nigdy w nią nie wejdą. Taka jest prawda ich serca i ich trzewi. Takich kobiet jest coraz więcej. Niedługo będzie ich większość wśród tych, które duchowości szukają.

W głąb

Kiedy idę swoją drogą, drogami, wieloma naraz, niosę w sobie głosy mojej mamy i mojego taty, te, którymi z niepokojem dzieliłam się z Tomem Andersenem. Dzisiaj myślę z wdzięcznością o tym, że moim pierwszym kręgiem, dużo bardziej hałaśliwym niż te, na które dzisiaj chodzę, był wielki rodzinny stół na Grunwaldzkiej u mojego świętej pamięci wujka, przy którym co tydzień siadaliśmy całą rodziną, kiedy byłam dziewczynką.

Niesiemy w sobie – ja, moje przyjaciółki, koleżanki, uczestniczki warsztatów i tysiące kobiet, których nigdy nie spotkam – obrazy ze swojego domu, mądrość, którą dał nam Kościół, bo przecież i tak bywało. Niesiemy to, czym karmiłyśmy się siedząc w nawach, i głód tego, czego tam nie dostałyśmy. Niesiemy determinację, żeby szukać nasycenia tego głodu gdzie indziej.

Jest w tym poszukiwaniu odwaga, żeby iść po swojemu, żeby spotykać się z duchowością w przestrzeni własnej wolności, karczując sobie swoją drogę. Kiedy na przemian zamykam i otwieram oczy, kiedy patrzę na swoich rodziców, kiedy pod powiekami przywołuję obraz swoich babć i jednej prababci, którą pamiętam (drugą sobie tylko wyobrażam), kiedy zapuszczam się jeszcze bardziej w głąb i myślę o swoich przodkiniach i przodkach – widzę w ich oczach miłość i wiem, że chcieliby dla mnie tej wolności, po którą sięgam, siadając z innymi kobietami w duchowej przestrzeni kręgu.

© NATALIA DE BARBARO

Artykuł napisany na podstawie wykładu wygłoszonego podczas konferencji „Psychiatria i duchowość", organizowanej w 2021 r. przez Uniwersytet Jana Pawła II w Krakowie.

Autorka jest psycholożką i socjolożką. Prowadzi warsztaty dla kobiet Własny Pokój. Autorka książki „Czuła przewodniczka. Kobieca droga do siebie".

KRÓL ŚWIATA

Kłopoty Borisa Johnsona są różnej natury, ale można je sprowadzić do dwóch kwestii: coraz mniej Brytyjczyków mu wierzy, a coraz więcej się z niego śmieje.

DARIUSZ ROSIAK

KIRSTY O'CONNOR / REUTERS / FORUM

Premier Johnson podczas nagrania orędzia do narodu, w którym powie o konieczności przyjęcia jak najszybciej dawki przypominającej szczepionki. Londyn, 12 grudnia 2021 r.

Boże Narodzenie odwołane dla milionów ludzi", „Czy ten koszmar kiedyś się skończy?", „Zwrot Johnsona o 180 stopni. Rodzinne plany na Boże Narodzenie w strzępach" – tak brzmiały rok temu, w przedświąteczną niedzielę 20 grudnia 2020 r., tytuły brytyjskich gazet. Druga fala epidemii osiągała wtedy na Wyspach swe apogeum. Dwa dni wcześniej premier Boris Johnson wraz ze sztabem antycovidowym uzgodnili plan obostrzeń, który oznaczał, że Brytyjczycy spędzą święta tylko w gronie domowników.

Minął prawie rok. Pod koniec listopada 2021 r. pojawiły się pierwsze przecieki na temat imprezy bożonarodzeniowej, która miała odbyć się w siedzibie premiera przy Downing Street tego samego dnia, gdy Johnson uzgadniał zakres restrykcji. Mieli w niej wziąć udział pracownicy Downing Street, głównie z biura prasowego i grona doradców premiera. Nie mogło być mowy o zachowaniu dystansu i innych reguł lockdownu. Na imprezie bawili się ludzie, których zadaniem było uzasadnianie wobec obywateli konieczności tychże reguł.

Problemy bez końca

Początkowo premier ignorował przecieki, twierdząc, że nic nie wie o imprezie, a nawet jeśli ktoś spotkał się w jego biurze, to na pewno przestrzegano zasad. Tymczasem afera dopiero się rozkręcała: 8 grudnia telewizja ITV pokazała film nakręcony cztery dni po owej imprezie. Był to materiał szkoleniowy: rzeczniczka premiera Allegra Stratton ćwiczyła się przed ewentualną konferencją prasową, na której mogły paść pytania o wątpliwe party. Rzeczniczka i inne osoby pokazane w filmie doskonale się bawiły, a ich zachowanie nie pozostawiało wątpliwości, że impreza łamiąca zasady lockdownu się odbyła.

Gdy opublikowano nagranie, Johnson zmienił ton. Przeprosił za zachowanie swoich pracowników i polecił szefowi swojej kancelarii przeprowadzenie dochodzenia.

„Partygate" to była kolejna wpadka Johnsona w ostatnich miesiącach roku, który zaczął się dla niego znakomicie. Po dramatycznym początku pandemii, w pierwszej połowie 2021 r. wreszcie przyszła chwila oddechu. Brytyjski program szczepień okazał się sukcesem na miarę światową. Przełożyło się to na wzrost popularności premiera i Partii Konserwatywnej: Johnson wydawał się nietykalny, a torysi przypomnieli sobie, że to on w dramatycznych okolicznościach wywalczył im w 2019 r. bezwzględną większość w Izbie Gmin. Pierwsze pół roku 2021 wyglądało jak powtórka miodowego miesiąca po wyborach.

Kłopoty zaczęły się później. Jesienią Brytyjczycy dowiedzieli się, co brexit oznacza w praktyce: niedobór kierowców przełożył się na kłopoty z zaopatrzeniem. Spór z Unią Europejską w sprawie Irlandii Północnej z niezrozumiałego konfliktu biurokratyczno-formalnego stał się problemem polityczno-egzystencjalnym, od którego rozwiązania zależą nie tylko stosunki Londynu z Brukselą, ale trwałość Zjednoczonego Królestwa. Ujawniono też afery o podłożu korupcyjnym. Jeden z konserwatywnych posłów, Owen Paterson, złożył mandat po tym, jak wyszło na jaw, że na boku uprawiał odpłatnie lobbing dla pewnej firmy.

Johnson bronił go tak długo, jak się dało. Przy okazji skandalu torysi przegłosowali nawet nowy kodeks etycznego postępowania w kontaktach z biznesem. Po czym – pod presją krytyki społecznej – Johnson odpuścił Patersona, ale i tak jego rząd uznawany jest dziś przez Brytyjczyków za bardziej skorumpowany niż poprzednie. Co gorsza, ośmiomiesięczne śledztwo w sprawie niezgodnego z prawem wykorzystania przez premiera dotacji partyjnych na remont mieszkania ciągle przynosi nowe szczegóły: tuż przed świętami okazało się, że składał on niespójne zeznania. Obecnie Johnsonowi grozi w najgorszym razie zawieszenie w prawach posła.

Do tego dochodzą jego karykaturalne zachowania, wśród których na czoło wybija się historia ze Świnką Peppą. Podczas przemówienia do przedsiębiorców premier zgubił wątek, opowiadając dziwne historie na temat bohaterki kreskówki dla dzieci. BBC zrobiła z tego humorystyczny skecz, w którym Johnson wygląda na człowieka zdezorientowanego, niepotrafiącego odpowiedzieć na pytanie reportera: „Panie premierze, coś jest nie tak?".

Bunt wśród swoich

Na tydzień przed świętami nastąpiło coś, co część brytyjskiej opinii nazywa (przesadnie) trzęsieniem ziemi.

Najpierw prawie setka torysów zagłosowała przeciw rządowi w sprawie kolejnych obostrzeń. Wielka Brytania, a zwłaszcza Londyn, to dziś europejskie ↦

↦ epicentrum Omikronu, nowej odmiany koronawirusa. Rząd zmuszony był reagować. Rzecz w tym, że reakcje są niespójne, a przede wszystkim są wbrew opinii wielu konserwatywnych posłów, którzy uważają, że rząd z zasady nie powinien mówić ludziom, co mają robić. Ostatecznie dzięki poparciu opozycyjnej Partii Pracy Johnson wygrał głosowanie, ale największy bunt w parlamentarnym klubie torysów za jego rządów pokazał, w jakich jest tarapatach.

Dwa dni później odbyły się wybory uzupełniające w okręgu North Shropshire (gdzie zwolnił się mandat Patersona). To jeden z najbardziej torysowskich rejonów Zjednoczonego Królestwa: wiejska okolica, gdzie żyją bogaci biali Brytyjczycy, w zdecydowanej większości zwolennicy brexitu, tradycyjnie głosujący na torysów. W 2019 r. w tym okręgu, gdzie jest niespełna 80 tys. wyborców, Paterson wygrał większością ponad 20 tys. głosów.

I stało się. Konserwatyści przegrali te wybory uzupełniające z kandydatką Partii Liberalno-Demokratycznej. W mediach wybuchła burza, zapewne zbyt gwałtowna. To dopiero półmetek kadencji parlamentu, a Johnson może jeszcze się odbić i wygrać kolejne wybory. Jednak w chwili, gdy jego partia traci w niektórych sondażach prawie 10 punktów procentowych do Partii Pracy, a on sam nazywany jest najgorszym premierem na najgorszy możliwy czas, pytań o jego przyszłość nie da się zbyć dowcipem ani przemilczeniem.

Na domiar złego w ostatni weekend przed świętami okazało się, że minister ds. brexitu David Frost podał się do dymisji. Wcześniej Frost kierował rozmowami brexitowymi i był jednym z ostatnich sojuszników premiera ze starej gwardii. Teraz krytykował go za restrykcje covidowe i źle znosił symptomy jego uległości wobec Brukseli w negocjacjach o statusie Irlandii Północnej.

Cały Boris

Problemy, które dręczą dziś Johnsona, są różnej natury i skali, ale można je sprowadzić do dwóch kwestii: coraz mniej wyborców mu wierzy, a coraz więcej się z niego śmieje.

Dla Brytyjczyków prawdopodobnie najgorsze jest przekonanie, że rząd traktuje ich pobłażliwie, by nie rzec: pogardliwie. W chwili, gdy miliony ludzi cierpiały z powodu izolacji, samotnie przeżywały smutek z powodu choroby lub śmierci bliskich, współpracownicy premiera świetnie się bawili – to dramatyczne odkrycie dla narodu, który pochował ponad 146 tys. ofiar covidu. Przygnębiające jest też odkrycie (dla wielu potwierdzenie), że Johnson znów zachowuje się według reguły: zaprzeczaj tak długo, jak się da, a jeśli już się nie da, tłumacz, że to nie twoja wina i zrzucaj ją na innych.

Żyjemy w świecie, w którym coraz więcej polityków mogłoby powtórzyć słynne słowa niesławnego węgierskiego premiera Ferenca Gyurcsánya: „Kłamaliśmy rano, nocą i wieczorem" (rzucone na poufnej naradzie partyjnej, nagrane przez kogoś i ujawnione). Z tym że wątpliwe jest, by Johnson kiedykolwiek przyznał się do kłamstwa. Jednak mało kto wierzy, że zależy mu na przestrzeganiu przepisów. On sam mało nie umarł na covid, chorowało też wielu pracowników Downing Street (co mogło być jedną z przyczyn ich luźnego stosunku do przepisów).

Rzecz w tym, że ów luźny stosunek do przepisów i instytucji, a także bardzo elastyczny do faktów – to cechy charakterystyczne działalności publicznej Borisa Johnsona od lat, a właściwie od początku jego kariery. Najsurowsi krytycy uważają go za zwykłego kłamcę.

Rory Stewart, jego niegdysiejszy przeciwnik w walce o przywództwo w Partii Konserwatywnej, twierdzi, że Johnson to „najbardziej sprawny kłamca w życiu publicznym, być może najlepszy kłamca, jakiego kiedykolwiek mieliśmy na stanowisku premiera". Stewart uważa, że Johnson „po mistrzowsku opanował wykorzystanie błędu, pominięcia, przesady, umniejszenia, uniku i otwartego zaprzeczenia". I dalej: „Jest [on] tak samo sprawny w zastosowaniu ironicznego dowcipu, bredni, ordynarnego kłamstwa, pustosłowia, półprawdy, kłamstwa hiperbolicznego, kłamstwa oczywistego i prostego bullshit [angielski wulgaryzm oznaczający nonsens – red.], który niechcący może okazać się prawdą".

Dominic Cummings, jego były główny doradca (odpowiedzialny za zwycięską kampanię przed referendum brexitowym), twierdzi, że Johnson „kłamie tak otwarcie, tak naturalnie, tak regularnie, że nie widzi różnicy między prawdą a kłamstwem". Cummings dodaje, że Johnson wielokrotnie dziwił się, jak niewiarygodnie śmieszne jest to, iż został premierem.

Eton, Oksford, Bruksela

Gdzie się tego nauczył? Skąd bierze się jego niezwykła swoboda granicząca z brakiem odpowiedzialności za słowo, hucpa, arogancja, charyzma, a na koniec siła przyciągania, która pozwoliła mu niejeden raz brawurowo wygrać wybory i wielokrotnie w ciągu ostatnich dwóch lat wygrzebać się z dramatycznych kłopotów?

Ze szkoły w Eton – tak twierdzi Andrew Adonis, jeden z jego biografów. Eton, czyli instytucja, która jest „nie tylko szkołą dla chłopców, ale masonerią na życie". Stąd Johnson trafił do Oksfordu, z Oksfordu do „Timesa", z „Timesa" do „Daily Telegraph" i roli korespondenta w Brukseli, gdzie jego kariera mogła rozbłysnąć. Był prawdopodobnie jednym z najbardziej wpływowych komentatorów politycznych, którzy zbudowali w opinii publicznej na Wyspach obraz Unii Europejskiej jako biurokratycznego potwora, skupionego na prostowaniu bananów i niszczeniu brytyjskiego parlamentaryzmu.

Dziennikarstwo – a w każdym razie to, co Johnson uprawiał w Brukseli – nigdy nie było dla niego celem samym w sobie. Jego siostra mówiła, że Boris od dziecka chciał być „królem świata", co w brytyjskich realiach oznacza stanowisko premiera. Dwa lata po zajęciu w 1999 r. fotela redaktora naczelnego tygodnika „The Spectator" Johnson zdobył mandat w jednym z najbardziej torysowskich okręgów w kraju: w Henley pod Londynem. Był jednocześnie naczelnym „Spectatora", posłem i bohaterem kolejnych obficie konsumowanych romansów. Dziś ma siedmioro dzieci i jest po raz trzeci żonaty, a o jego inwencji niech świadczy fakt, że trzeci ślub kościelny zawarł w Kościele katolickim, dla którego dwa poprzednie – anglikańskie – nie stanowiły przeszkody.

Do wyższych celów

W 2008 r. został burmistrzem Londynu, co było nie lada wyczynem – stolica jest raczej zarezerwowana dla labourzystów. Dwie kadencje w City Hall ujawniły kilka cech charakterystycznych Johnsona: brak zdecydowanych poglądów politycznych, co miało wyjść na jaw szczególnie przy okazji brexitu, zamiłowanie do pompa-

tycznych projektów, a zwłaszcza ekscentryczność, pewność siebie i przekonanie o przeznaczeniu do wyższych celów.

W stolicy Johnson zostawił po sobie kilka niezrealizowanych pomysłów, o których Brytyjczycy wciąż pamiętają, i kilka zrealizowanych, np. system rowerów miejskich czy Crossrail – linię kolejową przecinającą Londyn i okolice ze wschodu na zachód. Anthony Adonis wspomina, że podczas inauguracji budowy linii na stacji Canary Wharf Johnson powiedział do niego: „Dajcie im chleba i igrzysk, a nigdy nie będą się buntować". Po łacinie.

Ważne, że wygrywa

Sonia Purnell, kolejna biografka Johnsona, cytuje znajomego premiera, który mówi: „Podobnie jak Lord Palmerston [wyjadacz XIX-wiecznej brytyjskiej polityki – red.] Boris nie ma przyjaciół, tylko interesy". Jego biografowie twierdzą wręcz, że w zasadzie nie ma też poglądów politycznych nawet w najważniejszych sprawach – przed referendum brexitowym w 2016 r. miał napisać dwa felietony, na wypadek wygranej każdej ze stron. Dominic Cummings, jego obecny wróg numer jeden, uważa, że Johnson nigdy nie rozumiał, o co chodzi w umowie o wyjściu Londynu z Unii (co miało skutkować tym, iż podpisana przez niego część dotycząca Irlandii Północnej oznacza *de facto* ustanowienie granicy celnej między nią a resztą kraju).

Nie szkodzi, że nie ma stałych poglądów. Ważne, że wygrał torysom wybory. Bo jeśli idzie o skuteczność, Johnson stawiany jest dziś w jednym rzędzie obok największych powojennych premierów: Clementa Attlee, Margaret Thatcher, Tony'ego Blaira. Skuteczny nie znaczy najlepszy ani nawet dobry. Ale pozycję Johnsona zawsze wyznaczać będzie jego sukces w przerwaniu chaosu, w który staczała się Wielka Brytania w czasie rządów Theresy May, a także doprowadzenie do brexitu, co pod koniec 2019 r. wcale nie było pewne. Jak wyglądałyby jego rządy, gdyby dwa miesiące po objęciu przez niego urzędu nie wybuchła pandemia, trudno powiedzieć. Jedno wydaje się bardzo prawdopodobne: jego styl byłby zapewne taki sam jak teraz.

Rory Stewart nazywa Johnsona raz kłamcą, a raz mistrzem bullshitu, co nie jest zresztą tym samym. I właśnie to widać przy okazji kryzysów, z których jak dotąd wychodził tylko lekko poobijany. Przed referendum obiecywał Brytyjczykom dodatkowe 350 mln funtów tygodniowo na służbę zdrowia oraz szybkie zawarcie umów handlowych z Unią i USA. Tuż po wygranych wyborach zapowiadał, że dopóki pozostaje przy władzy, podatki nie wzrosną. Tymczasem przed dwoma miesiącami dokonał najwyższej od 20 lat podwyżki podatków, aby ratować upadającą służbę zdrowia. Inne brexitowe obietnice też wyparowały: Amerykanie pod wodzą Joego Bidena nie są zainteresowani pilnymi rozmowami na temat układu handlowego z Londynem, a rozmowy z Brukselą utknęły na etapie permanentnego kryzysu.

Johnson porusza się w sferze mitów, które sam tworzy i w które wierzą jego wyborcy.

I jeszcze brak kierowców, Świnka Peppa, wątpliwe imprezy bożonarodzeniowe, bunt posłów i przegrana w North Shropshire...

W sferze mitów

Jeśli jest jedna rzecz, w której torysi są mistrzami świata, to jest nią umiejętność pozbywania się balastu zbędnych liderów. Każdy, kto obejmuje ster w partii, wie, że w chwili, gdy nie zagwarantuje zwycięstwa, zostanie bez litości odsunięty od władzy. Boleśnie przekonała się o tym Margaret Thatcher, a po niej kilku kolejnych liderów.

Dziś popularność Johnsona spada, Partia Konserwatywna dołuje w sondażach. Co nie znaczy, że to proces nieodwracalny. W gruncie rzeczy do pewnego momentu nie ma bowiem znaczenia, czy współczesny polityk kłamie, opowiada brednie, kompromituje się albo w oczach niektórych staje się karykaturą samego siebie. Dla współczesnych elektoratów – nie tylko w Wielkiej Brytanii – fakty same w sobie mają umiarkowane znaczenie. Podobnie zachowanie polityka. Liczy się jego postawa wobec szerszej prawdy: dla zwolenników brexitu fakt, że Johnson zmyślał o kilkuset milionach funtów tygodniowo na służbę zdrowia, nie ma znaczenia (z kolei przeciwnicy brexitu straszyli, że miliony ludzi stracą po nim pracę i nastąpi krach gospodarczy – to też nie nastąpiło i w dającej się przewidzieć przyszłości nie nastąpi).

Znaczenie ma to, że Johnson – podobnie jak Trump, Orbán, Kaczyński i kilku im podobnych – niesie w sobie szersze oczekiwania większości elektoratu, w których fakty nie odgrywają istotnej roli. Tacy politycy unoszą się ponad sferą faktów – poruszają się w rejonie mitów (niekoniecznie kłamstw), które sami tworzą, i w które wierzą ich wyborcy. Johnson był tu ucieleśnieniem mitu brexitowego, tak jak Trump był ucieleśnieniem mitu „America First", a Kaczyński „Polski wstającej z kolan".

Znamienne, że dziś, prawie dwa lata po brexicie, gdy wszystko jest już jasne, nie ma znaczących zmian w rozkładzie nastrojów społecznych. Gdyby referendum o wyjściu z Unii odbyło się teraz, wynik byłby zapewne podobny jak w 2016 r.: pół na pół, z lekką przewagą którejś ze stron.

Rok 2022 powie „sprawdzam"

W przypadku ich wszystkich najbardziej istotnego znaczenia nabiera umiejętność, którą amerykański filozof moralności Harry Frankfurt opisał w epokowym dziele „O wciskaniu kitu" (w oryginale: „On Bullshit"). Otóż nie chodzi o to, że oni kłamią. Kłamstwo nie ma tu nic do rzeczy, bo „wciskającemu kit" zależy na czymś innym. „Warunkiem koniecznym i wystarczającym, by miało miejsce wciśnięcie kitu, jest zamiar sprawcy, by oszukać nas co do charakteru przedsięwzięcia, w które się zaangażował" – pisze Frankfurt.

Boris Johnson będzie rządzić tak długo, jak długo uda mu się przekonywać Brytyjczyków przy pomocy wszelkich dostępnych mu środków, iż ciągle jest „królem świata".

Co nie znaczy, że polityka przestaje mieć realne znaczenie. Pierwsze miesiące roku 2022 będą dla brytyjskiego premiera testem. Być może zbliża się czas, gdy jego podstawowa umiejętność – wciskanie kitu – nie wystarczy. A kiedy elektorat przestanie wierzyć w jego talent do wygrywania wyborów, to koledzy i koleżanki z Partii Konserwatywnej wbiją mu nóż w plecy. Niektórzy może nawet powiedzą: jaki on był śmieszny przez te wszystkie lata.

© DARIUSZ ROSIAK

WIECEK SOSNA

Przystań w Portsoy. Szkocja, 18 listopada 2021 r.

Królowa i gangsterzy

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

Choć w czasie pandemii Szkocja była długo zamknięta na turystów, często pojawiali się tu filmowcy. Efekty ich pracy będzie można obejrzeć w 2022 r.

STATION HOTEL NIE SPRAWIA WRAŻENIA, jakby miał być ulubionym miejscem filmowych gwiazd. A jednak parę z nich zatrzymało się na dłużej w tym hotelu – położonym przy głównej ulicy Portsoy, nadmorskiego miasteczka w północno-wschodniej Szkocji.

Był wśród nich aktor Cillian Murphy. Jego zdjęcie – choć może należałoby powiedzieć: zdjęcie Thomasa Shelby'ego, w którego Murphy wciela się w znanym gangsterskim serialu „Peaky Blinders" – wisi w hotelowym korytarzu. Na zdjęciu Tommy, jak zawsze w eleganckim garniturze i koszuli z nieskazitelnie białym kołnierzykiem, opiera się o bar. Odręczne podziękowania dla pracowników hotelu nie pozostawiają wątpliwości, że dobrze wspomina spędzone w nim chwile.

Gdy przyjeżdżam do Portsoy, jest już ciemno i pada deszcz; droga była kręta i męcząca. Życzliwi pracownicy, znakomite jedzenie i przyjazna atmosfera sprawiają, iż przypadkowy wybór noclegu okazuje się najwłaściwszym.

Tylko co tu robił gangster Shelby?

ODPOWIEDŹ UCIESZY fanów tego serialu: Murphy, inni aktorzy i członkowie ekipy pracującej przy produkcji zatrzymali się w Portsoy na pięć długich zimowych tygodni w styczniu i lutym 2021 r. W liczącym niespełna półtora tysiąca dusz miasteczku było wtedy mroźnie, szaro i ponuro ze względu na trwający lockdown. Jak w wierszu „In the Bleak Midwinter", którego początkowe wersy bohaterowie „Peaky Blinders" recytują w chwili, gdy śmierć jest blisko (dodajmy, że wiersz Christiny Rossetti jest też tradycyjnie śpiewany jako kolęda w brytyjskich kościołach w okresie świątecznym).

Szerzący się wtedy na Wyspach wariant Alfa koronawirusa i restrykcje ponownie zmusiły ludzi do pozostania w domach. Turyści odwoływali rezerwacje, a mieszkańcy spotkania noworoczne. I wtedy, „w środku mrocznej zimy", zjawiła się ekipa filmowa. Dla Station Hotel pobyt licznej grupy, która również się tu stołowała i zamawiała catering na plan zdjęciowy, był wybawieniem. „Jak manna z nieba" – stwierdzili później pracownicy hotelu. Z kolei dla mieszkańców Portsoy i okolicy kręcenie serialu było sporą atrakcją. Lokalna prasa odnotowała nawet fakt, że Murphy zrobił zakupy w miasteczku Newmachar – zapewne w drodze na plan w Portsoy.

Zdjęcia do szóstego już sezonu kręcono w zabytkowej przystani w Portsoy. Są tu właściwie dwie przystanie: jedna powstała w wieku XVII, a druga zbudowana w 1825 r., gdy w czasie boomu na śledzie rybackie łodzie przestały się mieścić w tej starej. Teraz łodzi jest mało, za to XVII-wieczna przystań i zabytkowe zaułki nieraz były planem filmowym.

O tym, jak ich miasteczko zaprezentowało się w „Peaky Blinders", mieszkańcy przekonają się na wiosnę 2022 r., gdy będzie można obejrzeć nowy sezon. Wiadomo tyle, że Portsoy nie zagrało samego siebie – a filmowi gangsterzy nie przenieśli w to miejsce swoich interesów.

AUTENTYCZNĄ HISTORIĘ regionu przybliżają natomiast w swoim serialu dokumentalnym – poświęconym podróżowaniu po Szkocji kamperem – aktorzy Miriam Margolyes (znana z roli w „Harrym Potterze i komnacie tajemnic") oraz Alan Cumming.

W 2021 r. oni także odwiedzili Portsoy i Station Hotel. Miriam Margolyes zapragnęła spożyć słynną zupę z wędzonej ryby Cullen Skink (nazwa pochodzi od Cullen, rybackiej wioski położonej po sąsiedzku) i podobno ta w hotelu bardzo jej smakowała. Choć akurat tej zupy nie jadłam, kuchnia w Station Hotel rzeczywiście jest znakomita. Oparto ją na lokalnych składnikach, takich jak wędzony łosoś z firmy Sutherlands of Portsoy, która działa od ponad stu lat.

RÓWNIEŻ KRÓLOWA zawitała w te okolice. W sierpniu 2021 r. w miasteczku Macduff (oddalonym od Portsoy o 10 mil) pojawiła się ekipa słynnego już na cały świat serialu „The Crown" wraz z Imeldą Staunton, aktualną odtwórczynią postaci królowej Elżbiety II. W najnowszym, piątym już sezonie serialu Staunton zastępuje w tej roli Olivię Colman (wszak serialowa królowa nie młodnieje).

Obecność gwiazd przyciągnęła tłumy do przystani w Macduff, gdzie kręcono ujęcia. Byli wśród nich mieszkańcy, którzy pamiętali wizytę prawdziwej Elżbiety II, gdy odwiedziła to miasteczko 60 lat wcześniej. Najnowszy sezon ma jednak obejmować okres późniejszy, lata 90., więc Macduff zapewne zagrało inne miejsce. Jakie? Okaże się po premierze jeszcze w tym roku.

Na liście lokalizacji „The Crown" jest wiele miejsc w Szkocji – nic w tym dziwnego, skoro serial opowiada o losach rodziny królewskiej, a Szkocja odgrywa w nich pewną rolę. Balmoral, szkocką sie-

dzibę królowej, w serialu zagrała więc posiadłość Ardverikie, a ujęcia z zawodów Highland Games kręcono w posiadłości Rothiemurchus.

ŻADEN INNY SERIAL nie zrobił jednak chyba tyle dla popularyzacji Szkocji, co „Outlander". Historia pielęgniarki, weteranki II wojny światowej, która w 1945 r. przybywa do Szkocji i siłą magii cofa się o 200 lat – do Szkocji z czasów powstania jakobitów – a tam odnajduje miłość swego życia, wywołała prawdziwy „efekt Outlandera".

Po 2014 r., gdy pojawił się pierwszy sezon, zainteresowanie regionem wzrosło odczuwalnie – niektóre miejsca występujące w serialu odnotowywały przed pandemią nawet 200-procentowy wzrost liczby odwiedzających. Są też organizowane specjalne wycieczki śladami serialu. A kilka lat temu pisano o pewnej romantycznej Amerykance, która pod wpływem filmu wsiadła do samolotu, aby w Szkocji szukać miłości i męża. Zdradźmy, że z powodzeniem.

W CZASIE PANDEMII szkocki rząd autonomiczny wprowadził poważne restrykcje, surowsze niż w sąsiedniej Anglii. Jednak dla filmowców zdecydował się robić wyjątki – przy zastosowaniu ścisłych wytycznych sanitarnych, jak regularne testowanie całych ekip.

Takie podejście władz w Edynburgu ma pewną tradycję. Już wcześniej nie polegały one tylko na pięknie szkockiego krajobrazu, licząc, że on sam ściągnie filmowców, lecz oferowały wsparcie technologiczne, logistyczne i finansowe dla przemysłu filmowego z całego świata. Szkocja gra więc czasem samą siebie (jak w „Outlanderze"), a czasem Irlandię, Francję czy inne miejsca. To także przyciąga turystów, co oznacza dodatkowe wpływy. Choć czasem ma to również skutki negatywne, gdy gości robi się zbyt wielu, a pewne lokalizacje są dosłownie zadeptywane.

Dziś rząd Szkocji obawia się, jakie skutki może mieć szybkie rozprzestrzenienie się Omikronu, nowego wariantu koronawirusa. Ale tu, w Portsoy, ludzie nie tracą optymizmu. Wierzą, że ich rodzinna okolica, pokazana w serialach, zyska na turystyce. Podobno niektórzy członkowie ekipy „Peaky Blinders" wrócili tu latem 2021 r., na prywatne już wakacje. ©℗

PRESIDENTIAL PRESS SERVICE / PRESIDENT.GOV.UA

W pierwszych dniach grudnia ukraiński prezydent odwiedził żołnierzy na pierwszej linii frontu w Donbasie. Na zdjęciu: w okopach, gdzieś w obwodzie donieckim.

Wszystkie fronty Wołodymyra Zełenskiego

TADEUSZ IWAŃSKI

Groźby Rosji to nie jedyny problem prezydenta Ukrainy. Zagrożeniem jest też zapaść energetyczna, a sytuację pogarsza konflikt głowy państwa z najbogatszym obywatelem.

Kolejna fala pandemii na Ukrainie zdaje się opadać: codzienna liczba nowych zakażeń zamyka się w kilku tysiącach, mniej tłoczno robi się na szpitalnych oddziałach covidowych, a coraz więcej obwodów wychodzi z tzw. strefy czerwonej, gdzie obowiązują lokalne lockdowny. Ale choć liczba ponadnormatywnych zgonów od początku pandemii przekroczy zapewne do końca roku granicę 100 tysięcy, nie jest to tematem szczególnie gorącym. Kryzys epidemiczny – już jakoś oswojony – ustępuje miejsca innym: militarnym, politycznym i energetycznym.

Na półmetku swojej prezydentury Wołodymyr Zełenski musi stawić czoło licznym wyzwaniom: na północnej, wschodniej i południowej granicy Rosja pręży muskuły, a w kraju narasta konflikt Zełenskiego z najbogatszym oligarchą Rinatem Achmetowem. Kontroluje on popularne stacje telewizyjne i lwią część sektora energetycznego (jakże wrażliwego społecznie w okresie zimowym), a teraz najwyraźniej montuje koalicję przeciwników prezydenta.

Front militarny

Jeszcze w listopadzie 2021 r. Kyryło Budanow, szef ukraińskiego kontrwywiadu wojskowego, odpalił informacyjną bombę. Stwierdził, że Rosja zgromadziła przy granicach prawie 100 tys. żołnierzy, ↦

↦ aby na przełomie stycznia i lutego 2022 r. dokonać inwazji z lądu, morza i powietrza, której skala przewyższać będzie wydarzenia z 2014 r., gdy wybuchła wojna w Donbasie.

Dane te pokrywają się z amerykańskimi: powołując się na nie, od końca października zachodnie media informują o gromadzeniu przez Rosję sił i środków znacznie przekraczających te, które obserwowano w kwietniu i potem podczas ćwiczeń „Zapad" we wrześniu. Na początku grudnia – jak twierdziły amerykańskie media – liczba rosyjskich żołnierzy mających wziąć udział w operacji ofensywnej miała wzrosnąć do 175 tys., co mogłoby sugerować plan okupacji części terytorium Ukrainy.

Rosja nie potwierdza i nie zaprzecza. Jednocześnie dostarcza na okupowany Donbas nowy ciężki sprzęt oraz rozkręca przewrotną kampanię, w której to Kijów oskarżany jest o chęć odbicia tego regionu i sabotaż tzw. porozumień mińskich (ich realizacja uczyniłaby z Ukrainy rosyjskiego wasala). Oraz przedstawia listę żądań (ogłoszoną przez rosyjskie MSZ w połowie grudnia), których istota polega na tym, że Kreml oczekuje od Zachodu uznania swojej strefy wpływów (m.in. przez zobowiązanie do dalszego nierozszerzania NATO) i chce decydować o obecności sił NATO w krajach tzw. wschodniej flanki, w tym w Polsce.

Cel: nowy podział Europy

Wydaje się, że Putin stracił cierpliwość. W ciągu prawie ośmiu już lat wojny w Donbasie – gdzie po pierwszym roku wojny manewrowej nastało kolejnych siedem lat wojny okopowej, pełzającej – Rosji nie udało się zmusić Ukrainy do ustępstw. Zamiast się ugiąć, modernizuje ona swoją armię i asertywnie domaga się członkostwa w NATO i UE. Rosną koszty militarnego zaangażowania Rosji, w tym koszty utrzymania obu donbaskich „republik ludowych", przez nią kontrolowanych.

Wygląda na to, że Kreml zauważył teraz swoje „okno możliwości": kluczowe kraje Europy skupione są na wewnętrznych sprawach. Niemcy są po wyborach parlamentarnych, Francja tuż przed prezydenckimi, a USA są zaangażowane w rywalizację z Pekinem i powstrzymywanie możliwej chińskiej agresji na Tajwan.

Rosyjskie koszty nowego ataku na Ukrainę prawdopodobnie byłyby znaczne: sankcje gospodarcze, w tym

MATERIAŁY PRASOWE SZACHTAR DONIECK

Oligarcha Rinat Achmetow, rywal prezydenta Zełenskiego.

możliwe wstrzymanie gazociągu Nord Stream 2 i odłączenie od systemu transakcji finansowych SWIFT, a także problemy wewnątrzpolityczne (ofiary wśród rosyjskich żołnierzy w starciu z najlepszą armią, jaką miała Ukraina).

Lecz jest też inna logika, zgodnie z którą zyski wezmą górę nad kosztami: nowy podział Europy i podporządkowanie Ukrainy mają być imperialnym dziedzictwem Putina, a zarazem mają zwiększyć jego społeczną legitymizację przed wyborami prezydenckimi w 2024 r.

Czy więc znów to tylko bluff – reżyserowana groźba, by osiągnąć ustępstwa? Czy jednak realna gotowość do przetestowania Zachodu? Nie wiadomo. Tak czy inaczej – nie jest wykluczona ograniczona eskalacja w okolicach Donbasu (rękami tzw. separatystów) lub prowokacja w Cieśninie Kerczeńskiej. Wszak Putin otwarcie mówi, że działania Kijowa w Donbasie to ludobójstwo. Grając z Zachodem słabszymi (militarnie) kartami, nadrabia (polityczną) determinacją. Nie zawaha się użyć pistoletu – czego Zachód bardzo chce uniknąć – jeśli poczuje bezkarność.

Patrząc na lęk, który poczynania Kremla wywołują na Zachodzie, władze Ukrainy zdają się mniej wystraszone. Choć podzielają niepokój, nie podejmują szczególnych przeciwdziałań. Może z obawy, aby Moskwa nie potraktowała tego jak prowokacji, nie ogłaszają mobilizacji, nie przemieszczają jednostek wojskowych, a rozstawienie drutu kolczastego na plaży w Mariupolu wygląda na inicjatywę władz lokalnych. Kijów mówi: żyjemy z tym zagrożeniem od ośmiu lat, jesteśmy gotowi.

Przewrót, którego nie było

Wydawałoby się, że groźba eskalacji wojny z Rosją podpowiada wyciszenie sporów w kraju. Lecz tak się nie dzieje. Podczas konferencji prasowej pod koniec listopada Zełenski zasugerował udział oligarchy Rinata Achmetowa w rosyjsko-ukraińskim spisku, którego celem miałoby być obalenie głowy państwa. Dowodów nie ujawnił. Przewrót – w dniach wskazanych przez Zełenskiego – nie odbył się, choć władze zamknęły pół Kijowa. Skąd więc taka nerwowość prezydenta?

Konflikt z Achmetowem narastał od dawna. U jego podłoża leży tzw. ustawa antyoligarchiczna, którą prezydent zaproponował, a następnie – z trudem – przepchnął przez parlament [patrz „TP" nr 27/2021 – red.]. Przewiduje ona prawne zdefiniowanie oligarchy, wpisanie ich w rejestr i nałożenie pewnych restrykcji. Oficjalnym celem ma być ograniczenie ich wpływu na życie gospodarcze, nieoficjalnym – uzyskanie narzędzia do ich dyscyplinowania i wykorzystywania do własnych celów, np. należących do nich kluczowych stacji telewizyjnych. A także – zrobienie wrażenia na wyborcach.

Państwo to ja

O ile jednak część oligarchów, jak Ihor Kołomojski, podeszła do tego z przymrużeniem oka, o tyle Achmetow nie wykazał się poczuciem humoru. Skrytykował ustawę, a siebie określił jako „inwestora" i największego płatnika podatków.

Już sam fakt, że oligarcha zabrał głos, dowodzi powagi sytuacji. Wcześniej na tematy polityczne wypowiadał się publicznie w 2014 r., gdy ważył się los jego rodzinnego Donbasu, a on – jego niekoronowany król – bezskutecznie próbował zapobiec wojnie. Okupacja regionu uszczupliła jego aktywa, jednak wciąż jest najbogatszym Ukraińcem. Kontroluje m.in. lwią część sektora hutniczego, produkcji i dystrybucji energii elektrycznej, a także najpopularniejszy kanał telewizyjny Ukraina.

Od prawie dwóch dekad każdy prezydent musiał się z nim liczyć. Zełenski na początku kadencji też nie wykazywał woli konfliktu, starając się tak oficjalnie, jak i nieformalnie pozycjonować się jako arbiter, skłaniający oligarchów do większych kontrybucji na rzecz państwa. O publicznej eskalacji sporu zadecydowały względy osobiste. I Zełenski, i Achmetow uważają, że „państwo to ja" – przekroczeniem czerwonej linii dla pierwszego był sprzeciw drugiego przed uznaniem go za oligarchę, dla drugiego zaś – parweniuszostwo (z jego punktu widzenia) prezydenta i jego upór.

Starcie na wyniszczenie

O ile podglebiem tego konfliktu były więc emocje, to jego przebieg jest bardzo konkretny, a stawka olbrzymia – reelekcja podupadającego w sondażach Zełenskiego.

Oligarcha wytoczył działa medialne i polityczne. Jego kanały telewizyjne poddają prezydenta zmasowanej krytyce. Ze studia nie wychodzi były już przewodniczący parlamentu Dmytro Razumkow, zdymisjonowany przez Zełenskiego (to potencjalnie jego najpoważniejszy konkurent w wyborach prezydenckich) i szwadron popularnych „gadających głów".

Zaproszenie do telewizji Achmetowa dostał też największy i osobisty oponent głowy państwa – marzący o powrocie na urząd były prezydent Petro Poroszenko. Najpopularniejszy polityczny talk show „Wolność słowa" (sic!), prowadzony przez wypróbowanego przez wszystkie ekipy specjalistę od mokrej medialnej roboty Sawika Szustera, stał się seansem nienawiści wobec rządzącej ekipy. Jej członkowie oficjalnie ogłosili bojkot kanałów Achmetowa.

Wejście Razumkowa w orbitę wpływów oligarchy sprawia też Zełenskiemu duży problem praktyczny. Razumkow „wyjął" z prezydenckiej frakcji Sługi Narodu aż 22 deputowanych, tworząc własną grupę międzyfrakcyjną Rozumna Polityka, pozbawiając w ten sposób ugrupowanie prezydenta samodzielnej większości w Radzie Najwyższej.

Zełenski nie pozostał dłużny. Dysponuje szerokim wachlarzem amunicji, jaki zapewnia machina państwowa. Najpierw rząd podniósł taryfy za przewozy rudy żelaza koleją, potem zablokowano rekompensaty za produkcję zielonej energii kontrolowanemu przez oligarchę koncernowi DTEK, następnie parlament podniósł podatki producentom rudy żelaza, co najsilniej uderza w inny koncern Achmetowa – MetInvest. Straty idą w dziesiątki milionów dolarów. Wisienką na torcie stało się zainicjowanie projektu ustawy, która ma umożliwić przejęcie przez państwo kontroli nad prywatnymi przedsiębiorstwami energetycznymi – tu znów poszkodowanym mogą być firmy oligarchy.

Jakie będą kolejne odsłony konfliktu, zobaczymy zapewne niebawem. Obu stronom powinno zależeć na kompromisie – spór dwóch ludzi z tak przemożnym wpływem na państwo nie może skończyć się dobrze ani dla nich, ani dla kraju. Jednak w grę wchodzą emocje.

> To, czy na Ukrainie uda się uniknąć wkrótce czasowych **wyłączeń prądu i ogrzewania, zależy głównie od pogody.**

Generał Mróz

Kolejnym frontem Zełenskiego może okazać się mroźna zima. W tym roku Ukraina weszła w sezon grzewczy, zaczynający się w październiku i kończący się zwykle w marcu, z rekordowo niskimi zapasami węgla.

Tymczasem choć ponad połowa energii produkowana jest w sześciu elektrowniach atomowych, to te pozostałe – spalające głównie węgiel (rzadziej gaz) i odpowiadające za produkcję jednej trzeciej prądu – mają kluczowe znaczenie dla bilansowania sieci w szczytowych okresach poboru (rano i popołudniu/wieczorem). Aby utrzymać stałe napięcie w sieci, a jednocześnie pokryć zapotrzebowanie wszystkich odbiorców, wykorzystuje się prąd produkowany przez elektrociepłownie, które najłatwiej regulują różnice w popycie, zwiększając i zmniejszając ilość spalanego węgla. Zadania tego nie mogą spełnić bloki atomowe (one produkują w trybie stałym, a możliwości regulacji są ograniczone i groźne) ani farmy wiatrowe i słoneczne (tu produkcja energii zależy od pogody).

Deficyt węgla wynika z wielu czynników, niemniej państwo nie podjęło odpowiednich kroków wystarczająco wcześnie. Surowiec jest drogi, trudno dostępny, a dotychczas zakontraktowane setki tysięcy ton z USA, RPA i Polski mogą być niewystarczające.

Kryzys energetyczny pogłębia Rosja – dla niej to kolejne narzędzie destabilizowania Ukrainy. Do tej pory wschodni sąsiad był głównym źródłem importu węgla antracytowego – wysokoenergetycznej odmiany, do niedawna głównego paliwa połowy ukraińskich elektrowni. Import ten stał się kluczowy, gdyż wszystkie ukraińskie kopalnie tej odmiany czarnego złota znalazły się po 2014 r. w okupowanej części Donbasu.

Tymczasem 1 listopada Moskwa zablokowała możliwość jego zakupu zarówno od swoich kopalni, jak też z Kazachstanu (tranzyt odbywał się *via* Rosja). Dodatkowo zablokowała też możliwość eksportu na Ukrainę energii elektrycznej. Wprawdzie Ukraina sprowadza niewielkie ilości energii z Białorusi, jednak z przyczyn politycznych dostawy te mogą ustać w zasadzie z dnia na dzień. Pozostaje opcja ograniczonych dostaw awaryjnych z państw Unii. Ale to porozumienie działa w obie strony: w listopadzie Kijów sprowadził 500 megawatów ze Słowacji, za to w grudniu przekazał prawie dwa razy tyle Polsce.

Recepta na destabilizację

Urzędowy optymizm, jakim władze ukraińskie reagują na tę sytuację, nie współgra z opiniami ekspertów. Choć w Kijowie podjęto decyzję o maksymalnym wykorzystaniu energetyki jądrowej – jednocześnie ma pracować aż 14 z 15 istniejących bloków – pozostawia to niewielkie pole manewru w zakresie niezaplanowanych remontów. Deficyt węgla ma być też pokryty częściowo spalaniem gazu, jednak i tu jest kłopot: dostępność tego surowca jest na światowych rynkach ograniczona, a cena wyjątkowo wysoka (dochodząca w październiku do nawet 2 tys. dolarów za 1 tys. m^3). I nawet jeśli w ukraińskich podziemnych magazynach jego dostępna ilość wynosi ok. 14 mld m^3 (ok. połowy rocznej konsumpcji, czyli „na styk"), to przed nami kilka zimowych miesięcy. A potem konieczność ponownego zapełnienia magazynów wiosną i latem – po cenach iście zaporowych.

To, czy uda się uniknąć czasowych wyłączeń prądu i ogrzewania – dla odbiorców prywatnych i przemysłowych – zależeć będzie więc przede wszystkim od pogody. To poważne wyzwanie polityczne dla Zełenskiego. Ciepła zima pomoże, mroźna – skomplikuje. W sytuację tę może wmieszać się znowu Achmetow. Kontroluje on 70 proc. produkcji energii elektrycznej z węgla i zarabia na tym krocie – wykorzystując wysokie ceny prądu w Europie, od miesięcy eksportuje energię na Zachód, ogałacając własne składy węgla.

Dalsza ostra eskalacja konfliktu Zełenskiego i Achmetowa to zatem prosta recepta na destabilizację całej Ukrainy. I wymarzony scenariusz dla Rosji.

© TADEUSZ IWAŃSKI

PACO FREIRE / ZUMA PRESS / FORUM

Kolejki do przyjęcia trzeciej dawki szczepionki. Barcelona, 15 grudnia 2021 r.

O sukcesie słów kilka

PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY

Gdy czwarta fala pandemii mocno doświadcza Europę, Hiszpania i Portugalia wydają się „zieloną wyspą". Choć statystyki infekcji ostatnio rosną także tutaj, skala ciężkich przypadków i zgonów jest na niższym poziomie niż gdzie indziej.

Spotykamy się, żeby porozmawiać o tym, co poszło dobrze. O sukcesie: w grudniu 2021 r. około 80 proc. Hiszpanów przyjęło już dwie dawki szczepienia przeciwko koronawirusowi, a ponad 20 proc. dawkę przypominającą. W Europie lepiej radzi sobie pod tym względem tylko Portugalia, gdzie dwie dawki przyjęło 88 proc. całej populacji. Hiszpanie mają być z czego dumni. Moi rozmówcy też są – akcja szczepień się udała, nie ma wątpliwości.

Mamy rozmawiać o sukcesie, ale jakoś nie od razu nam to wychodzi. Nasze myśli wracają do początku.

Wszyscy bacznie obserwowaliśmy pierwszą falę pandemii w Hiszpanii, każdy z nas na swój sposób. Ja z pewnego dystansu, bo z pozycji dziennikarki i emigrantki.

Epidemiolog Joan Guix nie mógł być bliżej biegu wydarzeń: gdy w Hiszpanię uderzyła pierwsza fala, sprawował funkcję sekretarza generalnego ministerstwa zdrowia w Katalonii.

Angel Martínez-Hernáez, profesor i dyrektor Centrum Badawczego Antropologii Medycyny przy Uniwersytecie w Tarragonie, przeżył ją jako zafascynowany sytuacją antropolog i jednocześnie członek zdezorientowanego społeczeństwa – jako ktoś, kto martwi się o bliskich, a po powrocie ze sklepu ze strachu przed wirusem po kolei pucuje każdą mandarynkę.

I w końcu Francisco Ortega – filozof i antropolog, który wszystko widział z dużo większej odległości: w trakcie pierwszej fali przebywał w Brazylii. Wtedy, w marcu 2020 r., wirus jeszcze nie zaczął tam siać zniszczenia.

Ortega: – Z perspektywy Brazylii patrzyliśmy na to, co się dzieje w Hiszpanii, i słyszeliśmy od innych: „Czekajcie, do was też przyjdzie". Więc czekaliśmy. Czekaliśmy, jak się czeka na nadejście tsunami.

O tragicznym początku

13 marca 2020 r. premier Pedro Sánchez ogłasza w Hiszpanii stan wyjątkowy. Zaczyna się to, co i w Polsce znamy już dzisiaj aż za dobrze. Czas długiego lockdownu, zakupów w jednorazowych rękawiczkach, spotkań na Zoomie – to z jednej, tej prozaicznej strony. Z drugiej był strach, bo Hiszpania okazała się jednym z pierwszych krajów, w których pandemia rozwinęła się w błyskawicznym tempie.

– Tamtego 1 marca mieliśmy czternaście przypadków zakażenia, w ostatnim dniu miesiąca już 20 tysięcy – Joan Guix, jak zresztą wszyscy, nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. – Wcześniej dostaliśmy zawiadomienie o 27 zarażonych w Chinach, ale tego typu wiadomości przychodziły nawet dwa razy w miesiącu. Zwykle niebezpieczeństwo w ogóle do nas nie docierało albo w bardzo małym zakresie.

Guix wymienia jednym tchem: – Nie mieliśmy środków, zasobów, nie mieliśmy pojęcia, co się wydarzy. Ludzie nam umierali, padali jeden po drugim, nie dało się nic zrobić. Zmęczenie, bezsilność, znów strach. Strach przed zarażeniem się, przed zarażeniem rodzin. Wielu pracowników w ogóle nie wracało do domów.

– Patrząc na to z Brazylii, myślałem tylko, jak jeszcze dużo gorzej może się podziać w innych krajach – dodaje Franci-

sco Ortega. – Hiszpania mogła przynajmniej liczyć na rząd, który ufa nauce i wierzy w istnienie koronawirusa.

Angel Martínez-Hernáez dodaje jeszcze, co można było zaobserwować wśród ludzi: niepewność, ale też nadzieję pokładaną w nauce. Że szczepionka będzie, i że pojawi się szybko.

To zostaje w pamięci

Doświadczenie, o którym opowiadają, to w chwili pisania tego tekstu coś tak uniwersalnego, tak już w pewnym sensie oswojonego, że może nie robić na czytelnikach wrażenia. Przyzwyczailiśmy się na tyle do ostrzeżeń, ograniczeń, a nawet do informacji o kolejnych zgonach, że stały się dla wielu z nas niemal przezroczyste, zwyczajne.

No to przypomnijmy sobie, chociaż na chwilę, marzec 2020 r. Przypomnijmy sobie Hiszpanię, której walka z pandemią była w nagłówkach mediów całego świata. Gdy Hiszpanie budzili się rano, aby słuchać wiadomości o przepełnionych kostnicach i o domach opieki, w których umierało nawet po kilkadziesiąt osób.

Taka trauma zostaje w pamięci. Kiedy dzielę się z moimi rozmówcami wynikami badań Eurobarometru z czerwca 2021 r., według którego aż 81 proc. Hiszpanów – to wynik najwyższy w Europie i dużo wyższy niż w Polsce (41 proc.) – za ważny powód dla przyjęcia szczepionki uznaje „ochronę swojej rodziny i innych przed zakażeniem wirusem", właśnie te trudne wspomnienia z pierwszej fali wydają im się w tym kontekście istotne.

– Musimy pamiętać, że wtedy ogromna liczba zgonów dotyczyła osób starszych, a to generuje społeczną odpowiedź. Było jasne, że trzeba ich chronić – mówi Martínez-Hernáez. – W Hiszpanii mamy mocno rozwinięte *familismo* – profesor przywołuje pojęcie, które można przełożyć w uproszczeniu jako przekonanie o wartości rodziny. – Chcemy o siebie dbać. I liczymy się z tym, co nasza rodzina robi. Presja społeczna też tu dobrze zadziałała, głupio było się nie zaszczepić – dodaje.

Z dawnego lęku przed szczepionką, który Hiszpanie odczuwali we wrześniu 2020 r. (aż 40 proc. deklarowało wtedy, że nie chce jej przyjąć od razu), w czerwcu 2021 r. nie zostało prawie nic: wówczas 78 proc. społeczeństwa albo już było zaszczepionych, albo chciało to zrobić jak najszybciej.

Złość w podziękowaniu

Teresa Forcades, 55-letnia katalońska zakonnica i lekarka, w 2009 r. stanowczo opowiadała się przeciw obowiązkowemu szczepieniu na grypę A/H1N1, czyli tzw. świńską grypę. W swoim nagraniu, które opublikowała wtedy w internecie, powoływała się na własne doświadczenie medyczne i krytykowała zalecenia Światowej Organizacji Zdrowia. Film obejrzało ponad milion osób, zanim platforma Vimeo zdecydowała się go usunąć.

W sieci do tej pory można znaleźć inne wystąpienie zakonnicy: wykład sprzed ośmiu lat, w którym – jak podsumowuje jeden z komentujących – „w ciągu kilku minut ujawnia prawdę o WHO, Billu Gatesie i szczepionkach".

W 2021 r. Forcades ponownie zostaje zauważona przez media, tym razem z racji krytyki szczepień przeciw koronawirusowi. Zostaje dostrzeżona nawet przez „New York Timesa", który opisuje ją jako „najbardziej prowokacyjną katolicką zakonnicę, niezgadzającą się z rządami krajów, ekspertami medycyny, a nawet z papieżem Franciszkiem, który popiera szczepionki przeciwko koronawirusowi".

Forcades jest chyba jedną z najstarszych gwiazd na europejskim firmamencie ruchów antyszczepionkowych, ale nie jedyną popularną w Hiszpanii. W ostatnim roku szczególnie zwrócił na siebie uwagę Miguel Bosé, znany muzyk i aktor, bynajmniej nieironicznie przekonujący swoich fanów o ryzyku masowego wszczepiania mikroczipów.

– Czy mamy u nas *antivacunas*, antyszczepionkowców? – Dani, pielęgniarz ze szpitala w Madrycie, uśmiecha się. – Jasne, większość na naszym oddziale to niezaszczepieni.

Z Danim rozmawiałam po raz pierwszy na początku pandemii. Wtedy był pełen entuzjazmu, mimo ogromnego wysiłku, który wkładał w pracę, i codziennego zmęczenia. Śpiewał piosenki pacjentom, którzy tygodniami nie widzieli się z bliskimi. Podnosił na duchu kolegów.

Teraz tego entuzjazmu jakby nie ma, zniknął. Dani przyznaje, że *antivacunas* dokładają mu problemów do i tak trudnej pracy. – Cały dzień harujesz, żeby ulżyć komuś, kto sam nie zadbał o swoje zdrowie. A w podziękowaniu dostajesz złość i przekonywanie, że i tak się nie zaszczepi.

Zdarzają się jednak i inne przypadki: jak matka z córką, które leżały z covidem na dwóch różnych piętrach. – Co przychodziłem do matki, to nadawała na córkę. Że nigdy już jej nie posłucha, że jeszcze zobaczy. Matka miała około osiemdziesiątki, a córka pokończyła jakieś kursy z medycyny alternatywnej i zabroniła jej się szczepić.

Grupa niejednolita

Także na ulicach widać *antivacunas*.

Na ich ostatnią manifestację w Barcelonie przyszło 3 tysiące osób. Niektóre ostro odnosiły się do pracowników mijanych lokali, którzy przy wejściu sprawdzali gościom *pasaporte covid*, certyfikat szczepienia, bez którego od początku grudnia 2021 r. nie można wejść do barów, restauracji czy siłowni.

– Jeden z moich studentów napisał na ten temat pracę magisterską, o ludziach protestujących w Hiszpanii przeciw szczepieniom – przypomina sobie Martínez-Hernáez. – Co wydaje mi się w tym temacie ciekawe, to fakt, iż jest to bardzo niejednorodna grupa. Jedyne, co ich łączy, to że często są to ludzie zrozpaczeni. Choćby kelner czy ochroniarz, który stracił pracę.

Niejednolitość grupy osób, które w Hiszpanii do tej pory się nie zaszczepiły (co niekoniecznie oznacza, że muszą być gorliwymi przeciwnikami szczepień), pokazują dane opublikowane w listopadzie 2021 r. przez ośrodek badawczy CIS: to osoby mieszkające w miastach i na wsiach, kobiety i mężczyźni, z różnym wykształceniem. Więcej jest ich jednak wśród osób o poglądach konserwatywnych, ale też młodych lub pochodzących ze społeczności imigrantów.

Wyniki wskazują też, że osobę niezaszczepioną można częściej znaleźć wśród osób głosujących na VOX, partię skrajnej prawicy, której politycy zajęli niejednoznaczne stanowisko wobec szczepień, powołując się na wolność wyboru jednostki.

Konsensus wokół szczepień

– Coś nowego wydarzyło się w tej pandemii, to znaczy temat stał się polityczny – przyznaje Ortega, antropolog. – Dotąd, gdy stawaliśmy przed tego typu kryzysami, oznaczały one jakieś przynajmniej tymczasowe narodowe zjednoczenie. Jak w Ameryce po zamachu na World Trade Center. Nawet Demokraci dali wtedy spokój Bushowi, wszyscy go wspierali. W pandemii tego nie widzimy, wręcz przeciwnie.

W Hiszpanii sposób zarządzania kryzysem stał się punktem sporu między ↦

↦ premierem Pedro Sánchezem a opozycją. Pablo Casado, lider prawicowej Partii Ludowej, wniósł nawet niedawno o powołanie komisji śledczej, która ustaliłaby, czy na początku 2020 r. rząd nie ukrywał rozmiarów pandemii, aby nie odwoływać feministycznej manifestacji 8 marca.

Same szczepienia jednak nigdy nie stały się tematem politycznego sporu. „Zwolennicy Donalda Trumpa się nie szczepią, to kwestia ideologiczna – mówił Juan Ayllón z Universidad de Burgos dla magazynu elDiario.es. – W Hiszpanii doszło do polaryzacji wszystkiego, co było związane z pandemią, ale nie tematu szczepień. Może były dyskusje o szczepionce AstraZeneca, czy tak, czy jednak nie. Albo że któryś z regionów dostał za mało dawek. Ale nie było polaryzacji wokół tematu samego szczepienia".

Kwestia zaufania

W tym samym artykule w elDiario.es głos zabiera socjolog Josep Lobera: „Teorie antyszczepionkowe dotarły do nas później i w mniejszym natężeniu. W innych krajach zaczęły się pojawiać w latach 70. i 80. XX w. Czasem nawet związane były z pewną intelektualną wizją świata, która negowała wszystko, co naukowe, i szukała alternatywnych dróg. Tutaj dotarły w latach 90. i opieraliśmy się im całkiem dobrze, przynajmniej w przypadku szczepień dla dzieci".

Pod tym względem Hiszpania jest jednym z europejskich liderów: już w 2018 r. ponad 90 proc. Hiszpanów zgodziło się z trzema następującymi stwierdzeniami: „uważam za ważne przyjmowanie szczepionek przez dzieci", „uważam, że szczepienia są skuteczne" i „uważam, że szczepienia są bezpieczne".

– Mamy silną tradycję szczepień – tłumaczy epidemiolog Joan Guix. – Pierwszy kalendarz szczepień wprowadzono w 1975 r., bardzo wcześnie. Powstała pewna norma. Teraz, jeśli chodzi o pierwsze szczepienia dzieci, mówimy o wynikach ponad 95 procent.

Niektórzy twierdzą, że ta data nie jest przypadkowa: promowanie szczepień zbiegło się w czasie z wychodzeniem z ciężkich lat dyktatury Franco, kojarzyło się z rozwojem i nowoczesnością.

– Inne ważne aspekty: pomoc zdrowotna jest wysokiej jakości, bezpłatna i łatwo dostępna – kontynuuje Guix. – A społeczeństwo bardzo ufa pracownikom ochrony zdrowia.

Aż 87 procent Hiszpanów deklaruje, że ufa pracownikom ochrony zdrowia. **To najwyższy wynik w Europie.**

Kryzys uwidacznia braki

Ten ostatni aspekt również wyróżnia Hiszpanię w wynikach Eurobarometru, tym razem z kwietnia 2021 r.: aż 87 proc. potwierdziło, że ufa pracownikom ochrony zdrowia. To najwyższy wynik w Europie. Co ciekawe, Hiszpanie sytuują się na drugim biegunie tabeli wyników, jeśli chodzi o zaufanie do rządu („tak" odpowiedziało jedynie 20 proc.) i partii politycznych (zaledwie 7 proc. na „tak"). To mniej niż europejska średnia.

Guix podsumowuje krótko: – Lekarze są blisko i są godni zaufania. Kiedyś chodziło się po wsparcie do księdza, teraz figurą księdza jest w Hiszpanii lekarz.

– Tym bardziej boli, że ochrona zdrowia jest od lat niedofinansowana – dodaje Martínez-Hernáez. – Wydaje się, że nasz poziom zaufania idzie zupełnie w kontrze do tego, na kogo nasz rząd decyduje się przeznaczać pieniądze.

Służba zdrowia, choć na wysokim poziomie pod względem jakości usług, od lat musi radzić sobie z cięciami budżetowymi – kryzys epidemiczny uwydatnił wszystkie braki.

Sytuacja wygląda krytycznie również z perspektywy pracowników.

– Moje koleżanki, które zostały zatrudnione w Madrycie na samym początku pandemii, do tej pory nie wiedzą, czy w styczniu 2022 r. będą mieć jeszcze robotę – kręci głową Dani. – Warunki pracy są ciężkie, zarobki bardzo niskie, a do tego masz bardzo mały wpływ na to, gdzie i jak będziesz pracować. Jeśli tylko byłaby opcja jakiejś lepszej pracy, już dzisiaj odszedłbym ze szpitala.

Grudniowe kolejki

Grudzień roku 2021 w Hiszpanii mijał pod znakiem zwiększającej się liczby zakażeń. Jednak choć w środę 15 grudnia w 47-milionowym kraju odnotowano niemal tyle nowych infekcji co w Polsce (prawie 21 tys.), to na covid umarło tutaj 55 osób, podczas gdy w Polsce były aż 592 ofiary śmiertelne.

Grudzień 2021 r. w Hiszpanii to także czas kontrowersji związanych z wprowadzeniem *pasaporte covid*. Obowiązek pokazania certyfikatu szczepienia przed wejściem do miejsc publicznych wydaje się przekonywać tych wcześniej nieprzekonanych. Punkty szczepień, od jakiegoś czasu opustoszałe, znów się zapełniają.

W jednym z nich – dużym centrum szczepień w Barcelonie – dochodzi nawet do ostrego konfliktu z personelem, gdy ten informuje, iż szczepionek nie wystarczy dla wszystkich spośród ok. 2 tys. osób (sic!), które ustawiły się tam w kolejkach.

Zaczęły się też szczepienia dzieci.

O solidarności (w egoizmie)

Wraz z moimi rozmówcami zastanawiamy się, jak jeszcze można wyjaśnić hiszpański sukces. W mediach najczęściej wskazuje się na zaufanie do służby zdrowia, na tradycję szczepień, na traumatyczny początek pandemii, który sprawił, iż trudniej było negować powagę sytuacji. Każdy z tych elementów, o których również i my mówiliśmy, mógł mieć jakiś wpływ.

Na koniec przedstawiam jeszcze jedną informację z Eurobarometru: 81 proc. Hiszpanów za bardzo ważny powód dla przyjęcia szczepionki uznaje przyczynienie się do zakończenia pandemii (to znów najwyższy wynik w Europie).

– Czyli taka solidarność? Ciekawe... – zastanawia się Francisco Ortega. – Bo tu chodzi o pomoc anonimową, nie o pomoc kuzynowi czy siostrze. To się wiąże z anonimowością...

– Ale nie zapominajmy, że to solidarność, która ostatecznie ma też pomóc nam samym – dodaje Joan Guix. – Powiedziałbym, że to taka solidarność w egoizmie.

– Poza tym to solidarność wyłącznie wobec mojego kolegi Hiszpana – Ortega przypomina, że nie widać specjalnego wysiłku ze strony Europ y we wsparciu szczepień w krajach afrykańskich. Ani presji społecznej w tej kwestii ze strony obywateli (w Hiszpanii, która poprzez Morze Śródziemne sąsiaduje z Afryką Północną, to istotny aspekt).

– Ale nawet z punktu widzenia egoizmu jest to najrozsądniejsze, co moglibyśmy zrobić. Inaczej czekają nas kolejne warianty wirusa – dodaje Ortega.

– I kolejne pandemie – kończy Guix. – Na które, mimo całego tego doświadczenia, najpewniej nie będziemy przygotowani.

© PAULINA MAŚLONA

JOHN THYS / AFP / EAST NEWS

Prezydent Francji Emmanuel Macron i kanclerz Niemiec Olaf Scholz po wspólnej konferencji prasowej podczas szczytu Unii Europejskiej w Brukseli. 17 grudnia 2021 r.

Dopaść Macrona

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA

Za plecami lokatora Pałacu Elizejskiego – i faworyta wyborów prezydenckich we Francji wiosną 2022 r. – walczy zaciekle troje rywali. Cała czwórka musi liczyć się ze zmianą nastrojów społecznych.

Pewne wydają się dziś dwie rzeczy. Pierwsza: że walka nie rozstrzygnie się w pierwszej turze, zaplanowanej na 10 kwietnia. Druga: że do kolejnej tury przejdzie starający się o reelekcję prezydent, 43-letni prounijny liberał Emmanuel Macron. Od miesięcy prowadzi w sondażach, mając stabilne poparcie jednej czwartej wyborców. Ale na tym kończą się racjonalne przewidywania. Dalej prognozy stają się mgliste jak wyrocznie delfickie.

Sondaże sugerują, że obok Macrona szansę na wejście do drugiej rundy ma troje kandydatów, reprezentujących prawicę i skrajną prawicę: Marine Le Pen (liderka nacjonalistycznego Zjednoczenia Narodowego), Valérie Pécresse (kandydatka umiarkowanie prawicowych Republikanów) i Éric Zemmour (publicysta i polityczny debiutant o poglądach ultrakonserwatywnych).

W połowie grudnia badania opinii dawały Le Pen i Pécresse zbliżone poparcie (po 16-17 proc.), natomiast pozycja Zemmoura, który wcześniej sytuował się na podobnym poziomie, nieco spadła (do 13 proc.; przy marginesie błędu statystycznego ok. 3 proc.).

Kandydat za gardło łapany

Przetasowanie kart nastąpiło jesienią 2021 r., gdy do gry wszedł nagle Zemmour, okrzyknięty czarnym koniem tego wyścigu [patrz „TP" nr 46/2021 – red.]. Ten były dziennikarz, przez lata brylujący w telewizyjnych *talk-show*, budzi skrajne emocje: od uwielbienia po nienawiść. Jego wiece są stale zakłócane przez demonstrantów określających się jako antyfaszyści, którzy przy tej okazji ścierają się z policją.

Podczas pierwszego wielkiego wiecu 63-letniego Zemmoura – w 30-tysięcznym miasteczku Villepinte pod Paryżem, w pierwszą niedzielę grudnia – lewicowi działacze, którzy zasiedli wśród zebranych, urządzili tam milczący happening pod hasłem „Precz z rasizmem". W reakcji na to młodzi zwolennicy Zemmoura rzucili się na nich z pięściami. Według obecnych na miejscu dziennikarzy, młodzieżowi zwolennicy kandydata poturbowali też wysłanników mediów. Z kolei jeden z krytyków prawicowego dziennikarza podszedł do niego i złapał go za szyję, zanim unieszkodliwili go ochroniarze.

Burdy te dobrze ilustrują klimat przed tymi wyborami. Adwersarze Zemmoura ostrzegają: jeśli zostanie wybrany, krajowi grozi wojna domowa. Wskazują, że stale dolewa on oliwy do ognia wypowiedziami wymierzonymi w imigrantów spoza Europy oraz w wyznawców islamu. Trudno wyobrazić sobie Zemmoura jako głowę państwa, w którym korzenie imigranckie ma co czwarty mieszkaniec, i gdzie żyje 5-6 mln muzułmanów (to niemal 10 proc. ludności; kraj ma 67 mln obywateli).

Francja idzie na prawo

Nietrudno dostrzec, że w tym sezonie wiatr we Francji wieje z prawej strony. Tutejsza lewica przeżywa kryzys ideowy i cierpi na brak przywództwa – różnych kandydatów lewicowych popiera łącznie mniej niż jedna trzecia Francuzów.

Ku rozczarowaniu swojego elektoratu lewicowi politycy nie potrafili do tej pory wyłonić wspólnego kandydata. Na niewiele zdała się obywatelska petycja, postulująca przeprowadzenie lewicowych prawyborów, którą do połowy grudnia podpisało prawie 300 tys. Francuzów. ↦

↦ – Teraz, gdy do wyborów zostało kilka miesięcy, dla lewicy jest zbyt późno, by wyłonić wspólną podstawę programową i jednego kandydata – mówi „Tygodnikowi" politolog Bruno Cautrès z paryskiego Instytutu Nauk Politycznych. – Sondaże przedwyborcze pokazują też, że Macron potrafił przejąć już teraz, przed pierwszą turą, część elektoratu centrolewicy.

Postulat lewicowych prawyborów odrzucili dwaj najpopularniejsi kandydaci: Jean-Luc Mélenchon (lider ugrupowania Francja Nieujarzmiona, stylizujący się na ludowego trybuna) oraz Yannick Jadot (przywódca Zielonych). Według sondaży obaj mają po 8-9 proc. poparcia. Ideę prawyborów wsparła tylko kandydatka socjalistów, mer Paryża Anne Hidalgo, której notowania nie przekraczają 5 procent.

Rekonkwista Zemmoura

Ze słabości lewicowych pretendentów korzysta prawica, a zwłaszcza jej skrzydło radykalne, do którego należą Le Pen i Zemmour. Oboje wiele łączy: niechęć do UE i USA, podziw dla putinowskiej Rosji, wrogość do islamu jako religii (a nie tylko do islamskich radykałów), pragnienie zastopowania dalszej imigracji.

Zemmour przyciąga przy tym wyborców, których rozczarowuje lawirowanie 53-letniej Le Pen, od lat próbującej złagodzić swój wizerunek skrajnej polityczki. Od 2017 r. nie tylko osłabiła ona swoją retorykę, ale też zrezygnowała z zasadniczych dotąd części programu: nie mówi już, jak wcześniej, o wyjściu Francji z Unii, ze strefy euro i ze strefy Schengen. Deklaruje natomiast wolę radykalnych zmian wewnątrz Unii, które chce przeprowadzić w sojuszu z innymi partiami populistyczno-narodowymi (w tym z PiS i węgierskim Fideszem).

Między obojgiem kandydatów jest jedna istotna różnica: partia Le Pen istnieje od pół wieku (wcześniej pod nazwą Front Narodowy), a Zemmour to nowa jakość na scenie politycznej. Swój start obwieścił oficjalnie dopiero w końcu listopada, a zaraz potem ogłosił też powołanie własnego ruchu politycznego o nazwie *Reconquête* (Rekonkwista). To czytelne odwołanie do średniowiecznej Rekonkwisty: zbrojnego odbijania przez władców chrześcijańskich Półwyspu Iberyjskiego z rąk muzułmanów (trwało to długo, bo od VIII aż do XV stulecia). Nazwa ruchu sugeruje, kto jest głównym przeciwnikiem Zemmoura.

W ten sposób po raz pierwszy w powojennej historii Francji radykalna prawica – w osobach Le Pen i Zemmoura – ma szansę uzyskać w pierwszej turze aż jedną trzecią głosów.

Kobieta wygrywa z samcami alfa

Ostatnie tygodnie we francuskiej polityce obfitowały w nagłe zwroty akcji. Wkrótce po rozpoczęciu kampanii Zemmoura odbyły się prawybory u Republikanów, partii umiarkowanej prawicy. Wygrała je ta, na którą prawie nikt nie stawiał: Valérie Pécresse, jedyna kobieta w gronie męskich kandydatów. Pokonała Xaviera Bertranda i Michela Barniera, starszych od niej i faworyzowanych.

Choć pozostawała dotąd w cieniu kolegów, 54-letnia Pécresse ma spore doświadczenie polityczne i administracyjne. Była ministrem za prezydentury Nicolasa Sarkozy'ego, a od sześciu lat piastuje ważną funkcję przewodniczącej regionu paryskiego, Île-de-France. Jest pierwszą w historii kobietą wystawioną przez umiarkowaną prawicę do walki o prezydenturę.

Republikanie, wywodzący się z neogaullistowskiej partii RPR Jacques'a Chiraca (później przemianowanej na UMP), mają reputację matecznika samców alfa. Pécresse musiała wykazać się dużym uporem, żeby przebić się we własnym środowisku politycznym.

Podkreśla ona nieustająco, że jest silną kobietą. W trakcie kampanii prawyborczej powtarzała: „Gdy będzie trzeba podjąć trudne decyzje, nie zadrży mi ręka". Określała samą siebie jako „w dwóch trzecich Merkel, a w jednej trzeciej Thatcher". Innym razem użyła gry słów, mówiąc, że jest „kobietą czynu" (*La Dame de faire*), co po francusku brzmi jak Żelazna Dama (*La Dame de fer*) – klarowne nawiązanie do szefowej brytyjskiego rządu z lat 1979-90, słynącej z nieugiętości.

Prymuska gotowa do kompromisów

Valérie Pécresse, mężatka i matka trojga dzieci, od młodości ma opinię pracowitej prymuski. Jako nastolatka pochodząca z zamożnej rodziny, pasjonująca się innymi kulturami, pojechała do Związku Sowieckiego, a potem do Japonii, by uczyć się rosyjskiego i japońskiego. Maturę zdała w wieku 16 lat, wcześniej od innych dostała się na studia (w prestiżowej szkole zarządzania), a potem dodatkowo ukończyła, jak większość czołowych tutejszych polityków – Narodową Szkołę Administracji (ENA). Dodajmy, że z wyróżnieniem.

Karierę zaczynała jako doradczyni prezydenta Chiraca, a kontynuowała u boku Sarkozy'ego. Francuzi pamiętają ją jako minister szkolnictwa wyższego (2007-11), kiedy to – mimo strajków studenckich – przeprowadziła reformę uniwersytetów. Potem krótko pełniła funkcję ministra ds. budżetu, finansów i reformy państwa.

Atutem Valérie Pécresse jest wizerunek osoby, która bardziej łączy niż dzieli, zdolnej do zawierania kompromisów. To odróżnia ją od Le Pen i Zemmoura, którzy większość Francuzów odstraszają swoją skrajnością. Zaraz po wygranej w prawyborach objechała okręgi wszystkich swoich konkurentów w gronie Republikanów, by zjednoczyć swój obóz w obliczu decydującego starcia. Natomiast według komentatorów jej słabością ma być brak charyzmy i przeciętne umiejętności oratorskie.

Kandydatka Republikanów obiecuje poważne oszczędności w wydatkach budżetu i atakuje ostro obecnego prezydenta za pogłębienie długu publicznego. Głośne stało się jej powiedzenie, że Macron „puścił z dymem kasę państwową". Być może ostrość tych ataków uzasadniona jest faktem, że Pécresse i Macron walczą o podobnych wyborców: liberalna pod względem gospodarczym kandydatka Republikanów może przyciągnąć część centrowego, a może też lewicowego elektoratu.

O tym, że Pécresse ma duże szanse, przekonany jest prof. Georges Mink, politolog z Francuskiej Akademii Nauk (CNRS). – Jej triumf byłby zgodny z duchem konserwatyzmu, który we Francji urósł w siłę, przyćmiewając dziś zupełnie lewicę – mówi „Tygodnikowi" Mink.

Ale żeby wygrać, najpierw Pécresse musi dostać się do drugiej tury. Na drodze do niej czyha na nią poważna przeszkoda – właśnie pod postacią Le Pen i Zemmoura.

Portfel, zdrowie, imigracja

Jakie tematy będą decydujące podczas tych wyborów? Jeśli przyjrzeć się badaniom opinii (sondaż ośrodka Elabe z października 2021 r.), to jako swoje podstawowe troski Francuzi wskazują dziś koszty życia (45 proc.), następnie bezpieczeństwo i przestępczość (30 proc.), imigrację (27 proc.), zdrowie (26 proc.) i ekologię (25 proc.).

– Jeśli chodzi o kwestie ekonomiczne, Francuzów niepokoi przede wszystkim widoczny w ostatnich tygodniach wzrost cen prądu, gazu i paliw. A przecież od paliw zaczęła się rewolta Żółtych Kamizelek, czyli najbardziej gwałtowny ruch społeczny ostatnich lat – ocenia w rozmowie politolog Cautrès.

Uratowanie gospodarki przed zapaścią było możliwe tylko dzięki wyjątkowej, hojnej pomocy państwa na czas pandemii. Ale jesienią 2021 r. rząd premiera Jeana Casteksa ogłosił przyhamowanie pomocy dla przedsiębiorstw, co sprawia, że wielu Francuzom strach ponownie zajrzał w oczy.

Do tej niepewności o stan własnego portfela dochodzi lęk przed pandemią, która we Francji weszła w kolejną, piątą już fazę – w połowie grudnia w kraju notowano dziennie po ok. 65 tys. nowych zakażeń i ok. 150 zgonów. Lekarze nie kryją obaw, że, jeśli tak dalej pójdzie, niedługo może zabraknąć łóżek na oddziałach reanimacji.

Co daje dziś poparcie

Najwięcej emocji jednak wywołują tematy imigracji i islamu, podgrzewane wciąż przez skrajną prawicę. Gra ona na tych samych instrumentach – strachu przed utratą narodowej tożsamości w obliczu demograficznej dominacji imigrantów, którzy mają więcej dzieci. Le Pen zapowiada, że jej pierwszą decyzją po wyborze będzie ogłoszenie referendum w sprawie ograniczenia imigracji. Zemmour idzie dalej: głosi „zero imigracji". Byłaby to rewolucja w kraju, w którym co roku legalne pozwolenie na pobyt dostaje ok. 270 tys. imigrantów (dwie trzecie to zagraniczni studenci i osoby przybyłe w ramach łączenia rodzin).

– Badania opinii publicznej od lat wskazują, że kwestia kontroli granic państwowych i imigracji nabrała większego znaczenia – mówi „Tygodnikowi" Bruno Cautrès. – Zemmour umiał z tego skorzystać. W dodatku część elektoratu Marine Le Pen przerzuciła na niego swoje poparcie, gdyż wątpi, że ich była już faworytka potrafi wypaść lepiej niż w poprzednich wyborach w 2017 r., gdy w debacie z Macronem poległa na sprawach gospodarczych.

Z przywołanego wyżej zestawienia trosk Francuzów wynika, że eksponowanie tematów imigracji i przestępczości może przynieść spore poparcie. Trudno jednak przekonać do siebie większość Francuzów, jeśli nie ma się pomysłu na podniesienie poziomu życia, naprawę służby zdrowia czy ochronę środowiska. Brak realnego programu w tych właśnie sprawach jest wyraźną słabością Le Pen i Zemmoura.

ALEKSANDRA SZMIGIEL / / REUTERS / FORUM

Marine Le Pen, Warszawa, 4 grudnia 2021 r.

LE TELLEC STEPHANE / / EAST NEWS

Valérie Pécresse, Paryż, 12 grudnia 2021 r.

STEFANO RELLANDINI / / AFP / EAST NEWS

Eric Zemmour, Paryż, 5 grudnia 2021 r.

Z Europą w tle

Z wyborami prezydenckimi zbiega się francuska prezydencja w Unii, przypadająca na pierwsze półrocze 2022 r. Tymczasem Bruno Cautrès twierdzi, że dotychczasowy bilans prezydentury Macrona w sprawach unijnych jest bardzo rozczarowujący, jeśli bilans ten mierzyć jego ambicjami sprzed pięciu lat, gdy zapowiadał „renesans Europy".

– Prezydencja francuska w Radzie Europejskiej w pierwszej połowie 2022 r. będzie pewnie okazją dla Macrona do próby naprawienia tego stanu rzeczy. Ale nie jest pewne, że Francuzi w to uwierzą, bo przywykli do pięknych fraz Macrona, za którymi nie idą czyny – uważa politolog.

Natomiast Georges Mink sądzi, że w trakcie francuskiej prezydencji Macron ograniczy się do poruszania kwestii praktycznych, np. przeprowadzenia na poziomie całej Unii płacy minimalnej oraz negocjacji w sprawie tzw. granicznego podatku węglowego (tj. dodatkowego cła, nakładanego na sprowadzane do UE produkty, które wytwarza się przy dużej emisji CO_2).

Mink spodziewa się też, że prezydent będzie unikał na forum unijnym drażliwych tematów, takich jak wspólna polityka imigracyjna. Po pierwsze, jest to kość niezgody w gronie 27 krajów Unii, a po drugie Macron-kandydat nie zamierza drażnić tu dużej części wyborców, obawiających się dalszego napływu imigrantów.

Paryż patrzy na wschód

Nieoczekiwanie ważnym tematem francuskiej kampanii stał się kryzys na wschodniej granicy Unii. Tutejsza prawica i skrajna prawica niemal jednym głosem wsparły rządy Polski i krajów bałtyckich w budowie granicznych umocnień. Z kolei lewica i skrajna lewica sprzeciwiły się temu, argumentując – jak polityk Zielonych Julien Bayou – że „współczesna Europa powstała dzięki obaleniu muru berlińskiego".

Centrysta Macron wybrał drogę środka: poparł ochronę unijnej granicy przez polski rząd (bo uwaga skupia się tu głównie na Polsce), unikając wypowiedzi na temat samego granicznego muru. Jednocześnie poczynił kroki dyplomatyczne w tej sprawie: w listopadzie i grudniu rozmawiał dwukrotnie telefonicznie z Władimirem Putinem, aby ten wywarł presję na Aleksandra Łukaszenkę.

W ostatnich dniach Macron stara się też być aktywnym uczestnikiem wspólnego frontu państw zachodnich wobec gróźb Putina, który gromadzi wojska nad granicą z Ukrainą i żąda, aby Zachód uczynił szereg koncesji na rzecz Rosji w sferze polityki bezpieczeństwa.

■■■

Niezależnie od tego, kto wiosną 2022 r. zostanie prezydentem Francji, będzie musiał liczyć się ze zmianą nastrojów społecznych. Skrajnej prawicy nad Sekwaną udało się narzucić konkurentom własne tematy: lęk przed islamem, przed imigracją, przed nadmierną ingerencją Unii Europejskiej. Trudno się spodziewać, aby zaraz po głosowaniu negatywne emocje znikły jak dżin zamknięty z powrotem w butelce.

© SZYMON ŁUCYK

Elżbiecie już dziękujemy

WOJCIECH JAGIELSKI

Karaibska wyspa Barbados – najstarsza kolonia Wielkiej Brytanii i kiedyś jedna z „pereł" jej imperium – wypowiedziała podległość brytyjskiej królowej i ogłosiła się republiką.

Stało się to w nocy z przedostatniego na ostatni dzień listopada, kiedy na Barbadosie obchodzi się Dzień Niepodległości. W stołecznym Bridgetown gruchnął armatni salut i ściągnięto z masztów brytyjskie flagi. Odtąd łopotać na nich będą już tylko flagi miejscowe, w barwach złota i ultramaryny. Na jedną z nich Sandra Mason, która jako ostatnia pełniła w imieniu brytyjskiej Korony rolę gubernatora generalnego wyspy, złożyła prezydencką przysięgę i objęła obowiązki przywódczyni państwa, zastępując w tej roli Elżbietę II.

Książę Karol życzy szczęścia

Na narodzinach republiki, które urządzono na głównym placu Bohaterów Narodowych, brytyjską królową – wszak liczącą sobie już 95 wiosen – reprezentował jej najstarszy syn, 73-letni Karol, książę Walii i dziedzic tronu. Życzył Barbadosowi szczęścia i zapewnił, że zawsze pozostanie przyjacielem kraju i jego mieszkańców. Wyraził także głęboki żal, że na dzieje wyspy złożyły się również „przerażające zbrodnie niewolnictwa".

72-letnia Sandra Mason, już jako pierwsza prezydent Barbadosu, wręczyła księciu Karolowi najwyższe z przyznawanych na wyspie odznaczeń: Order Wolności. Wśród zgromadzonych na placu wielu krzywiło się, że brytyjskiemu księciu dano order, a nawet że w ogóle zaproszono go na republikańskie święto. Sprawcami owych „przerażających zbrodni niewolnictwa" byli przecież biali Brytyjczycy, a poprzednicy Karola – brytyjskie rodziny panujące – dorabiały się na niewolniczej pracy na cukrowych plantacjach Barbadosu. Np. XVII-wieczny król Wilhelm III był jednym z głównych udziałowców Królewskiej Kompanii Afrykańskiej, odpowiedzialnej za zniewolenie setek tysięcy Afrykanów i przymusowe wywiezienie ich za Atlantyk, na Karaiby i do Ameryki Północnej.

Za to wszyscy zgodnie bili brawo, gdy kolejne odznaczenie – Order Bohatera Narodowego – wręczono Rihannie, piosenkarce pochodzącej z wyspy i sławnej na cały świat. „Świeć nam dalej jak diament i bądź naszą dumą" – powiedziała premier Mia Mottley, główna sprawczyni pożegnania Barbadosu z brytyjską koroną.

Kawałek Anglii na Karaibach

Swoją nazwę Barbados zawdzięcza ponoć hiszpańskim lub portugalskim żeglarzom, którzy jako pierwsi Europejczycy przybyli na wyspę i miejscowym figowcom nadali nazwę „drzew brodatych" (*barbudos* – brodacze).

14 maja 1620 r. do brzegu Barbadosu – najbardziej wysuniętej na wschód wyspy z archipelagu Małych Antyli – dobił brytyjski statek, a jego kapitan John Powell obwieścił, że obejmuje ją we władanie w imieniu króla Jakuba I. Kilka lat później powstała tu pierwsza osada przybyszów zza oceanu. Zamieszkała w niej setka ludzi, którym przewodził Henry Powell, młodszy brat kapitana. Poza nimi wyspa była niemal bezludna, bo tubylczych Indian zdążyli wybić prawie do nogi konkwistadorzy z Portugalii i Hiszpanii, wcześniej podbijający nie tylko imperia Azteków i Inków.

Brytyjczycy nie wzgardzili Barbadosem. Jako jedyna równinna wyspa Małych Antyli (najwyższa góra – Mount Hillaby, pagórek właściwie – wznosi się na ok. 350 m), leżąca w dodatku poza szlakami huraganów, za to niedaleko stałego lądu, Barbados doskonale nadawał się pod plantacje. W XVII stuleciu znacznie więcej Brytyjczyków, udających się za ocean w poszukiwaniu lepszego życia, kierowało się na Barbados niż na kontynent północnoamerykański, gdzie osadnicze kolonie powstały dopiero na atlantyckich wybrzeżach Nowej Anglii i w zatoce Chesapeake.

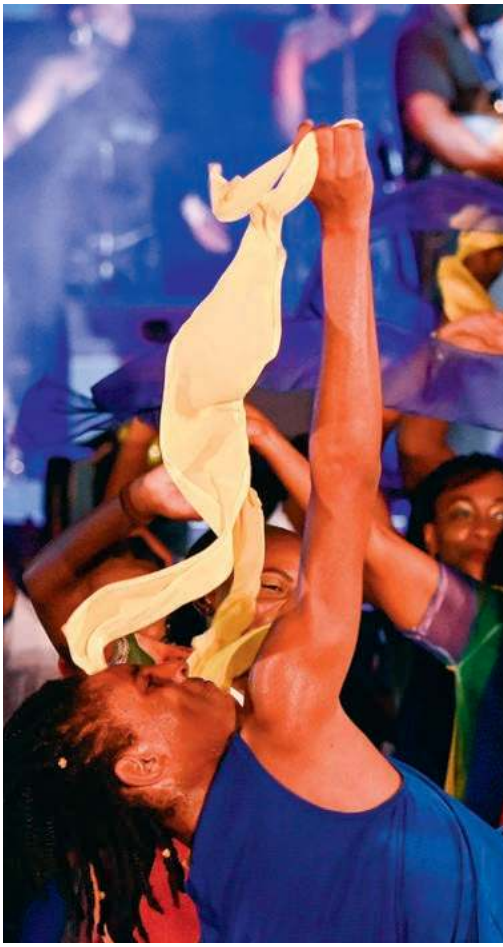

Większość przybyszów przybywała na Barbados do pracy na plantacjach bawełny, tytoniu, indygowców, imbiru, a przede wszystkim sprowadzonej z Brazylii trzciny cukrowej. Gdy upływał termin zawartej umowy, wielu zostawało na wyspie na dobre. W nagrodę za pracę otrzymywali nadziały ziemi.

W późniejszych latach na Barbados zsyłano także więźniów (pospolitych i politycznych) oraz jeńców wojennych, w większości Irlandczyków. Z czasem uprawa trzciny cukrowej, pod którą oddano większość wyspy, sprawiła, że plantatorzy zaczęli ściągać na Barbados niewolników z Afryki.

Kolonialne laboratorium

W 1644 r. na Barbadosie mieszkało 30 tys. osadników z Wielkiej Brytanii i około tysiąca czarnych niewolników z Afryki. Niespełna 20 lat później białych osadników zrobiło się nieco mniej (25 tys.), za to liczba niewolników wzrosła do prawie 30 tys. W XVIII w. liczba białych osadników spadła poniżej 20 tys., niewolników zaś wzrosła do prawie 60 tys.

Szacuje się, że między rokiem 1627 (gdy na Barbadosie osiedli na stałe pierwsi

POOL / REUTERS / FORUM

Uroczystość narodzin republiki zorganizowano na placu Bohaterów Narodowych. Bridgetown, Barbados, 29 listopada 2021 r.

Europejczycy) a rokiem 1834, gdy zniesiono tam niewolnictwo, z Afryki przywieziono na wyspę ponad pół miliona niewolników. Obecnie niemal wszyscy mieszkańcy wyspy – dziś liczy ona prawie 300 tys. ludzi, z czego jedna trzecia mieszka w stołecznym Bridgetown – są ich potomkami.

Karaibscy historycy twierdzą, że Barbados stał się swego rodzaju pierwszym brytyjskim laboratorium, w którym wypracowano ustrój kolonialnych porządków opartych na wyzysku niewolniczym. Powstały w nim również pierwsze prawa rasowej segregacji i dyskryminacji. Właśnie z tego barbadoskiego tropikalnego laboratorium niewolnictwa biorą swój początek fortuny wielu brytyjskich rodów, a doświadczenia Barbadosu były potem wykorzystane w innych brytyjskich posiadłościach na Karaibach i w Ameryce Północnej.

Nic dziwnego, że Brytyjczycy upodobali sobie barbadoską kolonię i choć w 1966 r. zgodzili się przyznać jej niepodległość, to wciąż licznie i chętnie odwiedzali wyspę. Przyjeżdżali tu na wakacje i nazywali ją „małą Anglią". W tym czasie Barbados przepoczwarzył się: z wielkiej plantacji (wciąż uprawianej tam trzciny cukrowej) w turystyczny kurort, mogąc pochwalić się wspaniałymi plażami i przyjazną pogodą (temperatura nigdy nie spadła tu poniżej zera, a najniższa, jaką zanotowano, wyniosła nieco ponad 15 stopni). Prócz Brytyjczyków chętnie odpoczywali tu także Amerykanie i Kanadyjczycy.

Także książę Karol uwielbiał przyjeżdżać na wakacje i żeby pograć w polo. Ostatnim razem gościł dwa lata temu, wraz z żoną Camillą, księżną Kornwalii.

Pomnik zabrany do Londynu

Sielankę w „małej Anglii" zakłóciły rozruchy, marsze i ogólne wzburzenie, jakie wybuchły również tutaj po śmierci czarnoskórego George'a Floyda w maju 2020 r. na skutek interwencji policji w Minneapolis. Ta śmierć odbiła się szerokim echem: demonstranci, protestujący przeciw brutalności policji i rasizmowi, wyszli na ulice zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i zachodniej Europie. Obalali stare pomniki, w tym także i te wzniesione przed laty bohaterom kolonialnych podbojów, a także dobrodziejom i patronom różnych dzieł edukacyjnych i społecznych, którzy dorobili się na handlu „żywym towarem", a których niechlubną przeszłość (i rasistowskie poglądy) dzisiaj przypominano.

Na Barbadosie miejscowi działacze globalnego ruchu „Czarne życie też się liczy" zażądali od Wielkiej Brytanii, aby z placu Bohaterów Narodowych w Bridgetown zabrała wystawiony tam przez nią posąg admirała Horatio Nelsona (starszy nawet od Kolumny Nelsona z londyńskiego placu Trafalgar Square). Przypominali, że Nelson był nie tylko pogromcą floty hiszpańskiej i francuskiej, lecz także admiratorem kolonializmu i niewolnictwa.

Brytyjczycy, którym dawne kolonie coraz częściej wypominają dziś stare krzywdy, szybko zabrali pomnik do Londynu. Tym szybciej, że demonstrantów wsparła barbadoska premier Mia Mottley. A żeby zademonstrować solidarność z ojczyzną przodków, Afryką, postanowiła też otworzyć nowe ambasady Barbadosu – w Ghanie i Kenii.

Barbados się zastanawia

Mia Amor Mottley – rocznik 1965, a więc tylko o rok starsza od niepodległego Barbadosu, prawniczka z dyplomem z London School of Economics – cieszy się opinią zagorzałej republikanki, wolnej zarówno od postkolonialnych sentymentów, jak też uprzedzeń.

Należy ona do coraz liczniejszego grona przywódców państw świata, którzy wzywają inne dawne kolonie Zachodu, aby wyzwoliły się z niewolniczej mentalności (najpiękniej śpiewał o tym Bob Marley), i którzy domagają się od Zachodu rozliczenia za kolonializm oraz niewolnictwo, w tym wypłaty zadośćuczynienia i odszkodowań dla ofiar i ich potomków. To właśnie pani Mottley jako szefowa rządu Barbadosu napisała przemówienie zapowiadające rozstanie z brytyjską monarchią. We wrześniu 2020 r. odczytała je w barbadoskim parlamencie pani gubernator Sandra Mason – w miejsce mowy tronowej królowej Elżbiety II.

W gruncie rzeczy nie powinno to zaskakiwać – Barbados zapowiadał to już w pierwszych dniach swego niepodległego istnienia. Pierwszy premier, Errol Walton Barrow, przestrzegał rodaków, że nie mogą tkwić w kolonialnym ↦

TOBY MELVILLE / REUTERS / FORUM

Prezydent Sandra Mason wręcza księciu Karolowi Order Wolności. Nie wszystkim spodobało się, że najwyższe z odznaczeń przyznawanych na wyspie dostał przedstawiciel brytyjskiej Korony. Bridgetown, 30 listopada 2021 r.

↦ dziedzictwie. W latach 70. zerwania z Koroną domagali się przywódcy karaibskiej odnogi Black Power, radykalnego ruchu Afroamerykanów. W międzyczasie Trynidad, Tobago, Gujana i Dominika ogłosiły się republikami. Barbados obiecał się nad tym zastanowić w swoim czasie – nie zamierzał ulegać radykałom, którzy ustępstwa mogliby uznać za zachętę do jakiejś rewolucji.

Później, pod koniec XX w., o zastąpieniu staromodnej monarchii nowoczesną republiką mówili posłowie piszący nową konstytucję Barbadosu. Rząd zapowiadał, że przeprowadzi w tej sprawie plebiscyt. W 2015 r. ówczesny premier Freundel Stuart oburzał się, że Barbados nie może mieć dłużej białej cudzoziemki w osobie głowy państwa, której w dodatku nie widziano na wyspie od ponad 30 lat. Zapowiedział, że 50. urodziny Barbados uczci, ogłaszając się republiką. Ale znów skończyło się na słowach.

Kto wygrywa, ten decyduje

Ślamazarność w sprawie zastąpienia monarchii republiką tłumaczono obawą barbadoskich premierów, że zastąpienie królowej z dalekiego Londynu miejscowymi prezydentami utrudni im życie. Urządzała ich westminsterska zasada, w myśl której królowa panuje, lecz nie rządzi. Nie byli pewni, czy republikańscy prezydenci będą przestrzegać tej zasady równie pilnie, a urząd głowy państwa nie rozbudzi w nich apetytu na realną władzę.

Pani Mottley – pierwsza kobieta, która objęła tu urząd premiera – najwyraźniej się tego nie obawia. W wyborach w 2018 r. jej Partia Pracy Barbadosu – najstarsze tubylcze ugrupowanie na wyspie (w dwupartyjnym systemie, odziedziczonym po Brytyjczykach, konkurentką labourzystów jest nieco bardziej lewicująca Demokratyczna Partia Pracy) – zdobyła wszystkie 30 mandatów w parlamencie. To jej posłowie wybrali jesienią 2021 r. na urząd prezydenta dotychczasową namiestniczkę królowej, panią gubernator Sandrę Prunellę Mason. Jako niekwestionowana zwyciężczyni wyborów Mottley uznała, że może sobie darować plebiscyt, w którym mieszkańcy mieliby wypowiedzieć się, czy chcą republiki.

Rozgromiona opozycja musi czekać na kolejne wybory do 2023 r. i skarży się, że zadufana w sobie Mottley, spiesząc się z ogłoszeniem Barbadosu republiką, odebrała mieszkańcom okazję do debaty o przyszłości kraju czy choćby okazję dłuższego i bardziej świadomego świętowania. Opozycja sugeruje też, że ogłoszenie w takim pośpiechu wyspy republiką było w istocie igrzyskami, jakie premier urządziła, by odwrócić uwagę od kłopotów gospodarczych tej najzamożniejszej z karaibskich wysp.

Republikańskie święto miałoby również ukryć fakt, że Mia Mottley nie radzi sobie z rządzeniem ani z covidem, który pozbawił Barbados zarobku z letników (przed epidemią liczba odwiedzających wyspę wczasowiczów co roku przekraczała trzykrotnie liczbę jej stałych mieszkańców).

Kto następny?

Jako kolejna z listy karaibskich państw uznających jeszcze Koronę wypaść może Jamajka – ojczyzna Marleya, największa wyspa Karaibów. Portia Simpson-Miller, która jako pierwsza kobieta rządziła Jamajką jako premier w latach 2006-07 i 2012-16, zapowiadała, że ogłosi republikę jamajską w 50. rocznicę niepodległości w 2012 r. Nie ogłosiła (poza nią oraz Mią Mottley kobiety z Karaibów rządziły jeszcze tylko na Dominice – była to Eugenia Charles, w latach 1980-95 – oraz w Gujanie: Janet Jagan w latach 1997-99).

Następca Simpson-Miller, Andrew Holnes, który jesienią 2020 r. wygrawszy wybory przedłużył swe panowanie na kolejną czterolatkę, obiecywał plebiscyt w sprawie republiki, a przynajmniej konsultacje społeczne. Epidemia i gospodarcza zapaść może go od idei plebiscytu odwieść. Ale jeśli kłopoty gospodarki zagrożą jego rządom, w wyborach w 2024 r. może spróbować odwrócić uwagę rodaków godnościowymi kwestiami rozliczeń z przeszłością.

Chyba że Holnesa uprzedzi opozycja, która po wyborczej klęsce w 2020 r. wybrała nowego przywódcę, prawnika i bankiera Marka Goldinga. Ten już zapowiada, że jeśli to on będzie rządził w stołecznym Kingston, Jamajka pójdzie w ślady Barbadosu.

■■■

Na razie jednak, w siedemdziesiątym roku panowania Elżbiety II, na Karaibach króluje ona wciąż na Jamajce, a także w kilku innych państwach regionu. Są to: Bahamy, Belize, Grenada, Saint Lucia, Antigua i Barbuda (też w archipelagu Małych Antyli) oraz kolejne wyspiarskie państewko – Saint Vincent i Grenadyny (w 2009 r. był tam republikański plebiscyt, ale większość mieszkańców uznała, iż chce pozostać poddanymi Korony), jak również Federacja Saint Kitts i Nevis.

Poza Karaibami – no i, ma się rozumieć, Wielką Brytanią – Elżbieta uznawana jest dziś za królową także w Kanadzie, Australii, Nowej Zelandii, Papui-Nowej Gwinei, na Wyspach Salomona oraz na Tuvalu.

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

Zostań Patronem Podkastu Powszechnego

Miesiąc w nauce

Na przegląd najciekawszych wydarzeń naukowych miesiąca w Podkaście Powszechnym zaprasza kosmolog i filozof **Łukasz Lamża**, laureat Nagrody im. Tischnera.

Wejdź na
Patronite.pl/TygodnikPowszechny
i wesprzyj niezależne dziennikarstwo

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PATRONITE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA

TYGODNIK POWSZECHNY

Słuchaj i rób, co chcesz!

W cyklu **„Tygodnik" na ucho**
co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NA NOWY ROK

CZASEM MURY, CZASEM WOJNY

DAVID FRYE, HISTORYK:

Nie zawsze są skuteczne, a jeszcze rzadziej pożądane. Jednak świat bez murów i granic po prostu nie istnieje. I nie istnieją wtedy także nasze wolności.

JOHN MOORE / GETTY IMAGES

MARCIN ŻYŁA: Po co nam właściwie mury?

DAVID FRYE: Po to, żeby było bezpieczniej. Ściślej mówiąc, chodzi o poczucie bezpieczeństwa.

Tylko o to?

To bardzo dużo, ponieważ to poczucie sprzyja wolności. W historii cywilizacji pierwszymi wolnymi ludźmi byli ci, którzy nie musieli, jak ich matki i ojcowie, wychowywać się na wojowników lub żyć w nieustannym poczuciu zagrożenia. Kiedy człowiek zorientował się, że jest bezpieczny, zajął się potrzebami wyższego rzędu.

Dziś ta sytuacja się zmieniła, lecz mury wciąż powstają na potęgę. Transnational Institute, amerykański think tank zajmujący się zrównoważonym rozwojem, prognozuje, że za trzy lata tzw. przemysł graniczny będzie w świecie wart 65 mld dolarów.

Bo też współcześnie „mur" to pojęcie dużo szersze niż kiedyś. Obejmuje wszelkie ogrodzenia, płoty, bariery, ale też np. systemy monitoringu elektronicznego, które jednak wciąż pełnią tę samą rolę – w szerokim znaczeniu ich zadaniem jest zapewnienie bezpieczeństwa terenom chronionym. Stawia się je głównie z trzech powodów: aby powstrzymywać

Rodziny pochodzące z Haiti przechodzą z Meksyku na terytorium Stanów Zjednoczonych przez dziurę w murze granicznym w miejscowości Yuma w stanie Arizona, 10 grudnia 2021 r.

niekontrolowaną imigrację, przemyt narkotyków, w niektórych zaś przypadkach także terroryzm.

I są skuteczne?

Czasem tak, czasem nie. Wiem, to nie jest konkretna odpowiedź. Dostaję prośby o wywiad od różnych pism – od prawicy po lewicę – i dziennikarze często chcą, żebym jednoznacznie powiedział: „mury są złem" albo „mury są OK". To jednak nigdy nie jest takie proste.

Przez tysiące lat otaczano nimi głównie miasta, nie państwa. Ich budowanie było naturalne, czy też, używając współczesnego języka, neutralne ideologicznie. W cesarstwie rzymskim istniały miasta nieotoczone murami, ale było to możliwe dlatego, że Rzym jako jedno z pierwszych imperiów ustanowił spójny system ochrony granic zewnętrznych. W Brytanii powstał Wał Hadriana, lecz Rzymianie chronili swoje państwo przede wszystkim przy pomocy żołnierzy i sojuszy z zaprzyjaźnionymi ludami. Ale to wyjątek – średniowieczna Europa powróciła do murów miejskich.

Czy w historii były okresy masowego wznoszenia lub obalania murów?

Przeważnie je budowano. W mniejszej skali widoczne są jednak trendy szczegółowe. Na przykład dziś – budowa „mikromurów", barier odgradzających od siebie miejskie osiedla i sąsiedztwa. Wbrew pozorom nie jest to wyłącznie domena ludzi bogatych. Także uboższe wspólnoty otaczają się murami, chronią kratami w oknach. Gdy mury wkroczyły do środka miast, okazało się, że te nie są już tak jednorodne, zjednoczone jak kiedyś. W Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza w Kalifornii, gdzie w ostatnich latach znacznie wzrosła liczba napadów rabunkowych, nawet sklepy zaczynają przypominać małe fortece.

Odgradzamy się, żeby chronić nasze bogactwo, nasz stan posiadania. I to na każdym poziomie. Nawet komórki mają błony, które chronią je przed wpływem świata zewnętrznego. W organizacji przyrody odbija się to powszechne dążenie do zapewnienia bezpieczeństwa poprzez oddzielenie się od tego, co mniej kontrolowane.

Psychologicznie potrzeba bezpieczeństwa tkwi u podstaw wszelkich potrzeb człowieka. W pewnym sensie jest nawet ważniejsza od potrzeby jedzenia, bo przecież jeśli jesteś głodny, ale ktoś cię atakuje, to nie zignorujesz tego ataku i nie zaczniesz w tym momencie wcinać hamburgera. Najpierw trzeba się obronić.

Ale dziś mury nie są już w stanie zatrzymać wielkich armii.

Buduje się je głównie po to, aby powstrzymywać masową imigrację. Zachód nie jest tu wcale pionierem – Europa i Stany Zjednoczone „przespały" pierwszą dekadę nowej epoki i dopiero teraz dołączają do budowniczych nowych murów. W 2003 r. Arabia Saudyjska zaczęła budowę zasieków wzdłuż granicy z Jemenem, głównie po to, aby ochronić swoje bezludne i roponośne obszary pustyni. Rok wcześniej Izrael zaczął wznosić swój kontrowersyjny mur odgraniczający go od Autonomii Palestyńskiej. Zasieki istnieją lub powstają na granicy Izraela z Syrią, Egiptem i Libanem. Stawiają je też Egipt i Jordania.

Zapewne niewielu z nas wie, że trzecim – po Saudach i Izraelczykach – największym „stawiaczem zasieków" są Indie. Barierę o wysokości trzech i pół metra, częściowo pod napięciem, postawiły nawet wysoko w Himalajach, na granicy z Pakistanem. Przykład z Indii sprawił, że mury zaczęły budować Tajlandia i Malezja – głównie po to, aby ↦

↦ powstrzymać napór dżihadystów. Później dołączyła Afryka.

W książce „Mury. Historia cywilizacji" pisze Pan, że wkroczyliśmy w „drugą erę murów".

W żadnym innym okresie historycznym tak wiele państw nie zbudowało tak długich barier. Co ciekawe, przez jakieś dziesięć lat Zachód nie zauważał, że świat zaczął się na nowo grodzić.

Może dlatego, że mury niezbyt jednak współgrają z zachodnim liberalnym podejściem do tego, jak powinien wyglądać idealny świat? Instynktownie kojarzymy fizyczne bariery z ograniczaniem wolności. Nikt nie marzy o świecie zasieków.

Nasze podejście zmienił mur berliński, który przez 28 lat był postrzegany – i słusznie – jako symbol zła komunizmu. Łatwo było rozszerzyć znaczenie tego symbolu na mury i granice w ogóle. Wciąż jednak – w Ameryce aż do kampanii prezydenckiej w latach 2015-16 – mało kto mówił, że mury to zło.

Już w pierwszej połowie lat 90. XX w., za prezydentury Billa Clintona, Stany Zjednoczone zaczęły realizować kilka programów zwiększania bezpieczeństwa granicy z Meksykiem czy wręcz budowania murów. Działo się to np. w okolicach miasta San Diego. Cztery projekty federalne uruchomiono bez większych kontrowersji w czasie, gdy w powietrzu unosił się jeszcze pył po zburzonym murze berlińskim.

Wspomniał pan o liberalnym podejściu do murów. Ale to przecież liberalni politycy zwykle optowali za bezpieczeństwem granic. Opowiadali się za kontrolowaną, limitowaną imigracją – ponieważ kiedy imigranci przyjeżdżają masowo, na rynku jest więcej pracowników i na jakiś czas spadają płace. Amerykańscy liberałowie przez długie lata szli do wyborów z hasłem: „Musimy kontrolować imigrację, aby chronić gospodarkę".

I zmienił to dopiero Donald Trump?

Wraz z jego przyjściem dokonał się zwrot o 180 stopni. Trump bronił pomysłu budowy muru na granicy z Meksykiem. W Stanach po stronie liberalnej oraz w większości liberalnych mediów zaczęło narastać przekonanie, że z zasady należy się sprzeciwiać wszystkiemu, co mówi Trump. Pomijając już sensowność budowy takiego muru, ciekawie było obserwować, jak zmieniły się pozycje. Miałem wrażenie, że wielu Amerykanów nieświadomie nabrało przekonania, że zawsze byli „przeciwko murom".

Paradoks polega na tym, że tradycyjnie za otwarciem granic byli Rupert Murdoch [amerykańsko-australijski potentat w branży prasowo-telewizyjnej – red.] i bracia Koch [David i Bill Koch, amerykańscy biznesmeni i miliarderzy, mający duże wpływy polityczne – red.]. Bynajmniej nie liberałowie, lecz środowiska stojące za interesem korporacyjnym. Z punktu widzenia potentatów finansowych „świat bez murów" oznacza tanią siłę roboczą.

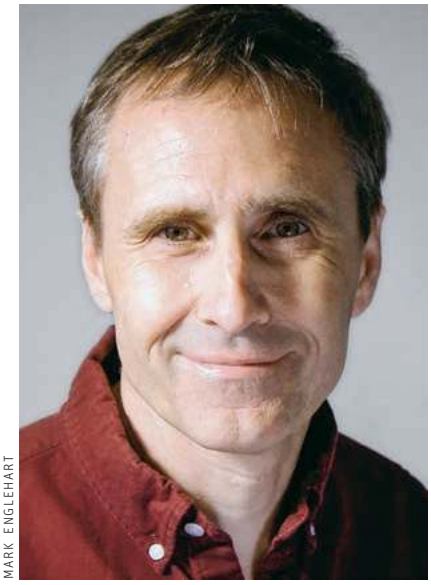

MARK ENGLEHART

DAVID FRYE jest amerykańskim historykiem i publicystą, profesorem w Eastern Connecticut State University. Zajmuje się głównie antyczną i średniowieczną Europą. Pod koniec 2021 r. ukazało się polskie wydanie jego książki „Mury. Historia cywilizacji".

Czy przez pierwszy rok rządów Joego Bidena coś się zmieniło?

Właściwie to jestem zaskoczony, jak mało zmieniła się polityka w sprawie południowej granicy USA. To nie jest tak, że spodziewałem się buldożerów, bo one i tak byłyby niepotrzebne – dużej części muru po prostu nie ukończono. Jednak postrzeganie Amerykanów jest takie, że nic w tej sprawie nie zrobiono. Tysiące ludzi wciąż nielegalnie przekraczają granicę USA z Meksykiem.

Biden jest dziś wyjątkowo niepopularnym prezydentem w dużej mierze za sprawą tego, co dzieje się na tej granicy. Na osobę odpowiedzialną za politykę imigracyjną wyznaczył wiceprezydentkę Kamalę Harris, co uczyniło z niej polityka jeszcze mniej popularnego. Wbrew pozorom wahadło opinii publicznej wychyla się w stronę poparcia dla murów.

Trudno jednak o nich dyskutować. Także w Polsce, gdzie w tym roku powstały zasieki na granicy z Białorusią, spierają się głównie zwolennicy skrajnych poglądów: ludzie, którzy uważają nowe umocnienia za symbol upadku człowieczeństwa, z tymi, którzy widzą zagrożenie w najmniejszym nawet poluzowaniu – w praktyce bezdusznych – procedur traktowania imigrantów.

I w Stanach, i w Polsce największe szkody w takiej dyskusji przynosi jej zideologizowanie...

...od którego trudno uciec, bo granice i mury jak mało które pojęcia obrosły symboliką i metaforami.

Trudno nawet stanąć pośrodku. Wspominaliśmy już mur berliński. W latach 70. i 80. XX w. trwała zimna wojna między Wschodem a Zachodem. Natomiast na samym Zachodzie nie było tak dużej polaryzacji między liberałami a konserwatystami jak dziś. Obie koncepcje ścierały się, jednak nie identyfikowaliśmy się z nimi tak bardzo, nie myśleliśmy o nich przy każdej okazji.

Teraz, w erze mediów społecznościowych, ludzie niezwykle silnie identyfikują się z jedną ze stron. I tak naprawdę nie chodzi o same ideologie, tylko o „metki". W ciągu ostatnich lat ideologie się zmieniły – to, za czym byli liberałowie i progresywiści oraz konserwatyści w Stanach Zjednoczonych, zupełnie się odwróciło. Natomiast właśnie „metki", którym jesteśmy wierni, zakłócają swobodną dyskusję. Ludzie się ich

trzymają tak jak drużyn piłkarskich, którym kibicują od dzieciństwa – choć zmienili się w nich gracze i tylko koszulki klubowe zostały te same.

W Polsce trudno argumentować za budową zasieków, nie narażając się na oskarżenia o popieranie władzy. Jak to widać z oddali?

W latach 2015-16, choć migranci i uchodźcy z krajów islamskich nie dotarli wtedy do Polski, silna i wykorzystywana przez władze była tu obawa przed „najazdem muzułmańskim". Była ona oczywiście nieprawdziwa, ale trafiła na podatną glebę – lęk przed utratą własnej tożsamości i kultury.

Nie przypominam sobie jednak wielu przypadków z historii, kiedy naród lub państwo budowały mur w celu ochrony swojej tożsamości czy kultury. Królestwa i państwa – także Polska – broniły swojej kultury, lecz nie w ten sposób. Przez Europę Środkową w średniowieczu faktycznie przetoczyli się muzułmańscy najeźdźcy, Mongołowie, więc dziś taka narracja szybko wywołuje konkretne skojarzenia. Wojny, o których uczono w szkołach.

Dziś jednak, rozmawiając o imigrantach na granicy polsko-białoruskiej, mówimy o stosunkowo niewielkiej liczbie osób, nieporównywalnej z tym, co dzieje się na amerykańskim pograniczu. Obawa dotyczy raczej tego, że sąsiedzi Polski – Białoruś i Rosja – wtrącają się w jej wewnętrzne sprawy, usiłują zdestabilizować sytuację w waszym kraju.

Ostatecznie mury dotarły nawet na północ Europy – na polskie Podlasie czy do francuskiego Calais. Zostaną na długo?

Wiele na to wskazuje. Częściowo to powrót do pewnego naturalnego, znanego od pokoleń stanu rzeczy. Do sprawdzonej zasady, która brzmi: „Mur to gwarancja dobrego sąsiedztwa".

Czy da się budować mury i równocześnie utrzymywać mosty?

W kwestii, która nas dziś dzieli najbardziej, czyli podejściu do imigracji, trzeba znaleźć złoty środek: z jednej strony nie zatrzymywać jej w całości, a z drugiej **– nie ulegać fantazjom o świecie bez granic.**

Nie jestem fanem tych metafor. Jako historyk wiem, że mosty ułatwiają inwazje, a mury je powstrzymują. Przez całe stulecia budowa mostu była aktem agresji – mosty zwiastowały atak.

Sądzę, że w XXI w. musimy do pewnego stopnia pozostać przy takim pragmatycznym podejściu. Mur jest absolutną, ostateczną barierą. Nie zawsze jest efektywny, jeszcze rzadziej – pożądany. Ale świat bez murów i granic po prostu nie istnieje. I nie istnieją wtedy także nasze wolności.

Trudno sobie wyobrazić funkcjonujący rząd, który nie wie, gdzie zaczynają się, a gdzie kończą granice państwa, którym administruje. Zwierzęta oznaczają i bronią swoich terytoriów. Ludzie od początku mieli tak samo. W kwestii, która nas dziś dzieli najbardziej, czyli podejściu do imigracji, trzeba znaleźć złoty środek: z jednej strony nie zatrzymywać jej w całości, a z drugiej – nie ulegać fantazjom o świecie bez granic.

Ale czy akurat mury muszą być jego częścią?

Wyobraźmy sobie taką utopię: wszyscy ludzie na świecie dysponują tym samym, szerokim zakresem wolności. Tylko wtedy mogłyby runąć wszystkie mury.

Ale taki idealny świat przynajmniej na razie nie jest możliwy. Masowe migracje podejmowane są głównie z powodów ekonomicznych. Ludzie – tak było zawsze – przenoszą się z miejsc, gdzie mają mniej wolności, do miejsc, gdzie tych wolności jest więcej. W szerokim znaczeniu tego słowa: także więcej swobody ekonomicznej i możliwości rozwoju. Dawni uciekinierzy z Berlina Wschodniego poczuliby się zapewne obrażeni, gdyby ich decyzje o ucieczce sprowadzać wyłącznie do pragnienia dobrobytu, posiadania dżinsów czy obiadów w McDonaldzie. Uciekali, ponieważ chcieli się z czegoś wyzwolić. Walczyli o swoją godność.

To smutne, że ostatecznym rozwiązaniem, które skończyłoby epokę murów, jest świat całkowicie wolny. Smutne, bo w praktyce niemożliwe.

©℗ Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

„UKOS ŚWIATŁA" na Miami Jewish Film Festival

W świątecznym numerze „Tygodnika Powszechnego" informowaliśmy Państwa **o bliskiej finalizacji prac** nad produkowanym przez Fundację Tygodnika Powszechnego filmem **„UKOS ŚWIATŁA"** w reż. Wojciecha Szumowskiego, a już teraz z wielką dumą pragniemy podzielić się wiadomością o pierwszym sukcesie filmu, który został zakwalifikowany do odbywającej się w styczniu 2022 roku **25. EDYCJI MIAMI JEWISH FILM FESTIVAL,** największego na świecie festiwalu filmów o tematyce żydowskiej.

Dziękujemy wszystkim, którzy uwierzyli w ten projekt i wsparli produkcję filmu, a reżyserowi, jak również bohaterowi filmu, Dariuszowi Popieli, serdecznie gratulujemy!

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

OFFICIAL SELECTION MIAMI JEWISH film FESTIVAL 2022

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZAGADKA WŁADA DRAKULI

To na jego przykładzie – albo raczej: na jego mrocznej legendzie – władca odległej Moskwy uczył się, jak być surowym monarchą.

MACIEJ MÜLLER

O tym, jak zginął, różnie opowiadali. Według jednych podczas bitwy oddalił się samotnie na wzgórze, by sycić oczy rzezią Turków. Tam dosięgnęła go śmierć z rąk swoich – jacyś Wołosi, widząc bogato odzianego hospodara, wzięli go za Turka i obrzucili włóczniami. Inni zapewniali, że to turecki szpieg zaszedł Drakulę od tyłu i śmiertelnie zranił.

Janczarzy odcięli mu głowę, zabalsamowali, wypchali bawełną i wysłali sułtanowi do Stambułu. Jedno jest więc pewne: pozbawiony głowy, Wład Drakula raczej nie mógł zostać wampirem. W tradycji rumuńskiej nigdy zresztą nie funkcjonował w takiej roli i wielu Rumunów z zażenowaniem miało przyjmować potem zestawianie autentycznego bohatera ich narodowej historii z hrabią-upiorem z powieści „Drakula", autorstwa irlandzkiego pisarza Brama Stokera (po raz pierwszy wydano ją w 1897 r.).

Na naddunajskich rubieżach

Korzenie jego rodowego przydomka sięgają pokolenie wcześniej. Ojciec Władą, również Wład, otrzymał order Smoka od Zygmunta Luksemburskiego, króla węgierskiego i cesarza niemieckiego. Kawalerowie tego orderu tworzyli elitarne bractwo, ślubujące obronę chrześcijaństwa przed Turcją. Przebywający na dworze węgierskim Wład-senior, wówczas kandydat do tronu Wołoszczyzny, dołączył do grona takich osobistości jak Henryk V angielski, Ferdynand aragoński, Eryk XIII duński i wielki książę litewski Witold.

Ponieważ Wład wpisał do swojego herbu smoka, zaczęto go nazywać łacińskim słowem „Draco". Wołosi dodali jednak końcówkę „-ul", co zmieniło znaczenie przydomka, bo Drakul znaczyło „diabeł". Potomkowie Władą zwani byli zaś Drakulami, „synami diabła".

Od XIV w. królowie Węgier uważali się za zwierzchników księstw rumuńskich: Mołdawii i Wołoszczyzny (leżącej dalej na południe, opartej na Dunaju). Władcy obu tych księstw, zwani wojewodami lub hospodarami, zręcznie lawirowali wówczas między Polską, Węgrami i Turcją, uznając się na zmianę lennikami któregoś z tych państw. Książęta wołoscy na ogół składali hołd lenny królowi Węgier, jednocześnie płacąc sułtanowi trybut (opłatę za pokój).

Ościenni władcy stale ingerowali w obsadę obu tronów, a sytuację komplikował brak jasnych zasad sukcesji. O hospodarski kołpak mógł się ubiegać każdy męski potomek zmarłego władcy; pretendentami byli synowie ze związków legalnych i zrodzeni z konkubin, a także ich krewniacy. W zasadzie nie było mowy o przejęciu tronu bez wojny domowej. Niejeden kandydat szukał pomocy na dworze w Budzie bądź Stambule. Węgrzy stale trzymali w rezerwie jednego bądź dwóch pretendentów do tronu Wołoszczyzny: gdy aktualny wołoski lennik przestawał być posłuszny, pretendent przekraczał Karpaty i przejmował władzę.

Między Scyllą a Charybdą

Na Wołoszczyźnie walczyły ze sobą dwie gałęzie rodu Besarabów. Wład Drakul (senior) był daleko w kolejce do tronu i Zygmunt trzymał go w odwodzie. Nadanie mu orderu Smoka miało związać go z cesarzem i uczynić zeń posłusznego lennika. Wkrótce Zygmunt wysłał go do siedmiogrodzkiej Sighișoary, a gdy w 1436 r. zmarł hospodar, Wład z pomocą oddziałów węgierskich objął tron wołoski.

Niebawem sułtan Murad II zażądał od niego złożenia hołdu. Wład uznał, że Zygmunt jest zbyt daleko, by go wspierać, i został lennikiem tureckim. Murad chciał się jednak upewnić co do jego wierności – wezwał go i na kilka miesięcy uwięził. W 1444 r. zawarli układ, na mocy którego Drakul zgodził się pozostawić mu swoich dwóch synów jako zakładników. Starszy z nich, Wład – później nazwany Palownikiem – miał wówczas 13-14 lat. Nigdy już nie zobaczył ojca.

Stary Drakul lawirował między Scyllą a Charybdą: wsparł krucjatę Władysława Warneńczyka, ale skromnym czterotysięcznym oddziałem. Udało mu się uniknąć gniewu sułtana, za to wkrótce poróżnił się z regentem Węgier Janem Hunyadym. Ten w 1447 r. najechał Wołoszczyznę. W jednej z bitew Wład Drakul poległ, a Hunyady osadził na tronie wołoskim przedstawiciela konkurencyjnej linii dynastycznej – Władysława II.

Bojarzy chcą Władą

Wład Drakula junior przyszedł na świat ok. 1431 r. w Sighișoarze, gdy jego ojciec oczekiwał na przejęcie tronu. W mieście tym (obecnie w środkowej Rumunii) do dziś można oglądać żółtą kamienicę, w której mieszkali. Jego dzieciństwo skończyło się, gdy został – wspólnie ↦

Portret Władą Palownika z poł. XVI wieku. Według opisu legata papieskiego twarz hospodara była „okrutna i dzika, nos wielki i zakrzywiony, oblicze wygolone, z wyjątkiem wąsów, byczy kark łączył się z szerokimi ramionami, na które opadały czarne i kręcone włosy".

UNIVERSAL HISTORY ARCHIVE / BEW

COLUMBIA PICTURES / EAST NEWS

Gary Oldman jako Drakula i Winona Ryder jako Mina Harker w filmie Francisa Forda Coppoli z 1992 r.

↦ z młodszym bratem Radułem – zakładnikiem sułtańskim. Spędził w Turcji kilka lat, sycony przekonaniem o potędze Imperium Osmańskiego. Murad przygotowywał go do przejęcia tronu wołoskiego, jak niegdyś Zygmunt czynił to z jego ojcem. Sułtan nie spodziewał się, jaką żmiję wyhodował na własnym łonie, gdy w 1448 r. wysłał Drakulę juniora na Wołoszczyznę.

Ale to będzie potem. Teraz przejęcie władzy nie udało się, wojska Władysława II triumfowały, a Drakula musiał uciekać za granicę. Czekała go ośmioletnia tułaczka. Trafił m.in. na dwór hospodara Mołdawii Bogdana II, a gdy ten zginął w wyniku przewrotu, Wład uciekł do węgierskiego Siedmiogrodu. Tam wszedł w tradycyjną rolę pretendenta do tronu wołoskiego. Jego szansa miała się w końcu pojawić, bo Władysław II zawodził węgierskiego suwerena. Jan Hunyady coraz łaskawszym okiem zerkał na Drakulę i powierzył mu misję obrony siedmiogrodzkiej granicy.

W 1456 r. na niebie ukazała się kometa. 25-letni Wład uznał to za korzystny znak, ruszył na Wołoszczyznę, pokonał i zabił Władysława. Wkrótce potem, podczas uroczystej elekcji w Tîrgoviște – historycznej stolicy Wołoszczyzny – bojarzy na pytanie, kogo pragną na tronie, zakrzyknęli: „Chcemy jedynie Włada, syna wojewody Włada!". Potem wysłuchali przysięgi wierności: „A jeślibyście go zdradzili lub przeciwko niemu knuli, jeślibyście waszej wierności uchybili, tedy bądźcie przeklęci, (...) a to, co się przydarzyło murom Jerycha, Sodomie i Gomorze, Judaszowi i Ariuszowi, niechaj się stanie waszym udziałem".

Hospodar zadaje pytanie

Zdobył tron dzięki życzliwości nie Turcji, lecz Węgier, ale sułtan o nim nie zapomniał i do Włada wkrótce przybyli posłowie z żądaniem trybutu i otwarcia granic przed armią osmańską. Hospodar trzeźwo ocenił sytuację. Władcy Zachodu od miesięcy przygotowywali wielką krucjatę antyturecką, ale ich wojska dziesiątkowała dżuma. Węgry daleko, sułtan blisko – doszedł do wniosku Wład i wzorem ojca uznał się lennikiem tureckim.

Wobec zwrotu Drakuli, Węgry postąpiły według sprawdzonego przepisu: osadziły w siedmiogrodzkim Sybinie pretendenta. Drakula nie czekał na najazd, tylko uderzył na Siedmiogród. Wtedy po raz pierwszy zasłynął jako Palownik – puszczał z dymem wsie, a ich mieszkańców kazał wbijać na pale. Sygnał dla Siedmiogrodu był czytelny: biada temu, kto zadrze z nowym hospodarem wołoskim.

W 1459 r. zawiesił przywilej umożliwiający kupcom z Braszowa i Sybina prowadzenie handlu w głębi Wołoszczyzny. Ciężki los czekał tych spośród nich, którzy nie zdążyli wyjechać na czas. Żołnierze Drakuli złapali kilkudziesięciu kupców z Braszowa, nabili ich na pale i podpalili. Tak samo postąpili z trzema setkami młodych ludzi, przybyłych na południe, by uczyć się języka.

Drakula czyścił też własne szeregi. Zaprosił bojarów na ucztę, podczas której pytał każdego z osobna: „Ilu moich przodków zasiadało dotychczas na tronie?". Bojarzy plątali się, mówili: „pięćdziesięciu", „trzydziestu", „dwunastu". Przeżyli tylko ci, którzy powiedzieli: „siedmiu". Resztę nabito na pale.

Zemsta hospodara dotknęła miasto Tîrgoviște, którego mieszkańcy kiedyś zamordowali jego najstarszego brata Mirczę. Armia Włada wkroczyła do grodu podczas trwającej tam zabawy wielkanocnej. Znaczniejszych mieszczan pojmano i nabito na pale wokół murów miejskich. Aresztowano też grupę młodych, których zmuszono do prac przy fortyfikowaniu górskiej twierdzy Poenari (według legendy z wieży tego zamku miała się później rzucić żona Drakuli na wieść o klęsce hospodara – echo tej opowieści wybrzmiało w filmie Coppoli z 1992 r.).

Drakula sadzi las

Tymczasem na Wołoszczyznę padł cień Imperium Osmańskiego. Drakula zaprzestał płacenia trybutu i zbliżył się do króla Węgier Macieja Korwina, z którym wymieniał listy na temat nowej krucjaty. To nie mogło podobać się sułtanowi, którym był wtedy Mehmed II, nazwany Zdobywcą – w 1453 r. zdobył Konstantynopol i położył kres Cesarstwu Wschodniorzymskiemu. W 1461 r. wysłał do Drakuli posłów, by skłonić go do zapłaty zaległego trybutu, a także do dostarczenia pięciuset młodych mężczyzn do korpusu janczarów. To by oznaczało całkowitą podległość. Wład odmówił, posłów nabił na pal, rozbił stojące przy granicy oddziały tureckie i sprawił okrutną kaźń jeńcom.

Armia hospodara przeszła po zamarzniętym Dunaju, niszcząc wszystko na swej drodze. W listach do Macieja Korwina Drakula chwalił się, że uśmiercił prawie 24 tys. ludzi, a na dowód przesłał królowi ich obcięte nosy. Przeliczył się jednak, oczekując militarnego wsparcia Węgier – gdy rok później na Wołoszczyznę ruszyły główne siły tureckie pod dowództwem Mehmeda, mógł liczyć tylko na siebie.

Zastosował taktykę spalonej ziemi: niszcząc własne miasta i wsie, cofał się na północ, pod osłonę puszcz. Sułtan podążał jego śladem. Drakula przebrał się w strój tureckiego kupca i przez kilka dni osobiście obserwował obóz sułtana, po czym na czele 7 tys. ludzi poprowadził nocny atak. Chciał zabić Mehmeda, jednak w ciemnościach Wołosi stracili orientację i roznieśli na szablach nie sułtana, lecz jego dwóch wezyrów. Pogromca Bizancjum uszedł, ale poniósł straty tak wielkie, że zarządził odwrót.

Czekał go widok, który mógł potem prześladować go w koszmarach. W okolicy Tîrgovişte oczom cofających się Turków ukazał się las pali na trzy kilometry długi i na kilometr szeroki. Drakula kazał nabić na nie 20 tys. jeńców i rodzimych przestępców. Mehmed podobno powiedział: „Nie można zabrać ziemi człowiekowi, który czyni rzeczy tak wielkie, potrafi używać tak władzy i poddanych”.

Król fałszuje list

Sułtan znalazł niebawem inny sposób, by pozbawić Włada tronu. Wiedział, że wśród bojarów narasta sprzeciw wobec metod hospodara, a w ręku miał atut: młodszego brata Włada, Raduła (zwanego Pięknym). Mehmed obiecał bojarom: przyjmijcie na tron Raduła, a nie najadę ponownie waszego kraju. Szeregi Włada topniały; w końcu musiał wycofać się do Siedmiogrodu. Liczył na wsparcie Macieja Korwina, ale ten w listopadzie 1462 r. podstępnie go uwięził. Oburzonym dyplomatom papieskim i weneckim król Węgier pokazywał dość ordynarnie sfałszowany list, który Wład miał wysłać do sułtana, oddając się w jego opiekę.

Dlaczego Maciej odwrócił się od sojusznika? Wład nakręcał spiralę wojny, a Węgry nie były na nią gotowe: nie miały silnej armii ani sojuszników, a tron Korwina chwiał się, podkopywany przez sąsiadów Habsburgów. Drakulę należało więc uciszyć. Hospodara czekało kilkanaście lat niewoli na węgierskim dworze. Według późniejszych pamfletów zabijał czas, nabijając myszy na patyki.

Godzina Drakuli wybiła ponownie w 1476 r., gdy na wołoskim tronie znowu potrzebny był władca-wojownik. Włada wysłano do Wołoszczyzny. Rzucił się w wir wojny z Turkami – i poległ w grudniu tego samego roku 1476. W chwili śmierci miał ok. 45 lat.

Drakula posilający się w cieniu skazańców umierających na palach. Podobno rozmawiał z nimi i wznosił toasty za ich zdrowie. Drzeworyt z pamfletu z 1500 r.

AKG-IMAGES / EAST NEWS

Historyk czyta starodruk

Podobno Drakula nie ostrzył pali, ale ich końce zaokrąglał i natłuszczał: wtedy męka trwała dłużej. Pale dostojniejszych skazańców kazał pokrywać złotem. Szczegóły te pochodzą z dziełka „Historia o wojewodzie Drakuli”, wydrukowanego w 1463 r. w Wiedniu. Powstało z inspiracji znanego nam już króla Węgier Macieja Korwina: przedstawiając Włada jako tyrana, miało uzasadnić fakt zrzucenia z tronu tego zasłużonego w oczach Europy pogromcy Turków.

Autorzy pamfletu wykonali pracę poniekąd reporterską, wypytując o okrucieństwa Drakuli m.in. mieszczan z Braszowa, Sybina i innych miast siedmiogrodzkich. Broszura odniosła sukces i w kolejnych dekadach była wielokrotnie wznawiana i uzupełniana. Pornograficzne wręcz opisy egzekucji, jakich hospodar miał dokonywać na matkach z małymi dziećmi (cytować ich nie będziemy), więcej mówią zapewne o autorach i wydawcach niż o samym Władzie.

Źródła historyczne nie są zwierciadłami odbijającymi obiektywnie przeszłość – dzisiejsza historia odrzuca to złudzenie. Nie mamy dostępu do prawdy, lecz siedzimy w platońskiej jaskini. Musimy o tym pamiętać, czytając broszury ↦

ALEX KOBE / ADOBE STOCK

Zamek Poenari, górska twierdza Drakuli. Do prac przy jej fortyfikowaniu hospodar zmusił mieszczan z Tîrgoviște.

↦ o Drakuli – nie dowiemy się, jaki był naprawdę, możemy jedynie krytycznie czytać źródła, starając się odsiewać hiperbole i zmyślenia. Dziełka te budują obraz krwiożerczego psychopaty, bezmyślnie mordującego i wrogów, i poddanych. Historycy, bynajmniej nie oczyszczając Drakuli z jego zbrodni, próbują odszukać w tych opowieściach ślady logicznego postępowania.

Refleksja taką metodą pozwala zrozumieć np. kaźń bojarów. Ilona Czamańska, polska znawczyni dziejów Rumunii, zauważa, że gdyby wyszukać „wszystkich przodków Włada w linii prostej, którzy zasiadali na tronie, wyłączając Danowiczów [tj. z linii konkurencyjnej] i uzurpatorów, liczba poprzedników Palownika będzie wynosić siedem". Hospodar pozbywał się bojarów, którzy tego nie wiedzieli, nie byli więc zdeklarowanymi stronnikami jego linii dynastycznej. Likwidował tych, którzy wymienili zbyt wysoką liczbę książąt, ponieważ to mogło sugerować, że tęsknią za starymi czasami i nie przeszkadzają im częste zmiany na tronie, więc mogliby poprzeć któregoś z pretendentów. Przy hospodarze mogli zostać tylko najwierniejsi. Nabitych na pal Drakula złożył na ołtarzu swoich dążeń do stabilizacji politycznej Wołoszczyzny.

Gdy idzie o krwawą rozprawę z miastami Siedmiogrodu, historycy tłumaczą ją nie tylko żądzą zemsty. W grę wchodziła konkurencja gospodarcza, spory wołosko-węgierskie związane z biciem przez Włada własnej monety, a także dążenia do odzyskania rodowych lenn w Siedmiogrodzie.

Książę Moskwy się uczy

Według drukowanych pamfletów hospodar nie tolerował w swoim kraju żadnych występków: za najdrobniejsze przewinienie groziła kaźń. Kiedyś – głosi jedna z historii – spytał dwóch mnichów, co sądzą o nim ludzie. Pierwszy odparł, że mają go za pobożnego, a drugi, że za tyrana. Pierwszego kazał nabić na pal za kłamstwo. Podobnie karał złodziei i nieuczciwych kupców. Przy drogach kazał kopać studnie dla podróżnych, a przy każdej miał znajdować się złoty kubek. Nikt nie odważył się żadnego ukraść, pomny, co może tu spotkać złodzieja. Męstwo w bitwie Palownik nagradzał, ale kazał zabijać tych, którzy odnieśli rany w plecy – zakładał, że próbowali uciekać.

Wszystkie takie historie tworzą nie tylko legendę okrutnika, ale i kogoś, kto w pełnych chaosu czasach potrafił – choć strasznymi metodami – zaprowadzić ład i porządek. Nieprzypadkowo te wątki podkreślił w swojej wersji historii Drakuli poseł moskiewski w Budzie Fiodor Kuricyn. Swojemu władcy – Iwanowi III Srogiemu, wielkiemu księciu Moskwy – przedstawił ją „jako wielce kształcącą lekturę, zawierającą gotowe recepty, możliwe do zastosowania w rządzeniu ówczesną Rosją" – pisze rumuński historyk Matei Cazacu.

W wersji Kuricyna „Drakula tak nienawidził zła, że ktokolwiek w jego kraju się go dopuścił – czy to rozboju, kłamstwa, czy jakowejś niesprawiedliwości – nie miał on możliwości przy życiu pozostać. I nieważne, czy był to wielki bojar, ksiądz, mnich, czy człowiek z gminu".

Z pism tych Iwan III Srogi wywiódł wzór władcy, którym sam chciał być. Wcielanie tej idei w życie kontynuowali jego następcy, a najjaskrawszy przykład dał szalony car Iwan IV Groźny (na koniec zabił własnego syna). Można więc powiedzieć, że pewne elementy kultury politycznej państwa rosyjskiego zaszczepił Wład Drakula. Albo raczej jego legenda.

Przybądź, Władzie

Według Nietzschego do historii można podejść na trzy sposoby: antykwaryczny, monumentalny i krytyczny. W przypadku Drakuli ten pierwszy sprowadzałby się do możliwie szczegółowego opisu jego rządów, prowadzonych wojen i popełnionych zbrodni.

Drugi sposób służy wznoszeniu pomników. W mitologii narodowej Rumunów Wład Drakula jest wybitnym władcą, pogromcą Turków i obrońcą chrześcijaństwa. Jego okrucieństwo tłumaczy się specyfiką czasów i usprawiedliwia celem, spokojem społecznym.

Trzeci z Nietzscheańskich sposobów patrzenia na dzieje polega na podjęciu refleksji nad długotrwałymi procesami zapoczątkowanymi przez przeszłe wydarzenia. Wspomnieliśmy o wpływie odpowiednio spreparowanego mitu Drakuli na system władzy w Rosji. Ale hospodar przemawia też do współczesnych Rumunów. Historyk Lucian Boia uważa, że dzieje pełne niestabilności i ciągłych zmian – politycznych, społecznych, kulturowych – sprawiły, że w jego narodzie rozwinęła się skłonność do akceptowania rozwiązań autorytarnych. Rumuni „bardziej wierzą w mężów opatrznościowych niż w systemy i abstrakcyjne projekty. Ich »władca idealny« przypomina dość dobrze Palownika – pisze Boia. – Być może dzisiaj przydałby się do zwalczania korupcji i zaprowadzenia porządku, ale co z demokracją?".

W obliczu zamętu, odczuwając dojmujący brak kogoś, kto by przywrócił porządek, poczucie sprawiedliwości i kontroli nad rzeczywistością, Rumuni lubią podobno sięgać po inwokację autorstwa wieszcza narodowego Mihaia Eminescu: „Że też nie przybędziesz, Władzie Palowniku!".

©℗ MACIEJ MÜLLER

Korzystałem m.in. z książek: Lucian Boia „Dlaczego Rumunia jest inna?"; Matei Cazacu „Drakula"; Ilona Czamańska „Drakula. Wampir, tyran czy bohater?".

Dzięki Wam!

Dworska, nasze miejsce w Krakowie.

639 365,97 zł – taki był ostateczny wynik zbiórki, którą ogłosiliśmy 4 stycznia 2021 r. po otrzymaniu wypowiedzenia najmu historycznej siedziby redakcji przy ul. Wiślnej 12.

Dzięki tej kwocie, przekazanej przez Was: Czytelniczki i Czytelników, Sympatyków, Przyjaciół „Tygodnika", ludzi dobrej woli – tworzyliśmy nowe miejsce w Krakowie, przy ul. Dworskiej 1C.

Prace trwały od marca do sierpnia. Wnętrza projektowali architekci Aneta Piotrowicz i Zbigniew Śnieżek (ID Biuro Projektów, na zdjęciu obok). Nad powodzeniem całości czuwał Aleksander Kardyś.

Teraz, po roku, z dumą przedstawiamy nasze wspólne dzieło – nowoczesną przestrzeń, pełną światła i energii. Służy, by co tydzień dostarczać Wam pismo najwyższej jakości.
Bez Waszego udziału i wsparcia byłoby to niemożliwe.

„Tygodnik" jest suwerenny dzięki Wam, zależy tylko od Czytelników. DZIĘKUJEMY!

Wyrazy wdzięczności za życzliwą pomoc w przeprowadzce przekazujemy także firmom JLL, Complet Furniture, HANA Design i bejot, Furniko oraz Templeton Religion Trust (za wyposażenie studia nagrań). Dziękujemy też naszym sąsiadom i Wspólnocie Mieszkaniowej Dworska 1 za życzliwe przyjęcie!

MAREK RABIJ // GRAŻYNA MAKARA // JAN GRACZYŃSKI DLA „TP"

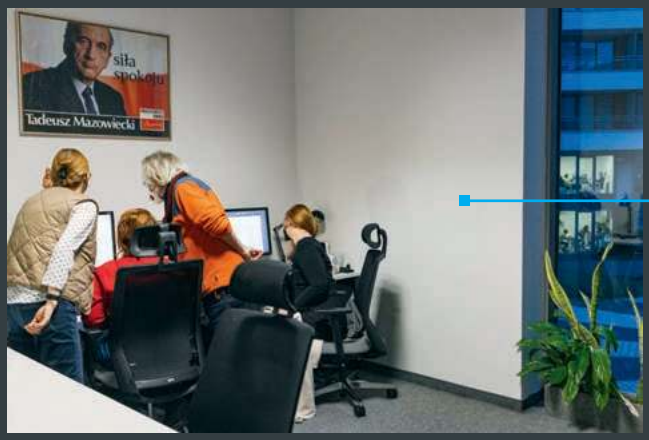

ZDJĘCIA:
GRAŻYNA MAKARA
PONIŻEJ JEDEN
Z PLANÓW
FUNKCJONALNYCH
SIEDZIBY „TP":
ALEKSANDER KARDYŚ
Z ZESPOŁEM

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall: *Irena*

Zobaczyłam ją w windzie, przytrzymała drzwi, żebym mogła wejść.

W windzie stoi się blisko siebie.

Widziałam jej ciemne włosy upięte w niedbały kok, niebieskie oczy umalowane czarną, grubą kreską – makijaż zrobiła byle jak, chyba w pośpiechu.

Cała była jakaś pośpieszna, tym milej, że zaczekała na mnie.

Wiedziałam, kim jest, ona wiedziała, że wiem. Udawanie nie miałoby sensu.

Mogłam powiedzieć: – Więc to pani była najodważniejszą łączniczką...

Albo: – To pani lubiła zasypiać na ramieniu niemieckich oficerów...

Powiedziałam: – Była pani miłością życia Janka B.

Uśmiechnęła się uprzejmie.

Miłością, powtórzyła. Miłością... ale na rozwód dla mnie nie było go stać.

Bez goryczy mówiła. Z pogardą raczej, z politowaniem.

Do zwierzeń Janka B. dodałam podziw Marka Edelmana.

O nikim nie opowiadał z taką fascynacją...

Nie przestawała się uśmiechać.

Jak człowiek ma dwanaście lat, to jeszcze się nie boi.

Dwanaście? Trochę mnie zaskoczyła.

Wyglądałam poważniej. Wysoka byłam i miałam duże piersi.

Skinęłam głową, dwanaście to dwanaście.

Dotknęła przycisku. Miała ładne ręce i ładną srebrną biżuterię.

Winda ruszyła. Wysiadła. Nie zobaczyłam jej nigdy więcej.

Dwadzieścia miała, nie dwanaście.

Reszta jest prawdą – duże piersi, miłość życia i niemieccy oficerowie w nocnych pociągach.

Dużo podróżowała, zawsze wagonami dla Niemców. Wieczorem zasypiała – głowa jej się osuwała na męskie ramię, rano oficer – Wehrmachtu albo SS – pomagał jej wynieść walizkę, w której były gazetki i broń.

Pojechała pod Będzin, do obozu.

Były tam dwie łączniczki, należało je wyprowadzić.

Weszła, dała dziewczynom ubranie, obie uciekły. Ona została, ale wydostała się, bo miała szczęście.

Pojechała z rewolwerami do Poniatowej.

Załatwiła konspiracyjny lokal.

Mieszkanie wpadło przez szmalcownika, więc załatwiła inny lokal.

Znowu szmalcownik, cała szajka.

Dla kogoś pieniądze.

Dla kogoś broń. I słowa otuchy.

Chłopiec, którego koniecznie trzeba uratować.

Krzyż Walecznych za powstanie warszawskie.

Nosiło ją.

Wszystkich, którzy przeżyli, nosiło po wojnie – to tu, to tam. Jakby ktoś jeszcze na nich czekał, jakby jeszcze było coś do zrobienia.

Ją zaniosło do Palestyny.

Potem do Włoch.

Potem do Polski, czy na odwrót, najpierw do Polski, potem do Włoch.

Próbowała nie żyć.

Próbowała kochać.

Wyszła za mąż, mąż był przystojny i sympatyczny.

TYGODNIK POWSZECHNY

Wolność, równość, siostrzeństwo!

Wydanie specjalne „Moc kobiet" dostępne jako e-book na **powszech.net/emockobiet**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Zbudowali na Mazurach letni dom.
Ktoś ją w tym domu zobaczył i miał wrażenie, że ona tam w ogóle nie mieszka. Jakby weszła na chwilę, bo przechodziła tamtędy. To samo w Warszawie. Jakby na chwilę, jakby była przechodniem.

Sześćdziesiąty ósmy rok.
Chciała wyjechać, ale nie jak Żydzi, z dokumentem podróży.
Chciała mieć normalny, prawdziwy paszport.
Poznała Włocha. Był przystojny. Może nie tak przystojny jak jej mąż, ale równie sympatyczny.
Rozwiodła się z mężem, wyszła za Włocha i miała normalny paszport.
Włoski mąż kochał ją i czekał na nią w Rzymie.
Spakowała rzeczy, wysłała meble i poszła do urzędu załatwiać ostatnie formalności.
W urzędzie poznała pana od paszportów.
Zakochała się.
Została w Polsce. Z tym panem.
Nie, jednak postanowiła wyjechać.
Jednak wróciła, ale już nie była Żydówką. Nie była Polką. Nie była łączniczką z getta ani z aryjskiej strony. Getta też już w jej życiu nie było. I w ogóle wojny.
Była Włoszką. Poetką. Sycylijską poetką, która przybywa do Polski, bo kocha polski język i polską poezję.

Miała nowych znajomych, pisarzy i poetów.
Kiedy dzwonił ktoś z dawnych przyjaciół, mówiła: – Omyłka – i odkładała słuchawkę.
Tłumaczyła na włoski wiersze Jarosława Iwaszkiewicza i towarzyszyła mu w podróży do Włoch.
Tłumaczyła wiersze księdza Twardowskiego. Stała się wierzącą, religijną katoliczką.
Uwielbiała spotkania autorskie, jeździła po całej Polsce, do najmniejszych miast i bibliotek.
Czytała swoje wiersze, były mądre i piękne. Ludzie słuchali z zachwytem, obiecywała, że znowu ich odwiedzi.
Czytała nowym głosem.
Był niższy niż dawniej i miał inne, głębsze brzmienie. Nauczył ją tego głosu zaprzyjaźniony aktor.

Odmładzała się co kilka lat.
Nie chciała być stara.
Nie chciała być brzydka.
Nie chciała być ofiarą.
Nie chciała chorować i nie chciała się leczyć.
Umierała w szpitalu, otoczona przez przyjaciół. Tych dawnych. Których miało nie być. ©

Remigiusz Grzela napisał książkę-fresk:
„Trzy życia Ireny Gelblum".
O kobiecie, która w każdym życiu i w każdym wcieleniu
była prawdziwa. I wspaniała.
Książka ukaże się w 2022 roku.

TYGODNIK POWSZECHNY

Po lekturze tego notesu zwykła brukselka stanie się arcydziełem, a Ty kulinarnym artystą.

ks. Adam Boniecki

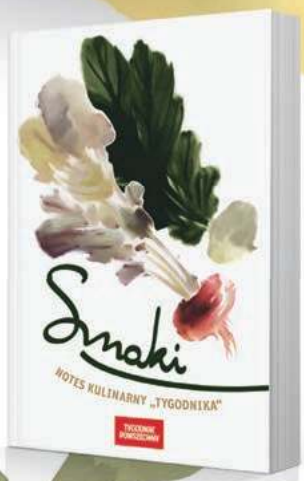

Makaron z popiołem
Seksowny chłodnik
Karmelki truskawkowe

Jak zdobyć ten notes?
Sprawdź szczegóły
na 22. stronie tego wydania.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KONIEC NA WŁASNE ŻYCZENIE

Początki demografii upłynęły pod znakiem lęku o przeludnienie. Dziś przyszłość widzimy w innych barwach: może nas zabraknąć.

ŁUKASZ LAMŻA

ALEXANDER SPATARI / GETTY IMAGES

Pierwsze przewidywania globalnego rozwoju ludności powstały w XIX w. Był to też czas niespotykanego skoku rozwojowego naszego gatunku, a przy tym galopującego wzrostu zanieczyszczenia, hałasu i problemów społecznych. Mówimy o okresie rewolucji przemysłowej – jeżeli więc chcecie unaocznić sobie początki demografii, wyobraźcie sobie wąsatych profesorów, wyglądających przez okna gabinetów na śmierdzące, zatłoczone metropolie europejskie, rozrastające się jak ponura, dymiąca grzybnia. Wyobraźcie też sobie raporty z dalekich Indii i Chin, dające pierwsze wiarygodne dane o globalnej liczbie ludności i jej przyroście. To wtedy narodził się lęk o przeludnienie świata.

Plus jeden, minus jeden

Demograf patrzy na rozwój ludzkości przez pryzmat dwóch procesów – narodzin i śmierci. Plus jeden człowiek i minus jeden człowiek. Gdy narodzin jest więcej niż śmierci, liczba ludności rośnie, a gdy mniej – maleje. Ot, elementarna arytmetyka ludzkiej egzystencji. W ciągu ostatnich 200 lat nasz gatunek zaznał niebywałego przyrostu liczebności, z miliarda do niemal ośmiu, wyłącznie za sprawą spadku śmiertelności – coraz mniej minusików w bilansie. Plusów jest wciąż tyle samo (a w ostatnich dekadach nawet coraz mniej, o czym za chwilę) – nie płodzimy wcale więcej dzieci niż nasi przodkowie, po prostu dzieci częściej dożywają dorosłości.

Najszybszy przyrost populacji nastąpił w połowie XX w. Medycyna i technologia zdążyły już wtedy pięknie obniżyć śmiertelność, a tylko w nielicznych krajach świata dobrobyt nieznacznie zniechęcił ludzi do reprodukcji. Może to trochę dziwić nas, Europejczyków, którzy przywykliśmy myśleć o pierwszej połowie XX w. jako o czasach dwóch wojen światowych. Gdy jednak patrzy się na rosnące słupki ludzkiej populacji, to 150 mln ofiar obu wojen światowych prawie nie spowalnia galopujących statystyk. Nic więc dziwnego, że ekolodzy i ekonomiści natychmiast po zakończeniu II wojny światowej prześcigali się w zamartwianiu o przeludnienie planety.

W 1948 r. ukazały się dwie głośne książki – „Road to Survival" Williama Vogta i „Our Plundered Planet" Fairfielda Osborna – które na długie lata wyznaczyły „model standardowy" wizji ludzkiej przyszłości: jesteśmy mnożącą się nieograniczenie szarańczą, pleśnią świata, konsumującą zasoby ponad miarę. Podstawy matematyczne tej wizji sformułował pod koniec XVIII w. Thomas Malthus, stąd „katastrofa maltuzjańska" – liczba ludności przyrasta w tempie geometrycznym, a zasoby „tylko" w tempie liniowym. Prędzej czy później czynnikiem limitującym rozwój stanie się głód, a z nim choroby i śmierć. W 1968 r. ekolog Garrett Hardin napisał w „Science", że „wolność rozmnażania się przyniesie nam wszystkim zagładę", a w 1972 r. Klub Rzymski opublikował swój ponury raport o przyszłości świata, „The Limits of Growth". Czytamy w nim: „Jeśli obecne trendy wzrostowe światowej populacji, industrializacji, zanieczyszczenia, produkcji żywności i zużycia zasobów zostaną utrzymane, to w ciągu najbliższych stu lat osiągnięte zostaną granice wzrostu tej planety. Najbardziej prawdopodobnym skutkiem będzie gwałtowny i niekontrolowany spadek zarówno liczebności populacji, jak i produkcji przemysłowej".

15 milionów Polaków

Spośród dziesiątek parametrów, jakimi przerzucają się demografowie, jeden zawsze fascynował mnie swoją prostotą i zarazem egzystencjalną głębią – współczynnik płodności całkowitej. To liczba dzieci urodzonych przez statystyczną kobietę przez całe jej życie. Jeszcze względnie niedawno – sto, może dwieście lat temu – współczynnik ten na całym świecie przekraczał 6. W 1900 r. w Polsce wynosił 5,5 – przeciętna Polka miała wówczas ponad piątkę dzieci.

Gdy w XIX i XX w. zaczęła triumfować nauka i medycyna (dezynfekcja, znieczulenie, antybiotyki, szczepionki), nagle doszło do czegoś niespotykanego – z dziesiątki urodzonych dzieci dorosłości dożywała ósemka, a nawet dziewiątka. To błogosławieństwo i, najwyraźniej, przekleństwo, ponieważ zwyczaje reprodukcyjne ludzkości szybko dostosowały się do tych nowych warunków. Największym zaskoczeniem dla demografów (i antropologów) okazała się przewidywalność, z jaką ludzie, którzy zaznają wysokich standardów cywilizacyjnych, ograniczają rozmnażanie się – najwyraźniej żadna kultura świata nie ceni wielodzietności na tyle silnie, by ją utrzymywać w czasach dobrobytu. Dzisiaj wskaźnik dzietności na całym świecie leci na łeb na szyję i już tylko w dziesięciu krajach świata przekracza 5. W wielu miejscach spadek z poziomu szóstki do trójki dzieci (popularna miara demograficzna) nastąpił w trakcie jednego pokolenia: w Brazylii stało się to w 26 lat; w Botswanie w 24 lata, w Bangladeszu w 20 lat (w Polsce w 90 lat: od roku 1870 do 1960).

Dziś statystyczna przedstawicielka *Homo sapiens* urodzi w ciągu swojego życia 2,5 dzieci, co flirtuje niebezpiecznie blisko z „krytyczną" wartością 2. Ponieważ – no cóż, elementy biologii – tylko połowa ludzi rodzi dzieci, to przeciętna kobieta musi pozostawić po sobie dwójkę potomstwa, aby populacja pozostała na stałym poziomie. Dziś mniej więcej 80 krajów świata lokuje się poniżej tego progu zastępowalności pokoleń, co oznacza, że społeczeństwa te pozostawione same sobie będą zanikać – i z każdym rokiem do klubu tego dołączają kolejne. W Polsce dzietność wynosi 1,4 – 10 Polek ma średnio 14 dzieci.

Wszyscy demografowie przewidują już dziś, że liczba ludności osiągnie niedługo maksimum, po czym zacznie spadać. Kiedy to nastąpi? ONZ w swoim najnowszym raporcie z serii „World Population Prospects" przewiduje, że krzywa zacznie się spłaszczać ok. 2100 r., dobiwszy do 10,9 mld. Inny cykliczny raport, „Global Burden of Disease" (GBD), którego wydawanie zlecił lata temu Bank Światowy, przewiduje, że „punkt przegięcia" nastąpi w 2064 r. – ludność świata osiągnie 9,7 mld i już nigdy nie będzie większa. Raport ten przewiduje też, że Polacy maksimum liczebności mają już za sobą – było to 38,4 mln osiągnięte w 2017 r. W 2100 r. ma nas pozostać tylko 15,4 mln.

Spadek liczby ludności ma oczywiste zalety. Zauważmy choćby, jak wspaniałe postępy poczyniliśmy w ostatnich dekadach w łagodzeniu problemu głodu na świecie. Tylko w ciągu ostatnich 20 lat odsetek ludzi niedożywionych w najmniej rozwiniętych krajach świata spadł z 32 do 23 proc. W 2019 r. opublikowano wyniki gigantycznego badania współczynnika masy ciała (BMI) na całym świecie. Nie stwierdzono żadnego kraju, w którym współczynnik ten miałby średnią wartość niższą od 18,5 – co jest konwencjonalną granicą między niedowagą a wagą prawidłową. Najniższa średnia występuje w Etiopii, gdzie wynosi 20,5. Przyczyn tego postępu jest oczywiście wiele, ale jedną z nich jest ten prosty fakt, ↦

PIĘĆ SCENARIUSZY DLA ZIEMI

ZIELONA DROGA to scenariusz optymistyczny, zakładający, że do 2050 roku ludzkość osiągnie tzw. neutralność węglową (będziemy usuwać z atmosfery tyle samo CO_2, ile w nią wpompowujemy). Zakłada on, że już od dzisiaj powinniśmy jako gatunek znacząco obniżać emisje, mniej wytwarzać i mniej konsumować.

DROGA ŚRODKA przewiduje, że na całym świecie zostanie wprowadzona pewna ilość zmian i nowa polityka klimatyczna, ale nie aż tak odważna jak w scenariuszu „zielonym". W takim przypadku dopiero w okolicach 2100 roku stężenie CO_2 w atmosferze przestanie wzrastać.

RYWALIZACJA REGIONÓW to scenariusz, w którym poszczególne regiony świata będą zaciekle konkurować ze sobą na scenie międzynarodowej i nie osiągną porozumienia w sprawie zapobiegania zmianom klimatycznym. Określa się go też jako „wyboistą drogę". To ten scenariusz zakłada najsilniejszy wzrost liczby ludności.

NIERÓWNOŚĆ to scenariusz, gdy jedni ludzie poświęcą się dla innych, łagodząc swój wpływ na klimat. Zjawisko to ma występować w skali globalnej (jedne kraje będą intensywnie się rozwijać i przy tym dużo emitować, a inne spowalniać swój wzrost), ale ma też swój odpowiednik lokalny: w każdym kraju na świecie będą występować podobne podziały społeczne. Ten scenariusz przewiduje wzrastanie napięć na całym świecie.

INTENSYWNE SPALANIE PALIW KOPALNYCH to wizja rozwoju bez żadnych hamulców. Co ciekawe, w takim przypadku przewiduje się przy okazji jeden z najniższych przyrostów populacji ludzkiej. Ponadto nie musi być to „ścieżka negatywna" – przewiduje się, że gdy postawimy na intensywny rozwój, technologia może ostatecznie pozwolić nam na oczyszczanie powietrza czy oceanów oraz łagodzenie skutków negatywnych zjawisk klimatycznych.

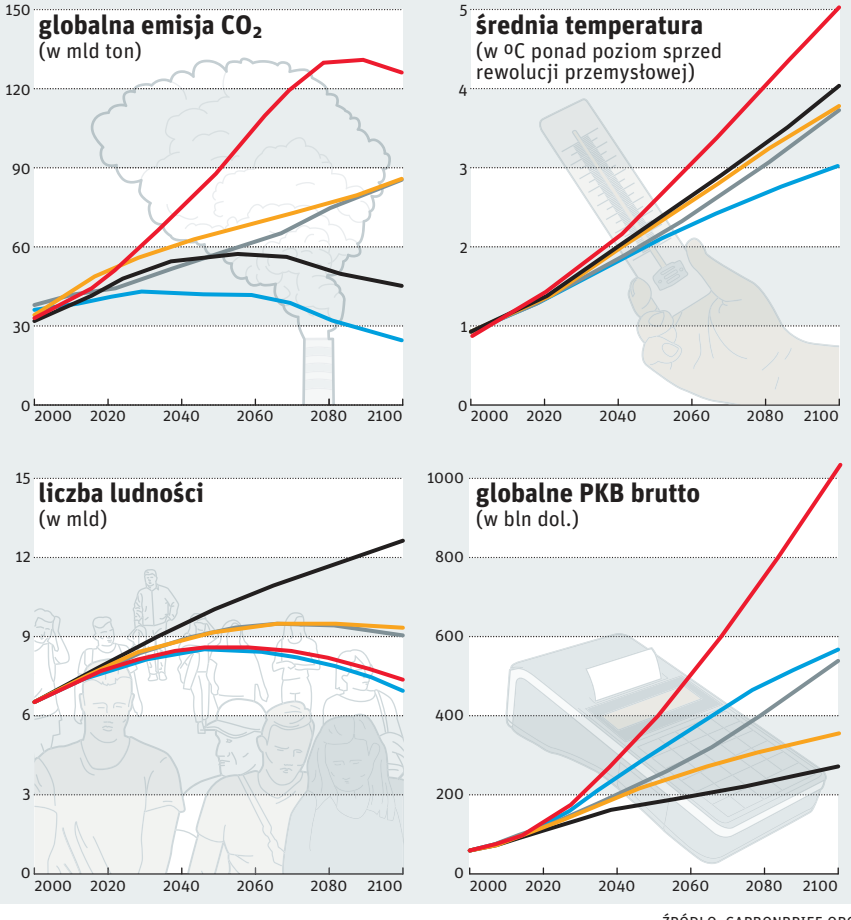

ŹRÓDŁO: CARBONBRIEF.ORG

TEKST: ŁUKASZ LAMZA | GRAFIKA: LECH MAZURCZYK

↦ że łatwiej jest wykarmić trójkę dzieci niż szóstkę.

Krótko mówiąc, depopulacja może rozwiązać wiele problemów trapiących ludzkość. Aż chciałoby się ją przyspieszyć! Czy są na to jakieś perspektywy?

To dobre dla planety

Jednym ze zjawisk, które kiepsko wychodzą w modelach matematycznych, są zmiany światopoglądowe. Międzyrządowy Panel ds. Zmian Klimatu (IPCC), który niedawno zaczął publikować szóstą edycję swoich przewidywań na XXI wiek, przedstawia pięć głównych „scenariuszy socjoekonomicznych", różniących się m.in. stopniem naszego otrzeźwienia w najbliższych latach: czy będziemy konsumować na potęgę, czy wprowadzimy łagodne ograniczenia, a może nawet wkroczymy na ascetyczną „zieloną drogę" (zob. ramka). Zależnie od wybranej ścieżki populacja ma w 2100 r. wynosić od 7 mld (scenariusz najbardziej ascetyczny) aż do niemal 13 mld (scenariusz o nazwie „rywalizacja regionów" – jedyny, w którym w 2100 r. populacja wciąż rośnie). To jednak tylko wierzchołek góry lodowej – prawdziwie rewolucyjne zmiany trudno opisać matematycznie.

Ot, antynatalizm – programowa niezgoda na rozmnażanie się. Jeszcze sto lat temu filozoficzna ciekawostka, dziś ma realną szansę podbić świat. Mniej więcej 10-15 proc. mieszkańców krajów rozwiniętych w wieku 20-30 lat twierdzi, że z całą pewnością nigdy nie zdecyduje się na prokreację. Przyczyny są głównie pragmatyczne. W badaniu na holenderskiej grupie kobiet, które zgłaszają taki światopogląd, jako najczęstsze przyczyny wskazywano, że dzieci ograniczają wolność (54 proc.) oraz że ich wychowywanie zabiera za dużo czasu i energii (35 proc.). Popularny staje się też argument ekologiczny. W 1991 r. powstał VHEMT – Ruch na rzecz Dobrowolnego Wyginięcia Ludzkości, którego założyciel, amerykański nauczyciel Les Knight, zaproponował tylko jeden postulat: „Nie rozmnażaj się", a główne uzasadnienie brzmiało: „To dobre dla planety". W 2017 r. grupa naukowców obliczyła, jaki jest wpływ rozmaitych decyzji światopoglądowych na emisje dwutlenku węgla. Jedno niesprowadzone na świat dziecko jest równoważne 25 ludziom całkowicie rezygnującym z korzystania z samochodu do końca życia, 73 osobom permanentnie

przerzucającym się na dietę roślinną lub 580 osobom wymieniającym wszystkie żarówki na energooszczędne.

Idea rezygnacji z rozmnażania zaczyna się powoli przyjmować. Deklaracje w sondażach to jedno – ktoś mógłby zawsze argumentować, że „młodym się odwidzi", gdy stuknie trzydziestka – ale trudno dyskutować z procedurą medyczną, która faktycznie uniemożliwia rozmnażanie. W krajach rozwiniętych błyskawicznie rośnie zainteresowanie wazektomią, czyli przecięciem nasieniowodów: to jedna z najbardziej skutecznych metod antykoncepcji. Odwrócenie zabiegu bywa możliwe, ale pacjenci bardzo rzadko zgłaszają taką chęć (ok. 1 proc. przypadków). Wazektomię ma za sobą ok. 20 proc. mężczyzn w Wielkiej Brytanii, Nowej Zelandii i Korei Południowej oraz ok. 10 proc. w Belgii, Danii, Hiszpanii, Szwajcarii czy Stanach Zjednoczonych. Choć wykonywana jest głównie u mężczyzn, którzy mają już dzieci, rośnie zainteresowanie nią osób bezdzietnych. Chętnych nie brakuje, a najważniejszym problemem do przekroczenia są procedury – w niektórych państwach zabieg jest po prostu nielegalny. Okazuje się tymczasem, że mężczyźni bezdzietni, którzy przeszli wazektomię, rozmyślają się jeszcze rzadziej niż mężczyźni z dziećmi. Badania pokazują też, że decyzja ta nie prowadzi do jakichkolwiek negatywnych zjawisk psychologicznych, również po wielu latach od podjęcia decyzji.

Można by oczywiście zastanawiać się, czy jest w ogóle wyobrażalne, że gatunek „postanowi" wymrzeć na własne życzenie. To by była rzecz niezwykła z biologicznego punktu widzenia, ale edytowanie własnych genów – co robimy – też nie zdarza się na co dzień w świecie płaszczek i pierwotniaków. Warto zauważyć, że nawet „normalna" demografia może doprowadzić do wymarcia ludności – dzietność kobiet w krajach najwyżej rozwiniętych, jak Korea Południowa, Luksemburg czy Singapur, zbliża się już do jedności – 10 kobiet rodzi 10 dzieci (czyli, średnio, 5 kobiet) i wciąż spada. Odpowiedzialni demografowie zwykle nie bawią się w „przedłużanie linii" o setki lat naprzód, jednak wolno to robić filozofom. John Leslie, przedstawiciel tego szlachetnego zawodu, w książce „The End of the World" oszacowuje, że ludzkość może całkowicie wyginąć w wyniku stabilnie malejącej płodności do 2400 r.

Gdy 10 proc. kobiet jest programowo przeciwne rodzeniu dzieci, **ma to wielokrotnie większy wpływ** na przyszłość naszego gatunku niż koronawirus.

Pandemia do pominięcia

Scenariusz ten ma w sobie pewną elegancję, na pewno większą od innych omawianych przez Lesliego wizji, w których przyczyny apokalipsy nadciągają z zewnątrz. Choć nasz gatunek ma za sobą dziesiątki tysięcy lat radzenia sobie z problemami na skalę tygrysów szablozębnych i zlodowaceń, i to wyłącznie przy pomocy narzędzi z kamienia i kości, w ostatnich latach wielu komentatorów lubi traktować *Homo sapiens* jak mimozę, którą jest w stanie zniszczyć najlżejszy powiew wiatru. A przecież wciąż jest to ten sam gatunek, który podbił świat, tylko teraz dodatkowo wyposażony w reaktory jądrowe, nanotechnologię, obserwatoria satelitarne, komunikację światłowodową i sztuczną inteligencję. Nie zliczę, ile razy czytałem, że zmiany klimatu mogą doprowadzić w XXI w. do wyginięcia ludzkości, co jest tyleż absurdalne – ze skalą zmian, jaką przewidują klimatolodzy, poradziłby sobie nawet *Homo erectus* – co po prostu nieuzasadnione naukowo. Tragedie, konflikty, problemy – tak. Ale nie zagrożenie egzystencjalne!

Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) szacuje, że w 2050 r. zmiany klimatu będą powodować ok. 250 tys. dodatkowych śmierci rocznie, czyli odpowiadać za 0,3 proc. całkowitej śmiertelności. Organizacja DARA, zajmująca się analizą skuteczności pomocy humanitarnej, po doliczeniu skutków migracji i konfliktów zbrojnych uzyskała wynik 600 tys. śmierci. Grupa badaczy z amerykańskiej agencji ekonomicznej NBER przyjęła najgorszą wersję najgorszego scenariusza klimatycznego IPCC do 2100 r., uwzględniła wszystkie podane wyżej przyczyny śmierci, a następnie przeliczyła straty ekonomiczne na zgony według przeliczników stosowanych czasem w ekonomii. Ostateczny wynik to 85 dodatkowych śmierci na 100 tys. osób w 2100 r. – a więc 0,085 proc. populacji ludzkiej ma umrzeć w ciągu tych 12 miesięcy wskutek zmian klimatycznych.

Drugim ulubionym tematem czarnowidzów są choroby zakaźne, ale – znów – nie ma żadnego dobrego powodu, by upatrywać w nich zagładę ludzkości. Epidemie i pandemie towarzyszą nam od zawsze, a nigdy nie byliśmy w lepszej sytuacji niż dziś, by sobie z nimi radzić. Nowy koronawirus spowodował śmierć ok. 0,2 proc. ludzi na świecie – nawet gdyby ostatecznie było to dwukrotnie więcej osób, to jego wpływ na długofalową dynamikę populacji jest minimalny, zwłaszcza że umierają niemal wyłącznie osoby daleko po wieku reprodukcyjnym. Brzmi to być może dość zimno – cóż, takie uroki demografii – ale wirus, którego średni wiek ofiary to 80 lat, jest praktycznie nieistotny dla rozwoju populacji. Ba, jeszcze 100 lat temu większość osób, które dziś umierają na covid, nie miałaby szansy dożyć tego etapu swojego życia, a gdyby XIX-wiecznemu demografowi pokazać statystyki umieralności w szczytowym momencie obecnej pandemii, przecierałby oczy ze zdumienia, jak zdrowo i długo żyją ludzie w XXI w. Ujmując to inaczej: 10 proc. młodych antynatalistów ma wielokrotnie większy wpływ na przyszłość naszego gatunku niż koronawirus.

Wygaszanie gatunku

Co więc przyniesie przyszłość? W poprzednim akapicie kryje się ważna informacja, której nie poświęciliśmy dotychczas należytej uwagi – starzenie się społeczeństw. W 1950 r. osoby powyżej 70. roku życia (WHO tak dziś definiuje „starość") stanowiły 3 proc. populacji. W 2050 r. ma to być 11 proc. – niemal cztery razy więcej! A mówimy wciąż o średniej światowej. W Polsce w 2050 r. osoby stare mają stanowić aż 23 proc. Spójrzmy na te dane jeszcze inaczej: ilu ludzi niepracujących przypada na ilu pracujących? Załóżmy, jak robi to ONZ, że osoby w wieku 15-64 lata pracują („populacja utrzymująca"), a osoby młodsze i starsze od tego przedziału to „populacja utrzymywana". Dziś ludzkość dzieli się niemal równo na te dwie kategorie: 53 proc. utrzymywanych i 47 proc. utrzymujących. Każda osoba „w sile wieku" utrzymuje więc statystycznie jedną osobę. W 2100 r. proporcja ta ma wynosić 67 do 33, co może wydawać się niedużą zmianą, dopóki ↦

↦ nie zdamy sobie sprawy, że zwiększa to dwukrotnie obciążenie przypadające na jedną dorosłą osobę!

Wizja „demograficznego końca świata" to więc historia kurczącego się globalnego społeczeństwa staruszków. Procesowi temu będzie oczywiście towarzyszyć masa problemów społecznych, których pierwsze sygnały docierają do nas już dzisiaj, jak rozpadający się system emerytalny i opieki zdrowotnej. Nic więc dziwnego, że coraz poważniej mówi się o radykalnym sposobie rozwiązania tego problemu – rozszerzeniu globalnej puli „rąk do pracy" nie poprzez spłodzenie dodatkowych pracowników, na co nikt nie wydaje się mieć ochoty, lecz poprzez ich... wyprodukowanie. To nie przypadek, że liderem na światowym rynku robotów humanoidalnych jest Japonia: kraj od dekad przodujący w rankingach długowieczności i małodzietności.

Jest oczywiście i inne wyjście, radykalniejsze. Wspomnieliśmy dotychczas o jednym zjawisku „biologicznie absurdalnym", które jednak wydaje się budzić spore zainteresowanie *Homo sapiens*: celowym, świadomym wyłączeniu się z łańcucha reprodukcji. A co z przycięciem drugiego końca kija? Nie jest przecież wyryte w kamieniu, że tylko dlatego, że medycyna pozwala nam dziś żyć 80 i 90 lat, musimy z tej możliwości skorzystać. W Holandii, będącej światowym pionierem eutanazji, odsetek żyć ludzkich zakończonych w ten sposób wzrósł z 1,9 proc. w 1990 do 4,4 proc. w 2017 r.

Przyzwolenie społeczne na eutanazję jest na świecie mieszane, jednak zasadniczo rośnie. Normalizacja eutanazji jako typowego sposobu zakończenia życia po przekroczeniu pewnego ustalonego poziomu jakości życia stanowiłaby z pewnością ostateczny akt uporządkowania sytuacji demograficznej naszego gatunku. Nie wpłynęłoby to na nasze tempo wymierania, ale znacząco polepszyłoby jakość życia w drugiej połowie życia. Od kontroli urodzeń do kontroli śmierci – ze skutkiem w kontrolowanym wygaśnięciu całej linii ewolucyjnej. Astronomowie już od dawna zastanawiają się, gdzie ci wszyscy kosmici. A może scenariusz „demograficznego końca świata" to właśnie typowa historia „gatunku przebudzonego"?

© ŁUKASZ LAMŻA

Komu służą badania

ŁUKASZ KWIATEK

Sci-Hub, piracki serwis z publikacjami naukowymi, kolejny raz pozwano za łamanie praw autorskich. Wyrok, który zapadnie w Delhi, będzie mieć znaczenie dla całej nauki.

Nie każdy z nich się do tego przyzna, ale ogromna liczba naukowców i dziennikarzy korzysta z serwisu Sci-Hub, udostępniającego ponad 80 mln publikacji naukowych, także z płatnych czasopism. Miesięcznie Sci-Hub notuje ok. 20 mln wizyt z całego świata. Serwis stworzyła przed dekadą kazachska informatyczka Aleksandra Ełbakian, w 2016 r. uznana przez magazyn „Nature" za jedną z najważniejszych osób w nauce.

Rok wcześniej przegrała pierwszy proces – w USA nałożono na nią kary w wysokości 20 mln dolarów, a potem wiele lokalnych domen, w których Sci-Hub funkcjonował, zostało zablokowanych. Ponieważ jednak zarówno serwery Sci-Hub, jak i sama Ełbakian są w Rosji, gdzie amerykańska jurysdykcja nie sięga, Kazaszka nie zapłaciła pozywającym ją wydawcom nawet centa i nie zlikwidowała serwisu. Sytuacja zmieniła się w 2021 r., w związku z procesem wytoczonym jej w Indiach (równolegle pozwany został także serwis LigGen, zawierający kilka milionów książek) – gdzie Sci-Hub jest niezwykle popularny. Na początku 2021 r. Sci-Hub zaprzestał poszerzania swojej bazy o nowe publikacje, a reprezentanci Ełbakian – będący zresztą wolontariuszami – tym razem biorą udział w rozprawie.

Sąd nie będzie miał łatwego zadania – sprawa dotyczy nie tylko sporu prawnego, ale wpisuje się w sam środek debaty o tym, jak powinna funkcjonować nauka.

Złoty standard

Gdy mówi się o nauce, trudno pomijać jej aspekt socjologiczny. Nauki nie uprawia się ani w próżni, ani w pojedynkę. Wiedza naukowa jest wytworem społeczności naukowców, którzy w swojej działalności przestrzegają pewnych zasad. Jedną z najważniejszych z nich wprowadził Henry Oldenburg. Ten niemiecki teolog i filozof przybył w połowie XVII w. do Londynu i został członkiem Towarzystwa Królewskiego (Royal Society). Jako sekretarz tej instytucji w 1665 r. zaczął wydawać biuletyn „Philosophical Transactions of the Royal Society", w którym umieszczał rozprawy naukowe innych autorów, ale przed drukiem wysyłał je do recenzji kolejnym badaczom specjalizującym się w danej dziedzinie.

Recenzowanie prac naukowych przez innych specjalistów (ang. *peer review*) jest do dzisiaj złotym standardem. I jednym z wielu wbudowanych w cały system uprawiania nauki mechanizmów kontrolnych. Dzięki nim trudno opublikować w dochowującym standardów czasopiśmie artykuł naukowy, który byłby stekiem bzdur albo zawierałby zmanipulowane dane. Ale nawet jeśli od czasu do czasu się to komuś uda, to takie przypadki często wychodzą na jaw. Wyłapywaniu ich służyć mogą np. replikacje, czyli odtwarzanie tego samego eksperymentu przez inne zespoły badaczy. Gdy zaś z wielu ośrodków napływają niespójne wnioski, ich prawdziwość pomagają ustalić tzw. metaanalizy, czyli przeglądy literatury na dany temat połączone ze zbiorczą analizą publikowanych w nich danych. Wydrukowane już prace poddawane są także krytyce w środowisku i mogą zostać poprawione lub wycofane z publikacji.

Przykładowo, blog Retraction Watch wymienia już ponad dwieście prac naukowych poświęconych COVID-19, które zostały wycofane (to niewielki odsetek – baza PubMed.gov zawiera ponad 138 tys. prac naukowych, w których tytule znajduje się „COVID-19"). Jedną z najsłynniejszych wycofanych publikacji pozostaje artykuł Andrew Wakefielda i współpracowników, dotyczący związku podania

szczepionki przeciw odrze, śwince i różyczce z wystąpieniem zaburzeń autystycznych u dzieci, który zapoczątkował nową erę ruchów antyszczepionkowych.

System naukowy działa więc sprawnie, ale nie znaczy to, że jest wolny od wad i patologii.

Prestiżowe i drapieżne

Wiele czasopism naukowych to produkty komercyjne – wliczając najbardziej prestiżowe, takie jak „Nature", „Science", „The Lancet" czy „Cell". Ich wydawcy zarabiają na kilka sposobów. Po pierwsze, sprzedają wersje drukowane i dostęp online do całych numerów lub pojedynczych artykułów – dla zwykłego użytkownika to na ogół koszt od kilkunastu do kilkudziesięciu dolarów. Ale głównymi odbiorcami tych treści są uczelnie i instytucje badawcze, płacące setki tysięcy dolarów za dostęp do całych baz czasopism danego wydawcy. To jednak nie wszystko – także autorzy artykułów (czyli ostatecznie społeczeństwo) ponoszą koszty publikacji, sięgające zwykle kilku tysięcy dolarów. Rosną one, jeśli artykuł ma się ukazać w otwartym dostępie. W „Nature" koszt takiej publikacji wynosi 9,5 tys. dolarów. Niekiedy samo zgłoszenie artykułu do czasopisma wymaga uiszczenia opłaty.

Wydawanie prasy naukowej to intratny biznes – roczny zysk lidera na rynku, wydawnictwa Elsevier, sięga miliarda funtów, przy nawet 40-procentowej marży. Największe wydawnictwa płacą redaktorom, ale już recenzenci artykułów pracują na ogół za darmo, w poczuciu społecznego obowiązku. Tymczasem to oni są kluczowi w całym systemie. Wnikliwa recenzja artykułu naukowego wymaga poświęcenia przez dwóch lub trzech recenzentów dziesiątek godzin.

Z tego powodu wydawcy czasopism nie cieszą się w środowisku najlepszą opinią. Ciągle powstają także „drapieżne" wydawnictwa, które oferują łatwy dostęp do czasopism jedynie udających naukowe – np. właściwie każdy może opublikować dowolny 4-stronicowy tekst w wydawanym w Indiach „Science International" za 150 dolarów. Takie wydawnictwa żerują na tym, że o karierze naukowej decydują publikacje, których jakość nie zawsze jest weryfikowana przez instytucje publiczne. W Polsce służą temu słynne listy ministerialne czasopism punktowanych, które wyceniają publikacje ze względu na renomę czasopisma – choć, jak alarmowała Jolanta Szczepanik w „Forum Akademickim", może się na nich znajdować nawet 400 „drapieżnych" czasopism.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Aleksandra Ełbakian, twórczyni Sci-Hubu. Soczi, 8 lutego 2021 r.

Cena otwartości

Duże wydawnictwa naukowe, takie jak Springer czy Elsevier, nie dopuszczają się drapieżnych praktyk, ale ich działalność i tak budzi etyczne wątpliwości. W komentarzu przesłanym „Nature" prawnicy Elseviera przekonują, że serwisy takie jak Sci-Hub zagrażają m.in. „integralności dorobku naukowego", a także bezpieczeństwu bibliotek i uczelni. Ten drugi zarzut nawiązuje do sposobu działania Sci-Hubu – serwis korzysta z przekazanych mu przez użytkowników danych logowania na strony instytucji, które dysponują legalnym dostępem do publikacji. Absurdem byłoby jednak twierdzić, że Sci-Hub w jakiś sposób zagraża samej nauce – współcześnie stał się raczej jej ważnym elementem.

Z analizy Juana Correi z Uniwersytetu Ekonomicznego w Pradze i współpracowników wynika, że artykuły dostępne w Sci-Hubie są cytowane o 1,7 razy częściej niż te, których w tej bazie nie ma. To jeden z wielu dowodów na to, że Sci-Hub odgrywa ważną rolę w cyrkulacji wiedzy naukowej. Nie trzeba chyba nikogo przekonywać, jak ważna jest to kwestia – nie tylko podczas pandemii. Brak swobodnego dostępu do wyników badań godzi zwłaszcza w kraje biedniejsze, których uczelni nie stać na płacenie wydawcom.

W podobnej sytuacji znajduje się wielu dziennikarzy naukowych na całym świecie – oni także nie mają dostępu do wielu publikacji, jeśli nie pracują równocześnie na większych uczelniach. A to już przekłada się na gorzej informowane społeczeństwo – które przecież ponosi ogromne koszty finansowania badań. Na szczęście coraz więcej publikacji naukowych ukazuje się w otwartym dostępie, niewykluczone zresztą, że ma to związek z obecną sytuacją Sci-Hubu.

Zdaniem ekspertów „Nature" Sci-Hub ma szanse na wygraną w Indiach ze względu na szeroko tam rozumianą ideę dozwolonego użytku. Ale nawet jeśli przegra, to wyrok może odbić się czkawką Elsevierowi i dwóm innym wydawcom, którzy wytoczyli proces. Sympatia społeczności naukowej wobec Sci-Hubu jest olbrzymia. Dalsze ograniczenia jego funkcjonowania mogłyby zaowocować narodzeniem się ruchu, który przekona społeczeństwo, że nauka jest naszym wspólnym dobrem – a praca naukowców nie powinna służyć w pierwszym rzędzie zyskom wydawców. ©℗

NA NOWY ROK

JAK W LUSTRZE

Coraz większe wrażenie robi słownik neologizmów. Niektóre z nich warto polubić, bo mogą zostać z nami na długo.

ANNA GOC

Słowa lubią zmiany. Przykładem jest „polubownik", czyli osoba, która „polubia" posty w serwisach społecznościowych, „daje lajki". Słowo to – wyjaśnia prof. Katarzyna Kłosińska, która kieruje zespołem Obserwatorium Językowego Uniwersytetu Warszawskiego – na początku XX wieku znaczyło „sędziego polubownego, rozjemcę". Nie jest nowe. „Mamy tu więc do czynienia z wyrazem, który wyszedł z języka, by wrócić do niego w nowym wcieleniu" – pisze prof. Kłosińska na stronie Obserwatorium Językowego UW.

Patocelebryta na plażingu

Dodajemy zakończenie „-oza", by podkreślić, że coś nam się szczególnie nie podoba: „tujoza", „grantoza", „betonoza". Czy angielskie „-ing", które jest trochę żartobliwe: „balkoning", „grobing", „plażing". Są też przedrostki: na przykład „pato-". „Wycięliśmy go z »patologii« (tak jak wycięliśmy »narko-« z narkomanii, »porno-« z pornografii czy »euro-« z Europy) i dołączamy do różnych wyrazów, by wskazać, że to, co one oznaczają, jest w jakiś sposób patologiczne" – wyjaśnia prof. Kłosińska. Stąd tak popularne słowa: „patoinfluencer", „patoyoutuber", „patocelebrytka", „patodeweloper" czy „patotreści". „Słowo »patologia« – pisze dalej – istnieje w polszczyźnie co najmniej od II połowy XIX w., początkowo oznaczało naukę o chorobach (z greckiego »pàthos« – »cierpienie« i »lógos« – »nauka«). Z tego określenia (funkcjonującego zresztą do dziś jako terminologiczne) wyłoniło się kolejne – »stan chorobowy«, które z czasem rozszerzyło się na »nieprawidłowe zjawisko w życiu społecznym«".

Lubimy skracać. „Cze" i „nara", „oburz" i „wkurz". „Drama".

Choć nie zawsze. Są „pieseły", „koteły", a nawet „chomikeły" i inne zwierzęta, których nazwy kończą na „-eł". „Wiedząc, że język dąży do ekonomiczności, moglibyśmy pomyśleć, że słowa te są zupełnie niepotrzebne – są dłuższe niż ich tradycyjne odpowiedniki i nie wypełniają żadnej luki w słownictwie. A jednak powstały i są używane nie bez powodu – w języku bowiem (szczególnie w języku potocznym) nie zawsze najważniejsze jest to, co dany wyraz nazywa, lecz to, w jaki sposób to robi" – pisze prof. Kłosińska.

No rejczel

Coraz większe wrażenie robi słownik neologizmów. Niektóre z nich warto polubić, bo mogą zostać z nami na długo. Czy wejdą na stałe do słowników, a może będą tylko efemerydami i znikną wraz z modą lub zjawiskiem, które opisują? Trudno powiedzieć, można jedynie przypuszczać.

W słowniku neologizmów mamy między innymi „askę", czyli „kobietę aseksualną, nieodczuwającą pociągu seksualnego, niemającą potrzeb seksualnych". Jest też, bardzo już zadomowiona w języku, „bańka", w której się z kimś zamykamy, gdy korzystamy ze wspólnych źródeł internetowych, przez co mamy te same poglądy czy zainteresowania. Słowo powstało (w USA – jako „bubble") w 2011 r., więc w mijającym roku świętowało dekadę.

Mamy słowo „bicek", jak się potocznie określa „bicepsy", i równie zabawne „no rejczel" – odpowiedź, której udzielają osoby, jeśli chcą „dać do zrozumienia, że odpowiedź jest oczywista". Jest pięknie brzmiące „ofochany", jak „określa się potocznie, ekspresywnie, z odcieniem dezaprobaty, osobę, która się obraziła, jest z czegoś niezadowolona i bardzo wyraźnie to okazuje". Jest „klęcznik", nazywany też „klękosiadem", czyli „krzesło biurowe, które jest prezentem dla naszych pleców", bo „zgarbienie się na nim jest trudne". Jest zaczerpnięty z języka angielskiego „prank" – „działanie lub zachowanie celowo podejmowane po to, żeby rozśmieszyć innych, polegające zwykle na postawieniu kogoś w niezręcznej sytuacji".

Mniej popularne określenie „płatek śniegu" – tak się mówi o „przedstawicielu generacji urodzonej pod koniec lat 90. XX w., niezaradnym życiowo i nadwrażliwym, a jednocześnie przekonanym o swojej wyjątkowości". I „córkowa" – tego słowa używają ci, którzy „mówią o żonie lub partnerce życiowej swojej córki".

Jest „twarzyzm" – zjawisko „polegające na tym, że w fotograficznych i filmowych relacjach z różnych wydarzeń, w prezentacji różnych osób itd., kobiety są ukazywane w pełnej sylwetce, natomiast mężczyźni tylko w zbliżaniu twarzy, co powoduje utrwalenie stereotypu mężczyzny jako inteligentniejszego od kobiety".

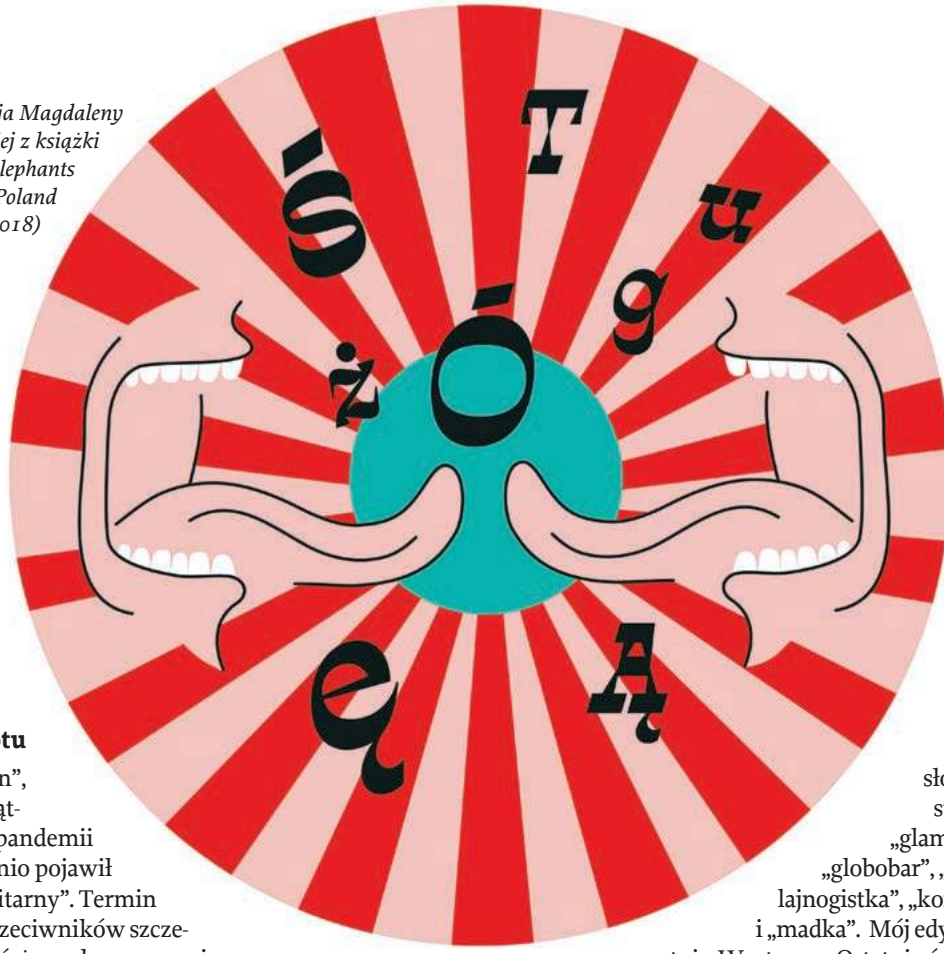

„Język", ilustracja Magdaleny Burdzyńskiej z książki „Quarks, Elephants & Pierogi: Poland in 100 Words" (2018)

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI INSTYTUTU ADAMA MICKIEWICZA / CULTURE.PL

Miejsce do odlotu

Jest też „covidianin", czyli „człowiek wątpiący w istnienie pandemii COVID-19". Ostatnio pojawił się „apartheid sanitarny". Termin używany przez przeciwników szczepień, by podkreślić, że osoby zaszczepione mają przywileje. A oni – niezaszczepieni – są „dyskryminowani".

„Mamy tu do czynienia z bardzo mocną metaforą, stawiającą Polskę na równi z RPA z okresu, w którym istniała tam segregacja rasowa" – pisze prof. Kłosińska. I wyjaśnia: „Metafora ta (jak wiele innych) zafałszowuje rzeczywistość – uwypukla tylko jeden aspekt tego zjawiska, całkowicie pomijając inne". Sanitaryzm „przywołuje takie nazwy jak totalitaryzm, autorytaryzm czy militaryzm". Pojawia się w kontekstach: „totalny sanitaryzm, permanentny sanitaryzm, zniewolenie ludzi, nowy apartheid, dyskryminacja zdrowotna, zamordyzm szczepionkowo-covidowy, terror sanitarny. (...) Jeśli się jednak spróbuje dociec do precyzyjnego znaczenia tego słowa, jest się skazanym na porażkę – nie wiadomo dokładnie, czym sanitaryzm jest, wiadomo, że ma się źle kojarzyć i wywoływać niechęć wobec tych, którzy uważają, że ochrona społeczeństwa przed potencjalnymi nosicielami wirusa jest potrzebna".

I mój ulubiony: „agroglif", czyli „krąg zbożowy". „Tajemnicze rysunki na polach uprawnych pojawiają się od długiego czasu, ale dopiero w ostatnim dziesięcioleciu uległy systematyzacji i zostały zbadane przez CCCS (z ang. Center for Crop Circle Studies, Centrum Badania Kręgów Zbożowych)" – czytamy w tekście ilustrującym użycie słowa. Z fragmentów innych tekstów, które są publikowane obok hasła, dowiadujemy się, że: „Dziś tworzenie kręgów w zbożu, rzepaku, trawie, koniczynie, a więc w rozmaitych uprawach, wzrosło do poziomu sztuki". A gdy „5 sierpnia 1967 roku w Kanadzie, na farmie Duhamel w regionie Alberta zauważono kręgi, wiele osób z sąsiedztwa przypomniało sobie, że w tygodniach poprzedzających to zjawisko widywali UFO".

Wśród nowych słów są też: „strusiarstwo", „tofucznica", „glamping", „frużelina", „globobar", „zahofmanić", „hulajnogistka", „kontaktolog", „libek" i „madka". Mój edytor tekstu się buntuje. Wystarczy. Ostatni: „śpiulkolot" – wyraz, który właśnie wygrał plebiscyt na Młodzieżowe Słowo Roku 2021 (zorganizowany przez Wydawnictwo Naukowe PWN we współpracy z Uniwersytetem Warszawskim). Prof. Kłosińska zwraca uwagę na cząstkę „lot". Może kojarzyć się z „odlotem", stąd częste połączenie „boarding na śpiulkolot". Słowo to najczęściej pojawia się jako komentarz pod zdjęciami przedstawiającymi pieski, kotki czy małe dzieci, które śpią. Słodko, dodajmy. W miejscu bezpiecznym do „odlotu".

Słowa mówią o nas

Na początku stycznia poznajemy słowa, które w minionym roku odegrały najważniejszą rolę.

Od 2010 r. Uniwersytet Warszawski organizuje plebiscyt na Słowo Roku. Kapituła, w skład której wchodzą językoznawcy z kilku ośrodków naukowych w Polsce, wybiera kilkanaście słów – najpopularniejszych w mijającym roku.

W tym roku są wśród nich: „cnota niewieścia", „anty-LGBT", „podwyżka", „zdalna" (praca), „zgon" (na COVID), „inflacja", „granica", „migrant", „uchodźca", „reasumpcja", „lex TVN", „stan wyjątkowy" (na granicy), „mutacja" (wirusa), „fala" (trzecia/czwarta pandemii, także fala uchodźców).

Wyboru dokonują i kapituła, i internauci. Ci ostatni mogą dodatkowo zgłaszać własne propozycje spoza listy.

Podobne plebiscyty są organizowane w wielu krajach od ponad 30 lat. Bardzo rzadko udaje się wybrać jedno słowo. Tak było w 2015 r., gdy wskazywano słowo „uchodźca", jak i w ubiegłym roku, gdy dominowało słowo „pandemia" w różnych wariantach: „lockdown" (słowniki Collinsa), „COVID" (Amerykańskie Stowarzyszenie Językoznawców), „pandemic" (słowniki Merriam-Webster), „koronawirus", „lockdown", „reopening", czyli ↦

↦ ponowne otwarcie gospodarki (słowniki oksfordzkie). W Niemczech wygrało słowo „Coronapandemie", czytelnicy czeskiego dziennika „Lidové noviny" postawili na słowo „lockdown", a redakcja wybrała słowo „COVID-19".

„Inaczej było w Rosji, gdzie słowem roku został czasownik »wyzerować«, związany z zerowaniem kadencji obecnego prezydenta, by umożliwić mu ponowny start w wyborach. Białoruscy dziennikarze Radia Svoboda wybrali słowo »Žyvie Biełaruś«. W Austrii zwyciężyło słowo »Baby Elefant«, czyli słoniątko, symbol jednometrowego dystansu, który trzeba zachowywać w czasie pandemii" – referował prof. Marek Łaziński, przewodniczący kapituły Plebiscytu Słowo Roku 2020.

W Polsce na trzecim miejscu znalazła się „pandemia", na drugim rzeczownik w liczbie mnogiej – „kobiety", na pierwszym – „koronawirus". Słowem dekady w głosowaniu internautów okazało się wyrażenie liczebnikowe „500 plus".

Co ciekawe, słowo „pandemia" jest utworzone z greckich cząstek „pan", czyli wspólny, obejmujący wszystko, i „demos", czyli lud. Ale jest też drugie znaczenie słowa pandemia – to „sojusz wszystkich narodów żyjących w pokoju i wzajemnej zgodzie".

Prof. Łaziński analizował też zwycięskie słowo „kobieta", które, jak podkreślił, jest dosyć tajemnicze, nie ma go w żadnym innym słowniku. I przeszło ewolucję, zostało dowartościowane. „Kiedyś słowo »kobieta« było lekceważące, chodziło o lekceważenie niewiasty z ludu. Od XIX w. obserwujemy jego dowartościowywanie, stało się najpierw słowem neutralnym, teraz jest słowem dumnym" – mówił.

I dodał: „Drugim słowem, które jewst tylko polskie, jest »szczepionka«. Nikt tak nie nazywa »szczepionki« jak my. Najpierw »szczepiło się drzewa«, »szczepionka« ma związek z »rozszczepianiem«, z wstawianiem czegoś w środek drzewa. Wszystkie inne języki nazywają szczepionkę albo z łaciny, albo w inny sposób.

O tym, które słowo zwyciężyło w ostatnim roku, dowiemy się już na początku stycznia. ©℗ ANNA GOC

Cytaty pochodzą ze strony Obserwatorium Językowego Uniwersytetu Warszawskiego: **obserwatoriumjezykowe.uw.edu.pl**.

POŻEGNANIE

Pawle

przyjmij nasze najserdeczniejsze wyrazy współczucia z powodu śmierci

Mamy

Ś.† P.

Izabeli Tarnawskiej

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"

Odzyskać język

PROF. KATARZYNA KŁOSIŃSKA, JĘZYKOZNAWCZYNI:

Jeśli odbieramy komunikaty bezrefleksyjnie, robi się niebezpiecznie. Przestajemy wiedzieć, czy to słowa kłamią, czy kłamie rzeczywistość.

ANNA GOC: Czy nie mamy za dużo słów w języku polskim?

KATARZYNA KŁOSIŃSKA: Ani za dużo, ani za mało – tyle, ile potrzeba. Skoro powstają nowe słowa, to znaczy, że komuś są potrzebne. Bywa tak, że danego wyrazu używa określone środowisko, ale jednocześnie – za sprawą internetu – przenika on do słownictwa ludzi niekoniecznie interesujących się zjawiskiem, którego dotyczy (tak jest np. z „twarzyzmem" czy „płatkiem śniegu"). W sieci wszystko się miesza ze wszystkim, mamy dostęp do języków różnych środowisk, co sprawia, że przejmujemy słowa, o których jeszcze do niedawna nie mieliśmy pojęcia.

Nie wszystkie zmiany w języku są jednak akceptowalne.

Oczywiście, nie wszystko, co się pojawia w języku, lubimy i akceptujemy. Ja na przykład chyba nigdy nie zaakceptuję nowego znaczenia słowa „dedykowany" („Wisiorek dedykowany do tych kolczyków"), ale, niestety, należę chyba do mniejszości. Zmiany w języku dokonują się spontanicznie – słowami „rządzi" społeczeństwo, czy to się nam podoba, czy nie. A uprzedzając pani pytanie o nasz wpływ na język, powiem, że każdy z nas tworzy język, używając określonych słów i rezygnując z używania innych.

Analizowała Pani wspólnie z Michałem Rusinkiem język „dobrej zmiany". Państwa analizy wykazują, że to nie społeczeństwo rządzi słowami.

Istotnie, w języku „dobrej zmiany" doszło do zafałszowania znaczeń wielu słów. Przykładem może być „bojówka". Bojówki to zbrojne oddziały jakiegoś ugrupowania, które używają siły. Tymczasem słowem tym są nazywane (np. w „Wiadomościach" TVP) osoby, które zakłócają spotkanie z politykiem, np. coś krzyczą. Doprawdy, daleko od takiego zachowania do tego, co robią bojówkarze. Odbiorca takiego komunikatu może stracić wiarę w moc języka.

Albo uwierzyć, że ma do czynienia z „bojówką".

Jeśli odbieramy komunikaty bezrefleksyjnie, robi się naprawdę niebezpiecznie. Przestajemy wiedzieć, czy to słowa kłamią, czy to kłamie rzeczywistość. Ludzie przesiąkają gotowymi formułami (jak straszni mieszczanie Tuwima: „i żują, żują na papkę pulchną, aż papierowym wzdęte zakalcem wypchane głowy grubo im puchną")

i używają ich, nie próbując dociec istoty sprawy. Zapychają sobie głowy papką i nie widzą, jak wygląda rzeczywistość – na przykład w dyskusjach o migrantach koczujących na granicy pojawiają się sformułowania: „zdrowi, rośli mężczyźni", „mają dobre telefony komórkowe", „żeby na nas nie napadali", „będą gwałcić dziewczyny". Myślę, że gdyby ktoś, kto ich używa, zastanowił się nad tym, czy „zdrowość i rosłość" oraz bycie mężczyzną powoduje, że można komuś pozwolić zamarznąć w lesie, nie powielałby tych klisz.

Jeśli „opozycja" – to tylko „totalna", jeśli „kasta" – to „sędziowska", jeśli „gospodarka" – to „polska". Szablony weszły do języka na dobre. Po co one tym, którzy ich używają?

Istotą szablonu językowego jest to, że w procesie nadawania i odbierania jeden wyraz pociąga za sobą od razu drugi. Wyrażenia, które pani przytoczyła, należą do tzw. frazeologii stylowej partii rządzącej i mediów publicznych. Są one swoistymi etykietkami zaklejającymi rzeczywistość, wyprzedzającymi myślenie, a nawet zwalniającymi z myślenia. Ktoś myśli o opozycji, od razu dokłada do tego przymiotnik „totalna" i już ma gotową formułkę, która mu zastępuje analizę sytuacji, wgląd w rzeczywistość.

Czy możemy próbować odzyskać język?

Język należy do nas wszystkich, więc nie da się go „odzyskać". Można się starać nie dać się zawładnąć szablonom, nie używać słów bezrefleksyjnie. Jeśli dzieje się coś ważnego, opowiadać sobie tę rzeczywistość własnymi słowami. Proszę czasem moich studentów, by używając własnych słów opowiedzieli o sytuacji związanej z wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji. I okazuje się, że niezależnie od tego, jaki ktoś ma pogląd na ten temat, tkwi w pułapce języka – jedni mówią o „aborcji eugenicznej", inni posługują się formułkami typu „decydowanie o własnym ciele". Za jednym i za drugim stoi określony sposób widzenia rzeczywistości, niestety zafałszowujący tę rzeczywistość. Nie chodzi o to, żeby nie mieć własnego zdania, lecz żeby przebrnąć przez słowa, które są „ponaklejane" na elementy

ARCHIWUM PRYWATNE

DR HAB. KATARZYNA KŁOSIŃSKA, PROF. UW, jest językoznawczynią, pracownikiem naukowym w Instytucie Języka Polskiego Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Przewodnicząca Rady Języka Polskiego przy Prezydium PAN. Autorka kilku książek, w 2019 r. ukazała się „Dobra zmiana. Czyli jak się rządzi światem za pomocą słów", której współautorem jest Michał Rusinek.

świata, i spróbować dostrzec ten świat oraz opisać go we własny sposób.

Zawsze konieczny jest namysł nad słowami – gdy go brakuje, tracimy wrażliwość na manipulację i kłamstwo. Dotyczy to zarówno błahych z pozoru sformułowań, które powstały wbrew logice, jak i poważnych przekazów odnoszących się do polityki czy życia społecznego. Podam prosty przykład: kiedyś pewna marka obuwnicza reklamowała się hasłem „Zmieniamy sens twoich stóp". Zdanie to nie ma żadnego – *nomen omen* – sensu, a jednak było przez kilkanaście miesięcy używane i być może na części z nas nie robiło wrażenia. A powinniśmy się wewnętrznie buntować przeciw takiemu używaniu języka – bo jeśli będziemy akceptować takie konstrukcje, to damy sobie wcisnąć każdy kit serwowany przez polityków czy reklamę. Nie zauważymy, że to, co do nas mówią, nie ma sensu.

Same słowa też mają różne nacechowanie, przykładem może być choćby tak popularne słowo jak „rodzina" czy „życie".

„Rodzina" zawsze była słowem pozytywnie nacechowanym, wzbudza w Polakach dobre uczucia – zapewne dlatego stała się jednym ze słów sztandarowych „dobrej zmiany". Zauważam jednak pewne *novum* w używaniu tego wyrazu – pojawia się on w kontekstach agonistycznych, np. wówczas, gdy słyszymy, że LGBT niszczy polskie rodziny, że „seksualizacja dzieci" (skądinąd to wyrażenie stworzone wyłącznie na potrzeby propagandy) to „atak na polską rodzinę" itd. „Rodzina" staje się słowem, które zamiast łączyć – dzieli (podobnie zresztą jak „patriotyzm"). No i jej znaczenie zostało zawłaszczone (raczej nie mówi się o rodzinach w kontekście osób LGBT czy bezdzietnych małżeństw), podobnie jak znaczenie słowa „życie", które w retoryce partii rządzącej odnosi się głównie do życia poczętego. Gdy kilka lat temu środowiska LGBT organizowały paradę pod hasłem „Dla życia i rodziny", jedna z posłanek apelowała, by nie posługiwać się słowami „rodzina" i „życie", gdyż one są „zarezerwowane" dla środowisk katolickich. Widać tu próbę „odzyskania" języka dla swojego środowiska – a takie próby są bardzo niebezpieczne.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

fanimani.pl

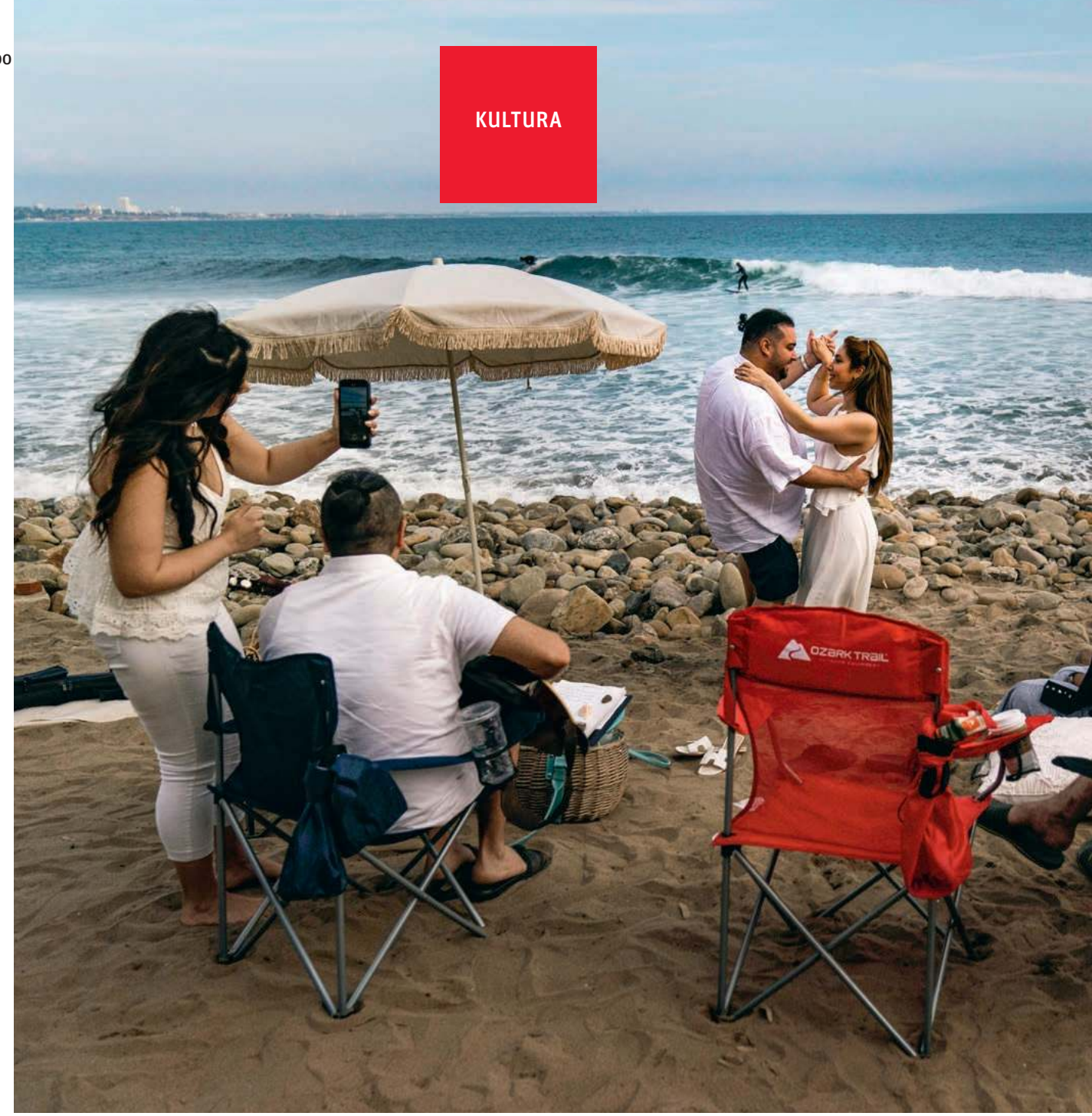

WELWETOWE PODZIEMIE

Państwo nie wykazuje empatii wobec ludzi na granicy i wobec ofiar pandemii – tych zmarłych i tych, którzy mogą wkrótce umrzeć. Ale w społeczeństwie represyjnym obocznym wyrazem sprzeciwu jest miłość. Oto nasze słowo roku.

MAREK BIEŃCZYK

JAE C. HONG / AP / EAST NEWS

Po pełnym zaszczepieniu Gili i Pejiman Sabet tańczą przed rodziną na plaży Topanga w Malibu. Gili: „Jesteśmy tu, by docenić życie. Miłość jest teraz wszystkim". Kalifornia, wrzesień 2021 r.

Trzeba by zacząć od jednej sceny. Zimny, grudniowy dzień, niewielki plac, niewielki targ. Ludzie już się rozchodzą i w ogóle czas pożegnań. Ale jeszcze te swetry wiszące na jednym straganie; nadspodziewanie ładne, oczy ku nim nieśmiało nawracają, raz, drugi; nie sposób nie dostrzec wyrazu zaciekawienia przykrytego obojętną miną. Niedobra chwila dla zakupów, te wątpliwości, te pieniądze, te rozstania na dłuższy czas, ten przenikliwy chłód. Lecz pragnienia rodzą się czasami przeciw wszystkiemu, żeby postawić tamę smutkowi, albo i rozpaczy. Sweterek więc ściągnięty z wieszaka, kurtka odwieszona, i teraz, nagle, to drżenie. Drżenie podbródka, drżenie rąk, które sweter wciągają przez szyję, drżenie idące przez całe ciało, nadmierne, niepowstrzymane.

To nie są dreszcze tylko z zimna; również z przejęcia, ze wstydu, z poczucia niestosowności i bezbronności, z niewinnej głębi siebie – welwetowego podziemia, z tego złudzenia, że chciałoby się coś mieć, choć nic temu nie sprzyja. Świadek obcy, z boku: „Pani uważa, lepiej się szybko ubrać, tak łatwo się przeziębić". Świadek bliski wie, że tamto drżenie oznacza wszystko i że na zawsze obrysowuje jego przyszłość; że już z tej obręczy się nie wydostanie, że wleciał w przyszłość przez owo drżenie, jak przez prześwit w murze.

Przeciw temu czasowi

Przed wielu laty podczas spływu na Łotwie wylądowaliśmy na prywatnej plaży. Po chwili pojawił się właściciel, przemiły chłop z gospodarstwa powyżej. Zaprzyjaźniliśmy się od razu, nazajutrz zszedł do nas w towarzystwie kobiety. „*Kak by eta skazat'* – powiedział, trochę się śmiejąc – *eta maja ljubow*".

Naturalny postmodernista, pomyśleliśmy, bo chyba nie widział „Czterech wesel i jednego pogrzebu", słynnej sceny, tak często wykorzystywanej na seminariach jako ludyczny przykład estetyki postmodernistycznej. Tej, w której Hugh Grant próbuje wydukać swoje „jak by tu rzec, kocham cię", być zarazem na dystans – bardziej wobec siebie niż obiektu miłości – i w środku akcji; być tym, kto cytuje, i zarazem tym, kto ulega sile, stosowności i dosłowności cytatu.

„*Kak by eta skazat'*" pozostało w naszym towarzyskim slangu, lecz od tamtego czasu „dyskurs miłosny" bardzo się zmienił i jego główne nurty porzucają ówczesne językowe gry w chowanego i „a kuku".

Oczywiście na pisanie o miłości nigdy nie było posuchy, mokro było i mokro będzie, lecz fala przerasta średnią; jak to się mówi, zrobiła się sprawa, i to na skalę uniwersalną. Miłość z peletonu najważniejszych pojęć znowu wysforowała się do przodu, nabrała szwungu. Tak jakby to słowo, „miłość", miało znowu do powiedzenia coś więcej niż w innych chwilach, było zdolne wyrażać nie tyle odwieczną cnotę, szaleństwo czy przypadłość, co aktualny układ rzeczy, puls świata. Dzisiaj, można odnieść wrażenie, wzmaga się, mocniej promieniuje, demonstruje swą ponowną zagadkowość na tyle głośno, że znowu wzywa i wyzywa. ↦

↦ Ogólnie rzecz biorąc, temperatury są teraz, jak wszyscy tego doświadczamy, wysokie; czasowi apokalipsy, na razie małej, towarzyszy czas gorących afektów, rozedrganych reakcji. Nie zanosi się, by miało to się i u nas, i na świecie, zmienić.

Ale ta ofensywa afektywna, oparta przede wszystkim na uczuciach radykalnie negatywnych, na kontrze, a nie na akceptacji, bynajmniej nie sprzyja miłości. Miłość jest dzisiaj przeciw wzmożeniom i tym samym wystawiona na agresję lub lekceważenie. Albo, w innym przypadku, na nowe, ostre przewartościowania, łączące się z przemianami obyczajowymi, których motorem jest internet oraz teorie genderowe. Jest wystawiona na sprzedaż, paradoksalnie uwyraźniona jak tarcza do strzałów, zagrożona i zarazem do przemyślenia na nowo.

Od „pochwały miłości" (tytuł wywiadu rzeki z Alainem Badiou z roku 2009) do „końca miłości" (tytuł książki Evy Illouz z roku 2020) – tak by to zatem miało iść?

Piękna para!

Mówię o „prześwicie w murze"; chodzi o rodzaj objawienia, lecz wolę słowo „prześwit" niż „iluminacja", zawadzające o mistyczność, oblewające nas snopem światła z góry. Które gotowe jest nas oślepić, zawojować swą zanadto bezwzględną siłą.

O miłosnych iluminacjach pisał w jednej z najsłynniejszych książek „o miłości" (taki też był jej tytuł) Stendhal. Do podręczników przeszedł jego termin „krystalizacja", oznaczający jeden z pierwszych etapów procesu miłosnego, fazy, w której zakochany wykształca idealny obraz obiektu swej miłości. „W kopalni soli w Salzburgu wrzuca się w czeluść szybu gałąź odartą z liści; w parę miesięcy później wydobywa się ją okrytą lśniącymi kryształkami; najdrobniejsze gałązki, nie większe od łapki sikory, przybrane są mnóstwem ruchomych i lśniących diamentów; nie można poznać pierwotnej gałęzi. Krystalizacją nazywam czynność myśli, która we wszystkim, co widzi, odkrywa nowe przymioty ukochanej osoby".

Same diamenty naprzeciw; olśnienie, które przemienia zakochanym wzrok i nie dopuszcza racjonalnej oceny. Dobrze wiadomo: kochamy kogoś za to, czym nie jest, rzucamy za to, czym jest. Swann u Prousta może więc powiedzieć o Odetcie te straszne słowa: „I pomyśleć, że spartoliłem kilka lat życia, że chciałem umrzeć, żem przeżył swoją największą miłość – dla kobiety, która mi się nie podobała, która nie była w moim typie!". Krystalizacja go oślepiła na dłużej, niż mógł się spodziewać, skoro uzmysławia to sobie dopiero po rozstaniu.

Każdemu w porządnie trwającym związku zdarza się czasem, jak buńczucznie mniemam, pomyśleć ze zdziwieniem i szybciej niż Swann (aby po chwili o tym zapomnieć) „co ja tu robię?", bo też każdy związek jest koniecznym nieporozumieniem, nawet ten najlepszy. Koniecznym, gdyż tak musiało być, i inaczej być nie mogło; bo tak się dziwnie złożyło. Nieporozumieniem, gdyż widzimy w nim siebie jako aktora nie całkiem przez nas napisanej sztuki; w miłości jesteśmy dla siebie samych kimś z gruntu nierozpoznawalnym, w naszym ja budzi się nie-ja i dopiero to fundamentalne nierozpoznanie pokrywamy różnymi dookreślaniami i maskujemy uściśleniami.

Nieporozumieniem zatem nie psychologicznym (w mocnym związku miłosnym wiemy, że i tak dokonaliśmy najlepszego, świetnego – koniecznego – wyboru, „miłowania aż do śmierci"), lecz filozoficznym czy, jak kto woli, istnieniowym.

W jego świetle pytamy siebie: kim właściwie jesteśmy? Miłość przyszła z przypadku (wystarczyłoby pojawić się w tamtej kawiarni godzinę później, wsiąść do innego przedziału itd.) i ten przypadek musiał zostać utwardzony jako świadomie podjęta decyzja, punkt wyjścia dla logicznej, konsekwentnej historii, która nastąpiła. Rzeczy mogłyby potoczyć się wszak zupełnie inaczej i z kimś innym zawarlibyśmy konieczne nieporozumienie, w którym nasze ja kształtowałoby się całkiem odmiennie i nie tak wiele przypominało ja istniejące w związku obecnym.

W dyskursie o miłości spierają się, z grubsza biorąc, dwa modele czy dwie idealne koncepcje, wypowiedziane już w „Uczcie" Platona. Miłość jako fuzja dwóch istot, trwałe stopienie się w jedność, i miłość jako chwilowa wspólnota dwoistości, dwóch odrębnych osób. W moim odczuciu nie biorą one pod uwagę jeszcze tego: że związek zawierają w istocie dwa dziwne podmioty: dwa nie-ja. I to jest w miłości fascynujące. Bo też nie-ja jest ciekawsze od zawsze nudnego i przewidywalnego ja.

Ale nie mniej niż taka osobista, wewnętrzna niepojętość naszej sytuacji intrygować może ocena innych. Kiedy jesteśmy z kimś razem, to inni jakże często nie umieją zrozumieć, skąd się wzięła ta miłość. Wspólnota innych, miłość kogoś do kogoś bywają bardzo trudne do pojęcia. „Dlaczego oni są ze sobą? Przecież kompletnie do siebie nie pasują! Co on/ona w nim/niej widzi? Czemu on/ona kocha się w kimś takim?". Taka niepojętość statystycznie przebija po stokroć poczucie, że tych dwoje (dwóch, dwie) „to piękna para!".

Właściwie – myślę sobie – każda para, nie tylko ta świeżo zakochana, na zewnątrz wygląda śmiesznie. Nawet, a może przede wszystkim nadzwyczajnie udana para narzucająca swą świetną organizację jako model do naśladowania. Dwoje ludzi ramię w ramię, no, Flip i Flap, Pat i Pataszon; te naczynia połączone gestów, te współzależności ruchów, te krzyżujące się kontrole. Kiedy otwieram drzwi i widzę przed sobą zaproszoną na kolację parę, pierwsze wrażenie jest właśnie takie: cokolwiek śmieszne to wszystko. A kiedy z kimś innym wchodzę do znajomych czy do kawiarni, czuję z kolei naszą komiczność. Potrzebujemy razem być, ale nasze ciała wykonują gesty niewyuczone, coś narusza ich dawny komfort. Osoby samotne czy pojawiające się w pojedynkę wyglądają szlachetniej, poważniej, bardziej kompaktowo, cieleśnie zintegrowane. Trzeba by rozstań, żeby komedię zastąpił na nowo dramat.

Prześwit zdarza się kapryśnie, nieczęsto, ale da sobie radę z każdą komicznością i każdym niezrozumieniem, z każdą demistyfikacją miłości i jej mechanizmów tak fantastycznie ujawnionych przez wielką literaturę. Zapobiegnie dramatowi, powstrzyma na chwilę komedię, odświeży nam głowę i sprawi, że widzimy jasno, w zachwyceniu i przerażaniu zarazem. Prześwit jest naszą skrytką prawdy, skrytką naszej prawdy, a miłość w czasie to, *kak by eta skazat'*, wędrówka od prześwitu do prześwitu.

Znak sprzeciwu

Alain Badiou w książkach „Czego imieniem jest Sarkozy?" i „Pochwała miłości", mówiąc o przeplataniu się w historii Francji dwóch głównych nurtów, rewolucyjnego i prawicowej na niego reakcji (od restauracji monarchii w 1815 r. po rządy Sarkozy'ego), przykłada do nich dzieje miłości. Pochwała miłości ze strony lewicujących surrealistów wyrażała sprze-

ciw wobec faszyzujących idei utrwalających się w ówczesnej polityce; Maj '68 i jego eksplozja dyskursu o wolnej miłości i nowej seksualności sprzeciwiała się sztywniactwu establishmentu. Miłość romantyczna w czasach postnapoleońskich naruszała zwartość rodzącego się policyjnego kapitalizmu.

Kiedy do głosu dochodzi reakcja, na porządku dziennym staje brutalnie postawiona, w takiej czy innej postaci, kwestia tożsamości. I podobnie było w przypadku Sarkozy'ego. Ówczesny prezydent Francji (2007-12) wziął sobie najpierw za cel ataku różnych „obcych". Bo też reakcyjny projekt polega zawsze na obronie „naszych wartości".

„A kiedy wygrywa logika tożsamościowa, z definicji zagrożona jest miłość. Stawia się pod pręgierz pociąg do różnicy, jej wymiar aspołeczny, jej stronę dziką, ewentualnie gwałtowną. Będzie się propagowało »miłość« całkowicie chronioną, ubezpieczoną, tak jak zapewniać mają poczucie bezpieczeństwa inne rządowe działania. I wówczas – mówi Bourdieu – naszym zadaniem staje się obrona miłości niejednorodnej, transgresyjnej wobec prawa. W miłości istnieje choć minimalne zaufanie do różnicy; nie wzbudza ona podejrzeń. Natomiast polityczna i kulturowa Reakcja zawsze żywi podejrzenia w imię tożsamości; na tym polega jej ogólne filozoficzne założenie. Jeśli chcemy więc – wprost przeciwnie – otworzyć się na różnicę i na to, co za nią idzie, czyli chcemy, by nasza zbiorowość była zdolna stać się wspólnotą wszystkich, jedną z dostępnych rzeczy w doświadczeniu jednostkowym jest obrona miłości. Tożsamościowemu kultowi powtórzenia należy przeciwstawić miłość tego, co jest różne, niestałe, niepowtarzalne".

Analogie są nadto przejrzyste, aby je tu kreślić. Sytuacja na granicy polsko-białoruskiej doprowadziła do skrajności i paroksyzmu kwestie od kilku lat dobrze nam znane: państwo reakcyjne z samej swej natury uznaje to, co jest poza kontrolą, czyli miłość (jakkolwiek ją rozumieć) za wywrotową. Dlatego zeszłoroczny Strajk Kobiet przypominał w tej mierze początki Maja '68, tak przez pastisze ówczesnych sloganów i inwencję w tworzeniu nowych, jak przez ogólną ludyczność, która – być może ze względu na pandemię – nie zdołała zamienić haseł na barykady.

Kiedy otwieram drzwi i widzę przed sobą zaproszoną na kolację parę, pierwsze wrażenie jest takie: cokolwiek śmieszne to wszystko. **A kiedy z kimś innym wchodzę do znajomych, czuję z kolei naszą komiczność.**

O ile jednak zeszłoroczne manifestacje odbywały się, mówiąc symbolicznie, pod znakiem Erosa, boga miłości zmysłowej i cielesnej, pod znakiem ciał wolnych i szczęśliwych, o tyle dzisiejszy sprzeciw wobec rządowych poczynań na wschodniej granicy i towarzyszącej im przemyślnej i prymitywnej propagandy odwołuje się do innej figury – do *agápē*, miłości bliźniego, tego, który drży z zimna w ciemnym lesie. Nie ma co utożsamiać tych dwóch miłości ze sobą; to nie jest to samo i nigdy nie będzie. Natomiast widać, że nastąpiło poszerzenie pola miłości jako przestrzeni buntu, tym bardziej że państwo nie wykazuje żadnej empatii wobec ofiar pandemii, tych zmarłych i tych, którzy mogą wkrótce umrzeć, i tu również odwraca się, odmawiając nawet żałoby, od *agápē*. Skoro żadne, jak do tej pory, argumenty polityczne nie okazały się perswazyjne i skuteczne, chciałoby się wierzyć (ale jak?), że to z tej przestrzeni wyjdzie zwycięski impuls dla politycznej zmiany.

Miłość wedle własnych norm jest od zawsze w społeczeństwie represyjnym obocznym wyrazem sprzeciwu. Badiou potwierdza jej sankcję polityczną i metafizyczną. „Tak, szczęśliwa miłość jest dowodem na to, że nasz czas może się otworzyć na wieczność. Podobnie jak w przypadku politycznego uniesienia, kiedy podejmujemy czyn rewolucyjny". Analogonem do „czynu rewolucyjnego" może być tak budowanie miłości w parze, jak poczucie i stosowanie *agápē* w jakiejś zbiorowości.

Na ucho

W „Uczcie" Platona (glejcie dla każdego rodzaju miłości) Arystofanes przedstawia najbardziej szczęśliwą ze wszystkich możliwość miłości spełniającej się pod egidą dobrego Erosa. Na początku ludzie (kobiety, mężczyźni i hermafrodyci) mieli po dwie pary rąk, nóg, dwie głowy itd. Gdy Zeus w porywie gniewu ich przepołowił, pozostała jedna para nóg, rąk, jedna głowa itd. I teraz ludzie szukają utraconej połowy. Gdy to się uda, łączą się ze sobą w jedności odtwarzającej to, co utracone; powstają pary stopione w jeden byt: pary mężczyzn, kobiet, i pary męsko-żeńskie. Wówczas Eros okazuje się bogiem trwałego szczęścia. „Dobrze się kończy" – opowiadamy nieraz, mówiąc o jakimś filmie czy książce, lub życzymy sobie, żeby „dobrze się skończyło", czyli – „żyli długo i szczęśliwie". Jesteśmy wówczas w drużynie Arystofanesa.

Sokrates przeciwstawia tej opowieści lekcję pobraną od filozofki Diotymy. To nauka miłości sporadycznej i epizodycznej, opartej na poczuciu braku. Kiedy pragnienie miłosne zostaje spełnione i na chwilę zostaje ustanowiona wspólnota dwojga, pojawia się nowe pragnienie i nowe poczucie braku; na tej drodze nigdy nie ma przystanku ni spoczynku i samotność co chwila bierze górę. Na swój sposób powtórzy to dwa tysiące lat później w słynnych maksymach La Rochefoucauld: „Miłość, podobnie jak ogień, trwać musi w wiecznym ruchu i zamiera w chwili, gdy przestaje lękać się lub mieć nadzieję".

Zaletą takiej dramatycznej, jeśli nie tragicznej, koncepcji miłości jest, mówi Diotyma, łatwość artystycznej sublimacji pragnienia i artystycznego zbliżania się do prawdy. Lecz przede wszystkim jest nią powoli, aż do starości doskonalona zdolność dostrzegania piękna. Najpierw piękna związanego z ciałem obiektu miłości, później piękna wszystkich godnych pożądania ciał, wreszcie piękna jako takiego, oderwanego już od konkretnych jego ucieleśnień i przejawów, piękna uogólnionego, duchowego, bezosobowego, „niezmiennego i wiecznego". „Na tym szczeblu życia, Sokratesie miły (...), na tym szczeblu dopiero życie jest coś warte, wtedy gdy człowiek piękno samo w sobie ogląda".

Gdybym mógł postawić czarkę i rozłożyć posłanie gdzieś obok ucztujących, ↦

↦ lecz w pełnej respektu odległości, rzekłbym i to jeszcze: „Słusznie prawi mądra Diotyma, że prawda i piękno wzywają nas z miłości domu i że to od miłości prowadzą ku nim drogi. I że bajkę Arystofanesa o cudownie odzyskanej Jedności między inne bajki trzeba włożyć. Jednak piękno »niezmienne i wieczne« samo w sobie, miły Sokratesie, nie istnieje i nie czeka na wyższym szczeblu życia, na który nasza świetność i uważność pozwalają się nam w końcu wdrapać. A że nie jest pięknem i prawdą samo w sobie, trudno je nawet nazwać pięknem ani prawdą, czyli słowem dla wszystkich zrozumiałym. To, co nazywasz za Diotymą pięknem i prawdą, czai się od samego początku w prześwitach jako ukryta i tylko dla twoich oczu powołana forma; może ona i piękną być, ale też dziwną czy straszną, albo najpewniej wszystką naraz. Lecz zawsze dotkliwą, niepewną i drżącą. Poza tobą nikt jej nie ujrzy. Jeśli ty do niej, kochając czy to żywych, czy to zmarłych, nie dotrzesz, nie dotrze do niej nikt i wraz z twoją śmiercią zniknie nieodkryta”.

I jeśliby mi nie przerwał do tej pory, dodałbym koniecznie: „Każdy może do takiej własnej, tylko dla niego uczynionej formy dotrzeć; każdy może mieć szansę, ale też nie każdemu może się taka szansa objawić. A świat niewidzialny, który istnieje obok świata widzialnego, składa się z milionów takich przejmujących, dotkliwych form, z milionów ich pasemek. Jedne, dostrzeżone przez prześwity, odsłaniają się przed oczyma niczym karty, inne roztapiają się nieużyte i zbyteczne w przestworzach. Znajdą się poeci, którzy pasemka te nazwą słowem TO, lecz i ono jest zbyt powszechne, zbyt wspólne i trwałe. W prześwicie nie zobaczysz ani pierwiastka boskiego, ani żadnej obietnicy; nic więcej niż kruchy dowód – dobrze to czy źle – na realność twojego istnienia. To już całkiem niemało. A teraz przybliż się, miły Sokratesie, i szepnę ci coś w ucho. Tylko nie powtarzaj tego Fajdrosowi ani Agatonowi, ani nikomu z kompanii, bo zdanie to będzie obrzydliwie niefilozoficzne: byt jest drżący”.

Składka miesięczna

Byłoby ciekawe sprawdzić, czy w czasie pandemii spadła statystycznie liczba rozstań. W pierwszym jej roku z pewnością tak, nie tylko ze względu na lockdowny. Wzrosła co prawda przemoc domowa, ale też ludzie żyjący w parach w miarę trwałych i znośnych w pierwszych przynajmniej miesiącach wczepiali się w siebie mocniej, zwierali we współobecności wobec Nieznanego i Strasznego.

W pandemii wzrosła przemoc domowa, ale ludzie żyjący w parach w miarę trwałych i znośnych w pierwszych przynajmniej miesiącach wczepiali się w siebie mocniej, zwierali we współobecności wobec Nieznanego i Strasznego.

To zapewne tysięczne, lecz jednak skromne przypadki, skoro wokół rozbrzmiewają już dzwony, jak z Fukuyamy: „Koniec miłości” (wspomnianej Evy Illouz), „Koniec pary” (książka Marceli Iacub); prowokacyjno-komercyjne tytuły grają ostatnio na ostrej nucie, podobnie jak kiedyś zwiastowania o „końcu powieści”. Powieść trwa w najlepsze dalej, co najwyżej powie się o niej „powieść po powieści” czy „postpowieść”, podobnie będzie z miłością.

Tym niemniej poczucie kryzysu miłości bije z każdej strony. Nie chodzi już tylko o wzrastającą liczbę rozwodów czy ogólnie starą pieśń o kryzysie małżeństwa. Raczej o zmiany w wyobrażeniu ich analityków fundamentalne, które przesuwają granice miłości lub całkiem inaczej je rozrysowują. Powraca pojęcie „poliamorii”, które przeżywało skądinąd swoją świetność w kinie francuskim lat 60. Coraz szerzej postuluje się w pismach feministycznych nową seksualność, która wykluczy „przemocowy charakter kopulacji” i zastąpi ją seksem bez penetracji. Pogłębia się radykalnie, pod wpływem portali randkowych, rozdzielenie sfery seksualnej od sfery uczuciowej.

Marcela Iacub, opisując rozpad modelu dwuosobowego, wskazując na rosnące zewsząd poczucie samotności i niesprawiedliwą społeczną dystrybucję seksu, opowiada się za społeczeństwem poligamicznym: potrzeby seksualne wszystkich samotników będą w nim zaspokajane przez państwowe instytucje oferujące seks gratis. Trudno – na razie – nie wybuchnąć śmiechem, wyobrażając sobie nowy, bratni ZUS, Zakład Usług Seksualnych, z comiesięcznie opłacaną składką.

Mówiłem wyżej o politycznej Reakcji jako sile redukującej sferę miłości. Eva Illouz, głośna lewicowa socjolożka, opowiada w swej książce o tym, jakie zagrożenia paradoksalnie wzmógł, z przeciwnej niż Reakcja strony, liberalizm. Ramię w ramię z lewicowej proweniencji hedonizmem seksualnym wyzwolonym przez rewolty roku 1968. O ile 1968 rok przyniósł – zwłaszcza kobietom – wolność wyboru partnera bez represji ze strony rodziny, społeczeństwa czy Kościoła, o tyle czasy Tindera promują brak czy odmowę wyboru; rośnie skłonność do określania siebie nie przez to, co się wybiera, ale przez to, co się odrzuca.

Znowu „coraz trudniej kochać”. Taką postawę Illouz określa mianem ghostingu, widmowego bycia, które odmawia ryzyka, zaangażowania i trwałej relacji. Albo też „logiką Świętego Mikołaja”, czyli udawaniem wiary w coś – w miłość – w co się nie wierzy. Wyzwolenie seksualne, mówi Illouz, zostało wykorzystane przez siły, przeciwko którym było ono skierowane: władzę rynku, władzę przemysłu medialnego, który, mnożąc kolejne aplikacje, kształtuje nowe wizerunki. Ciało wyzwolone przez rewolucję obyczajową na powrót stało się towarem opakowanym w doznanie wolności.

Wizerunki, wygładzone i upiększone, tinderowo-instagramowo-facebookowe, malują lepsze ego; można uznać, że jest to zmiana powierzchniowa, estetyczna. Ale ich siła przeobrażania zaczyna profilować nasze istnienie mocniej, niż zwykło się sądzić. Coś się w nas spłaszcza, jakbyśmy stawali się samym wierzchem, pociągniętym laserunkiem. Miłość musi się do tego dostosować albo coś z tym zrobić.

Bum, bum

Nikt dzisiaj nie pamięta, czy sweterek został kupiony. Zapewne nie, bo jakoś go nie widać. Ale obraz z zimnego targowiska powraca. Bum, bum, jak ta przedziwna – raczej pojedyncze mikrogongi niż zwyczajny rytmiczny akompaniament – perkusja Maureen „Moe” Tucker w zespole Velvet Underground.

© MAREK BIEŃCZYK

© BY TOMASZ LEM, 2016

Stanisław Lem, 1947 r.

Lem, czyli świat

TOMASZ FIAŁKOWSKI

Po śmierci ks. Józefa Tischnera powiedział do mnie: „Zauważył pan, że zawsze umierają nie ci, co powinni?”.

Rok Stanisława Lema, ogłoszony w stulecie jego urodzin, dobiegł właśnie końca. Dla mnie akurat nie był to ani początek, ani koniec, bo z książkami Lema obcuję od dzieciństwa i zamierzam to czynić do końca świadomych dni. Mądry starszy brat podsuwał mi je w odpowiedniej kolejności, bym mógł z nimi dorastać. Dorastając, wracałem do już przeczytanych, odkrywając pokłady nierozpoznanych wcześniej znaczeń.

Nie wyobrażam sobie roku, w którym nie zajrzałbym do „Cyberiady”, „Wysokiego Zamku” czy „Maski”. Mizantropię i niechęć do ludzkości krzepię, sięgając po „Podróż ósmą” z „Dzienników gwiazdowych”; Ijon Tichy przeżywa w niej koszmar senny, w którym jako delegat Ziemi kandydującej do Organizacji Planet Zjednoczonych wysłuchać musi miażdżącej prawdy o naszej cywilizacji i jej paskudnych początkach. Czasem zaś zapuszczam się na dłuższe wyprawy do zdumiewającej budowli, jaką tworzy dzieło Lema. Rozległej i zmiennokształtnej – jakby solaryjski ocean emanował wciąż z siebie zagadkowe twory. Do świata rządzonego przez przypadek, przeraźliwie groteskowego, gdzie w skrzyni może kryć się cała społeczność istot rozumnych, nieświadomych, że są czyimś konstruktem, gdzie sobowtór przejmuje kontrolę nad swoim twórcą, a za ścianą ogromnego komputera znajdujemy biurowy pokoik, w którym urzędnik w zarękawkach zarządza fikcją Kalkulatora.

Wydarzeniem tego roku i zarazem jego zamknięciem jest nowa biografia Lema: „Wypędzony z Wysokiego Zamku” Agnieszki Gajewskiej. Poznańska badaczka opublikowała przed pięcioma laty rewelacyjną „Zagładę i gwiazdy”, czytając dzieło Lema przez pryzmat jego okupacyjnych doświadczeń i odnajdując ich odbicie nie tylko w realistycznym „Czasie nieutraconym”, ale też w „Edenie” czy „Powrocie z gwiazd”. Porażający zaś opis najbardziej traumatycznego doświadczenia jego życia, gdy na początku lipca 1941 r. podczas pogromu we Lwowie czekał pod murem na egzekucję i minuty dzieliły go od śmierci – w opowieści profesora Rappaporta, wplecionej w akcję „Głosu Pana”, którego zasadniczym tematem jest Kontakt, próba odczytania sygnałów z Kosmosu. Ustalenia Gajewskiej wykorzystał Wojciech Orliński w pierwszej biografii pisarza („Lem. Życie nie z tej ziemi”). Teraz ona sama podjęła z sukcesem „próbę całości”. Obie książki warte są lektury – tym bardziej że nieco inaczej rozkładają akcenty. ↦

Pole minowe

↦ W 1966 r. w Wydawnictwie Ministerstwa Obrony Narodowej (Lem wydał tam wcześniej „Śledztwo", „Solaris" i „Niezwyciężonego", takie to były czasy) ukazał się „Wysoki Zamek". Rzecz jawnie autobiograficzna, pisana w pierwszej osobie, jest podróżą w pamięci do lwowskiego dzieciństwa i próbą odtworzenia świadomości dziwnego, osobnego dziecka, które pożera słodycze, z upodobaniem niszczy mechanizmy i buduje własne „królestwo legitymacyjne". Zafascynowany książką recenzent, znakomity krytyk Jerzy Kwiatkowski pisał (cytuję za Gajewską): „Są tu jakby trzej Lemowie. Ten, który wspomina, ten, który analizuje proces wspominania, i ten wreszcie, który analizuje konwencje pisarskie, jakimi posługują się tamci dwaj". Jest jednak – zwraca uwagę biografka – i czwarty Lem: ten, który pilnuje, by czytelnicy nie mogli się dowiedzieć, jaki jest właściwie dom i środowisko rodzinne małego bohatera, poza tym, że jest to zamożny mieszczański dom znanego lekarza. Jakby z tej historii usunięto jedną warstwę.

Autorka wykonała olbrzymią pracę – z której, co tu kryć, Lem nie byłby zapewne zadowolony – by odtworzyć genealogię przyszłego pisarza. Mamy więc arcyciekawą i szczegółowo opowiedzianą historię asymilującej się żydowskiej rodziny Lehmów/Lemów ze Lwowa oraz portret Samuela Lehma, zaangażowanego społecznie lekarza z ambicjami literackimi, i jego rodzeństwa. Najstarszy z braci, Józef, był urzędnikiem kolejowym, drugi, Fryderyk – adwokatem, a jedna z pięciu sióstr, Basche/Berta, wyszła za Izaka Mendla Heschelesa; ich syn to Marian Hescheles, czyli poeta i satyryk Marian Hemar (który *nota bene* w młodości opublikował pod swoim nazwiskiem wierszowaną bajkę autorstwa... wuja Samuela). Samuel wziął ślub z Sabiną Wolner, pochodzącą z Przemyśla, z rodziny uboższej i bliższej tradycji ortodoksyjnej. Ceremonia odbyła się w lwowskiej synagodze postępowej. Stanisław był ich jedynym dzieckiem.

Czemu napisałem, że Lem nie byłby zadowolony? Przecież jego żydowskie pochodzenie nie stanowiło tajemnicy – ale też nie było tematem, o którym chciałby rozmawiać. O tym zaś, o czym rozmawiać nie chciał, rozmawiać z nim nie należało. Piszę to jako ktoś, kto Lema odwiedzał przez ponad dziesięć lat (z pewnymi przerwami na nieuchronne „ciche dni"), kto nagrywał i spisywał jego felietony dla „Tygodnika Powszechnego" i kto wydał „Świat na krawędzi" – tom rozmów z pisarzem, szczuplejszy znacznie niż rozmowy Stanisława Beresia, no ale jednak.

Byli jednym z najpiękniejszych małżeństw, jakie dane mi było spotkać – wywodzący się z różnych środowisk, skrajnie odmienni charakterami, razem przez ponad pół wieku.
Być żoną depresyjnego geniusza – jakaż to trudna rola!

Dom na Klinach stał się dla mnie miejscem bliskim i bezpiecznym, zwłaszcza że w razie nieporozumień i konfliktów (zawinionych przeze mnie bądź nie) zawsze mogłem liczyć na panią Barbarę Lemową. Jeśli tylko uznała to za słuszne – podejmowała działania pojednawcze, łącząc absolutną lojalność wobec męża z krytycznym dystansem. Byli jednym z najpiękniejszych małżeństw, jakie dane mi było spotkać – wywodzący się z różnych środowisk, skrajnie odmienni charakterami, razem przez ponad pół wieku. Być żoną depresyjnego geniusza – jakaż to trudna rola! Wdzięczny jestem Agnieszce Gajewskiej, że pani Barbarze i jej rodzinie oddała sprawiedliwość.

Wróćmy jednak do tematów tabu. Tak, wiedziałem, że chodzę po polu minowym, wiedziałem też, że nie zrobię niczego, co mogłoby moje relacje z pisarzem narazić na szwank – zbyt były dla mnie ważne. Któregoś dnia skończyłem już nagranie, ale siedzieliśmy dalej w gabinecie na piętrze w zapadających ciemnościach i Stanisław Lem zaczął nagle mówić o wojennym Lwowie. Tym razem nie były to anegdoty – jak ta ulubiona, o zakwaterowanym w ich mieszkaniu na Brajerowskiej enkawudziście, którego Sabina Lem najpierw wyrzuciła za drzwi i musiał wrócić z obstawą, a który, uciekając, pozostawił liczne grafomańskie wiersze – ale jakieś obrazy z czasu okupacji niemieckiej, pogromu, ukrywania się, strzępy tego, o czym dzisiaj dzięki Gajewskiej wiemy znacznie więcej. Kiedy przyszedłem w kolejny czwartek – bo umawialiśmy się zwykle we czwartek o czwartej – pani Basia zatrzymała mnie na chwilę. „Wie pan, mąż po waszym ostatnim spotkaniu miał senne koszmary"...

Więc przede wszystkim chodziło chyba o traumę, nigdy nie przezwyciężoną. O lęki. Pewnie także o mocne postanowienie, by grać ze światem i życiem na własnych warunkach i nigdy nie dać się uwięzić w zadekretowanej przez kogoś tożsamości. Jak w przenikliwej recenzji z biografii Gajewskiej pisze w „Dwutygodniku" Piotr Paziński: „Demony przeszłości powracały do końca, odzywały się w krytycznych momentach: zaraz po wojnie, gdy na Kazimierzu w Krakowie wybuch pogrom, w czasach stalinowskich, w Marcu '68 i w stanie wojennym. Lem, pozamykany psychicznie, nastawiony na odbudowę życia, a potem skupiony na pisaniu i utrzymywaniu rodziny (która stanowiła dla niego chyba główne oparcie), pilnie strzegł swojego życiorysu, a w późniejszych latach umiejętnie grał swoim wizerunkiem". I zastanawia się, co ta konsekwentna mimikra i maranizm Lema – przecież „jednego z największych stylistów w powojennej literaturze polskiej" – mówi o żydowskich strategiach przetrwania, a co o powojennej Polsce.

Czytając cudze listy

W listopadzie 1955 r. Lem postanowił, że listy pisać będzie z kopią, a kopie archiwizować. Nie pomyślał wprawdzie o tym, by na kopii zaznaczać, kto był adresatem, a nie zawsze jest to oczywiste, czasem też istnieją dwie wersje tego samego listu i nie wiadomo, która została wysłana – to jednak kłopot niewielki w zestawieniu z wagą tego źródła.

Lem był epistolografem namiętnym i ochoczym, chętnie też stosował rozmaite stylizacje i jego korespondencja bywa lekturą równie świetną jak jego beletrystyczna czy eseistyczna proza. Wojciech Orliński zbudował ze skomentowanych przez siebie listów pisarza – do rozmaitych urzędów, a przede wszystkim do dwóch przyjaciół, prawnika Jerzego Wróblewskiego oraz Aleksandra Ścibora-Rylskiego, pisarza i scenarzysty „Człowieka z marmuru" – ciekawą i zabawną książkę o Lemie w PRL-u. Epistolarny duet Lem-Mrożek to zderzenie dwóch skrajnie róż-

nych osobowości, które jakby przeglądają się w sobie, a zarazem wspaniała panorama intelektualna lat 60. Listy do amerykańskiego tłumacza Michaela Kandla stanowią najlepszy bodaj autokomentarz twórcy Ijona Tichego i Pirksa.

Niezmierzone to jest bogactwo i Agnieszka Gajewska oczywiście często po nie sięga. Wydobywa np. ważny wątek korespondencyjnej znajomości, a potem przyjaźni Lema z „Czarnoksiężniczką ze stanu Oregon", czyli Ursulą K. Le Guin. Ten wątek splata się z krótką historią serii „Stanisław Lem poleca", którą pisarz uruchomił w latach 70. w Wydawnictwie Literackim, swojej najważniejszej oficynie. Stanowi też przyczynek do kwestii funkcjonowania Lema w PRL-u, i to w okresie jego wielkich sukcesów.

Pierwsza z czterech książek serii – „Ubik" Philipa K. Dicka – stała się zarzewiem tragigroteskowego sporu. Polskie przepisy nie pozwalały na przekazanie autorowi honorarium w dolarach, Dick poczuł się okradziony, winą – niesłusznie, za to coraz bardziej obsesyjnie – obciążał Lema, by w końcu złożyć nań donos do FBI, uznając jego nazwisko za akronim złowrogiej komunistycznej organizacji spiskowej. Lem z kolei uważał, że wydawnictwo nie dosyć go broni. Istnienie serii zakończył konflikt wokół kolejnej pozycji – właśnie „Czarnoksiężnika z Archipelagu" Le Guin, WL bowiem pod naciskiem cenzury chciało zmiany tłumacza, którym był Stanisław Barańczak, współzałożyciel Komitetu Obrony Robotników. Lem zerwał z hukiem – choć tylko na kilka lat – z krakowską oficyną, a powieść ukazała się dopiero w 1983 r. (paradoksalnie po wprowadzeniu stanu wojennego rygory cenzury stopniowo zelżały).

Gajewska cytuje listy Lema i Le Guin, zauważając, że autor „Solaris" traktuje zrazu dosyć paternalistycznie młodszą od siebie o osiem lat, ale bardzo już znaną autorkę... Nawiązuje się jednak między nimi nić porozumienia, w początku lat 80. Le Guin proponuje nawet Lemowi przeniesienie się do Stanów Zjednoczonych, sugerując, że mógłby (bez szczególnych obowiązków!) objąć katedrę na którejś z uczelni. Lem jednak, którego Jan Józef Szczepański i Sławomir Mrożek przez lata bezskutecznie namawiali, by dał się zaprosić na międzynarodowe seminarium, które na Harvardzie organizował corocznie Henry Kissinger, i tym razem nie uległ. Ameryki nigdy nie odwiedził.

DANUTA WĘGIEL

Stanisław Lem z żoną Barbarą w domu na Klinach. Kraków, wrzesień 1997 r.

Ojcowie destrukcjanie

W 1954 r. Barbara i Stanisław Lemowie wzięli ślub kościelny. Zważywszy, że pan młody był nieochrzczonym ateuszem, potrzebna była do tego nie tylko dyspensa od biskupa, ale i podjęcie tzw. próby nawrócenia. Jak wspominał pisarz, oddelegowano do niej pewnego dominikanina – szybko jednak za obopólną zgodą zakończyli swoje spotkania, kiedy się okazało, że to raczej Lem nawraca zakonnika...

W rozmowach ze mną odżegnywał się od chęci wpływania na czyjeś przekonania religijne, uważając, że nie ma prawa odbierać innym nadziei. Fascynował go fenomen wiary czystej, ogołoconej z wszelkich spodziewań, założeń i pokusy działania, jaką w „Podróży XXI" Ijona Tichego żywią ojcowie destrukcjanie z planety Dychtonii (będący zresztą robotami). Szanował ludzi takich jak ks. Józef Tischner (to po jego śmierci usłyszałem od Lema: „Zauważył pan, że zawsze umierają nie ci, co powinni?"), a równocześnie irytował go wzrost wpływów polskiego Kościoła po 1989 r., zwłaszcza zaś jego sztywne stanowisko w kwestii etyki seksualnej i ingerowanie w prawodawstwo dotyczące aborcji.

Na tym tle jego współpraca z „Tygodnikiem" – „katolickim pismem społeczno-kulturalnym" – jawi się jak nieco perwersyjna gra. Ważne oczywiście były nieco idealizowane wspomnienia z pierwszych krakowskich lat, gdy redakcja na Wiślnej otworzyła swoje łamy dla jego wczesnej prozy i wierszy. Jeszcze ważniejszy – szacunek dla Jerzego Turowicza i niezachwiana nigdy przyjaźń z bliskim „Tygodnikowi" Janem Józefem Szczepańskim (skądinąd deklarującym się jako agnostyk). Napięcie jednak wciąż istniało i przyjeżdżając na Kliny nie wiedziałem nigdy do końca, w jakiej fazie wzajemnych relacji się znajdujemy. Relacji redakcja–autor, bo sam odrzucony nigdy nie zostałem (no, może raz...).

W cytowanej przez Gajewską rozmowie z Teresą Walas Lem mówił, że przy pisaniu tekstów dla „TP" w jego piersi rodzi się „taki malutki ksiądz": „nie wszystkie poglądy wypada głosić na tych łamach. I ten mały ksiądz mnie powściąga".

Zerwanie – czasowe, ale jak zwykle burzliwe – nastąpiło w kwietniu 1997 r., gdy felieton krytykujący dwóch anestezjologów za odmowę asystowania przy usunięciu uszkodzonego płodu opatrzono atakującym Lema komentarzem. Przeprośna wizyta, jaką złożyliśmy z Krzysztofem Kozłowskim na Klinach, odniosła jedynie częściowy skutek. Skończył się wtedy cykl „Świat według Lema", choć teksty Lema miały jeszcze wrócić do „Tygodnika". I tu właśnie w lutym 2006 r. ukazał się jego felieton ostatni, zaczynający się od proroczych słów „Chciałem zająć się nieszczęściem, które szykują nam bracia Kaczyńscy...". A do smutnej historii konfliktu, rzetelnie zrelacjonowanej ↦

↦ przez biografkę, mały tylko przypis – autor wspomnianego komentarza, Janusz Poniewierski, nie był i nie jest księdzem...

A dominikanie? Wspomnienie tamtych przedślubnych rozmów nie było chyba najgorsze, skoro po dwóch dekadach Lem przyjął zaproszenie o. Jana Andrzeja Kłoczowskiego do udziału w dyskusji w dominikańskim duszpasterstwie akademickim przy Stolarskiej (zabawnie pisze o tym w liście do Kandla). W ostatniej zaś powieści – wybitnym, a niedocenionym „Fiasku" – umieścił postać ojca Arago, dominikanina właśnie. Mądry i przewidujący, nie ma on już wiele wspólnego ze swoim współbratem ojcem Lacymonem, zacnym misjonarzem kosmicznym z wcześniejszej o trzy dekady „Podróży XXII" Tichego – bardzo śmiesznej i bardzo antyklerykalnej.

*

Dużo zostało tematów – choćby Lem a polityka, Lem a społeczność pisarzy *science fiction*, przyjaźń Lema ze Szczepańskim – i żadnego z nich Agnieszka Gajewska nie pomija, a z dzienników Szczepańskiego jak najsłuszniej obficie korzysta. Jest przede wszystkim biografką, więc twórczość Lema traktuje wybiórczo i może trochę nie docenia wartości jego apokryfów – „Doskonałej próżni", „Wielkości urojonej" i „Prowokacji". Jednego wątku jednak mi zabrakło, podobnie jak Pazińskiemu, więc powtórzę na koniec za nim: „Jak to się stało, że autora tak wybitnego, który sprawnością pióra, intelektem i rangą podejmowanej problematyki przerastał większość pisarzy z inteligenckiego mainstreamu, prawdziwego architekta wyobraźni – ostrzegano jako twórcę literatury rozrywkowej i patrzono na niego z góry?". No właśnie – jak? I – *pro domo sua* – dlaczego omówienie „Doskonałej próżni", świetnego zbioru recenzji z nieistniejących książek, opatrzono w „Tygodniku" lekceważącym tytułem „Książki nieistniejące, a więc niepotrzebne"? Rumienię się do dzisiaj.

©℗ TOMASZ FIAŁKOWSKI

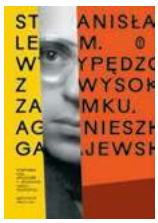

Agnieszka Gajewska
STANISŁAW LEM. WYPĘDZONY Z WYSOKIEGO ZAMKU. BIOGRAFIA
Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021

Wspaniałe życie

ŁUKASZ GRZEGORZEK, REŻYSER:

Opowieść o rodzinie to opowieść o współczesnej Polsce. Zastanawiam się, jak to jest, że pod jednym dachem żyją ludzie z tak różnymi wrażliwościami i światopoglądami. Dlaczego ta rodzina się rozpada?

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI: U Pana wszystko jakoś tak inaczej się toczy. Zajmuje się Pan w filmach kameralnymi relacjami, ludzkimi historiami bez wielkiej historii i polityki. To celowy zabieg?

ŁUKASZ GRZEGORZEK: Tak. Wielkie narracje – szczególnie ostatnio – ocierają się o farmazony. Oczywiście to nie oznacza, że reżyserzy nie powinni zajmować się polityką, prawami mniejszości czy piekłem kobiet. Ale podstawą żywego kina jest szczerość. Jej najczęściej nie widać na wielkim ekranie, bo ginie pod ciężarem wielkich spraw. Ocalała za to na małym, bo seriale dotykają tematów bliskich codzienności. I paradoksalnie, mimo że stoją za nimi korporacje, dają więcej wolności artystycznej niż dystrybutorzy, kiniarze czy producenci filmowi.

Polskie kino słynie przecież z wielkich opowieści: Wajda, Kieślowski, Hoffman. W ich filmach jednostka musi skonfrontować się z historią. Pana to nie interesuje?

Nie mam wyboru, ponieważ nie miałbym nic ciekawego do powiedzenia o narodowej zdradzie, odwadze, powstaniach i ojczyźnie. Byłbym daleko od moich bohaterów, bo moje kino definiują niejednoznaczne wybory. W płynnej rzeczywistości świetnie opisanej przez Zygmunta Baumana i Chantal Delsol właśnie wielość możliwych, dopuszczalnych ludzkich wyborów jest tak fascynująca. A wielki temat może przekreślić intymną opowieść. Chociaż to połączenie ognia i wody udało się ostatnio Łukaszowi Rondudzie we „Wszystkich naszych strachach": powstała osobista opowieść oparta na rzeczywistości społeczno-politycznej konkretnego miejsca na świecie.

Pochodzi Pan z Nysy. Jak tam jest teraz?

Dzisiaj jest bardziej otwarta i uśmiechnięta niż w latach 90., ale pod spodem mieszkańcy wciąż mierzą się z traumą transformacji, są nieufni. Wówczas panowało 40-procentowe bezrobocie, padały wielkie zakłady, Fabryka Samochodów Dostawczych i Zakłady Urządzeń Przemysłowych.

Tam się toczy akcja Pańskiego najnowszego filmu.

Podczas kręcenia „Mojego wspaniałego życia" mieszkańcy nam pomagali, bez ich energii ten film by się nie udał. Kręciliśmy na rynku czy na podwórkach w środku nocy. W Warszawie byłoby trudniej, bo trwają non stop imprezy, ludzie krzyczą, śpiewają, a w Nysie wystarczyło poprosić o ciszę. Od ręki udało nam się załatwić zgodę dwóch wspólnot mieszkaniowych na kręcenie ujęcia o trzeciej nad ranem, pomogli nam z prądem, a właściciele baru, do którego chodzi filmowy Witek, zaprzyjaźnili się z nami. W Nysie chodziłem do filmowej szkoły, która mieści się w kościelnych murach, wychowałem – w bloku sąsiadującym z mieszkaniem Joasi, głównej bohaterki „Mojego wspaniałego życia".

A jak Nysa wygląda teraz?

Moja żona uważa, że panuje tam eklektyczna harmonia w architekturze. Połączenie bloków z wielkiej płyty, poniemieckich kamienic i szkaradków z lat 90. W murach zawiera się kultura tego miejsca. Mieszkali tam Ukraińcy, Polacy, Czesi, Niemcy. Teraz zdziwiło mnie, kiedy kilkakrotnie usłyszałem na rynku hiszpańskojęzycznych młodych ludzi z Erasmusa, którzy – okazało się – nie wybrali Wrocławia czy

MATERIAŁY PRASOWE DYSTRYBUTORA

„Moje wspaniałe życie", reż. Łukasz Grzegorzek, 2021 r.

Gdańska, tylko moją Nysę. Dla reżysera to interesujące miejsce: moja bohaterka musi zbudować wewnętrzny kompas moralny, nie ma narzuconej jednej silnej wizji. Wypracowanie odpowiedzi na nurtujące pytania jest dłuższe i ciekawsze, ponieważ doświadczenia historyczne zbudowały w ludziach nieufność wobec narodowych narracji.

Jeszcze w Nysie zaczął Pan grać w tenisa?

Tak, dzięki tacie, który był trenerem, a wcześniej niespełnionym sportowcem, grał w siatkówkę. Chciał wyhodować mistrza, czyli mnie.

Udało mu się?

Byłem mistrzem Polski, więc tak.

Jak wtedy wyglądało życie?

Miałem po 200 godzin nieobecności w szkole, mnóstwo jeździliśmy po małych miasteczkach, spałem w hotelach jednogwiazdkowych i domach robotniczych, na przykład na Śląsku z górnikami. To mnie pewnie ukształtowało. Na korcie walczy się z własnymi potworami, szczególnie po dwóch godzinach wyniszczającej gry w pełnym słońcu. Na końcu zostają emocje, potrzeby 17-latka i samotność.

Dyscyplina?

Znam ją doskonale. Musiałem codziennie trenować, mój nastrój nie miał znaczenia. Zimą grałem na hali, gdzie było minus pięć stopni, a latem w słońcu dochodziło do 40. Nauczyło mnie to hardości, pokory, bo do zadowalających efektów dochodziło się nie w ciągu kilku godzin, tylko lat.

Miał Pan czas na imprezy i miłości?

Tylko na obozach sportowych. W wieku 18 lat hormony buzują. Miałem znajomych, którzy kradli, pili, uprawiali seks w różnych konfiguracjach, brali narkotyki. Dzieciaki trzymane w klatce nagle odkryły, że są ludźmi. Nikt się nami na takich obozach nie zajmował, mogliśmy robić wszystko. Dosłownie. Zakładaliśmy się na przykład, że ściśniemy kaktusa prawą ręką, co kończyło się tym, że ktoś nie grał przez dwa miesiące, bo poranił sobie dłonie. „Polski sportowiec" w praktyce.

Pański ojciec widział „Córkę trenera"? To film o ojcu, który jest trenerem swojej córki, tenisistki.

Tak. To dla niego ważny film. Nie chciałem mu niczego wykrzyczeć, tylko zwrócić uwagę na mechanizm związany z przeniesieniem marzeń na dziecko. „Córka..." była moim listem miłosnym wysłanym trenerom, do których mam ambiwalentny stosunek. Bo z jednej strony stosowali skandaliczne metody wychowawcze, ocierające się o kryminał, ale z drugiej poświęcali całe życie tenisowi. Wielu z nich mówiło mi po seansie, że ten film ich oczyścił, bo mogli przyznać się do błędów przed sobą i dziećmi.

Lubię bohaterkę „Córki...", która stawiała na niezależność, chciała żyć inaczej, palić trawkę, całować się z chłopakami, a nie trenować.

Chciała przestać realizować marzenia ojca, być podmiotowo traktowana. Ojciec był głuchy na jej potrzeby, a im bardziej córka chciała wybić się na niepodległość, tym bardziej tato zamykał się na nią. Widzę to sam po sobie. Jak ktoś na mnie naciska, zmusza do czegoś, to buduję mur. Ciekawa była obserwacja filmowa tego napięcia i tego, że kobieta jest silniejsza od mężczyzny, ma w sobie większą otwartość na konfrontację. Nie bez powodu mój pierwszy film nosił tytuł „Kamper" – ktoś, kto w świecie gier unika konfrontacji.

Studiował Pan prawo.

Skończyłem karierę tenisową i nagle okazało się, że muszę coś zrobić ze swoim życiem. Nie wiedziałem co, a czułem, że prawo jest fachem, który mi się zawsze przyda. Wybór mniejszego zła. ↦

Skończył Pan te studia?

Skończyłem, napisałem u prof. Erecińskiego pracę „Prawo ubogich w świetle polskiego postępowania cywilnego". Sporo było w niej wodolejstwa, marna to była lektura.

I pracował Pan w zawodzie?

Tak, przez dwa lata w dziale prawnym spółki deweloperskiej, a także w kancelarii adwokackiej. Dostawałem wtedy dobre pieniądze, zarabiałem 20 złotych za godzinę zajmując się na przełomie wieków sprawami związanymi z przejmowaniem gruntów, na których powstawały przestrzenie handlowe.

Odnalazł się Pan w tym?

Wciąż się przyjaźnię z wieloma osobami ze studiów, ale męczyłem się przez ramy, które stawia prawo. Oczywiście, ten zawód daje poczucie bezpieczeństwa, ścieżka kariery jest jasna i przewidywalna, lecz praca według wzoru matematycznego nie zakłada rozwoju. Jak się ogląda amerykańskie filmy o prawnikach, ten zawód wydaje się fascynujący. Rzeczywistość jest jednak potwornie nudna. Poza tym los mi nie sprzyjał. Kiedyś musiałem do Krajowego Rejestru Sądowego zawieźć ważne dokumenty. W plecaku, do którego włożyłem akt notarialny jednej ze spółek, wybuchł szampon. Wszystkie dokumenty zostały zniszczone, wspólnik musiał drugi raz przylecieć do Polski z Holandii. Czułem, że nie nadaję się do tej roboty.

Ale dlaczego film?

Bo na co dzień mam duże problemy z komunikacją, a poprzez filmy łatwiej mi o pewnych sprawach się rozmawia. Kino to nie tylko spotkanie z widzami, którzy są najważniejsi, ale też z innymi twórcami, aktorami i producentką, którą jest moja żona.

O czym tak trudno się Panu rozmawia?

Śmieję się, że kiedyś nosiłem zbroję, teraz jest troszkę lepiej, bo założyłem kolczugę emocjonalną. Robiąc filmy nauczyłem się, że rozmowa o emocjach i uczuciach nie boli, a przyznanie się do pewnych słabości czy błędów oczyszcza.

Taka terapia?

Nie, raczej sposób mówienia o sprawach, które we mnie siedzą. Pisząc scenariusz zawsze wychodzę od konkretnego problemu, od jednego zdania. Kręciłem „Kampera", bo słyszałem ciągle, żebym się ogarnął. „Córka trenera" powstała, ponieważ podważyłem ojcowską miłość. Kiedyś pokłóciłem się z tatą, który powiedział, że mnie kocha. Zapytałem: „Kogo właściwie? Własne marzenia czy prawdziwego mnie?". A teraz przy „Moim wspaniałym życiu" usłyszałem od bliskiej mi osoby, że jeżeli uzależniam wszystko od decyzji innych ludzi, to nigdy nie będę szczęśliwy.

Kręciłem „Kampera", bo słyszałem ciągle, żebym się ogarnął.

„Córka trenera" powstała, ponieważ podważyłem ojcowską miłość. Kiedyś pokłóciłem się z tatą, który powiedział, że mnie kocha. Zapytałem: „Kogo właściwie?".

No to kiedy zaczął Pan myśleć o filmie?

Już pod koniec studiów pisałem pierwsze scenariusze i dramaty, z których nie jestem szczególnie dumny. Rzuciłem kancelarię, a w tym czasie Telewizja Polska szukała kogoś do pracy. Zgłosiłem się, był rok 2005. Kręciłem reportaże pod Radomiem, nagrywałem pijaczków, zadając im pytania do sondy. Płacili za minutę 100 złotych, wyciągałem 2500 złotych miesięcznie. Potem koleżanka wciągnęła mnie do działu autopromocji i przez kilka lat, przygotowując na przykład zapowiedź cyklu filmów Jarmuscha, obejrzałem mnóstwo dobrego kina. To był mój prywatny uniwersytet filmowy, rocznie oglądałem po 600 filmów i jeszcze mi za to płacono. Montowałem je w minutowy zwiastun. Fascynujący czas.

Jak długo Pan tam pracował?

Przez pięć lat, a potem przeszedłem do TVN, gdzie robiłem zwiastuny takich programów jak „Perfekcyjna pani domu". Zawsze mnie przydzielali do najgłupszych programów, ale nie wstydzę się tej pracy. Zacząłem też kręcić teledyski dla znajomych.

„Moje wspaniałe życie" sprowadza rozchwianą, rozpolitykowaną Polskę do codziennych trosk, zwykłego życia, ale też do walki o siebie. Główna bohaterka, Joanna, jest nauczycielką angielskiego.

Tak jak jej mąż, Witek, dyrektor szkoły. Razem pracują i mieszkają, od ponad 20 lat spędzają wspólnie każdy dzień, nie mają jak przed sobą uciec. W ostatnim czasie przestali ze sobą rozmawiać, każdy z nich prowadzi osobne życie. Mimo że śpią w jednym łóżku.

Kim jest mama Joanny, która z nimi mieszka?

Chorującą na alzheimera starszą panią. Wycięliśmy podczas montażu wątek związany z jej kresowym pochodzeniem. Marzy o tym, żeby wrócić do rodzinnych stron, czuje, że tam chciałaby umrzeć. W domu mieszka jeszcze nastoletni syn, chodzący do szkoły, w której uczy Joanna. Siedzi w pokoju, lubi się nagrywać na kamerce internetowej, testować kolejne granice, popala papierosy w domu. Zdarza mu się założyć spodnie mamy i pomalować twarz, całuje się z koleżanką, ale nieraz przytuli się też do kolegi. Jego starszy brat ma partnerkę i małe dziecko, które pojawiło się za wcześnie, młodzi nie byli gotowi na rodzicielstwo. Przerasta ich nowa sytuacja.

Tłoczą się w jednym domu. Jak sobie z tym radzą?

Tak jak inne polskie rodziny. Mają typowe problemy, nie rozumieją siebie nawzajem, pogubili się w komunikacji. No i wyobraźmy sobie lockdown w tym domu: siedem osób, jedno łącze internetowe, 24 godziny na dobę w paru pokojach.

Ale czemu właściwie mieszkają razem?

Z powodów finansowych. Dodajmy pensje nauczycielskie i emeryturę babci, to wyjdzie nam, że nie mogą sobie pozwolić na wygodne życie w osobnych mieszkaniach.

Choć mają jeszcze mieszkanie po dziadkach?

To jeden z konfliktów w tej rodzinie: Joanna nie zgadza się przekazać mieszkania starszemu synowi.

Dlaczego?

Bo chce mieć własną przestrzeń. Joanna ucieka tam, pali blanty, słucha głośnej muzyki i spotyka się z kochankiem. Pokazuję ten film w całej Polsce i podczas rozmów z widzami okazuje się, że część z nich rozumie zachowanie głównej bohaterki, a inna część ma do niej pretensje. Że jest złą matką, nie ułatwia startu dzieciom, nie pomaga, kieruje się egoizmem. Ja natomiast uważam, że oddanie mieszkania synowi i jego partnerce jest równie dwuznaczne moralnie, co nieoddanie.

Gnieździmy się w małych domach, mieszkamy wielopokoleniowo, nie stać nas na kupno mieszkania. Sporo ludzi jest zbyt bogatych na mieszkanie komunalne i za biednych na kredyt. Państwo nie zapewnia mieszkań, rośnie frustracja młodych. Może to już jest ta wielka historia i polityka, od której Pan się odżegnuje?

Na spotkaniu po projekcji w Warszawie wstała pewna pani i powiedziała, że nakręciłem film historyczny, ponieważ obecnie ludzie już nie mieszkają na kupie. Parę innych osób się oburzyło, zwróciło uwagę, że poza Warszawą też jest życie, tylko inne. Nie wziąłem tego wątku z głowy, tylko z najbliższego otoczenia. Mam przyjaciółkę, która świetnie radzi sobie zawodowo, zarabia dobre pieniądze, ale uprawia wolny zawód, więc żaden bank nie przyzna jej kredytu na bardzo drogie mieszkanie. Mieszka więc z rodzicami, partnerem i dzieckiem.

Co wkurza Joannę? Raz jest pewna siebie, pali trawkę, chodzi nago, uprawia seks, tańczy do piosenek Maanamu. A w domu realizuje scenariusz związany z hasłem „Kinder, Küche, Kirche". Kiedy jest sobą?

Chyba jednak w pustym mieszkaniu. Znowu powołam się na rozmowy z widzami. Wiele kobiet z małych miejscowości – z Nowej Soli, Ostrowca, Wielunia, Bochni – podchodzi po seansie i mówi, że to historia ich życia. Takie osoby żyją pośród nas, ale nie przedostają się do społecznej wyobraźni, polska popkultura traktuje je jak dziwaczki. A 50-letnich kobiet, które mają rodziny, ale nie chcą tkwić w roli „matki Polki", jest znacznie więcej, niż nam się wydaje.

VALDEMAR DOVEIKO / PAP

ŁUKASZ GRZEGORZEK jest reżyserem filmowym, absolwentem Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego, byłym tenisistą. Jego pełnometrażowy debiut fabularny „Kamper" otrzymał m.in. Discovery Award na festiwalu filmowym Raindance w Londynie 2016. Drugi film, „Córka trenera", otwierał MFF Nowe Horyzonty we Wrocławiu 2018 r. Jego najnowszy film to „Moje wspaniałe życie" z Agatą Buzek w roli głównej.

Pisząc scenariusz często wracałem myślami do pytań: czym jest dla mnie rodzina, co to znaczy być dobrą matką, żoną i kochanką? Nie ma jednego, obowiązującego modelu życia.

Bohaterami filmu są inteligenci. Interesuje mnie, czy to świadomy wybór w czasach, kiedy elity, również te lokalne, są atakowane przez rząd?

Tak. Pierwowzorem postaci Joasi był mój nauczyciel angielskiego, Józef Lisiecki. W latach 90., w których rządziły dresy z kreszu i seledynowe marynarki z łupieżem na barkach, pan Józef był w Nysie symbolem klasy i światowego stylu. Nosił tweedowe marynarki, słuchał Boba Dylana i Johnny'ego Casha, miał brytyjskie maniery. Chciałem opowiedzieć o liderach lokalnej społeczności, którzy muszą podejmować decyzje o życiu innych ludzi. W filmie czymś takim jest sprawa młodzieży, która zażywa narkotyki. Jak mają się zachować nauczyciele w tej sytuacji: wyrzucić ich ze szkoły czy dać drugą szansę? Interesuje mnie klasa średnia, ponieważ wszelkie społeczne zmiany zaczynają się od niej. Zwrócił na to uwagę Erich Fromm w „Ucieczce od wolności": za totalitaryzmem stało mieszczaństwo, a nie robotnicy. Klasa średnia wyznacza trendy, zarówno te związane z oportunizmem, jak i środowiskową konsolidacją czy progresywnymi hasłami obyczajowymi.

Czego jej brakuje?

Opowieść o rodzinie to opowieść o współczesnej Polsce. Opowiadam o kobiecie, ale widzowie mają dostęp do perspektywy jej męża, kochanka, synów i matki. To skrajnie inne obrazy. Zastanawiam się, jak to jest, że pod jednym dachem żyją ludzie z tak różnymi wrażliwościami i światopoglądami. I koniec końców – dlaczego ta rodzina się rozpada? Według mnie brakuje im łagodności w postrzeganiu drugiego człowieka. Moi bohaterowie mają silną potrzebę osądzania siebie nawzajem i stawiania pod pręgierzem za życiowe decyzje. Brakuje im otwartości emocjonalnej. Zależało mi na stworzeniu siatki intymnych relacji, które mają uniwersalny charakter.

A z innej strony – ostatnio spotkałem znajomą, której nie widziałem parę lat. Jest sfrustrowana, ponieważ działa w organizacjach pozarządowych, czuje bezsilność. Chodzi na manifestacje z dziewuchami, teraz pracuje na granicy. Ma poczucie, że para idzie w gwizdek. Mówi, że już się gubi w nakładkach na Facebooku, teraz jest tyle palących tematów, że nie wie, co jest najważniejsze, a nie nałoży przecież wszystkich naraz, bo zniknie jej twarz, która ma mówić, że to jej sprawy.

W trzech Pańskich filmach oglądamy gęste relacje, ale dotyczące różnych grup społecznych. Być może „Kamper" nie był zrozumiały w Nowej Soli, bo opowiadał jednak o mniejszości z Warszawy. „Córka trenera" i „Moje wspaniałe życie" są z zupełnie innego porządku. Czy widzi Pan coś, co łączy te trzy rodziny?

Łączą je sympatyczne nieporozumienia i blokady komunikacyjne. Cały czas mają w sobie wewnętrzny niepokój, że ta druga osoba jest życiową pomyłką. Boją się, że marnują życie u boku męża, partnerki czy ojca. No i w końcu: sprawcze w tych opowieściach są kobiety. Robią to, na co mają ochotę, są niezależne. Popełniają błędy, często płacą za to wysoką cenę, ale nigdy nie są ofiarami.

© Rozmawiał ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI

Ostatni żyrandol

PAWEŁ BRAVO

„Interesuje mnie ucieczka przed spotkaniem ze sobą" – powtarzał przez wiele lat. W nowym filmie w końcu się spotkał. Pytanie, co zrobi teraz.

DOMENICO STINELLIS / AP / EAST NEWS

Paolo Sorrentino. Wenecja, wrzesień 2021 r.

Niech się wreszcie Fellini tu przyda. Otóż mawiał: »w końcu i tak się zorientują, że nie masz nic do powiedzenia«" – rzucił Paolo Sorrentino ze sceny zaimprowizowanej na jednym z placów Zatybrza, na którym trzy lata po premierze pokazywał pełną wersję „Wielkiego piękna" (2013). Miał już Oscara i świeżo zdobytą sławę. Stać go więc było na to, by zmusić rzymską publiczność do wysiedzenia pełnych trzech godzin na niewygodnych krzesełkach albo na bruku. „Łatwiej wtedy poczuć nudę w czasie rzeczywistym. Dobrze ją znają nie tylko bywalcy luksusowych tarasów z widokiem na Koloseum, goście elitarnych imprez, ale i posiadacze skromnych balkonów z widokiem na sąsiedni blok" – zauważył cierpko reżyser, trochę już rozdrażniony pytaniami sprowadzającymi go do roli krytyka obnażającego pustkę wyższych sfer.

Dał z siebie wtedy więcej i mówił bardziej wprost niż w trakcie większości wywiadów, w których powtarza kilka dyżurnych banałów o ludzkiej egzystencji. I wyraźnie drażniły go pytania o pokrewieństwa z twórczością Federica Felliniego. Konsekwentnie je zbywał. Wreszcie pod koniec użył kolejnego cytatu z mistrza, gdy musiał odpowiedzieć, skąd czerpie energię twórczą. Otóż z tego, że przez większość czasu nie robi nic i umie się skoncentrować, ale sam nie wie do końca na czym.

Przewrotne to było. Wręcz bezczelne, dodałoby wielu krytyków zdecydowanie nieakceptujących poczynań Sorrentina – a takich jest we Włoszech sporo, mówiących mniej więcej to, co pisał u nas Tadeusz Sobolewski: „jedzie na cudzych arcydziełach". Przewrotność polega na tym, że reżyser, który operuje seriami cytatów i aluzji do Felliniego, najpierw udaje jak złodziej, że to nie jego ręka, wciska kit, że ta absurdalna żyrafa w „Wielkim pięknie" to wcale nie jest aluzja do nosorożca z „A statek płynie", albo że figura Chrystusa opuszczana na linach w „Onych" (2018) w ogóle ma nam nie przypominać „Słodkiego życia". A potem w końcu przywołuje wprost słowa Felliniego, ale tylko żeby się definitywnie wykręcić od rozmowy o tym, po co i jak uprawia swoje rzemiosło.

A przecież jest o co pytać: Sorrentino wychodzi daleko poza czyste kopiowanie cudzych pomysłów i światów. Jego filmy są niewątpliwie pełne samorodnego pierwiastka kinowego.

Nie stawaj na czerwonym

Nie mieć nic do powiedzenia można na wiele sposobów. Z pewnością warto, zamiast tylko zżymać się na użycie wytartych klisz, zastanowić się chwilę, dlaczego Sorrentino musi używać cudzych obrazów, by nie powiedzieć nic. Dlaczego deklaruje, że jego kino musi nam zapierać dech i tyle. Czy chodzi o Neapol? O jego rozkiełznany barok, skłonność do ekscesu, do szalonych form i kontrastów tak dzikich, że niewiarygodnych, teatralnych? Być może, chociaż nie można brać miejsca urodzenia za wytrych, chyba że popadniemy w irracjonalne wyjaśnienia odnoszące się do „ducha miejsca".

Sorrentino, owszem, urodził się w Neapolu, w dość porządnej jednak okolicy, niemającej wiele wspólnego z zaduchem dzielnic znanych nam dzięki prozie Eleny Ferrante (skądinąd jej biedne, neapolitańskie pochodzenie okazało się znakomicie poprowadzoną maskaradą). Z dala też od blokowisk Scampii, w których – tym razem bardzo realistycznie – osadzona jest akcja „Gomorry", filmu nadającego się o wiele bardziej na przewodnik po prawdziwym podbrzuszu Neapolu. Z dala od świata, którego nędza, upodlenia i sztywne hierarchie egzekwowane z okrucieństwem nie mają nic z uroczej dzikości, której szukają w Neapolu weekendowi turyści skłonni do zachwytów nad malowniczym zaniedbaniem zaułków. Kiedy ktoś we Włoszech zarzuca dziś Sorrentinowi, że jego opowieść o dorastaniu w tym mieście jest wyprana z odniesień do camorry i wszechobecnej przemocy, odpowiada, że jego dzielnica była względnie spokojna, choć był świadom, że całe lata 80. to długotrwała wojna gangów. „Po zmroku nie zatrzymuj się na czerwonym" – radził mu ojciec.

Dzieciństwo miał więc solidne i mieszczańskie, o czym wiedzą już dobrze widzo-

wie najnowszej, autobiograficznej „Ręki Boga". Pisana mu była kariera bankowa, jego ojciec nawet zza grobu poniekąd mu ją załatwił – bank, gdzie pracował aż do śmierci, w pewnym momencie przysłał dorosłemu już Paolowi propozycję umowy o pracę, posada mu się po prostu należała w spadku, niezależnie od kompetencji (akurat studiował ekonomię, więc mógłby się dopasować). Na południu, gdzie wszystko, co niezbędne do życia, dostaje się po znajomości, przez rodzinne układy, klanowe polecenia albo w ostateczności za łapówkę, to było naturalne.

Już jednak na studiach uciekał przed tym przeznaczeniem, szukając sobie zajęć przy krótkich metrażach i chodząc na kursy scenariuszowe. Ze zmiennym szczęściem, być może – jak pisał w liście motywacyjnym do reżysera, u którego w wieku 21 lat chciał załapać się na asystenturę – z powodu wrodzonej nieśmiałości. Która nie dziwiła u kogoś, kto jako licealista nagle i dramatycznie stracił rodziców, po czym jako najmłodszy z rodzeństwa – już wówczas dorosłego – musiał szybko nauczyć się sprawować sam kontrolę nad życiem.

Być może rozbiór tych emocji nastąpi w kolejnych filmach, jeśli zwrot zapowiedziany „Ręką Boga" okaże się trwały. Dotąd jednak konsekwentnie wolał robić „wielkie kino". Wielkie to znaczy, że nie o człowieku z ulicy, ale o tym z czołówek gazet. A najlepiej w ogóle nie o ludziach, tylko o zbiorowościach, oglądanych z bezpiecznego, bardzo wysokiego dystansu. Dlatego ważniejsze od odtwarzania zakrętów biografii jest spojrzenie na traumy tego środowiska, do którego młody Paolo aspirował, do którego mozolnie przez wczesne lata 90. się przebijał i które przekazywało mu, jak i po co robić kino.

Czas sierot

Druga połowa lat 80., początek 90. – wtedy artyści mniej więcej na całym Zachodzie zostają zbiorowo sierotami. Na złe, ale i na dobre (podobnie jak filmowy Fabietto z „Ręki Boga", któremu ktoś uświadamia, jak bardzo jest wolny dzięki stracie ojca i matki). Umierają rodzice, czyli figura twórcy i – jednoznaczne – struktury sensu. To czas, gdy do powszechnej świadomości dociera, w postaci uproszczonej mody, postmodernistyczne wyczerpanie, powtarzalność i skazanie na wieczne gry w powtórki i pastisz. We Włoszech tradycja zakuta w budowle, obrazy, inskrypcje i wszechobecne ślady kultury materialnej jest tak wszechobecna i bliska skóry, że staje się niemal kolejną ludzką tkanką.

Na ile jednak żywą? Trudno uciec od nie do końca czytelnych przekazów kulturowych atakujących zmysły z każdego rogu ulicy i prawie każdej stodoły. Dlatego wieszczony przez postmodernistów koniec wyścigu po oryginalny sens mógł być we Włoszech bardziej niż gdzie indziej na Zachodzie odczuwany jako moment wyzwolenia. Wreszcie nadszedł koniec dożywotniego dłubania w cieniu gigantów, zaproszenie do lekkości i czegoś nareszcie własnego, szczerego. Nawet jeśli forma przekazu miała odtąd być wyłącznie efektem układanek z już zastanych klocków, miała zapierać dech dla zapierania tchu.

Sorrentino, kiedy dostał szansę i budżet, żeby zrobić pierwszy swój „wielki" film – czyli „Boskiego" (2008) o Giuliu Andreottim – nie mógł zadziałać inaczej: im większy czuł w sobie talent narracyjny, wzrokową wrażliwość, intuicję kompozycyjną, a wreszcie zdolność organizowania tego wielkiego cyrku, jakim jest ekipa filmowa (ten aspekt mocno podkreśla w wywiadach), tym bardziej musiał wejść w przepych inscenizacji, z góry budujący dystans do warstwy opowiadanych faktów – windując nas na najwyższy balkon teatru.

Gra z tradycją – jeszcze nie z Fellinim, lecz Scorsesem z „Ojca chrzestnego" – dawała przedstawianym zabójstwom, machlojkom, intrygom wymiar uniwersalny, a przez to nierzeczywisty. Zarzucano mu wówczas (w kontraście np. do „Gomorry" z tego samego roku) niepotrzebną estetyzację. Twarda prawda historyczna, odnosząca się do okresu w dziejach, gdzie za fasadą demokracji wąskie kliki establishmentu wspólnie z mafią dzieliły się krajem, nabierała magicznej aury, czegoś niemal szekspirowskiego. A przeobrażenie głównego rozgrywającego tego układu – siedmiokrotnego premiera Andreottiego – w „boskiego" demiurga zdejmowało zeń odium, jakie demokratyczne społeczeństwo jest winne osobie depczącej wszystkie zasady prawa – jeszcze do tego z różańcem w dłoni i pod rękę z kardynałami.

Pier Paolo Pasolini, przecież też nie stroniący od metafor i uwznioślenia, który jednak swoje kino traktował jak polityczny manifest i w końcu padł ofiarą politycznego mordu, musiał przewracać się w grobie. O Andreottim i jego systemie zresztą nakręcono parę bardziej publicystycznych filmów. A jednak to genialny obraz Andreottiego z ponakłuwaną igłami twarzą (cierpiał w istocie na migreny i stosował akupunkturę), wyglądającego jak potworny jeż, od którego zaczyna się film Sorrentina, zostaje w głowie po latach jako metafora tamtej epoki politycznej, tak zepsutej i pełnej zbrodni, że aż trudno w to uwierzyć.

Teatralizacja, „barokizacja" i intertekstualne zabawy są tu sposobem na złagodzenie koszmaru, który wzięty dosłownie i bez filtra musiałby skutkować chęcią do – co najmniej – rewolucji. A jednak trzeba jakoś żyć dalej, głosować w wyborach, płacić podatki, by w zamian dostać choćby kulawe usługi publiczne.

Prawdziwe

Żyć jakoś dalej muszą też postaci zaludniające świat „Wielkiego piękna", rzymskie elity kultury i polityki, stąd ich marnotrawne, nierządne bankiety trzeba zanurzyć w feerii obrazów tak olśniewających, że możemy patrzeć na nie bez grozy i zgorszenia. A także czuć, że ten łagodnie złośliwy śmiech bez potępienia jest też do nas – uczestników podobnej karuzeli, tyle że z widokiem na Pałac Kultury, a nie Koloseum. Rzym bowiem u Sorrentina jest tak pocztówkowy, że przy całym pietyzmie do szczegółów pozostaje wygodnym dla każdego „miejscem-wszędzie". ↦

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu w I Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 453/21 toczy się postępowanie z wniosku Mariana Bożka o stwierdzenie nabycia spadku po Zofii Rumian, c. Jana i Magdaleny, zmarłej w dniu 31 maja 2011 r. w Tarnobrzegu, jej ostatnim miejscu zwykłego pobytu, oraz po Józefie Rumianie, s. Tomasza i Magdaleny, zmarłym w dniu 7 czerwca 2013 r. w Tarnobrzegu, jego ostatnim miejscu zwykłego pobytu.

Sąd w Tarnobrzegu wzywa spadkobierców , aby w ciągu trzech miesięcy zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

↦ „Interesuje mnie ucieczka przed spotkaniem ze sobą” – powtarzał przez wiele lat Sorrentino mantrę pozwalającą zrozumieć bohaterów „Wielkiego piękna”, a potem „Młodości” (2015). I totalny teatr władzy, tak paskudny w realnych szczegółach, że aby w ogóle móc go oglądać, trzeba go rozciągnąć na wielką zgrywę i kicz posiadłości Berlusconiego w „Onych”. Gdzieniegdzie tylko zjawia się lekko zamarkowana czystość i świętość, możliwa gdzieś poza obrębem tego świata, ale i o niej da się opowiedzieć tylko przez pożyczone, zużyte już aluzje i symbole.

Jak sam mówi, w „Ręce Boga” ostatni obraz godny dawnego, barokowego Sorrentina zjawia się na samym początku. Urwany żyrandol w pustej sali, niepotrzebny i absurdalny naprowadza nas znów na kino, które nie ma nic do powiedzenia – ma jeno zapierać dech. Potem przepych się wycisza, a zabawa z klockami Felliniego – tym razem z „Amarcordu” – jest obecna tylko w kilku rodzinnych scenach. Dalej robi się bardziej zwyczajnie i serio, kino przestaje być wielkie, a w każdym razie zrzeka się pretensji do wielkości, czyli zaczyna być prawdziwe. Czy to znak, że sam Sorrentino zrozumiał, że strategia artystyczna sprzed prawie trzydziestu lat stała się już obciachowa?

Metafora dojrzewania twórcy narzuca się sama z całą banalnością. Dorosłość niekoniecznie musi być „lepsza” od dziecięctwa i Sorrentino pozbawiony języka i metod, jakimi w młodości nasiąknął, może przestać tak przyciągać i intrygować. Nawet Fellini po „Amarcordzie” – także autobiograficznym – dalej kręcił rzeczy niewątpliwie ważne, rozbierane na części w doktoratach, ale zdecydowanie mniej pamiętne.

©℗ PAWEŁ BRAVO

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”. Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Zakopane – 100,0 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Andrychów – 98,8 FM
www.radiokrakow.pl

Przetwory pamięci

ANITA PIOTROWSKA

„The Hand of God” jest filmem zwodniczym, rozsmakowanym we włoskim bałaganiarstwie, hałaśliwości i łapczywym konsumowaniu życia, choć dosyć wcześnie ujawnia ono swe okrucieństwo.

Na początku chciałoby się sparafrazować słowa poety: nigdy już seks nie będzie tak smakował, a ulubiona drużyna nie będzie miała takich wyników. Nigdy też furkot motorówki u neapolitańskich wybrzeży nie będzie tak kojąco miarowy. Ale w najnowszym filmie Paola Sorrentina młodość powraca nie tylko w nostalgicznych powidokach z lat 80. Na poły baśń, na poły autobiograficzna opowieść każe włoskiemu reżyserowi zmierzyć się ze swą największą traumą. Wyrafinowany prowokator i mistrz ornamentu przyobleka więc wspomnienia w soczyste ciała i przepyszne anegdoty, a jednocześnie wyznaje wprost, dlaczego dotychczas tak uciekał od rzeczywistości i poniekąd od samego siebie. Warto było wreszcie powrócić, w skromniejszym niż dotąd wcieleniu i nie tylko do rodzinnego Neapolu.

Patron miasta, święty January, objawia się w pierwszej scenie za sprawą ciotki głównego bohatera, lecz filmowi „The Hand of God” (po polsku funkcjonuje także jako „To była ręka Boga”) patronują zgoła inni święci. Przede wszystkim Diego Maradona, świeżo kupiony napastnik SSC Napoli, który dzięki tytułowej ręce opatrzności (a tak naprawdę swojej) w 1986 r. strzelił Anglikom nieprzepisowego gola, co przyczyniło się do ostatecznego zwycięstwa jego ojczystej Argentyny w ćwierćfinałach i uznane zostało za akt politycznego rewanżu w konflikcie o Falklandy. Duch boskiego Diega unosi się nad tym filmem, gromadzi przed telewizorami mężczyzn i kobiety, młodych i starych, biednych i bogatych, przemytników powiązanych z ’ndranghetą i pensjonariuszy szpitali psychiatrycznych. Wreszcie: to legendarny piłkarz uratuje życie szesnastoletniemu Fabietto Schisie (Filippo Scotti), uczniowi szkoły salezjańskiej, którego pierwowzorem jest Sorrentino. Kiedy chłopak wybiera oglądanie meczu zamiast wyjazdu do górskiego domku, przebywający tam jego rodzice umierają na skutek zatrucia tlenkiem węgla. Po wielu latach osierocony syn przerobi ową tragedię, a zarazem swój prywatny mit, na scenariusz.

I nic dziwnego, albowiem dla Fabietta (i poniekąd samego Paola) oraz dla jego krewnych i sąsiadów w poczet świętych wpisują się również ówcześni mistrzowie kina, na czele z Federico Fellinim, Franco Zeffirellim czy mniej znanym Antoniem Capuano. Pierwszy uosabia ucieczkę na północ, w światła Cinecittà i rzymskiego *dolce vita*, ostatni symbolizuje powrót do tego, co lokalne i swojskie – czyż nie ten rodzaj napięcia urzeczywistnił się w artystycznej drodze twórcy „Wielkiego piękna”? O karierze gwiazd filmowych śnią tutaj niemal wszyscy, a już na pewno brat i ciotki bohatera. Najważniejsza z nich, dionizyjska Patrizia (Luisa Ranieri), obiekt męskich i chłopięcych westchnień, snuje takie marzenia co prawda nie bezpośrednio, za to wygląda i nosi się niczym ikona hiperkobiecości rodem z włoskiego ekranu. Jednocześnie całą sobą wyraża dramat kobiety szukającej zbiorowego podziwu i „większego” życia, lecz pod wpływem niezrozumienia i domowej przemocy coraz bardziej osuwa się w szaleństwo. Właśnie ta postać nadaje filmowi właściwy ton – komicznie przesterowany, rubaszny, zmysłowy i plebejski, ale podszyty rozpaczą, która przybiera w końcu postać trudnej do ukojenia żałoby.

Tu dochodzimy do sedna. „The Hand of God” jest filmem zwodniczym, rozsmakowanym w znajomych detalach, w całym tym włoskim bałaganiarstwie, hałaśliwości i łapczywym konsumowaniu życia, choć dosyć wcześnie i niejako mimo-

GIANNI FIORITO

Filippo Scotti, Teresa Saponangelo i Toni Servillo w filmie „The Hand of God".

wolnie ujawnia ono swe okrucieństwo. Szesnastolatek z pierwszej części filmu, zajęty piłką nożną i erotycznymi fantazjami, raczej nie mógł go wtedy zbyt wyraźnie dostrzegać. Pod wpływem tragicznych wydarzeń w życiu Fabietta owa brutalność mogła zostać zbyt pochopnie rozgrzeszona i dopiero dzisiaj, za sprawą wyostrzonej kamery Sorrentina, staje się boleśnie wyczuwalna. Jak zwykle reżyser konstruuje swoich bohaterów na kształt cudownych potworów. Trudno bowiem nie kochać filmowego ojca (Toni Servillo – po raz szósty u tego reżysera), chociaż od lat ukrywa przed rodziną swoje drugie życie, czy matki (Teresa Saponangelo), żonglującej pomarańczami w chwilach boleści, acz skłonnej do wyjątkowo okrutnych żartów. Fascynująca i niejednoznaczna jest postać mieszkającej po sąsiedzku leciwej baronowej, która na swoich warunkach wprowadza wyposzczonego nastolatka w nowy etap życia, podczas gdy Daniela, siostra bohatera, z jakichś powodów zamyka się przed światem w łazience. I można się oczywiście świetnie bawić tymi przerysowanymi, często szyderczymi obserwacjami, chwilami jednak ze ściśniętym gardłem.

Powrót do korzeni, do okresu samotnego dorastania i poszukiwania swego miejsca po stracie, jest tutaj procesem jawnie autoterapeutycznym. Jeśli idealizuje czas przeszły, to raczej w bezinteresownych, jakby zatrzymanych pod powiekami mikroscenkach, typu bajeczne widoki miasta czy robienie przetworów przez miejscowe kobiety, albo gdy kamera oddala się powoli, zostawiając bohaterów z przeszłości w głębi kadru. O swoich ziomkach reżyser opowiada bez łzawych sentymentów, widząc w nich zarówno urodzonych poczciwców, jak i nieokrzesanych gwałtowników, ofiary „południowych" stereotypów oraz ich własnych kompleksów. Druga, wyciszona, żałobna część „Ręki Boga" to już zupełnie inne kino, znacznie bardziej zapatrzone w morze, zanurzone w metarefleksji i wygłaszające ustami innego reżysera z Neapolu spóźnione autorskie *credo*.

Być może twórca Sorrentino otwiera niniejszym zupełnie nowe okno w swej bujnej twórczości, gdzie barokowy styl przestaje być głównym bohaterem, a cięta, wielopiętrowa ironia czasem musi obnażyć swoją bezradność w obliczu cierpienia. ©

THE HAND OF GOD *(È stata la mano di Dio) – reż. Paolo Sorrentino. Prod. Włochy 2021. W kinach i na Netfliksie.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Wielorybnik

Komediodramat, reż. Filipp Jurjew, Belgia/Polska/Rosja 2020, VoD

Czukotkę dzieli od Alaski zaledwie 86 kilometrów. Kiedy Liosza, nastoletni poławiacz waleni, zakochuje się w dziewczynie z USA występującej przed seks kamerką, postanawia wyruszyć pieszo przez cieśninę Beringa, żeby spełnić swój amerykański sen. A po drodze absurd ściga się z melancholią, kontemplacją pejzażu i z filmowymi cytatami.

2. Tysiąc małych ran

Dokumentalny, reż. Ramona S. Diaz, USA/Filipiny 2020, mdag.vod

Gdzieś w dalekim azjatyckim kraju demokratycznie wybrany prezydent pod pretekstem walki z przestępczością przyczynia się do łamania praw człowieka, kneblowania wolnej prasy i szerzenia dezinformacji. Obrazu dzisiejszych Filipin na czele z Rodrigo Duterte dopełniają znajomo wyglądające portrety niezależnych dziennikarzy i rządowych propagandystów.

3. Wyspa Bergmana

Dramat, reż. Mia Hansen-Løve, Francja 2021, VoD

Fårö to legendarne miejsce, gdzie żył i tworzył szwedzki reżyser. Dziś przybywają tu snobistyczne pielgrzymki, pragnące zaliczyć swoje „Bergman safari". Trafia tu także para szukających weny współczesnych filmowców (Vicky Krieps i Tim Roth). Drobne napięcia, wzajemna rywalizacja i osobliwa atmosfera wyspy sprawiają, że życie zaczyna mieszać się z filmowym scenariuszem.

4. Świnia

Dramat, reż. Michael Sarnoski, USA 2021, VoD

Tytułowy zwierz to najlepszy przyjaciel i niezawodny pomocnik truflarza żyjącego w leśnej głuszy. Wyśmienity Nicolas Cage wciela się w postać mężczyzny po przejściach, który jest gotowy na wszystko dla odzyskania swej czworonożnej towarzyszki. W efekcie dostajemy przejmującą, kulinarno-egzystencjalną opowieść – o stracie i wszystkich jej nieoczywistych smakach.

JAN

Klata:
Piorytety i piorytetki

Poważna ogólnoświatowa sondażownia zadała ludzkości ważkie pytanie: kogo na Ziemi darzysz największym podziwem. Prawda bijąca z owego sondażu jest oczywiście statystyczna, ale rozumiem, że zdecydowano się w nią zabawić. Już widać, że w 2022 r. na liście zajdą zmiany, na przykład Putin z dziewiątego miejsca jak burza pójdzie w górę, jednak pierwsza trójka od lat trzyma się mocno: Xi, Barack oraz Bill Gates. Z niewiadomych powodów lista podzielona jest na dwie kategorie: wyżej wspomnianą męską tudzież żeńską, w której świat adoruje wielką czwórkę Michelle/Angelina/Oprah/Królowa. Nie wiem, czy płciom wolno było głosować na siebie nawzajem.

Jasno widać, że nasz świat jest najlepszym z możliwych, gdyż na liście nie ma Ministra RP Łukasza Mejzy, a jest Jackie Chan (miejsce piąte). Nie widać Beaty „Sygnał Dźwiękowy" Szydło, a jest Greta Thunberg (w połowie drugiej dziesiątki, ale ona ma jeszcze czas). Jeśli chodzi o małżonki wybitnych mężów stanu, nie odnotowano jeszcze w tym roku obecności Iwony Morawieckiej, ludzkość zadowala się Melanią (tuż pod Gretą, która podobnie jak premierowa Iwona dysponuje sporym potencjałem wzrostowym).

Sondaż na globalną skalę pozwala jednoznacznie rozstrzygnąć najważniejszy wszechgalaktyczny dylemat ostatnich dekad: Messi czy Ronaldo? Obydwaj w pierwszej dziesiątce, Lionel mocno awansował w pełnych zachwytu oczach świata, ale Cristiano wyżej, wyżej, uplasował się tuż za Xi! Oczywiście niezałapanie się na podium będzie dla portugalskiego futbolisty powodem wielu frustracji, które przekuje w szaleńczo skuteczny „*gegenpressing*".

Świat jest pięknym miejscem do życia, świat najpiękniejszym ze światów – choć oczywiście ani Greta Thunberg, ani Elon Musk nie zgodzą się z tym pełnym zachwytu nad ludzką naiwnością twierdzeniem. Tak czy owak wspaniale, że ktoś w pocie czoła zadbał o sporządzenie aktualnej listy, a nawet dwóch list. Wiemy, jakie mamy priorytety. My, ludzkość: ludzianie i ludźki.

P.S. Franciszek na szesnastym. ©

Lektor:
Cena

▪ *Kazimierz Wierzyński*
POEZJE ZEBRANE. TOM I-II
Wstęp napisała Anna Nasiłowska. Opracował i notami opatrzył Paweł Kądziela. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2021, ss. 888 + 936

„Och, cena, cena, jaką się zapłaci / Za radość chłopca, za wiosnę i wino!" – to Miłosz o Wierzyńskim w „Traktacie poetyckim". Była połowa lat 50., Kazimierz Wierzyński (1894-1969), skamandryta i najwybitniejszy poeta swojego pokolenia na emigracji, mocno politycznie zaangażowany podczas II wojny światowej („Ziemia-Wilczyca", „Krzyże i miecze"), mieszkał na Wschodnim Wybrzeżu USA i pisał piękne, nostalgiczne wiersze. Słowa Miłosza okazały się prorocze: trudno o tak skrajne bieguny w jednym dziele, jak ekstatyczno-euforyczne wiersze młodego Wierzyńskiego („gwiżdżę na wszystko i gram serenadę") i jego „Czarny polonez", wściekłością i żółcią pisany pamflet na Polskę czasów schyłkowego Gomułki, opublikowany u progu Marca '68 i bliski wzbierającej właśnie Nowej Fali.

Czas na pochwały: to jest pierwsza staranna edycja całości poetyckiego dorobku Wierzyńskiego, obejmująca też utwory rozproszone i poprawiająca błędy, które zakradły się do londyńskich „Poezji zebranych" (1959). Wydana pięknie i na świetnym papierze. A przypomnijmy, że powrót Wierzyńskiego do krajowego czytelnika zaczął się, dzięki Marii Dłuskiej i Michałowi Sprusińskiemu, dopiero w latach 70., a jego wiersze niecenzuralne, znane dzięki „drugiemu obiegowi", mogły się oficjalnie ukazać dopiero po zmianie ustrojowej. „Korzec maku", „Siedem podków", „Tkanka ziemi", „Kufer na plecach" – wspaniałe są to książki, ale i w przedwojennych wierszach Wierzyńskiego wiele pozostaje do odkrycia. Okrutny „Czarny polonez" wybrzmiewa dziś przerażająco aktualnie. No i tom ostatni, pośmiertny, „Sen mara", a w nim tren „Na śmierć Jana Palacha". Nie potrafię myśleć o nim w kategoriach „dobry wiersz – zły wiersz", bo słuchałem przez radio Wierzyńskiego, który odczytał go – tuż przed śmiercią – w londyńskim studiu Wolnej Europy. „W Sajgonie podpalali się buddyści..." – słyszę znów głos poety, a obok czeskiego studenta stają mi przed oczami inni. Ryszard Siwiec, który poprzedził Palacha, samospaleniem na Stadionie Dziesięciolecia protestując 8 września 1968 r. przeciw stłumieniu Praskiej Wiosny. Walenty Badylak, który spłonął 21 marca 1980 r. na krakowskim Rynku, protestując przeciw zakłamywaniu zbrodni katyńskiej. I Piotr Szczęsny... Kazimierz Wierzyński nie miałby chyba nic przeciw temu, że ich tutaj przypominam. ©℗

MONIKA STOLARSKA

Odzyskać sprawczość

BARTOSZ FRĄCKOWIAK, ZASTĘPCA DYREKTORA BIENNALE WARSZAWA:

Nasze projekty realizowane w 2021 r. były reakcją na przedłużające się kryzysy w obszarach ekonomii, zdrowia i klimatu. W 2022 r. będziemy się przyglądać społecznym kontekstom technologii i ich przyszłości.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jak oceniasz ostatni rok Waszej działalności?

BARTOSZ FRĄCKOWIAK: Pandemia wymusiła na nas działania hybrydowe, ale udało nam się stworzyć coś na kształt interaktywnego studia telewizyjnego, gdzie organizowaliśmy spotkania i debaty, w których publiczność mogła brać czynny udział – a bardzo nam na tym zależało.

Widzę, że wyzwania organizacyjne udało się przekuć w nową, cyfrową jakość.

Działalność wystawiennicza czy szeroko rozumiana performatywność siłą rzeczy musiała przenieść się do internetu, a to z kolei zainspirowało nas do szerszej refleksji na temat możliwości debaty publicznej w rzeczywistości cyfrowej. Przykładem może być choćby seminarium „Ekonomie przyszłości" zorganizowane przez Przemysława Wielgosza.

Powstała książka o tym samym tytule.

To rodzaj manifestu ekonomicznego, inspirowanego różnymi progresywnymi myślami, jakie krążą w tym obszarze: od nowoczesnej teorii monetarnej, przez kooperatywizm technologiczny, aż po alternatywne koncepcje polityki fiskalnej. Interesowały nas różnorakie zjawiska związane z ekonomią heterodoksyjną.

Czyli?

Zrywającą z wyświechtanymi frazesami neoliberalizmu, za to uwzględniającą kontekst środowiskowy i socjologiczny. Potraktowaliśmy ekonomię jako naukę społeczną, która przede wszystkim skupia się na człowieku i środowisku naturalnym. W ten sposób mogliśmy na nowo przemyśleć hierarchię wartości, a także zastanowić się, czy nasze dotychczasowe kalkulacje na pewno uwzględniały wszystkie koszty procesów gospodarczych – np. te związane z zanieczyszczeniem środowiska albo źle opłacaną lub wręcz darmową pracą opiekuńczą, szczególnie kobiet.

Podoba mi się Wasze hasło – „odzyskać sprawczość".

Ten postulat towarzyszy nam od początku istnienia naszej instytucji. Dziś o przyszłości często się spekuluje, fantazjuje wręcz, zwłaszcza w Dolinie Krzemowej, a nam zależało na zupełnie innej, bardziej konkretnej refleksji. Zmiana na lepsze – tak jak ją definiujemy – będzie możliwa jedynie pod warunkiem, że uda nam się przekroczyć szereg ograniczeń. Zarówno tych konkretnych i wymiernych, czyli politycznych i społecznych, jak i trudniej uchwytnych, bo związanych z wyobraźnią i wiarą w alternatywny kształt świata.

Dobrze brzmi, ale co z działaniem?

Nasze debaty nie miały charakteru teoretycznego. W przypadku ekonomii przyszłości chodziło o wypracowanie możliwie spójnej podstawy programowej, którą nazwaliśmy „konsensusem warszawskim". Ma ona mieć przede wszystkim charakter operacyjny – zarówno dla konkretnych działań, jak i dla wprowadzania alternatywnych koncepcji politycznych do głównego nurtu debaty publicznej.

A co w tym roku?

Skupimy się przede wszystkim na problemach związanych z technologią – na zagrożeniach cyfrowego autorytaryzmu i na nowych narzędziach, dzięki którym kapitalizm bez pardonu wkracza już w każdą sferę naszego życia. A zainspirowała nas wydana niedawno książka „Wiek kapitalizmu inwigilacji" Shoshany Zuboff.

Czym jest kapitalizm inwigilacji?

Zdaniem amerykańskiej filozofki wkraczamy właśnie w nową epokę, w której nasze życie, nawet to najbardziej prywatne i intymne, staje się podstawowym zasobem, dzięki któremu kapitalizm może utrzymać swoją dynamikę.

A konkretniej?

Poprzez wszechobecność nowych mediów i kolejnych urządzeń elektronicznych każdy aspekt naszej codzienności może być zwymiarowany, a przez to wpisany w logikę utowarowienia i konsumpcji. Już nie chodzi wyłącznie o naszą aktywność w sieci – o to, co wpisujemy w wyszukiwarki albo jakie informacje o sobie zostawiamy na portalach społecznościowych. Dziś zbierane są dane o liczbie zrobionych kroków; o tym, na co na ekranie kierujemy wzrok; jak ruszamy kursorem. Nasze życie staje się zbiorem danych – surowcem, który oddajemy za darmo wielkim, międzynarodowym korporacjom poza jakąkolwiek kontrolą. To już nie są dystopijne wizje przyszłości, to się dzieje tu i teraz, dlatego musimy działać natychmiast.

Myślicie o alternatywach?

Tak, druga część naszych planów przyszłorocznych związana jest właśnie z nimi: z tworzeniem kooperatyw technologicznych, projektowaniem technologii generujących niski ślad węglowy, z tworzeniem cyfrowej ekologii, zdecentralizowanej, bezpiecznej sieci, z wykorzystaniem blockchainu do wspierania nowych form demokracji bezpośredniej czy sztucznej inteligencji do komunikacji międzygatunkowej. Wiele fascynujących inspiracji płynie tutaj z krajów globalnego Południa, gdzie powstają inicjatywy tworzone na podstawie innego zestawu zasad i wartości niż te, które dominują w Dolinie Krzemowej.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

BARTOSZ FRĄCKOWIAK (ur. 1982) jest zastępcą dyrektora i jednym z kuratorów Biennale Warszawa. Prowadzi warsztaty z projektowania przyszłości i tworzenia etycznych innowacji.

Biennale Warszawa

PAWEŁ

Bravo:
Polityczny toast

Dziewiętnaście osób w małych grupkach, część stoi na trawniku, kilka nawet usiadło na ziemi, reszta wokół dwóch małych stołów na tarasie. Jest świetliste popołudnie, trawa soczysta i wystrzyżona, jak na ogród na tyłach siedziby brytyjskiego premiera przystało. Elegancko, choć nieformalnie, mowa ciała sugeruje starannie powściągnięty luz. Wszyscy obecni mają w dłoniach kieliszki, na stołach kilka desek z serami.

Niewinne, powiecie. Ale ten obrazek napytał Borisowi Johnsonowi sporej biedy. Usłużni wrogowie puścili brukowcom zdjęcia, z których wynika, że przed poprzednim Bożym Narodzeniem ludzie z jego gabinetu urządzali sobie biurowe imprezy choinkowe, choć cały kraj wówczas siedział w lockdownie. Ogrodowe zdjęcie pochodzi zaś z maja poprzedniego roku – Brytyjczyków obowiązywał wówczas zakaz imprezowania i wyraźna wskazówka, by nikt nie przychodził do pracy, z wyjątkiem kluczowych pracowników.

To było robocze spotkanie, dalszy ciąg długiego dnia pracy – argumentował rząd i może nawet uszłoby to na sucho, wszak wyżsi urzędnicy są niewątpliwie „kluczowi". Ale skoro pili wino i pogryzali ser, to zero litości. Był na zdjęciu, owszem, jeden element niepasujący do narracji o ciężko pracujących urzędnikach, czyli narzeczona premiera, siedząca obok niego z ich nowo narodzonym synkiem. Ale żaden tabloidowy cyngiel nie zwrócił na to uwagi, liczy się tylko, że jedli i popijali.

Kiedy jeszcze większość mojej pracy rozlewała się swobodnie na całą niemal dobę, nieraz siedziałem przed komputerem z winem w kieliszku, skubiąc coś przy okazji. Ser i oliwki pogryzane w trakcie zebrania to była jedna z nielicznych zalet siedzenia na Zoomie. Jeśli zespół ludzi działa razem po parenaście godzin na dobę (zakładam, że tak jest w przypadku gabinetu premiera), to wręcz zdrowo, żeby co jakiś czas zrobili sobie przerwę, jedząc i pijąc w warunkach, które zapewniają minimum przyjemności, oddechu. A jeśli jest pod ręką słoneczny ogród, schłodzone chablis i dobry ser, to tym lepiej. Późnokapitalistyczny „kult zapieprzu", w który wyrodził się etos ciężkiej pracy, rozmywa granice tego, co służbowe i prywatne, ale tylko w jedną stronę: praca ma prawo wkroczyć człowiekowi w środek wieczoru z rodziną, ale za dyskusję w zespole przy winie można stracić posadę.

Johnson był dawno temu moim ulubionym angielskim felietonistą, marzyłem, żeby umieć pisać tak jak on. Lubiłem go, gdy na pytanie, co ma zrobić człowiek osaczony przez krokodyla na drzewie, odpowiadał: przeczekać recytując wiersze, po czym z pamięci mówił, z niezłą rytmiką i zrozumieniem tekstu, znaczne fragmenty „Iliady" po grecku. Resztki sympatii nie przesłaniają mi faktu, że podobno jest marnym premierem. Ale czy od popijania paluszków ciepłą wodą mineralną kiepscy urzędnicy stają się sprawniejsi, a ogarnięci pychą liderzy nabiorą skromności? Nie chcę usprawiedliwiać Bizancjum i nadużywania publicznego grosza, ale to, co „ujawniła" brytyjska prasa, wyglądało godnie i przyzwoicie.

Smutne to wszystko, bo akurat Brytyjczycy mieli najbardziej w północnej Europie zdrowy i pozbawiony poczucia winy stosunek do wina. Co może na pierwszy rzut oka dziwić w kraju, gdzie jęczmienia na piwo w bród, a winnic niewiele. Ale od czego są kolonie i podboje? Od czasów, gdy Henryk Plantagenet przez ożenek z Eleonorą Akwitańską zapewnił Anglikom panowanie nad połaciami ziemi wokół Bordeaux, na wyspach zaczęto traktować bordoskie wino jako produkt własny i kształtować go wedle swoich oczekiwań.

Ten układ dynastyczny runął wprawdzie po wojnie stuletniej, ale i tak w orbicie angielskich klas wyższych „claret" pozostał czymś bliskim i oczywistym, aż po wiek XIX, kiedy czerwone bordoskie wino nabierało mniej więcej tej postaci, jaką do dziś znamy. Gusta nie tylko paryskiej, ale i londyńskiej publiczności miały w tym procesie nie mniejsze znaczenie niż złowrogie zarazy roślin. Anglicy docierali potem do wielu innych miejsc – np. do północnej Portugalii – ucząc miejscowych, jak ma smakować wino. W przypadku sycylijskiej Marsali ten winny kolonializm odegrał rolę polityczną, ochrona interesów firmy Woodhouse (producenta wzmacnianego wina z tego miasta) posłużyła za pretekst do obecności brytyjskiej floty, osłaniającej podbój wyspy przez Garibaldiego.

Praktyka rządzenia – państwem, przedsiębiorstwem – legła znacznej formalizacji, a zwyczaj robienia sobie zdjęć przy każdej najgłupszej okazji, zdjęć, z których potem nie wiadomo jaki idiota cię rozliczy, jeszcze bardziej mnie zniechęca do objęcia ważnych stanowisk. Jeśli wydawało wam się przez moment, że będę zmuszony porzucić tę rubryczkę, by tak jak Boris zostać premierem, bądźcie spokojni. Wykluczone. To wstyd, ale nie umiem „Iliady". ©℗

Kiedy tak się zdarzy, że zostanie wam czerwone wino (najlepiej nie bardzo taniczne, więc nie mówimy tu o wybitnych bordosach – takich szkoda do gara), którego nie możecie wypić np. z racji wyjazdu, weźcie je do gotowania. Korzystając z nadal dostępnych dobrych gruszek odmiany konferencja można zrobić prosty, lecz wdzięczny deser, choć nie będzie to żadna „piękna Helena". 300 ml wina łączymy z 200 ml wody, wsypujemy 150-200 g cukru, mieszamy i podgrzewamy, kiedy będzie gorące, dodajemy laskę cynamonu, 4 goździki i gwiazdkę anyżu. Trzymamy na wolnym ogniu przez 5 minut. W tym czasie delikatnie obieramy gruszki ze skórki, starając się zachować ogonek (wymaga to nieco sprawności), wkładamy do garnuszka, dalej podgrzewamy przez 10 minut, delikatnie je co jakiś czas obracając. Wyjmujemy ostrożnie cedzakiem, podając, polewamy obficie winnym sosem.

LENA SERDITOVA / ADOBE STOCK

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 1-2/2022

40 LAT CENTRUM RZEŹBY POLSKIEJ

„KRZYSZTOF M. BEDNARSKI, JWA PRZESTRZAŁ", 2020, REALIZACJA: GRANITY SKWARA, PRACA UDOSTĘPNIONA CENTRUM RZEŹBY POLSKIEJ W ORONSKU DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTY I WYKONAWCY.
FOT. KATARZYNA PURCHAŁAK

Orońsko, miejsce szczególne

MACIEJ ALEKSANDROWICZ, DYREKTOR CENTRUM RZEŹBY POLSKIEJ:

Naszą rolą jest pokazywanie światu polskiej sztuki, a Polsce – światowej. Prawdziwa twórczość nie istnieje bez dialogu.

PIOTR KOSIEWSKI: W 1981 r. na terenie dawnej posiadłości Józefa Brandta stworzono Centrum Rzeźby Polskiej.

MACIEJ ALEKSANDROWICZ: Tak, ale historia rzeźby w tym miejscu sięga lat 60., gdy spotykali się tu rzeźbiarze z całego kraju. Z czasem Orońsko stało się ośrodkiem terenowym Związku Polskich Artystów Plastyków, a w 1981 r. zostało przejęte przez państwo przy poparciu Związku, który nie miał siły i możliwości utrzymania takiej instytucji.

Zmiana nie dotyczyła wyłącznie statusu prawnego. Orońsko przestało być jedynie miejscem spotkań i pracy artystów. Doszły nowe funkcje.

Najważniejszą była działalność wystawiennicza i budowanie kolekcji rzeźby. Dziś trudno stworzyć problemową wystawę poświęconą polskiej rzeźbie bez sięgnięcia do naszych zbiorów. Istotna stała się także działalność wydawnicza. Wreszcie za bardzo ważne uznano zbieranie dokumentacji. Obecnie posiadamy unikatowe archiwum: od wycinków z gazet po archiwa przejmowane od artystów lub, po ich śmierci, od rodzin. Powstał wielofunkcyjny ośrodek skupiający się na problematyce rzeźby i jej teorii.

W 1989 r. powstaje Rada Programowa Centrum. Jej pierwszym przewodniczącym zostaje prof. Jan Berdyszak. Orońsko staje się jednym z najważniejszych miejsc dla sztuki współczesnej.

Pojawiło się jednak także zagrożenie, że Centrum zostanie przejęte przez lokalny samorząd, a to doprowadziłoby do jego marginalizacji. Ostatecznie Orońsko pozostało instytucją państwową. W 1992 r. ukończono budowę Muzeum Rzeźby Współczesnej. W tym samym roku odbyła się pierwsza edycja Triennale Młodych.

KLAUDIA DROŻDŻ / MATERIAŁY PRASOWE

DR HAB. MACIEJ ALEKSANDROWICZ – prof. ASP w Warszawie, rzeźbiarz, od 2020 r. dyrektor Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku, redaktor naczelny „Kwartalnika Rzeźby »Orońsko«", organizator i prowadzący program własny CRP „Rzeźba w przestrzeni publicznej dla Niepodległej".

Jak wtedy zmieniało się Centrum?

Przede wszystkim pojawiały się nowe zadania i przestrzenie wystawiennicze. Dziś mamy trzy galerie: Muzeum Rzeźby Współczesnej, oranżerię i kaplicę. Rozwinęła się działalność wydawnicza, a „Kwartalnik Rzeźby »Orońsko«" to dziś uznane pismo. Po remontach kolejnych obiektów doszły funkcje turystyczne. Powstały też pracownie specjalistyczne. Najnowszą zmianą jest własny program Centrum „Rzeźba w przestrzeni publicznej dla Niepodległej".

A jakie wydarzenia były kluczowe w jego historii?

Przywołałbym osoby, a nie daty. Tych, którzy są nierozerwalnie związani z tym miejscem, poczynając od wieloletniego dyrektora Centrum Tomasza Palacza, którego pamiętam z czasów studenckich. Tamarę Książek, która z nim pracowała i współpracuje z nami do dziś. Wieloletniego dyrektora artystycznego Mariusza Knorowskiego. Eulalię Domanowską, moją poprzedniczkę. Leszka Golca, który od 40 lat tu pracuje. I wielu innych pracowników czy członków Rad Programowych.

Czym dzisiaj jest Orońsko?

To wyjątkowa w Polsce pod względem funkcji instytucja kultury zajmująca się sztukami wizualnymi. Galerie sztuki z reguły nie mają zabytkowych parków ani bazy hotelowej i gastronomicznej. Ośrodki pracy twórczej nie prowadzą galerii. Jednocześnie działalność Centrum skupia się wokół jednego, rozumianego bardzo szeroko medium, czyli rzeźby. Dawno zresztą rozszerzyliśmy jej tradycyjne rozumienie. Rzeźba śmiało wkracza na nowe obszary.

Doszło też do połączenia historycznych wnętrz, czyli Pałacu Brandta, ze współczesnością. Nie jest to częsta w Polsce praktyka.

Zderzenie zabytkowych wnętrz i otoczenia z tym, co współczesne, uważamy za nasz atut. Artyści, zwłaszcza rzeźbiarze, dobrze się odnajdują w tych przestrzeniach, bo często mają doświadczenie z pracą w przestrzeni publicznej. W obu przypadkach – trzeba się dopasować do zewnętrznego kontekstu. Wchodzić w dialog, a nie działać na zasadzie dyktatu.

Częścią Centrum jest też park, w którym od dawna są umieszczane kolejne współczesne rzeźby.

On również jest częścią naszej tradycji. Nie znajduje się jednak w najlepszej kondycji. Przez lata był pozostawiony sam sobie, dlatego dziś należy odtworzyć historyczne założenia parku angielskiego – jego pozostałości są jeszcze widoczne. Potem chcemy stworzyć program parku rzeźby, który pozwoli nam odpowiedzialnie uzupełniać kolekcję. Nie jest to bowiem duża przestrzeń – 13 hektarów. I już teraz jest gęsto wypełniona rzeźbami.

Co ważne, od dwóch lat trwają Sympozja Rzeźby Współczesnej. Zapraszamy dziesięcioro artystów, którzy tworzą dzieła na terenie Centrum. Pomagają im wolontariusze, najczęściej studenci. A na zakończenie do młodszych dołączają

JAN GAWORSKI / MATERIAŁY PRASOWE

Magdalena Abakanowicz, „Mutanty", przed pałacem Józefa Brandta w Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku, 2013 r.

nestorzy rzeźby – w 2020 r. byli u nas prof. Stanisław Radwański, prof. Andrzej Szarek i niedawno zmarły prof. Jan Kucz, a w tym roku – prof. Jerzy Fober i prof. Maciej Szańkowski. W ten sposób spotykają się trzy generacje.

Prace uczestników sympozjów trafiają potem na dwa lata do parku. Zobaczymy, które z nich wpiszą się na stałe w naszą przestrzeń, i wtedy będziemy negocjować z artystami formę depozytu, a nawet może wykupu. A co do części rzeźb, namawiam partnerskie miasta czy instytucje, by się nimi zainteresowały i przeniosły je z Orońska.

Pobyty twórcze – jaka jest ich przyszłość?

Są częścią działalności Centrum od początku jego istnienia. I muszą nią pozostać. Twórcy mogą z własnej inicjatywy wynająć miejsce, by tworzyć. Udzielamy im również pomocy w wykonaniu prac. Ale też od dwóch lat funkcjonują rezydencje artystyczne – co dziwne, wcześniej ich nie było. Chcemy w ten sposób także programować to, co jest tworzone w Orońsku.

A młodzi twórcy? Orońsko od dawna poświęcało im dużo miejsca.

Nadal będziemy to robić. W przyszłym roku Triennale Młodych obchodzi 30-lecie, ale jubileuszowa edycja odbędzie się w 2023 r. Samo Triennale zawsze było barometrem współczesności. W młodym pokoleniu trzeba, nawet w ryzykowny sposób, wyłapywać nowe trendy.

Wspomniał Pan program „Rzeźba w przestrzeni publicznej dla Niepodległej". Jaką rolę rzeźba ma w tej przestrzeni odgrywać?

Chciałbym, aby była katalizatorem zmian społecznych. Poszczególne części miast: osiedla, place czy ulice, powstają według przyjętych niegdyś założeń, czyli rozmaitych, niejednokrotnie nieprzystających do siebie koncepcji. W miasta wkrada się chaos. Rzeźba ma siłę porządkowania przestrzeni, łączenia nawet odległych od siebie form czy kontekstów.

Aktualna pozostaje też dawna funkcja rzeźby: upamiętniania i budowania tożsamości, czyli tworzenia pomników. To trudne zadanie, a sami rzeźbiarze nie mogą zastąpić władz i społeczności lokalnych w definiowaniu tego, co jest godne upamiętnienia i co buduje tożsamość lokalnych wspólnot. Tu potrzebny jest dialog, a Centrum ma pomagać w tym zakresie. Dlatego wkrótce opublikujemy kodeks dobrych praktyk konkursów pomnikowych.

W ramach programu trwają też webinaria, na których spotykają się teoretycy, praktycy oraz aktywiści. Rozmawiamy z potencjalnymi wnioskodawcami o tym, czym jest przestrzeń publiczna oraz sztuka w tej przestrzeni. Za jakiś czas będziemy mogli przygotować kolejny kodeks, tym razem rzeźby w przestrzeni publicznej.

A co, mówiąc w największym skrócie, dziś powinno być rolą Orońska?

Pokazywanie światu polskiej sztuki, a Polsce – światowej. Dawanie artystom możliwości zaistnienia w obiegu międzynarodowym. Prawdziwa twórczość nie istnieje bez dialogu i zdobywania informacji z zewnątrz. Naszą rolą jest, by kanały tej wymiany były żywe, aktywne. Ponadto rzeźba wymaga wsparcia praktycznego i teoretycznego. Chcemy je dawać.

Do kogo dziś kierujecie swoje działania?

Do kilku grup: do osób zainteresowanych sztuką – do nich są adresowane wystawy i publikacje. Także do środowiska artystycznego, które przyjeżdża do Orońska tworzyć lub wymieniać się doświadczeniami. Ono też czuje się współgospodarzem tego miejsca. Trzecia grupa to społeczność lokalna. Czwarta wreszcie, nowa, to wszyscy, którzy decydują o wyglądzie przestrzeni publicznej. No i oczywiście turyści oraz osoby poszukujące odpoczynku.

2021 rok jest dla Centrum szczególny, bo jubileuszowy.

Dlatego też przygotowaliśmy wystawę amerykańskiej artystki polskiego pochodzenia Ursuli von Rydingsvärd, a niedawno otworzyliśmy inną ważną wystawę: „City Limits", która jest dialogiem trzech artystek: Yael Efrati z Izraela, Niemki Asty Gröting i Moniki Sosnowskiej. To jednocześnie dialog między architekturą a rzeźbą, a także z tożsamością krajów, z których te artystki pochodzą. W przyszłym roku zaprezentujemy tę ekspozycję w Kunsthalle w Düsseldorfie, a w 2023 r. w Bat Yam Museum of Art w Izraelu.

Co jeszcze wydarzy się w przyszłym roku?

Poza kolejnym Sympozjum Rzeźby Współczesnej i kontynuacją programu „Rzeźba w przestrzeni publicznej dla Niepodległej" planujemy otwarcie kolejnych ważnych wystaw, m.in. Anisha Kapoora, Piotra Nowaka, Joanny Przybyły i Xawerego Wolskiego. Naszą ambicją jest zorganizować ekspozycję w Wenecji, która będzie pewnym uzupełnieniem Pawilonu Polskiego na przyszłorocznym Biennale. ©

MATERIAŁY PRASOWE

Zrealizowany w ramach programu „Rzeźba w przestrzeni publicznej dla Niepodległej", „Sterowiec WOLNOŚĆ" Katarzyny Łyszkowskiej nawiązuje do stulecia sprowadzenia do Polski pierwszego sterowca „Lech", którego przystanią macierzystą stał się port balonowy w Toruniu. Praca Łyszkowskiej powiększyła zbiór sztuki współczesnej Centrum Kultury Dwór Artusa, uświetniając jednocześnie jubileusz stulecia powrotu Torunia do niepodległej Polski.

Łączą nas rzeźby

MICHAŁ SOWIŃSKI

O jakości przestrzeni publicznej decydują nie tylko dobrze zaprojektowane ulice i budynki. Spoiwem naszej wspólnej rzeczywistości może być sztuka, dlatego razem powinniśmy o nią zadbać.

Już od roku Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku realizuje finansowany przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego program „Rzeźba w przestrzeni publicznej dla Niepodległej". Działania objęte dofinansowaniem w ramach programu obejmują m.in. realizację rzeźb i instalacji artystycznych współczesnych twórców, konserwację dzieł funkcjonujących już w tkance miejskiej, wykup depozytów muzealnych czy realizację odlewów, w celu umieszczenia ich w ogólnodostępnej przestrzeni publicznej, np. w parkach rzeźby, foyer, lobby, na dziedzińcach siedzib instytucji użyteczności publicznej.

To pierwszy w Polsce tego typu program przeznaczony na inwestycje w zakresie realizacji form rzeźbiarskich. Zasadniczym jego celem jest próba dokonania zmiany w postrzeganiu przestrzeni publicznej, a także zwiększenie świadomości społeczeństwa w zakresie estetyki przestrzeni wspólnej.

W 2021 r. budżet programu wynosił 1,5 mln złotych i zrealizowano z niego 15 inwestycji (w sumie wpłynęło 68 wniosków) w całej Polsce, zarówno w większych, jak i mniejszych ośrodkach miejskich: m.in. w Łodzi, Toruniu i Elblągu, jak również w Pionkach czy Rudzie Śląskiej.

Cel programu jest prosty – chodzi o większą obecność niebanalnych i intrygujących dzieł sztuki na naszych ulicach i w budynkach użyteczności publicznej. Mowa tu o rzeźbach, które nie tylko przyciągają wzrok i ułatwiają orientację w terenie, ale jednocześnie w naturalny sposób wymuszają zmianę naszego funkcjonowania przestrzeni publicznej. Dlatego też dofinansowane projekty obejmują, obok samych działań artystycznych i konserwatorskich, również warsztaty i dyskusje pomagające wypracowywać społeczny konsensus wobec tego, co ważne, potrzebne i piękne.

„Pomniki – długo dyskutowane, uroczyście odsłaniane – służą upamiętnianiu osób, wydarzeń, idei ważnych dla określonej wspólnoty. Dzieje kontrowersji wobec monumentów, począwszy od ingerencji w ich formę i treść, na obalaniu kończąc, są nam doskonale znane. Te zdarzenia potwierdzają, że pomnik jest naturalnym obiektem ogniskującym emocje. Jest formą żywą, znakiem wypełnionym treścią. A to rodzi konflikty" – mówi prof. Katarzyna Chrudzimska-Uhera z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, moderatorka seminariów i webinariów poświęconych programowi, współodpowiedzialna za opracowanie kodeksu dobrych praktyk dla rzeźby w przestrzeni publicznej.

Dzieło sztuki, gdy zostaje wkomponowane w przestrzeń publiczną, przestaje należeć wyłącznie do artysty, staje się dobrem wspólnym poddawanym zbiorowej ocenie, często bardzo surowej. To jedyny sprawdzian, czy praca faktycznie „działa", jak powinna.

„Ciekawym przykładem jest porównanie dwóch rzeźb – »Palmy« (2002) i pomnika Charles'a de Gaulle'a (2005) – znajdujących się w obrębie ronda de Gaulle'a w Warszawie. »Palma« stała się punktem orientacyjnym na jednej z osi miasta. Obrasta nowymi społecznymi znaczeniami, niezależnie od pojawiającej się czasem krytyki, że miała być instalacją czasową i że jest plastikowa. Pomnik de Gaulle'a to z kolei przyzwoita rzeźba z brązu, replika monumentu stojącego w Paryżu. Nie wszedł jednak do świadomości mieszkańców. Być może ze względu na usytuowanie na parkingu. To bezlitosny test dla każdego dzieła sztuki. Czy istnieje zatem złoty środek? Zamiast odpowiedzi proponuję zdanie, które wypowiedział kiedyś Winston Churchill: »Najpierw my kształtujemy nasze budynki, a potem one kształtują nas«" – mówi Kamila Szejnoch, artystka wizualna, również zaangażowana w webinaria i kodeks dobrych praktyk.

Dlatego też program realizowany przez Centrum w Orońsku podchodzi do problemu całościowo – dofinansowuje współczesnych artystów na kolejnych etapach ich procesu twórczego, zakłada szeroko pojęte działania edukacyjne, bada potrzeby lokalnych społeczności, dotuje prace konserwatorskie, pomaga samorządom w wykupie i relokacji dzieł już istniejących, ale niedostępnych szerokiemu gronu odbiorców.

Kto może aplikować do programu? Wszystkie samorządowe instytucje kultury, które nie są współprowadzone przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a także jednostki samorządu terytorialnego, w których istnieje wydział lub komórka organizacyjna sprawująca opiekę konserwatorską nad zabytkami lub przestrzenią publiczną. W przyszłym roku program będzie kontynuowany, a jego budżet wyniesie 2 mln złotych. Wnioski będzie można składać poprzez stronę Witkac.pl w formie elektronicznej w terminie od 4 stycznia do 14 lutego 2022 r. ©℗

Więcej informacji na www.rzezba-oronsko.pl

program własny

RZEŹBA W PRZESTRZENI PUBLICZNEJ DLA NIEPODLEGŁEJ 2022

CENTRUM RZEŹBY POLSKIEJ

MATERIAŁY PRASOWE

Mariola Wawrzusiak-Borcz, „Sowa tropiciel" z cyklu „Dzikie życie", Pionki, 2021 r. W ramach projektu gmina Pionki zakupiła sześć rzeźb Marioli Wawrzusiak-Borcz, tworzących cykl „Dzikie życie". Wyrzeźbione ze złomu sowy, nietoperze, czapla i wilk stanęły w zalesionej przestrzeni przy ul. Zakładowej 5 w Pionkach – poprzemysłowym miejscu otoczonym Puszczą Kozienicką, gdzie krzyżują się ścieżki zwierząt i ludzi.

MATERIAŁY PRASOWE

Zespół trzech rzeźb urodzonej przed wojną w Wilnie rzeźbiarki Anny Rodzińskiej pt. „Rodzina II". Projekt operuje silnie zgeometryzowaną i syntetyczną figuratywnością, przedstawia grupę niedźwiedzi. Rzeźba odlana w brązie ulokowana została w parku przy ul. Podkomorskiej w Poznaniu.

Miejsce szczęśliwe

WALDEMAR BARANIEWSKI

Niewielka osada między Radomiem a Szydłowcem to także jedyny w Polsce ośrodek rzeźbiarski.

Bogata historia zmaterializowana w pałacowo-parkowym założeniu Orońska znana jest nielicznym. A dzieje powojenne są w wielu punktach jakby typowe dla tego, co i jak działo się w PRL-u z dawnymi majątkami, folwarkami, dworami. Orońsko – jako historyczna siedziba – było bliskie unicestwienia. Można powiedzieć, że uratował je wybitny malarz, jeden z dawnych właścicieli – Józef Brandt.

Ale po kolei. Orońsko pojawia się po raz pierwszy w historycznym zapisie w połowie wieku XV w pismach Jana Długosza. Posiadłość należała wówczas do rodziny Starosielskich ze Starosiedlic, herbu Abdank. Potem do Szydłowieckich, do połowy wieku XVI. W 1548 r. Elżbieta Szydłowiecka wyszła za mąż za Mikołaja Radziwiłła z Nieświeża i wniosła w posagu całość dóbr szydłowieckich, z Szydłowcem jako głównym ośrodkiem rezydencjalnym i pozostałymi dobrami, w tym folwarkiem w Orońsku.

Jedną z przełomowych dat w bogatej historii Orońska jest rok 1829, gdy dzierżawcą majątku, a potem jego właścicielem zostaje Franciszek Xawery Christiani (1772-1842) – wybitny inżynier, wizjoner i budowniczy nowoczesnej sieci traktów drogowych w Królestwie Polskim. Początkowo mieszkał w Warszawie przy Nowym Świecie. Podczas budowy traktu krakowskiego, tuż za Radomiem, trafił na leżący na uboczu, zaniedbany folwark oroński, który w jego planach miał znaleźć się przy głównym trakcie, i który kupił ostatecznie w 1834 r. Przebudował miejscowość, tworząc nowoczesny zespół osiedleńczy, zakładając uzdatnione ujęcia wody, sadząc szpalery drzew, porządkując gospodarkę wodną, zakładając malowniczy park, remontując dawny dwór oraz wznosząc nowe budynki gospodarcze i kaplicę. To zachowana do dziś część założenia, która przypomina o niezwykłej postaci Christianiego.

Po jego śmierci wdowa Amelia Magdalena przeniosła się z Warszawy do Orońska. Z jej inicjatywy ok. 1850 r. rozpoczęto budowę nowego pałacu, którego bryła do dziś tworzy zrąb istniejącej budowli. Nie wiemy, kto był autorem projektu, utrzymanego w modnych wówczas formach nieregularnej „willi włoskiej", z malowniczą wieżą w narożu. Mimo późniejszej rozbudowy pałacyk oroński zachował swój italianizujący charakter, jak nostalgiczne wspomnienie podróży do Włoch i tęsknota za włoskim pejzażem.

W burzliwe dzieje orońskiego majątku wpisana jest też rodzina Pruszaków z Żalna, herbu Leliwa, i wspomniany już Józef Brandt. Jego postać jest w Orońsku symbolicznym dopełnieniem i zaprzeczeniem losów Franciszka Christianiego. Pochodził z majętnej rodziny warszawskich lekarzy. Wyjechał na studia do Paryża z zamiarem zdobycia zawodu inżyniera, ale nie było mu dane budowanie dróg i mostów, bo spotkał w Paryżu Juliusza Kossaka, za namową którego postanowił kształcić się artystycznie.

W 1863 r. rozpoczął naukę w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Monachium, wówczas jednej z najlepszych uczelni artystycznych w Europie. Biegłość warsztatowa, specyfika tematyczna jego malarstwa skupionego na scenach batalistycznych z kozacką i tatarską egzotyką, przyczyniły się do wielkiej popularności, jaką Brandt zdobył w stolicy Bawarii, gdzie zamieszkał na stałe. W 1877 r. ożenił się z wdową po swoim przyjacielu Aleksandrze Ksawerym Pruszaku, Heleną z Woyciechowskich, właścicielką Dóbr Ziemskich Orońsko i Krogulcza. Małżonkowie mieszkali w Monachium, spędzając w Orońsku miesiące letnie i rozbudowując pałac, tak by pomieścić pracownię malarską.

Po śmierci Brandta 15 czerwca 1915 r. Helena Brandt wydzierżawiła zrujnowany wojną majątek zięciowi Aleksandrowi Daszewskiemu, ożenionemu z Marią Anielą Brandt. Daszewscy gospodarowali w Orońsku do wybuchu II wojny. Majątek został skonfiskowany przez władze okupacyjne, po 1945 r. przejęty przez Wojsko Polskie, a potem PGR, który w pałacu urządził biura, sale szkolne i mieszkania dla pracowników.

Pozbawiona opieki i rabunkowo eksploatowana siedziba niszczała w szybkim tempie. W 1965 r. w Radomiu urządzono wystawę malarstwa Józefa Brandta, która stała się pretekstem do przypomnienia o losach Orońska. Zbiegło się to ze zorganizowanym przez Sekcję Rzeźbiarzy ZPAP plenerem i wystawą poplenerową w Orońsku. Rok później utworzono Centralny Ośrodek Rzeźbiarski, który przejął zrujnowany pałac od PGR-u. I tak powoli Orońsko podnosiło się z ruiny. W 1981 r. powstało Centrum Rzeźby Polskiej z ambitnym programem gromadzenia, dokumentacji i ekspozycji prac rzeźbiarskich, ale stan wojenny i dekompozycja życia artystycznego zweryfikowały te śmiałe zamierzenia.

Osobą opatrznościową dla Orońska stał się Tomasz Palacz, wieloletni dyrektor Centrum Rzeźby Polskiej (1983-2004) i twórca orońskiej infrastruktury artystycznej. Palacz umiał wykorzystać swoją wiedzę, pozycję i kontakty do stworzenia z Orońska Centrum Rzeźby Polskiej, z doskonałym zapleczem technicznym, hotelem, pracowniami i uzbrojonym w media otwartym terenem plenerowym. Z jego inicjatywy wzniesiono budynek Muzeum Rzeźby Współczesnej. ©

WALDEMAR BARANIEWSKI – *historyk sztuki, niezależny kurator i krytyk.*

PARTNERZY 40-LECIA CENTRUM RZEŹBY POLSKIEJ

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

TOTALIZATOR SPORTOWY | 65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

GRANITY SKWARA KAMIEŃ NATURALNY

ART-ODLEW ODLEWNIA ARTYSTYCZNA

JAN JANIAK / MATERIAŁY PRASOWE

Wernisaż „Tylko sztuka" Ursuli von Rydingsvärd w Orońsku, 4 września 2021 r.

W programie 2021/2022

URSULA VON RYDINGSVÄRD
Jesienią 2021 roku odbyła się wystawa „Tylko sztuka", której kuratorką była Eulalia Domanowska. Monumentalna forma, poetycki kształt cedrowego drewna i duży ładunek osobistych emocji to znaki rozpoznawcze wybitnej amerykańskiej artystki o polskich korzeniach.

„CITY LIMITS"
Międzynarodowa wystawa prac Moniki Sosnowskiej (Polska), Asty Gröting (Niemcy) i Yael Efrati (Izrael) skupia się na różnych strategiach rekonstrukcji architektonicznej opartej na osobistych wspomnieniach artystek i stanowi spojrzenie na relacje pomiędzy człowiekiem a jego historycznym i kulturowym otoczeniem. Wystawa współorganizowana przez Instytut Adama Mickiewicza, w Orońsku prezentowana do 13 lutego 2022 r., skąd pojedzie do Düsseldorfu (Niemcy). W 2023 r. odbędzie się ostatnia prezentacja wystawy w Bat Yam Museum w Izraelu. Kurator: Sergio Edelsztein, współkuratorka: Joanna Kiliszek.

ANISH KAPOOR W OROŃSKU
Centralne wydarzenie 2022 r. w Orońsku to wystawa brytyjskiego rzeźbiarza Anisha Kapoora, znanego przede wszystkim z wielkoformatowych prac umieszczanych w przestrzeni miejskiej, jak stutonowa „Cloud Gate" w Millenium Park w Chicago (2006) czy wieża „ArcelorMittal Orbit", zbudowana na igrzyska olimpijskie w Londynie (2012). Dzieła artysty rzucają wyzwanie percepcji wzrokowej swą formą, ciężarem i materiałem, igrając z wrażeniem pustki i pełni, negatywem formy czy widzeniem perspektywicznym. Do Orońska w październiku 2022 roku trafi kilkanaście kamiennych prac artysty.

OREN ROZEN / WIKIPEDIA.ORG

Anish Kapoor, „Turning the World Upside Down", Jerozolima, 2010 r.

WYSTAWA „NIECH SZYJĄ" W WENECJI
Podczas weneckiego 59. Biennale Sztuki, Centrum Rzeźby Polskiej planuje w Wenecji wystawę prac polskich artystów pt. „Niech szyją". Punktem wyjścia dla ekspozycji są słowa Magdaleny Abakanowicz: „Widzę nitkę jako podstawowy element budowy świata organicznego naszej planety, jako największą tajemnicę naszego otoczenia. To nitka buduje wszystkie żywe organizmy, rośliny, tkankę liści i nas samych, nasze nerwy, nasz kod genetyczny, nasze przewody żylne, nasze mięśnie. Jesteśmy strukturami włóknistymi".

XAWERY WOLSKI „MATERIALNA POETYKA"
Monograficzna wystawa uznanego na świecie artysty, przygotowana specjalnie dla Centrum w Orońsku, będzie przekrojową prezentacją jego twórczości. Z rozległego dorobku artysty wybrane zostaną dwa zasadnicze wątki: ciało i materialność. Lipiec – sierpień 2022.

MIEJSCE SPOTKAŃ
W Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku spotykają się różne grupy i pokolenia – rzeźbiarze, krytycy, badacze sztuki i przestrzeni publicznej, miłośnicy zabytków, pasjonaci ogrodów, ekolodzy, wycieczki szkolne, rodziny i turyści. Instytucja łączy dziedzictwo z najnowszymi trendami w sztuce, opiekuje się dawnym folwarkiem Józefa Brandta, rozbudowuje kolekcję reprezentatywnych dzieł polskiej sztuki rzeźbiarskiej, organizuje konferencje i plenery artystyczne, udostępnia pracownie rzeźbiarskie, prowadzi program rezydencji artystycznych i pobytów twórczych. Biorąc pod uwagę zmieniające się potrzeby, realizuje szeroko zakrojone inwestycje (w 2021 m.in. budowa nowego budynku pracowni stolarskiej). Więcej na: www.rzezba-oronsko.pl

PIOTR PIASTA / MATERIAŁY PRASOWE

Wystawa „City Limits". Monika Sosnowska, „Fasada", 2016. Dzięki uprzejmości Hauser & Wirth / Zurich.

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 1-2/2022
REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Edward Augustyn | SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
OKŁADKA: Krzysztof M. Bednarski, „Na przestrzał", fot. Katarzyna Purchalak
PARTNER
CENTRUM RZEŹBY POLSKIEJ
ORGANIZATOR CRP
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

ZMYSŁY

LEKCJE ULA

To jest opowieść o potrzebie wspólnoty. O umowie społecznej i o tym, że razem żyje się łatwiej niż osobno.

ADAM ROBIŃSKI

Na nowy rok najlepiej życzyć pszczołom prawdziwej, mroźnej zimy – opowiada Marta Konek, pszczelarka z Krajny. – Nie lubią ciepłej, bo wtedy zamiast zbite w kłębie spokojnie przeczekiwać srogi mróz, wiercą się i kręcą. I przy okazji zjadają więcej zapasów. W ulu pojawiają się choroby, a jak nie dadzą rady oczyścić jelit, to i biegunka. Potem należy im życzyć ciepłej, ale wilgotnej wiosny. Wilgoć jest potrzebna, bo bez niej rośliny nie będą nektarować. Taką właściwą wiosnę to się po prostu czuje. Wychodzi się przed dom, patrzy na pola, i jak to wszystko pachnie i żyje, to wiadomo, że będzie dobrze.

– A jaki był ten miniony rok?

– Trudny, przez zimną wiosnę. Jak się na chwilę pokazało słońce, to pszczoły od razu wylatywały z ula, ale potem słoneczko chowało się za chmurę, a one krzepły i już nie wracały. Z dnia na dzień patrzyliśmy, jak rodziny słabną. I wtedy, kiedy zakwitał rzepak, większość z nich nie była gotowa do pracy. Ale to i tak lepiej niż w roku poprzednim, kiedy po takiej samej wiośnie przyszła susza. W efekcie lipa nektarowała półtora dnia. A powinna przez tydzień.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o narzekanie. Bo kiedy Marta Konek mówi i o pszczołach, i o swojej Krajnie, to uśmiech z jej twarzy właściwie nie znika.

Lekcja pierwsza: żądła

Z nazwy Krajna może wydawać się miejscem baśniowym, ale jest mocno osadzona w tu i teraz. Jej granice są wyraźne, wyznaczone przez kilka rzek: Noteć na południu, Kamionkę i Dobrzynkę na północy, Gwdę i Brdę na zachodzie i wschodzie. Ale kiedy esemesem dostaję wskazówki dojazdu do Walentynowa, gdzie Marta mieszka, jest też adnotacja, że chodzi o Wielkopolskę. Podobno czasami jej goście przez pomyłkę trafiają w Kujawsko-Pomorskie. Dlatego śledzę na GPS-ie granicę między województwami. A i tak na miejscu coś mi się nie zgadza, więc dzwonię. „Widzę przystanek pekaesu i nie wiem, co dalej". „To tu, musisz tylko skręcić między jabłonie" – słyszę w odpowiedzi.

Zaczęło się od tego, że uświadomiła sobie istnienie owadów wyposażonych w żądła. Te olśnienia opisuje w wydanej kilka miesięcy temu książce „Z głową w ulach", relacji ze stawania się pszczelarką: „Dawno, dawno temu, gdy miedze były szerokie, a na pola prowadziły drogi kręte, porośnięte mnóstwem ziół, szłam z ciocią przegonić krowy z pastwiska. Szłam tak, jak dawniej się biegało, czyli na bosaka. W pewnym momencie, gdy trafiłyśmy na szczególnie bujną połać kwitnącej na biało koniczyny, poczułam paskudne pieczenie. Błyskawicznie uniosłam stopę i zdrapałam tkwiące w niej żądło. To była moja pierwsza lekcja o tym, że gdy coś kwitnie, mogą się tam pojawić owady zbierające nektar i pyłek. Ciocia nauczyła mnie także, iż wchodząc między kwitnącą koniczynę, nie można stawiać nóg mocno, z góry, a lepiej jest nimi szurać, by dać owadom czas na ucieczkę". Podobnych lekcji było oczywiście więcej. Jak się mieszka na wsi, to się człowiek szybko przyzwyczaja, że ciągle coś go swędzi i drapie.

– A jak się z pszczołami na dodatek pracuje, to nie ma, że z głową w chmurach. Trzeba być tu i teraz. Albo się jest, albo one cię bardzo szybko ustawią do pionu. Parę żądeł i już – tłumaczy.

Pszczelarstwo to często zajęcie przekazywane z pokolenia na pokolenie, a w rodzinie Marty da się wytropić antenatów z miodarką. Jest prapradziadek Zygmunt, który jadąc pociągiem z Kresów na Ziemie Zachodnie razem z dorobkiem życia wiózł ule. Jest też teściowa babci, wiecznie narzekająca na bóle w nogach kobieta, która na wieść o tym, że się pszczoły roją, zamieniała się w rączą sarnę. Marta pamięta też – jak przez mgłę – pradziadka Józefa i jego ule przycupnięte w zacisznym, nasłonecznionym kącie wiejskiego podwórka. Kiedy umierał, nie było komu przejąć jego pasieki. Drugi pradziadek ule trzymał w parowozowni w Złotowie. Podobno jesienią kolejarze brali je na otwarty wagon, wieźli i zostawiali na bocznicy wśród wrzosów, a pszczoły brały się do roboty.

Marta zaczynała jednak od zera. Jako dziennikarka odwiedzała wcześniej pasieki, czytała i pisała o pszczołach. Gdzieś z tyłu głowy kiełkowało nawet marzenie, żeby założyć własną. – Ale jak się jest kobietą, to liczą się przede wszystkim potrzeby rodziny. Pomysły, plany i pasje odkłada się na później – opowiada. I nie ma się co dziwić tym usprawiedliwieniom. Niech się mądrzy ten, kto – tak jak ona – wychował pięciu synów.

To „później" przyszło jednak szybciej, niż myślała. Miało postać jesiennej rójki, naturalnego podziału pszczelej rodziny, podczas którego część owadów masowo wylatuje z ula, żeby poszukać nowego domu, lepszego jutra. Zwykle dzieje się to w pierwszej połowie lata. Późniejsza rójka jest zwiastunem kłopotów w ulu. Tę konkretną – setki, tysiące pszczół zawieszonych na dorodnej olszy nad jednym z jezior – Marta znalazła w połowie września. Zadzwoniła do Stanisława, znajomego pszczelarza z Łobżenicy, który pasiekę prowadzi od pół wieku. Przyjadę, powiedział, obejrzę, spróbujemy ją ściągnąć. Rójka wisiała poza zasięgiem drabiny. Wystawili korpus ula z paroma ramkami, dla bezpieczeństwa włożyli pszczelarskie bluzy. Jedno trzymało gałąź, na której siedziały pszczoły, a drugie ją piłowało. Udało się strząsnąć do ula matkę, a wraz z nią morze robotnic. Weszły jak po sznurku. Stanisław zajął się tą rodziną, ale nie przeżyła zimy.

– Wtedy jednak wróciła myśl: fajnie by było założyć pasiekę. Zaczęłam pytać Stanisława, co byłoby mi potrzebne, żeby ją prowadzić. Poprosiłam: zrób listę, a ja zobaczę, czy dam radę. Lista była długa. Trzy ule, malutka miodarka i masa sprzętu typu dłuta, podkurzacz i tym podobne. Absolutne minimum, a i tak wyszły jakieś trzy tysiące złotych. Nie było mnie na to stać.

– Ile to jest trzy ule? – pytam.

– Rodzina pszczół potrzebuje dla siebie dziewięćdziesiąt kilogramów miodu na rok. Po to, żeby przeżyć. Wszystko ponad to idzie dla pszczelarza. W terenie, który nie jest przepszczelony, to znaczy gdzie nie ma wielu innych rodzin, owady mają spore pole do działania. Gdy wszystko dookoła kwitnie, mogą zbierać i zbierać. Przyniosą dwadzieścia, trzydzieści kilogramów miodu z ula. Resztę możesz sobie przeliczyć – dziesięć uli to będzie dziewięćset kilo miodu dla pszczół, wszystko, co zostanie, to dla ciebie. Więc to wcale nie jest tak, że im więcej rodzin, tym więcej miodu.

↦

Pasieka Marty Konek w Walentynowie. Region Krajna, luty 2021 r.

MARTA KONEK

Lekcja druga: zwolnij

Z czasem okazało się, że barierę finansową da się przeskoczyć. Tym bardziej że okoliczności w pracy motywowały ją do działania, trudno było tkwić w układzie, w którym kłopoty z szefem rzutują na całe życie. Była w psychicznym dołku: – Wiedziałam, że muszę zbudować sobie miejsce, które będzie tylko moje. Gdzie sama sobie będę szefem. Bo możesz robić świetne rzeczy w samorządzie, kulturze, promocji, a potem zmienia się przełożony i nagle okazuje się, że jesteś niepotrzebna. Wypad, a wszystko to, co robiłaś do tej pory, nie jest już twoje. Któregoś dnia, po kolejnej trudnej sytuacji w pracy, wyjęłam z kieszeni telefon, zadzwoniłam do Stanisława i powiedziałam: „Zaczynam".

ARCHIWUM MARTY KONEK

MARTA KONEK jest pszczelarką, dziennikarką, dyrektorką Gminnego Domu Kultury w Miasteczku Krajeńskim, autorką przewodników regionalnych o Krajnie i książki „Z głową w ulach" (wyd. Paśny Buriat).

Z perspektywy paru lat Marta przekonuje, że nie da się zostać pszczelarzem z marszu. Potrzeba co najmniej rocznej praktyki u boku kogoś wtajemniczonego. Przede wszystkim po to, żeby asystować przy każdej czynności, jaką należy wykonać w pasiece w kalendarzowym rytmie jej funkcjonowania. – Ja, oczywiście, tego roku sobie nie dałam i wszystko robiłam z doskoku. Ale jakoś się udało. Najpierw pojawiły się trzy rodziny, potem pięć, piętnaście, a teraz jest pięćdziesiąt. Na początku byłam przekonana, że poprowadzę pasiekę hurtową, która stanie się moim jedynym dochodem. Ale teraz już wiem, jak ciężka fizycznie jest to praca. I myślę, że gdybym dalej zwiększała liczbę pszczelich rodzin, to szybko straciłabym całą radość z pszczelarzenia. A tego nie chcę. Uwierz, pszczoły naprawdę uratowały mi życie. Wracałam z pracy rozbita, roztrzęsiona, szłam do pasieki i szybko odzyskiwałam równowagę psychiczną.

Chcę zwiedzić pasiekę, ale nie będziemy przeszkadzać owadom. Koniec listopada, o tej porze roku byłoby to nieroztropne. Raz, że gdybyśmy zajrzeli do ula, w środku zrobiłoby się chłodniej, i żeby podtrzymać odpowiednią temperaturę, pszczoły potrzebowałyby więcej energii. Więcej by jadły. Dwa, że pewnie by się wściekły, więc byłoby to spotkanie okupione sporym bólem.

Ule stoją na paletach w dwóch rzędach. Marta tłumaczy, że to typ wielkopolski. Tu jest półkorpus, na zimę pusty, a wyżej korpus, dziesięcioramkowy, w którym aktualnie zimują pszczoły. Kiedy rozmawiamy, pojedynczy zbłąkany owad kręci się przy wylotku. Poza tym panuje grobowa cisza. Tu i ówdzie porozrzucane są martwe robotnice, które najwyraźniej pewnego dnia nie zdążyły wrócić do ula.

– To jest normalne. Pszczoły, które napracowały się w sezonie letnim, po prostu umierają. Co innego te, które rodzą się w drugiej połowie sierpnia i we wrześniu. Na zimowlę zostaje w ulu około dziesięciu tysięcy owadów. Rodzą się na gotowe: zapasy zebrane, nie trzeba zbytnio pracować. Mają się zbić w kłąb, wzajemnie ogrzewać, przeżyć zimę i wychować pierwsze wiosenne pokolenie. Ono z kolei to już zupełnie inna bajka. Jak tylko się urodzą, od razu zaczynają pracować. Czyszczą komórki, karmią larwy, latają po wodę, po nektar, strzegą gniazda. Żyją raptem dwadzieścia parę, trzydzieści dni. Wymiana pokoleń od wiosny do września zachodzi więc bardzo szybko. Kiedy podczas spotkań autorskich opowiadam o życiu ula, lubię zażartować, że to dobra przestroga: ludzie powinni czasem zwolnić, bo inaczej zaharują się na śmierć.

Obrazu pasieki dopełnia oczko wodne oraz ławeczka, na której się siada, żeby zaznać uloterapii. To coraz popularniejszy odłam apiterapii, naturalnych metod leczniczych opartych na produktach pszczelich. W uloterapii chodzi nie tyle o spożywanie miodu czy propolisu, pszczelego kitu, ile o chłonięcie atmosfery pasieki. Trzeba zbudować domek na aktywnych ulach, tak żeby człowiek był od nich oddzielony podłogą, ale mimo to chłonął płynące z nich wibracje, dźwięki i zapachy. Znajomy Marty taki domek już ma, ona dopiero planuje jego budowę. Inwestycja wymaga sporych nakładów, więc na razie Marta zadowala się ławeczką.

Prowizoryczne rozwiązanie ma duży plus. Siedząc pod gołym niebem, można patrzeć na samą pasiekę. A każdy z uli to małe dzieło sztuki. Żółte, niebieskie, brązowe, białe, kwieciste, pokryte ludowymi wzorami. „Szkoła podstawowa specjalna w Łobżenicy", głosi napis na ustawionym centralnie, najbardziej kolorowym z nich. Towarzyszą mu dziecięce malunki, pamiątka po szkolnych warsztatach. Najbardziej rzuca się jednak w oczy jeden zwielokrotniony wzór: błękitno-granatowy kwiat wymalowany w różnych konfiguracjach na białym tle.

– A to jest właśnie wzór naszego krajeńskiego haftu – mówi Marta. – Jak już przyjechałeś do mnie taki kawał drogi, to pokażę ci trochę Krajny.

Lekcja trzecia: oregano

„Jestem krajniaczką i z urodzenia, i z wyboru. Od dzieciństwa chłonęłam w siebie widoki krajeńskich jezior i lasów. Wrastałam w pagórkowatość pól, dzikość polnych dróg, wilgotność borów, płaskie przestrzenie łąk poprzerastanych kępami wierzb. Krajna nawet w ukształtowaniu terenu jest różnorodna, nie ma w niej monotonii i nudy. Może dlatego lubię zmienność, płynność granic, wzajemne przenikanie światów?" – pisze w książce.

Kiedy autem ruszamy na wycieczkę, opowiada bardziej rzeczowo: – Czasem mówimy o sobie „Krajna wymyślona". Bo brakuje czynnika, który by ten region tak uczciwie spajał. Są wpływy niemieckie, Kaszub, Pałuk, do tego mnóstwo osób, które przyjechały tu z Kresów, tak jak moja rodzina. Nie ma więzi kulturowej typowej dla innych regionów. Mamy tylko haft krajeński, który został rozpropagowany i teraz uznajemy go tu za swój. Wzory tego haftu zostały opracowane na podstawie znalezisk ze Świętej i Błękwitu koło Złotowa. Ale to nie jest sprawa zero-jedynkowa. Moje babcie, które są przecież autochtonkami, używały wzornika, który w teorii pochodzi z Pałuk i Kaszub. Więc tak naprawdę haft krajeński to coś na

kształt umowy społecznej. Element patriotyczny pozbawiony czynnika wykluczenia wobec odmienności.

Samochód telepie się przez Walentynowo, a ja podziwiam dorodnego odyńca z herbu gminy Łobżenica, którym przystrojone są kolejne tabliczki z numerami domów. Marta relacjonuje mit założycielski miasta, według którego trzech braci złożyło śluby kawalerskie, lecz jeden się zakochał i złamał obietnicę, więc dwaj pozostali zaczęli „łupić żeńca".

Droga kończy się nad jeziorem z niedużym pomostem. Dopiero gdy wysiadamy z auta, widzę buty Marty – na każdym z nich namalowano dorodną pszczołę. Ale zanim rozmowa wróci na tematy pasieczne, moja przewodniczka kreśli ręką niewidzialną linię przez środek jeziora: – Krajna znaczy kraj na skraju. Bo tu zawsze był koniec. Za czasów Mieszka na Noteci znajdowała się granica z Pomorzanami. Za Niemców granica przebiegała dziewięćset metrów od mojego domu, czyli właśnie tu, przez środek jeziora. Nawet teraz jego jedna połowa jest państwowa, a druga prywatna. Widzisz tę wyspę przy przeciwnym brzegu?

– Jak malowana.

– Tam też stoją moje ule. Wywożę na nią bardziej agresywne rodziny. Niby zsyłka, ale robią dziki miodek. Przed wojną mój wujek, nauczyciel z miejscowej szkoły, razem z archeologami z Poznania prowadził tam wykopaliska. Znaleźli urny z prochami, żarna i toporek kamienny. A jeszcze później resztki palisady i zatopioną przy brzegu dłubankę. Jak byliśmy mali, to nazywaliśmy ją z rodzeństwem Wyspą Denatów. Ale tu były przygody! Teraz też jest fajnie. Mnóstwo kaczek, tysiące gęsi na przelotach. Błotniak stawowy. Oprócz czapli siwych również białe – mówi, i jak na zawołanie niebo przecina charakterystyczna biała sylwetka ze sztyletem zamiast dzioba.

Pszczelarzenie to nie tylko pszczoły, ale też troska o bioróżnorodność. Sianie i chronienie, odtwarzanie alej i kwietnych łąk.

– My, pszczelarze, korzystamy bezpośrednio z pracy pszczół i tego, co nam przynoszą ze świata. Widzimy różnice między tym, co kwitło kiedyś, a tym, co jest dziś. Monokultury, aleje zastępowane żywopłotami z tuj. Nie ma tradycyjnych ogrodów, są tylko strzyżone na centymetry trawniki. Baza pożytkowa dla pszczół jest o wiele mniejsza. Jak ktoś mnie pyta, jak pomóc pszczołom, to nie sugeruję, by zostać pszczelarzem, tylko żeby sadzić drzewa, krzewy, rośliny miododajne. Wiesz co na przykład jest świetne? Oregano! Zapylacze je uwielbiają. Sadzimy oregano w doniczce na balkonie i już coś zrobiliśmy dla świata.

MARTA KONEK

Lekcja czwarta: razem

Ostatecznym celem wycieczki jest Miasteczko Krajeńskie, gdzie Marta kieruje domem kultury. To sam skraj Krajny, jej południowy brzeg: – Wiesz, ja jestem ze wszystkich stron Krajny. Wychowałam się na ziemi złotowskiej. Przed wojną to była druga strona granicy, Niemcy. Potem życie rzuciło mnie do Łobżenicy, na polską stronę. Tam słuchało się zupełnie innych historii wojennych niż w Złotowie. A teraz pracuję w Miasteczku, które jest ludnościowo przemieszane, bo dużo tu ludzi z Kresów. Na Złotowszczyźnie strój krajeński jest utrzymany w błękitach i granatach. W Łobżenicy ma elementy czerwone i typowo niemieckie. W Sadkach, to już są prawie Pałuki, wygląda jeszcze inaczej. I na dodatek ma charakter codzienny, wiejski, a nie odświętny, jak u nas. Wiesz dlaczego tak jest? Bo stroju krajeńskiego jako takiego nigdy nie było.

– To może Krajna jest jednak wyśniona? – pytam.

– Dla mnie to jest opowieść o potrzebie wspólnoty. Znalezienia czegoś, co nas łączy. O umowie społecznej. O tym, że razem żyje się łatwiej niż osobno. I że jak mówisz o kimś „nasi", to nie znaczy, że pozostali będą obcy. Mogą być inni, ale to wciąż nasi przyjaciele.

To wszystko brzmi bardzo górnolotnie, myślę. Ale tylko do czasu. Na naszej drodze niespodziewanie wyrasta nieduży korek. Na jego końcu migoczą niebieskie koguty. Ochotnicza straż pożarna sprząta jezdnię po jakimś wypadku. Kiedy mijamy jeden z wozów, Marta obniża szybę i woła: – Cześć, chłopaki, co było?

– Cześć, kolizja, dwa tiry – odpowiada jeden ze strażaków. Z uśmiechem, ponieważ szczęśliwie obyło się bez ofiar.

Najwyraźniej Marta widzi znaki zapytania w moich oczach, bo chwilę później tłumaczy: – Bo ja ci jeszcze nie zdążyłam powiedzieć, że jestem też strażakiem. W domu kultury i bibliotece pracują nas tylko cztery, więc jak coś organizujemy, to musimy prosić wolontariuszy. Strażacy często nam pomagają. A ponieważ im czasem też brakuje ludzi na akcje, bo przecież w ciągu dnia wszyscy pracują, to całą ekipą kultury poszliśmy na szkolenie. Pełny kurs, z komorą dymową i wszystkimi innymi trudnościami. Teraz mamy w szafie mundury i jak coś się dzieje w godzinach naszej pracy, to jesteśmy gotowe do akcji.

© ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz: *Dziadek Mróz*

Oto – czytamy – W. Putin zażądał wycofania z Polski wojsk NATO, a opłacana przezeń prawdziwa Francuzka M. Le Pen w czasie objazdu Polski i tutejszych tzw. mediów wyłuszczyła, co to jest rosyjska strefa wpływów. Wyłuszczała oszczędnie, bo mówiła na razie o Ukrainie.

Nie bądźmy dziećmi, dodanie do tej wizji dwu sylab, czyli Pol-ski, to zaledwie dla p. M. Le Pen chwila namysłu i zapewne zaiskrzenia w reakcji na przelew z Moskwy. Nawiasem, gdy się człowiek rozejrzy i skupi, to dzisiejsza dyplomacja objazdowa, nie tylko u nas, polega na nieustających demonstracjach skrajnej indolencji w każdym sensie i groteskowym braku taktu. Nieprzyjemne wrażenie z tego jest i takie, że wszyscy, na całym świecie uczą się manier od naszych, M. Le Pen oczywiście też. Już dawno spostrzegliśmy, że minęły utwardzone wielosetletnią tradycją czasy, gdy nowości przybywały na Wschód z Zachodu. Nurt się odwrócił. Dziś jesteśmy globalnym eksporterem obyczajów. M. Le Pen, jeżdżąc po tutejszych tzw. mediach, bezwstydnie okazujących na co dzień brak dziennikarskiego warsztatu, a za to skrajne partyjniactwo i dumę z uzależnienia od władzy, była absolutnie zachwycona i zazdrosna. Chciałaby tak mieć u siebie i być może będzie miała.

No więc, oby za rok – panie dziejku – prezentów pod choinkę nie przyniósł nam Dziadek Mróz, czyli *Dieď Moroz* na tęgiej bańce, po wypiciu owego czegoś o nazwie sowietskoje igristoje. Tak być może, bo klimat i smak tego, co dobre, bardzo się zmienia. Wszyscy będą wtedy płakać, zanosić modły i będą szalenie zdziwieni, jak zawsze w Polsce, gdy nie trzeba się było dziwić, tylko myśleć. Oto myślenie jest czynnością, której chcielibyśmy z okazji Nowego Roku poświęcić słów zaledwie tyle, na ile w Polsce myślenie zasługuje, czyli niewiele.

Gdy słuchamy dziś ludzi nieograniczonej już niczym władzy, nie sposób pozbyć się uczucia, że wszystko, co owa władza proponuje, ma bardzo krótki termin spożycia. Wszystko ma być aktualne dziś, świeże i zdatne do powąchania najdalej do jutra. Świeże jak dla kogo, oczywiście. Jeśli idzie o myślenie, to nikt nie ma takich upodobań, więc nikt się nie wysila. Tymczasem, jak okiem sięgnąć, wszędzie trwają uruchomione bezmyślnymi uderzeniami w guziki reakcje chemiczne i fizyczne, poza jakąkolwiek kontrolą. Wśród ludzi władzy i tej władzy wielbicieli trwają niesłychane negocjacje z prawami przyrody chociażby. Mięciutkie negocjacje z wirusem (bo twarde mieliśmy przed wyborami) to najkomiczniejsza karta naszej historii od czasu kompromitującej na wieki polską rację stanu konsumpcji przez myszy (*Mus musculus*) kolegi Popiela z rodziną.

Najnowsze – popatrzmy – ustanowione właśnie przez rząd przepisy przebywania ludzi w pomieszczeniach zamkniętych, a więc wymieszanie w nich nosicieli, chorych i zdrowych, z jakimś procentowym rozkładem, wejdą, mamy nadzieję, do podręczników tego, co ostrożnie tu nazwiemy ostatecznym upadkiem rozumu w Polsce i dominacją wiary nad nauką. Zapamiętajmy sobie – bowiem nie wygrzebiemy się z tego przez wiele lat, a może i dziesięcioleci – że prawa przyrody, reakcje chemiczne i zjawiska fizyczne są w Polsce przełomu lat 2021/2022 nieaktualne. Można na pewno na wiele lat zamknąć uniwersytety, a zwłaszcza wydziały nauk przyrodniczych i ścisłych. Utrzymywanie ich nie ma żadnego sensu, skoro połowa społeczeństwa wierzy, że dwa dodać dwa to jest tyle, ile im akurat powie Mateusz Morawiecki.

Niechybnie kiedyś sytuacja się odwróci. Zapewne impuls do powołania na nowo katedr przyrody, fizyki czy chemii dadzą – jak zawsze tutaj – zasłużeni bimbrownicy. Jedyna od wieków – jak się wydaje – grupa zawodowa w Polsce odporna na przekonania będące pochodną wszelakich wierzeń. To ludzie stąpający twardo po ziemi, z charakterem, niedający się zwieść mirażom, wiedzący, czym jest i bakteria, i drożdże, słowem, wierzący w istnienie małych organizmów. Będą na nich czekać wymarłe uniwersytety i opustoszałe biblioteki. Oby tchnęli w nie nowe życie. Na zdrowie!

©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

Chwilo, nie trwaj!

Zachęcamy do zakupu kalendarza na stronie: przekroj.pl/sklep

40 LAT CENTRUM RZEŹBY POLSKIEJ

WWW.RZEZBA-ORONSKO.PL

CITY LIMITS

YAEL EFRATI
ASTA GRÖTING
MONIKA SOSNOWSKA

27.11.2021
13.02.2022

CENTRUM RZEŹBY POLSKIEJ
UL. TOPOLOWA 1
26-505 OROŃSKO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego / Co-financed by the Minister of Culture and National Heritage of the Republic of Poland

Współorganizator / Co-organizer

Instytut Adama Mickiewicza

Patronat honorowy / Honorary Patronage

Ambasada Republiki Federalnej Niemiec Warszawa

Totalizator Sportowy

65 lat Totalizatora Sportowego

Partner roku jubileuszowego Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku / Partner of the jubilee year of the Centre of Polish Sculpture

Prace dzięki uprzejmości / Works by courtesy of

HAUSER & WIRTH GALERIE GISELA CAPITAIN carlier | gebauer

Partnerzy / Partners

Kunsthalle Düsseldorf

מוזיאוני בת ים
MoBY: Museums of Bat Yam
موبي: متاحف بات يام

zaiks sprzyjamy wyobraźni

IChF

UMCS

Patronat medialny / Media patronage

TVP Kultura

dwójka Polskie Radio

NNGT Notes na 6 tygodni

REKLAMA